



AGATA
PRZYBYŁEK

Kobiety wrdychaja częściej



Cudowna
rozrywka,
polecam!
**Magdalena
Witkiewicz**

Kobiety wzdychają częściej

AGATA
PRZYBYŁEK

Kobiety wrdychają częściej

*Moim rodzicom
oraz Kasi i Wojtkowi*

Rozdział 1

Przejechała mnie! – Ta złowieszcza myśl pojawiła się w mojej głowie, kiedy po ciele rozchodził się trudny do opisanego, przeraźliwy ból promieniujący z lewej ręki i barku. Cholera jasna, przejechała mnie! Naprawdę to zrobiła. Zabije tę babę! Jeśli ona nie zabiła jeszcze mnie, oczywiście.

Chwilę po tym, jak do moich uszu dobiegł głośny dźwięk klaksonu dochodzący z pędzącego wprost na mnie samochodu rozjuszonej i żądnej zemsty sklepowej (bo siostrzenica mojego męża rzekomo sprowadza na manowce jej syneczka), leżałam na rozgrzanym asfalcie, walcząc o każdy kolejny oddech. Uszy wypełniała mi wata, a całe ciało pogrążyło się w odrętwieniu. Miałam zawroty głowy i nic nie słyszałam. Absolutnie nic. Najwyraźniej umierałam. A przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. I nie było w tym nic majestatycznego ani pięknego. Nie mogłam przecież usłyszeć, czy ktoś po mnie płacze. A to dodałoby choć odrobinę splendoru mojej śmierci. Przynajmniej tak odchodzenie opisaliby wielcy tego świata. Wniosek? Koloryzują, kłamcy!

Miałam zamknięte oczy, ale nie przestawałam myśleć o tym, że właśnie osierociłam swoje jedyne dziecko. I zostawiłam na tym świecie kompletnie niezaradnego, oderwanego od rzeczywistości męża, który nie będzie umiał należycie się zaopiekować naszym czteroletnim Marceliem.

Ból stał się nagle silniejszy, zawroty głowy mocniejsze, a żołądek podszedł mi do gardła. Co ze mnie za matka? Jak to mogło się stać? Przecież kiedy mnie na tym świecie zabraknie, to Ludwik na pewno zrobi coś głupiego, a moje dziecko trafi do jakiejś instytucji opiekuńczej, w której też nikt o takiego malucha nie zadba! Koniec świata. Chyba powinni przyznać mi Nobla za moją zdolność do pakowania się w tarapaty! Zrujnowałam życie Marcelowi...

– Au – mimowolnie wyrwało mi się cicho między jednym a drugim przyspieszonym oddechem, kiedy spróbowałam się poruszyć.

Zaraz!

Skoro próbowałam się poruszyć i jeszcze wyrwał mi się przy tym jakiś dźwięk, to chyba znaczy... Tak! Jednak nie umarłam. Jednak mnie nie przejechała, wariatka jedna.

I kiedy ta chwalebna myśl, że nie jestem wyrodną matką i nikt mi dziecka nie odbierze, opanowała całą moją głowę, znowu zaczęłam słyszeć. Szum gromadzących się dookoła ludzi, jakieś urywane krzyki i swój własny oddech. Uprzytomniłam sobie też, dlaczego właściwie leżę teraz na tym asfalcie. Przez moją głowę przemknęła myśl o ratującym mnie z opresji byłym narzeczonym, Teodorze. Nagle pojawił się tuż obok i przewrócił mnie niczym rasowy bohater w obcisłych spodniach.

Myślenie o tym wszystkim było wycieńczające. Znowu spróbowałam się poruszyć.

Ponownie zakręciło mi się w głowie.

A na domiar złego zwymiotowałam.

– Oddychaj, Zuzka, oddychaj. – Usłyszałam rozemocjonowany i pełen przerażenia głos mojego męża, Ludwika. Klęczał i pochylał się nade mną. Z troską odgarniał mi opadające na twarz włosy.

– Karetkę. Jaszczurki. Główna, przy szkole. Wypadek. Ranni kobieta i mężczyzna... W ciężkim stanie. Tak, jest krew! Nieprzytomni – wrzeszczał natomiast do swojej komórki nie mniej przejęty od Ludwika Marek, bożyszcze nastolatek (no dobra, nie tylko nastolatek), którego kilka tygodni temu przygarnęłam pod swój dach. Był wuefistą, pracowałam z nim w jednej szkole i niespodziewanie stał się obiektem moich fantazji.

Ale nie o tym.

Poczułam na czole ciepłą dłoń Ludwika, więc spróbowałam otworzyć oczy. Niestety, moje powieki robiły się coraz cięższe. Miałam też wrażenie, że stoi za mną jakiś oprawca z wielkim młotem, którym rytmicznie uderza w moją głowę.

– O Boże. O Boże! – Wśród coraz głośniejszego gwaru wychwyciłam piskliwy głos Anki, mojej starszej siostry. – Teodor! O matko kochana. Zuzanna! Dlaczego tu jest tyle krwi! – wrzeszczała.

Chciałam powiedzieć Ludwikowi, że to nie mnie trzeba teraz głaskać po czole, ale Ankę. Zawsze emocjonowała się bardziej niż ja. Niestety, ust nie potrafiłam otworzyć tak samo jak powiek i wyrwał się z nich tylko trudny do zrozumienia jęk. Cholera! Niemoc współpracowania ze swoimi mięśniami zaczynała denerwować mnie jeszcze bardziej. Naprawdę chciałam dać moim najbliższym znak, że jest dobrze, więc nie muszą panikować. No i w końcu żyję, chociaż bardzo mnie boli i donikąd się nie wybieram. Przynajmniej na razie.

– Spokojnie, Zuzka, spokojnie. – Tym razem Ludwik przytulił dłoń do mojego policzka. – Karetka już jedzie, oddychaj – szeptał uspokajająco, chociaż głos mu się łamał.

Nie potrafiłam jednak teraz o nim myśleć. Moją głowę zaprzętał tylko Teodor i fakt, że właśnie uratował mi życie. Znowu jęknęłam z bólu. Gdyby nie okoliczności, chyba bym się zaśmiała. Przed laty naprawdę je zrujnował, znikając bez słowa zaraz po oświadczeniach, a teraz rycersko rzucił się pod samochód. Nie spodziewałam się tego po nim. W ogóle niczego się po nim nie spodziewałam. Tylko ten jego niski, wystraszony głos, który dobiegł do mnie zaraz przed wypadkiem. O Boże. On nadal brzmiał tak samo ciepło i kojąco jak wtedy, gdy...

– No co tak stoicie? – Po okolicy rozszedł się nagle przeraźliwy pisk Anki. – Zróbcie coś! Pomóżcie im!

– Marek, proszę... – rzucił Ludwik błagalnie do wuefisty. Ten najwidoczniej przytulił Anię do siebie, bo usłyszałam jej stłumiony szloch.

I wtedy, jak gdyby wszystkich ich było nade mną mało, zjawiała się zawodząca

wniebogłosy mamusia.

– Jezu Przenajświętszy, miej tych dwoje w opiece w godzinę ich śmierci – zawyła gdzieś nad moim uchem, w odpowiedzi na co i Anka, i Ludwik wrzasnęli głośno: „Mamo!”.

– Przecież Zuzka nie umiera. Nie mów tak! Nie możesz tak mówić, słyszysz? Nie możesz! Oni wyzdrowieją! Wszystko będzie dobrze – zaczęła płakać Anka.

– Cichutko – uciszył ją Marek.

– Zawsze myślałam, że to ja umrę szybciej, a tu takie nieszczęście, takie nieszczęście... – kontynuowała mamusia. – Dzieci kochane, oto wybiła godzina próby dla całej naszej rodziny. Musimy być mocni, musimy być twardzi. Tylko jak, kiedy moje dziecko umiera właśnie tutaj, na tym czarnym asfalcie, w naszej Polskiej ziemi, jak przed laty, gdy ginęli...

– Niech pani da już spokój z tym lamentowaniem! – warknęła Kasia, siostrzenica Ludwika, która, tak samo jak wuefista, mieszkała u nas od jakiegoś czasu. – Niech pani lepiej idzie zająć się Marcelem, a nie urządza tutaj jakieś płacze. Zuzanna nie umiera! Ten facet też nie. Na nic nam tu teraz grono zawodzących żałobnic!

Kasia przyłożyła dwa palce do mojej szyi.

– Jest puls. Czuję go. Widać też, że Zuzka oddycha.

– Tak? – zdziwiła się mamusia.

– Niech pani idzie do domu i tutaj nie płacze. Marcel potrzebuje teraz wsparcia, a wyjąc, nijak nam pani nie pomoże! – Kasia mówiła stanowczym tonem. Jako jedyna nie ulegała emocjom i wiedziała, co trzeba robić w takiej sytuacji. Uczyli ją pewnie w szkole, jak się zachowywać w czasie wypadku i proszę, są efekty. Od razu poczułam się jakoś tak bezpieczniej. I pewniej. Mamusia też musiała chyba posłuchać Kasi, bo jej lament ucichł natychmiast. Usłyszałam tylko oddalające się kroki.

No i dobrze. Marcel będzie bezpieczny. Na pewno nie powinien widzieć matki w takim stanie. Jeszcze by się biedaczek załamał i trauma na resztę życia murowana. Potem niekończące się wizyty u psychoterapeuty, ciekawe, kto by go tam woził?

Tylko co z Teodorem? Że ja żyję, to przecież wiem, ale co z...

– Teodor... – Udało mi się wychrypieć. Ból promieniujący z lewej ręki zawładnął w tym momencie całym moim ciałem i znowu zebrało mi się na wymioty.

Cholera! Umrę tu zaraz! Jak nic umrę!

– Cicho, Zuzka, cichutko. – Ludwik znowu przysunął do mnie swoją rękę.

Na mój policzek kapnęło coś ciepłego. Czyżby to była jego łza? Ludwik płakał?!

– Wszystko z nim dobrze, Zuzka, żyje. Jest poturbowany, ale oddycha. Sprawdziłam, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Dacie radę. Jesteście silni – uspokajająco odpowiedziała na moje pytanie Kasia.

Au.

Gdy tylko usłyszałam, co mówi, po moim ciele znowu rozszedł się nieprzyjemny dreszcz, a żołądek ponownie wywinął koziołka. Spróbowałam poruszyć ręką, żeby

dotknąć bolącego brzucha, ale wtedy coś głośno w niej chrupnęło i nagle wszystkie głosy ucichły, a ja odpłynęłam w niebyt.

– Jadę za wami. – Dobięł mnie głos Ludwika, gdy na chwilę odzyskałam przytomność.

Dwaj rośli ratownicy właśnie przerzucili mnie na nosze, sprawiając przy tym, że znów prawie zemdlałam z bólu. Potem położyli nosze na jakiś wózek i pchali go w stronę wyjącej karetki, mocno przy tym hałasując.

– Bierzemy ją do szpitala w miasteczku. Na pierwszy rzut oka ma pogruchotaną rękę i lekkie wstrząśnienie mózgu po upadku. A czy to wszystko, dowiemy się już po szczegółowych badaniach.

– O mój Boże... – wyrwało się Ludwikowi.

– Nie, nie. Spokojnie – powiedział ratownik kojącym tonem. – Nic jej nie będzie. Zrobimy prześwietlenie, a lekarze na pewno szybko to zoperują. Jej życiu nic nie zagraża. Będzie dobrze, naprawdę.

– A co z tym mężczyzną? To on uratował żonę przed tą furiatką i...

– Ma więcej obrażeń, ale proszę mi wierzyć, że też z tego wyjdzie. Mogło być gorzej. Znacznie gorzej. A teraz przepraszam, ale musimy już jechać! – Usłyszałam, jak ratownik klepie Ludwika po plecach i drzwi karetki zamknęły się z głośnym hukiem.

Nic mi nie będzie. Nie osierociłam Marcela. Nie jestem wyrodną matką. Tej głupiej babie nie udało się mnie przejechać. Teodor też z tego wyjdzie, chociaż jest w dużo gorszym stanie – poukładałam sobie w myślach słowa ratownika, a potem znowu straciłam przytomność.

A może tym razem zostałam jej pozbawiona?

Trudno powiedzieć, ale w mojej głowie powstała wielka czarna dziura. I dobrze. Przynajmniej tak bardzo mnie nie bolało. Właściwie, to nawet wcale. Nie czułam kompletnie nic. Może teraz to już naprawdę umarłam? Oby tylko Ludwik nie urządził mi jakiegoś wielkiego, smutnego pogrzebu. Musiałabym go potem straszyć po nocach, bo czegoś takiego bym po prostu nie zniosła!

Chociaż wtedy w pewnym sensie spędzalibyśmy je razem... Może więc perspektywa zamienienia się w ducha nie była wcale taka zła?

Rozdział 2

– Policja już się nią zajmuje – oświadczył mi wieczorem, drugiego dnia po wypadku, nieustannie siedzący przy moim łóżku Ludwik.

A mówił oczywiście o żadnej zemsty sklepowej. Znajdowaliśmy się w pachnącej detergentami, pojedynczej sali szpitalnej, do której przywieziono mnie po operacyjnym poskładaniu pogruchotanej ręki.

Byliśmy w sali sami, bo choć z Ludwikiem przyjechała też Kasia, wyszła właśnie do toalety.

– Anka i ja zeznawaliśmy już, że ci groziła. Mają tego nie traktować jak zwykłego wypadku. Ciebie policja pomęczy dopiero, kiedy trochę dojdiesz do siebie i odpoczniesz. Mówiłem im, że to nie jest jeszcze najlepszy czas na przesłuchania. Lekarze też tak myślą... Ta wariatka chciała wjechać w ciebie z premedytacją! Nie znaleźli nawet najmniejszego śladu hamowania. Nie próbowała zwolnić. Pójdzie siedzieć jak nic, ale najpierw ma zbadać ją jeszcze psychiatra. Gdyby nie ten facet, to aż strach pomyśleć... – Ludwik pokręcił głową i westchnął smutno. – Kasia też ma to potwierdzić, ale policja nie zdążyła jeszcze jej przesłuchać. Kiedy ja cały dzień byłem u ciebie, młoda ciągle zajmowała się Marcelem. Mógłbym oczywiście podrzucić go do Ani i zawieźć Kasię na przesłuchanie, ale wiesz, ile twoja siostra ma na głowie. Teodor leży w szpitalu, mąż za granicą, więc sama musi zajmować się gospodarstwem. I tak mam wyrzuty sumienia, że obciążyłem ją dziś opieką nad małym, dlatego nie będziemy u ciebie teraz za długo siedzieć... Kasia wieczorami pomaga Ani przy Zosi, a Marek tyra razem z nią przy zwierzętach, więc nie musisz się tym martwić.

– A mama? – zapytałam słabo. Tonęłam w białej, szpitalnej pościeli.

– Miała spadek cukru. Trochę się przejęła, owszem, ale już jest dobrze. – Ludwik uśmiechnął się i pogłaskał mnie po rękę. Na jego twarzy dostrzegłam zmęczenie. – Kazała ci powiedzieć, że w razie czego odłożonych przez nią pieniędzy wystarczy również na twój pogrzeb, więc nie musisz się martwić. Może ci oddać też swoją urnę, a sobie chce kupić nową. Ostatnio widziała w gazecie lepsze modele. Wiesz, w tej o pogrzebach, którą zawsze ogląda... Podobno na rynek trafiły właśnie ekologiczne urny, w których tkwi ukryte nasionko i po twojej śmierci wyrasta z ciebie drzewo.

Uśmiechnęłam się szeroko. Staralam się być twarda. Bo jak nie ja, to kto? Na pewno nie Ludwik. W takiej trudnej sytuacji musiałam być podporą dla nas wszystkich.

– Nie martw się niczym – powiedział dobrodusznie, przez co zrobiło mi się jakoś tak ciepło na sercu. Tylko czy naprawdę trzeba było aż wypadku, żeby mój własny mąż zwrócił na mnie uwagę i okazywał czułość?! Tak bardzo starałam się odzyskać jego zainteresowanie, a tu proszę. Wystarczyło sobie coś połamać. Gdybym tylko wiedziała o tym wcześniej, to...

No dobra. Nie. Na pewno nic bym sobie nie łamała. To naprawdę boli. Nie jestem

masochistką.

– A co z Teodorem? – zapytałam po chwili milczenia.

– Byłem u niego. Nie jest tak źle. Mocno się połamał, ale poza tym to w porządku. Lekarze są dobrej myśli. Najpierw nie chcieli mi udzielić żadnej informacji o jego stanie zdrowia, bo wiesz, nie jestem z rodziny, ale kiedy powiedziałem, że uratowałem życie mojej żonie, to zmiękli. Miewają ludzkie odruchy.

Znowu oboje zamilkliśmy na moment. Głośno przełknęłam ślinę. Kiedy emocje opadły, a ja tkwiłam w szpitalnym łóżku, miałam naprawdę dużo czasu na przemyślenia. Nietrudno zgadnąć, że w zaistniałej sytuacji to Teodor był ich głównym tematem.

– Kto to w ogóle jest ten Teodor, co? – Ludwik przerwał ciszę.

Spojrzałam w stronę okna. Zielone korony drzew kołysały się lekko na wietrze. Ich widok sprawiał mi przykrość. Było lato, świeciło słońce, a ja ugrzęzłam w szpitalnej sali.

– Kolega z młodości – odpowiedziałam, trochę mijając się z prawdą. Podświadomie czułam, że to nie jest dobry czas na odkrywanie przed Ludwikiem swojej przeszłości. Wiedział, że ktoś mnie skrzywdził, owszem, ale trudno było przewidzieć, jak zachowałby się w sytuacji, gdyby dowiedział się, że moim niedoszłym narzeczonym był facet, który właśnie uratował mi życie. Może by mu to wszystko wybaczył, nie mówię, że nie, ale mógł też lecieć tam w te pędy i udusić go poduszką. Wiadomo przecież nie od dziś, że mężczyźni są raczej nieprzewidywalni. I zachowują się infantylniej niż dzieci.

– I pracuje teraz u Ani, tak? – dociekał Ludwik.

– Mówiła ci o tym? – Spojrzałam na niego, unosząc brew.

– Aha. Kiedy razem wracaliśmy z komendy. Pomagał jej w pracach w gospodarstwie pod nieobecność Jurka i proszę... – Mój ślubny westchnął głośno. – Teraz została z tym sama. Na szczęście mamy wakacje, więc będę mógł jej pomagać, bo przecież nie możemy cały czas wykorzystywać Marka.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Byłam naprawdę zaskoczona tym, co powiedział. Od kiedy interesował się moją rodziną i jeszcze gotów był z własnej woli jej pomagać?

Uśmiechnęłam się blado.

– Niedługo mnie wypiszą, więc będziemy mogli pomagać jej razem. Nie martw się, będziesz miał czas na te swoje poszukiwania skarbów.

– Przecież wiesz, że teraz nie to jest dla mnie najważniejsze. – Znowu nieco mocniej ścisnął mi rękę.

Zrobiło mi się gorąco. Czy on naprawdę musiał być takim dobrym mężem? Zwłaszcza teraz, kiedy przez głowę przebiegło mi wspomnienie jednego z ostatnich wieczorów spędzonych bez Ludwika. Przypomniałam sobie wędrujące po mojej szyi, rozgrzane usta Marka, który z typową dla siebie zachłannością całował mnie pod

ścianą w swojej sypialni.

Na szczęście wsparcia w takich kłopotliwych sytuacjach udziela rodzina.

– Jestem – oznajmiła Kasia. Uśmiechnęła się blado i powoli podeszła do łóżka. Usiadła na nim lekko, a potem spuściła wzrok.

Wymieniliśmy z Ludwikiem zmartwione spojrzenia.

– Hej, młoda! Co to za smutna mina? – spróbował rozweselić ją swoim zabawnym tonem, ale ona tylko ciężko westchnęła.

– No bo ja dobrze wiem, że to wszystko moja wina... – zaczęła. – Gdyby nie ten mój przyjazd do was, to żadna sklepowa nie chciałaby Zuzki przejechać i nikt nie musiałby jej ratować, a potem nie leżałaby tutaj połamana. Jestem tylko źródłem waszych problemów. Znowu! – W jej oczach pojawiły się łzy. – Okropnie się z tym czuję.

– Ale kochanie, co ty mówisz?

Kasia popatrzyła na mnie i otarła pierwszą z ciekących po jej policzku łez.

– Mówię jak jest, Zuzka. Wiem, że teraz powinnam się wyprowadzić, naprawdę wiem. Ale ja nigdy nie miałam takiej kochającej rodziny jak wy. Ty, Ludwik, Marcel, a nawet twoja wiecznie umierająca mama... – Kasia uśmiechnęła się przez łzy. – Po prostu tak bardzo będzie mi was brakować!

Ludwik natychmiast wstał z krzesła i przytulił siostrzenicę do siebie.

– Nigdzie się nie będziesz wyprowadzać – szepnął jak na porządnego faceta przystało i pogłaskał ją po głowie.

– I nie możesz się obwiniać – dodałam.

– To nie twoja wina, że sklepowa jest wariatką. Niczyja.

– Ale gdybym wiedziała, że to wszystko tak się skończy... – Kasia znowu zaszlochała. – To może od razu trzymałabym się z daleka od Tomka, nie zakochiwała w nim, nie mieszała mu w głowie i... Jestem tylko źródłem nieszczęść.

– Kasia, proszę cię, nie mów tak. To naprawdę nie jest niczyja wina. A już na pewno nie twoja – powiedziałam, bo na jej widok aż pękało mi serce. Gdyby nie to, że każdy ruch sprawiał mi dzisiaj ból, to też bym ją objęła.

Kasia zamknęła oczy i przytuliła twarz do piersi Ludwika, a potem przez chwilę płakała w ciszy, podczas gdy my wymienialiśmy smutne i zaniepokojone spojrzenia.

– Dobra, nie ma co płakać. – Po kilku minutach wytarła łzy i pociągnęła nosem. – Stało się, to się nie odstanie. Ale ja wam się teraz zrekompensuję za te wszystkie cierpienia, zobaczycie.

– Ale za co ty nam się chcesz zrekompensować? I po co? – zdziwiłam się.

– Kasia, daj spokój z tymi wszystkimi wariactwami – mruknął Ludwik.

– Nie, nie, nie! – Kasia pokręciła głową. – Macie przeze mnie same przykrości, sprowadzam na was tylko zło, ale to wszystko się zmieni! Jeszcze nie wiem jak, ale się wam odwdzięczę. Zobaczycie.

Tym razem popatrzyliśmy na siebie z Ludwikiem trochę przestraszeni tą jej nagłą zmianą nastroju i wybuchem energii.

– Ach! Zapomniałbym! – Ludwik chcąc zmienić temat, popukał się w głowę. – Jest tutaj z nami przecież jeszcze Marek! – oznajmił. – On też mocno przeżywa całą tę sytuację i ubłagał mnie, żebym go dzisiaj do ciebie zabrał. W końcu do tego wypadku doszło też na jego oczach. Dzwonił nawet po pomoc, kiedy ja przy tobie klęczałem. Czeka na korytarzu. Chciałabyś się z nim zobaczyć?

Znowu głośno przełknęłam ślinę i spojrzałam Ludwikowi prosto w oczy. Że też musiał zmienić temat akurat na taki! Było mi naprawdę niezręcznie rozmawiać z nim o Marku, chociaż właściwie przecież do niczego między nami nie doszło. W końcu gdyby się temu dokładniej przyjrzeć, to on mnie całował, a nie ja jego...

– Tak, pewnie. Skoro przyjechał, to niech wejdzie – zgodziłam się, kątem oka zerkając też na Kasię i spróbowałam się uśmiechnąć.

Ludwik poruszył się najwyraźniej zadowolony z siebie i podszedł bliżej mnie.

– Poproszę go, a my z Kasią zajrzemy do Teodora. Nikt go tutaj nie odwiedza. Powiedz mi, bo pewnie wiesz. Czy on nie ma żadnej rodziny?

– Długo nie mieliśmy kontaktu. Jego rodzice się przeprowadzili. Doszły mnie kiedyś słuchy, że nie żyją, ale nie wiem, ile w tym prawdy.

Ludwik spuścił wzrok. Tak samo jak mnie, było mu Teodora po prostu żal.

– Przykra sprawa – szepnął.

Wysiliłam się na uśmiech, ale tym razem udało mi się raczej wykrzywić twarz w grymasie niż unieść kąciki ust w górę.

– I może pójdziemy coś zjeść. Co myślisz, Kasiu? Nie wiem jak twoim, ale moim ostatnim dzisiejszym posiłkiem było śniadanie – powiedział jeszcze Ludwik i pocałował mnie w czoło.

– Smacznego – szepnęłam.

– Będziemy za pół godziny – oznajmił mój mąż. – Opiekuj się nią – rzucił zupełnie nieświadomy tego, jak dwuznacznie zabrzmiały te słowa skierowane właśnie do Marka.

– Nie ma sprawy. Zuzką zawsze – oświadczył wuefista.

Ludwik z Kasią zniknęli, a Marek popatrzył na mnie i powoli podszedł do łóżka. Na chwilę spojrzałam za okno. Ta zieleń wcale nie działała na mnie uspokajająco. A może to obecność Marka mimo szpitalnej sali nadal wyjątkowo mnie pobudzała?

– Dobrze cię widzieć. – W końcu popatrzyłam na niego.

Dostrzegłam cień uśmiechu na jego ustach. Wyjątkowo nie był łobuzerski i zadziorny, ale ciepły i pełen empatii.

– Ciebie też. Nawet nie masz pojęcia jak dobrze. Gdyby coś ci się stało, to nigdy bym sobie nie darował...

– Marek... – Spojrzałam na niego z ukosa. Wyglądał jakoś nienaturalnie, kiedy tak stał ze spuszczoną głową. Nie tego mi było potrzeba. Nie jego smutku.

– Czuję się winny, Zuzka. Gdyby ta kobieta mnie nie zagadała, to wszedłbym na te pasy razem z tobą i może nie doszłoby do żadnej tragedii. Może zareagowałbym

wcześniej? Może coś mógłbym zrobić? Nie wiem, szarpnąć cię, ochronić, a nie stać jak kołek na chodniku i patrzeć... – powiedział, kręcąc głową. Pierwszy raz widziałam go tak smutnego i pozbawionego życia. Jakby nagle uszło z niego całe powietrze. I to jeszcze z mojej winy. – Gdybym zauważył wcześniej, co się święci, rzucił te kwiaty i chociaż pociągnął cię za rękę, to...

Boże! Ten też czuje się winny? Pogłupieli wszyscy czy co?!

– Marek – weszłam mu w słowo. Nie mogłam już tego wszystkiego słuchać! – Takie gdybanie nie ma sensu. Dobrze o tym wiesz.

– Ale gdyby...

– Może gdybyśmy weszli na te pasy razem, zamiast Teodora to ty leżałbyś teraz na szpitalnym łóżku? A może by nas już nie było? – Znowu nie dałam mu dokończyć. – Nie myśl o tym. Ja też o tym nie myślę. Stało się, to stało. Roztrząsanie nie ma sensu. Niczego nie zmieni.

Marek spojrzał mi prosto w oczy. Było w nich coś trudnego do opisanego... Może podziw? Może otucha?

– Ludwik powiedział mi, że pomagasz Kasi zajmować się domem. I Ance w gospodarstwie – zagadnęłam go, żeby zmienić temat.

– Powiedziałem ci już, że czuję się współwinny temu nieszczęściu. Staram się chociaż jakoś zrekompensować. To nic takiego.

– Nie takie znowu nic – zauważyłam. – Ludwik sam by tego wszystkiego nie ogarnął. On z logistyką to raczej jest na bakier.

– No i do tego kompletnie rozwalony emocjonalnie.

– Tak. Wiem. Bardziej niż ja. Muszę być twarda dla niego, chociaż to ja jestem tutaj ofiarą. – Spróbowałam zażartować, bo Marek w smętnym wydaniu wcale nie dodawał mi sił, których teraz tak bardzo potrzebowałam. Wiem, że w dzisiejszych czasach kobieta powinna być twardsza od faceta, ale chyba byłam zbyt dużą konserwatystką, żeby zgodzić się z tym poglądem.

Zresztą... Ile można?! Chociaż jeden z nich mógłby mnie powspierać w tej trudnej sytuacji!

– W tym domu potrzeba mężczyzny – powiedziałam głośno. – Przynajmniej jednego. Więc podnieś głowę i wysil się na jakieś słowa otuchy. Albo po prostu przestańmy gadać o tym wypadku. Nie potrzebuję się teraz rozckliwiać. To już niczego nie zmieni. Bądź twardy, a nie mi tutaj smęcisz. Możesz to sobie porobić na korytarzu.

Marek popatrzył na mnie zdziwiony, ale w końcu uśmiechnął się szeroko.

– Twardzielka. Lubię takie. – Puścił do mnie oczko, a po moim ciele rozszedł się przyjemny dreszcz, który zawsze wywoływał tym zalotnym gestem.

Nie mogłam się nie roześmiać, chociaż ze względów czysto fizycznych nie trwało to jakoś wyjątkowo długo i skończyło się bolesnym ukłuciem. Jednak wystarczyło, aby atmosfera zrobiła się mniej funeralna.

– Siadaj, proszę. – Wskazałam zdrową ręką na krzeselko przy łóżku.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak niewielka odległość nas dzieliła. I że byliśmy tu sami, a moje ciało, pomimo obrażeń, znowu zaczęło reagować na niego w niewłaściwy sposób. Bo przecież jestem MEŻATKĄ!

Marek popatrzył na krzesło niepewnie, a potem jednoznacznie spojrział mi w oczy.

– Wolałbym raczej poleżeć z tobą w tym łóżku – powiedział niskim tonem, jak zwykle, kiedy byliśmy ze sobą sam na sam, a jemu chodziło tylko o jedno.

– Żartujesz sobie... – zdołałam wydusić, bo prawie odjęło mi mowę na dźwięk jego propozycji.

Nerwowo przełknęłam ślinę. Nagle zrobiło mi się jakoś tak wyjątkowo gorąco, a on, jak gdyby nigdy nic wzruszył ramionami i podszedł jeszcze bliżej.

– Wcale nie. Dlaczego miałbym żartować?

– Bo to szpital? A ja jestem chora?

– Zuzka, błagam cię... – Wywrócił oczami rozbawiony moją reakcją. – Przecież wiem, że masz na to tak samo dużą ochotę jak ja. Zresztą chorych należy pocieszać, tak? Zwłaszcza połamane, samotne kobiety. – Znowu błysnął swoimi idealnie białymi zębami, a chochliki w jego oczach wyraźnie się ożywiły.

Może lepiej było nie wymuszać na nim, żeby skończył się nade mną użalać i zachowywał normalnie?

– Przecież ja mam męża! – Spróbowałam się jeszcze bronić. Chociaż leżąc tutaj uziemiona i z ręką w gipsie nie miałam żadnych szans, żeby przed nim gdzieś czmychnąć. Bolesnie uświadomiłam sobie, że właściwie to byłam teraz zdana na jego łaskę i niełaskę.

Ta paraliżująca świadomość niemocy sprawiła, że mój oddech przyspieszył jeszcze bardziej. Pachnące mydłem i perfumami ramiona Marka. I to tak blisko... Te jego zaborcze usta. Jeszcze chyba nikt nie całował mnie tak, jak on wtedy...

STOP!

Matko kochana, co ja bredzę? Widać te złamania rzuciły mi się także na mózg. Dlaczego nikt nie uprzedzał mnie o skutkach ubocznych włożenia ręki w gips? Czy to przez ten ucisk? A może to wina leków?! Dają mi pewnie ukradkiem coś psychoaktywnego, a potem...

Marek uśmiechnął się tylko zabójczo, kiedy usłyszał te moje marne protesty i lekko przysiadł na łóżku. Zaskrzypiało cichutko, a mnie znowu zalała fala gorąca. Niepewnie popatrzyłam to na niego, to na drzwi.

– A jak ktoś wejdzie? – zapytałam nieśmiało. I wtedy sprawa była już przegrana, bo on znowu błysnął swoimi idealnymi zębami.

– Nikt nie wejdzie. Ludwik jest na dole, a ja chcę cię przecież tylko przytulić. Po przyjacielsku. To nie będzie żaden dziki seks.

Cholera. Niedobrze...

Kolejny już raz podczas tej rozmowy zabrakło mi powietrza. Z nim i po przyjacielsku? To kompletnie do siebie nie pasowało.

– No nie rób takiej przerażonej miny! – Wybuchnął śmiechem i nie pytając mnie więcej o zdanie (widocznie doszedł do wniosku, że jest to bezcelowe, bo wstyd przyznać przed samą sobą, ale chciałam się do niego przytulić wcale nie mniej, niż on do mnie), powoli przeszedł do pozycji leżącej.

Przesunęłam się lekko co najmniej oszołomiona jego bliskością. Musiałam jednak przyznać, że całkiem przyjemnie było go czuć obok siebie. Gdyby tak jeszcze tylko można zamienić go teraz na mojego męża, to...

– Wygodnie ci? Nic cię nie boli? – zapytał z troską.

Mimowolnie uśmiechnęłam się, słysząc ten jego pełen empatii ton. Jego fizyczna bliskość sprawiła, że nie było nawet mowy o tym, żebym myślała o sobie i swoim stanie. W tej jednej chwili nie bolało mnie nic.

– Jest w porządku.

Marek przekręcił się na bok i uważnie zlustrował mnie wzrokiem. Spróbowałam też się do niego odwrócić, ale skończyło się to tylko grymasem bólu.

– Nie, nie – powiedział cicho, dotykając palcami mojego policzka. – Tak jest dobrze. Nie ruszaj się.

Pod wpływem tego dotyku poczułam, że mam wyjątkowo suche wargi. Marek wpatrywał się we mnie subtelnym wzrokiem i gładził lekko moją twarz.

– Z tej perspektywy wyglądasz jeszcze lepiej, wiesz? – zamruczał.

– Mimo tego, że jestem połamana? – Spróbowałam zażartować i w pełni nie stracić rozumu, ale kiedy czułam go przy sobie tak blisko, wcale nie było mi do śmiechu. Już dawno żaden facet, włącznie z moim mężem, nie patrzył na mnie w ten sposób, nie leżał tak ze mną i nie dotykał. Tak zmysłowo i subtelnie. Tak uspokajająco i lekko...

Na usta Marka wypłynął delikatny uśmiezek.

– Tak. Mimo tego, że jesteś połamana – wyszeptał i potarł kciukiem kącik moich ust.

– A może właśnie z tego powodu? – Przysunął twarz do mojej szyi.

Zamknęłam oczy. Było mi przy nim niesamowicie dobrze i chociaż dalekie to było od przyjacielskiego przytulenia, czułam się niezwykle swobodnie.

– Gdyby nic ci nie było, to pewnie zdołałabyś już uciec – zamruczał mi do ucha, owiewając przy tym moją skórę swoim ciepłym oddechem.

Trochę zakręciło mi się w głowie. Halo, halo! Czy jest gdzieś w pobliżu lekarz?

– Marek, ja... – Nie zdążyłam jednak powiedzieć nic więcej, bo jego usta bez uprzedzenia zaczęły wyciskać swoje piętno na mojej skórze z typową dla niego zachłannością.

Z trudem udało mi się nie przekręcić głowy w bok i nie zacząć odpowiadać na te pocałunki. Powinnam dziękować Bogu za ten cały wypadek, bo on jeden raczy wiedzieć, jak w innej sytuacji mogłoby się to skończyć!

– Marek, proszę cię! – Po najdłuższych kilku sekundach w moim życiu udało mi się w końcu odzyskać rezon. Złapałam jego dłoń i odsunęłam od siebie. Oczywiście przyszło mi to z trudem, ale się udało. Chociaż tylko i wyłącznie dzięki

elementarnemu poczuciu moralności.

Marek wyglądał na rozczarowanego.

– Proszę cię, nie dzisiaj – szepnęłam, patrząc mu prosto w oczy.

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, jak gdybym była co najmniej jakimś wielkiej wagi dziełem sztuki, ale w końcu zrozumiał. Oparł się na łokciu tuż obok mojej twarzy, a drugą dłonią odgarnął z niej niesforne pasma moich włosów.

– Masz rację. – Uśmiechnął się miękko.

Spojrzałam na niego pytająco, w odpowiedzi na co cicho się roześmiał.

– Na wszystko inne przyjdzie jeszcze czas. Teraz po prostu poleżę z tobą, żebyś nie czuła się samotna. Lepiej ci trochę?

Odetchnęłam z ulgą i też się do niego uśmiechnęłam. Sprawną ręką przejechałam po jego klatce piersiowej. Wyczułam przy tym każdy mięsień.

– Tak. O wiele lepiej.

Przez chwilę leżeliśmy tak razem i po prostu na siebie patrzyliśmy, co samo w sobie było bardzo przyjemne.

– W Jaszczurkach jest bez ciebie tak pusto, że nie mogłem się doczekać, kiedy znowu cię zobaczę. Przecież to dla mnie żadna przyjemność siedzieć w twoim domu ze świadomością, że nie natknę się na ciebie na korytarzu, kiedy będziesz przemykać do łazienki w skąpej bieliźnie – odezwał się w końcu, znowu gładząc mnie po policzku.

Zachichotałam. Udało mu się mnie rozbawić.

– W bieliźnie spotykam się z tobą tylko w salonie. I doskonale wiesz, że sypiam w ciepłej piżamce i grubych skarpetach. Zresztą... Po tym, jak oblewam się przez ciebie mlekiem, nie mam wyjścia, bo zbyt wiele koronkowych kompletów nie posiadam. To też wydaje ci się takie kuszące? – zapytałam. Niezbyt subtelnie nawiązałam do naszej nocnej rozmowy, podczas której zachowałam się niczym ostatnia sierota.

Tym razem to on się roześmiał i przesunął dłonią po mojej szyi.

– Oblewanie się mlekiem owszem. Mógłbym kiedyś pomóc ci się potem rozebrać.

– Jesteś paskudny! Dobrze wiesz, że to wbrew zasadom.

– Jakim zasadom?

– Jestem mężatką, pamiętasz o tym? Spóźniłeś się o dobrych kilka lat.

– I mówisz to, leżąc ze mną w jednym łóżku z twarzą nie dalej niż pięć centymetrów od mojej? W tej sytuacji nie brzmi to jakoś bardzo przekonująco – wyszeptał. Wciąż uporczywie wpatrywał się w moje oczy, a ton zmienił z żartobliwego na poważny.

Znowu oblała mnie fala gorąca. Miał rację. To nie było bezpieczne. Powinnam go stąd wyrzucić. I to natychmiast.

– Sam się tutaj wpakowałeś. Nie miałam szansy uciec – odpowiedziałam i zastygłam w bezruchu.

Z jego twarzy zniknęło rozbawienie. Przysunął się za to jeszcze bliżej. Rozgrzany oddech, który czułam na ustach, stał się jeszcze bardziej gorący.

– Nawet nie chciałaś uciekać – powiedział niemalże bezgłośnie, a potem na chwilę zawisł z twarzą nade mną i, ku mojej wielkiej uldze (a może raczej rozczarowaniu), uśmiechnął się lekko zamiast mnie pocałować i odsunął.

Przez chwilę nie byłam w stanie niczego powiedzieć.

– Powinienem chyba usiąść już na tym krześle. Za chwilę wróci twój mąż.

– Tak. To dobry pomysł. – Niechętnie pokiwałam głową. Nie wiem dlaczego, ale kiedy wspomniał o Ludwiku, momentalnie zrobiło mi się jakoś tak smutno.

Marek przesiadł się na krzesło i znowu zmierzył mnie wzrokiem.

– Co z tym facetem, który cię uratował? – zagadnął beznamiętnie.

Przez chwilę patrzyłam na niego bez słowa, aż w końcu przeniosłam wzrok na okno. Te zielone drzewa nadal nie napawały mnie optymizmem.

– Wyjdzie z tego – powiedziałam.

– To dobrze... Swoją drogą jakie to heroiczne. Rzucić się pod koła rozpędzonego samochodu, żeby uratować obcą kobietę. Nie każdego byłoby na coś takiego stać.

Nadal patrząc przez okno, nerwowo przełknęłam ślinę, co oczywiście nie umknęło jego uwadze.

– Coś nie tak?

– Nie. Jest dobrze. Po prostu on nie jest dla mnie kimś obcym... – zdążyłam tylko powiedzieć i złapać zaciekawione spojrzenie Marka, bo po sali rozległ się pełen energii głos Ludwika.

– Wróciłem! – ogłosił radośnie, po czym podszedł do łóżka. – Całkiem nieźle tutaj karmią. Najadłem się i to do syta. W dodatku za nieduże pieniądze! Wiesz, że za dwa obiady zapłaciłem tutaj tyle, co w mieście za jeden? Pyszne jedzenie, Zuzka. Pyszne!

Marek odchrząknął nerwowo. Wciąż patrzył mi prosto w oczy.

– Tak. To ja już chyba pójdę – mruknął. Wysilił się na sztuczny uśmiech i wstał, ustępując miejsca mojemu nieświadomemu niczego mężowi.

Ludwik zajął zwolnione krzesło.

– Poczekaj na korytarzu z Kasią, niedługo będziemy się zbierać – powiedział do Marka.

Posiedział ze mną jeszcze chwilę, upewnił się, że nie zamierzam tej nocy umierać i już go nie było.

Gdy zostałam w sali sama, zamknęłam oczy i spróbowałam zebrać myśli. Co ma w głowie kobieta, która w pewien sposób zdradza męża? Mętlik.

Z jednej strony nienawidziłam siebie. Było mi wstyd za to, czego dopuszczam się z Markiem, mimo że mam u boku Ludwika. Czułam do siebie wstręt i obrzydzenie, miałam ochotę wyć i rwać sobie włosy z głowy. Nie ma co się czarować. Kretynka ze mnie. Fatalna żona! Fakt, że Ludwik mnie zaniedbywał był przy tym, co robię, jak ziarnko grochu przy ośmiotysięcznej górze. Nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie. Chciałam zniknąć.

Z drugiej strony nie mogłam poradzić nic na irracjonalny pociąg do Marka. Gdy

tylko pojawiał się obok, czułam przyspieszone bicie serca, a mój rozum wariował. Ten mężczyzna budził we mnie jakieś dawno zapomniane instynkty. Kiedy lustrował mnie spojrzeniem, nie mogłam myśleć o nim w przyzwoity sposób. Do groma, jestem kobietą! Bardzo zaniedbywaną przez męża, który może i deklaruje, że mnie kocha, ale w żaden sposób tego nie udowadnia. Czy ja nie mam prawa do własnych potrzeb? Do bycia przytulaną, całowaną, a przede wszystkim do stania się obiektem czyichś fantazji i westchnień? Ludwik nie odróżnia mnie przecież od kanapy!

– Cóż... – westchnęłam ciężko. To wszystko okazało się dla mnie stanowczo zbyt trudne. Byłam zagubiona i nie umiałam powiedzieć, czego właściwie chcę. Na pewno nie zamierzałam zostawiać Ludwika i wycinać mu jakiegoś numeru ze skokiem w bok, co to, to nie. Ale Marek i te jego całuśne usta...

Jęknęłam boleśnie.

W tym momencie wiedziałam tylko jedno: łatwo jest przestać być ofiarą i stać się katem. Właśnie w ten sposób, zupełnie niespodziewanie, odwróciły się role w moim małżeństwie.

Rozdział 3

– Wiesz, mamusiu, babcia mi powiedziała, że jak umrzesz, to chyba będę musiał zamieszkać u nich, bo tata nie da sobie ze mną sam rady. I jeszcze chciała grzebać ci w szafie, żeby poszukać jakiejś sukienki, w której można by cię pochować, tylko ciocia Ania jej zabroniła. Ale dokąd ty się chcesz chować, mamusiu? Bo ja za bardzo tego nie rozumiem... – wygłosił swoje wątpliwości Marcel, kiedy siedział na moim szpitalnym łóżku.

Skonsternowanym wzrokiem popatrzyłam to na niego, to na stojącego obok Ludwika. No jak nic wypadałoby nagadać mojej mamusi, że czterolatek jest chyba stanowczo za mały na słuchanie jej bredni związanych z moim umieraniem. To, że ona ma obsesję na tym punkcie, nie znaczy, że może bezkarnie opowiadać dziecku o mojej śmierci. Bo ja przecież nie zamierzam umierać!

– Nie martw się, kochanie, babcia była zdenerwowana i w tych nerwach mówiła jakieś głupstwa. Przecież ja się nigdzie nie chowam. Jestem tutaj, a za parę dni wrócę do domku. Nie martw się. – Spojrzałam na dziecko uspokajająco.

– Tak, tak. Mama ma rację – przytaknął Ludwik i pogładził Marcela po włosach. – A może po prostu coś źle zrozumiałeś. Nikt tu nie będzie nikogo chował.

– Na pewno nie?

– Ależ oczywiście! A teraz schodź z tego łóżka i pobiegnij na korytarz dokończyć swoją kolorowankę. Za chwilę będziemy jechać, a wstyd, żeby została tutaj niedokończona – zaproponował, jak na pedagoga przystało.

Marcela do tego pomysłu nie trzeba było jakoś długo namawiać, bo natychmiast zeskoczył z łóżka i wybiegł z sali.

– Zabiję tę moją mamę. Poważnie. Jak nic po prostu ją zabiję. Ja wiem, że ona choruje i przez to wszyscy na wszystko jej pozwalają, ale żeby nastraszyć dziecko tekstami o moim umieraniu? Ludwik, błagam cię... Jak z tym czegoś nie zrobisz, to ja będę musiała. A ty nie dasz się ponieść emocjom i jej nie skrzywdzisz. Zresztą masz takie gadane, że potem na pewno się wybronisz. Ciebie nie wsadzą.

Ludwik roześmiał się głośno.

– Pogadam z nią, obiecuję. – Zerknął na mnie łaskawie.

– Dzięki. – Od razu zrobiło mi się lżej.

– A teraz powiedz mi – Ludwik przechylił głowę w bok – czy jeszcze czegoś potrzebujesz? Bo chyba będziemy się zbierać. Robi się już późno, Marek gdzieś wybył, a trzeba jeszcze pomóc Ani w gospodarstwie.

– Pewnie, rozumiem, jedźcie. Nie ma sensu, żebyście tutaj ze mną siedzieli. Czuję się już naprawdę dobrze. Poczytam coś, skoro w końcu mam na to czas.

– Pełne odpoczynku rozpoczęcie wakacji, nie ma co. – Ludwik zaśmiał się zadowolony ze swojego żartu, pocałował mnie w czoło i pogłaskał po policzku. – Odwiedzimy cię

jutro. Ania zresztą też.

– Tak, wiem. Dzwoniła dziś do mnie.

– No widzisz. Więc może teraz od nas odpocznij, bo jutro znowu nie damy ci żyć.

– Nigdy nie mam was dosyć.

– Och, tak się tylko mówi. – Potrząsnął głową. – Zawołam jeszcze małego, żeby się pożegnał – powiedział i wyszedł na korytarz. Patrzyłam przy tym na jego zwięzające się ku biodrom plecy.

Za chwilę wrócili do mnie oboje i Marcel natychmiast objął ramionami mój brzuch, bo ramion, ze względów technicznych, niestety nie mogł.

– Tata powiedział, że musimy jechać. Może wrócisz do domu razem z nami już dziś?

– zapytał smutno, przyciskając do mnie swoją małą główkę.

Zrobiło mi się go szkoda.

– Aż tak ci z tatą w domu źle? – Spróbowałam zażartować. – Przecież jest tam jeszcze Kasia.

– No. Trochę źle. Gdyby nie Kasia, to już w ogóle mielibyśmy sytuację. Dramatyczną.

Spojrzeliliśmy z Ludwikiem po sobie. Ciekawe, z jakiego filmu podchwycił ten tekst, bo Marcel był teraz na etapie wyciągania przypadkowych zdań z bajek czy filmów i używania ich w równie losowych momentach.

– Co masz na myśli? – pogłaskałam go po głowie.

– No wiesz, że nie miałbym co jeść, nikt by się mną nie zajmował i takie tam. I pewnie w ogóle zabraliby mnie do jakiegoś domu dziecka.

– Domu dziecka?! To jest aż tak źle?

– No! Babcia mi mówiła, że jakbyś umarła, to tata na pewno znalazłby sobie jakąś młodą cizię i...

– Cizię?! – O matko kochana! Moja matka używa takich słów przy dziecku?!

– No! Bo jak wczoraj chciałem coś wieczorem od taty, a on z wujkiem oglądali mecz, to ciągle mi mówił: idź do Kasi, poproś Kasię. I wtedy przyszła babcia i powiedziała, że tylko jakiejś kurtyzany w tym zadymionym salonie potrzeba, żeby tu tatuś urządził prawdziwą melinę. Ale chyba chciała powiedzieć, że brakuje kurtyny, żeby zasłonić ten dym, prawda? Bo ja nie wiem, co to jest kurtyzana.

– Tak synku. Babcia na pewno miała na myśli kurtynę...

– Sama więc widzisz, mamusiu. Sytuacja. Dramatyczna.

Popatrzyłam na Ludwika, złowrogo blednąc przy tym i czerwieniąc się na przemian. Wiem doskonale, że jest wspaniałym ojcem, ale co to, do choroby, ma być? Kumple i mecz stawiane ponad dziecko, kiedy mnie w domu nie ma raptem dwa dni?!

– Dobra, dobra. Koniec tej rozmowy – bąknął przestraszony Ludwik. Na pewno poczuł na sobie mój wzrok, łajdak jeden! – Chodź tu paplo. Musimy się zbierać – zwrócił się do Marcela, który niechętnie w końcu go posłuchał i zaczął szykować się do wyjścia.

– Kocham cię mamusiu. – Uściskał mnie na pożegnanie.

– Ja ciebie też syneczku. – Pogłaskałam go po policzku. – Ucałuj ode mnie Kasię, dobrze?

– Dobrze.

– A z tobą mój drogi – zwróciłam się do Ludwika. – To ja rozmówię się później. Więc lepiej uważaj na to, co robisz. – Wycelowałam w niego palcem.

Ludwik uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze wiesz, że on ma wybujałą wyobraźnię. Przyjedziemy jutro. Dobrej nocy. – Cmoknął mnie w czoło.

– Jutro to ja pewnie wrócę do domu już razem z wami, żeby mi dziecko z zaniedbania nie padło, tak samo, jak z zadymienia kwiaty w salonie! Nie wiem, co ja bym bez tej Kasi zrobiła, naprawdę nie wiem. A czy nie ty powtarzasz mi od lat, że rodzicielstwo nie jest wcale takie trudne!?

– A widzisz? Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przynajmniej dowiedzieliśmy się, jaka z Kasi dobra dziewczyna – zażartował Ludwik, kompletnie ignorując moje wzburzenie. Pomachali mi jeszcze oboje z Marcelem i wyszli.

Popatrzyłam przez okno. Nie miało sensu być na niego dłużej złą. Mimo że przyjazd Kasi ściągnął na naszą rodzinę sporą dawkę nieszczęść, to jednak nie mogłam mieć do niej żalu. Ludwik również tak myślał. Była tak kochaną i dobrą osobą, że sama chciałabym mieć w przyszłości taką córkę. Naprawdę! Tylko może męża wypadałoby zmienić. A może wcale nie, bo mógłby przecież trafić się gorszy?

I kiedy miałam zacząć czytać książkę, do mojej sali zajrzała szczupła pielęgniarka.

– Pytała mnie pani wcześniej, czy będzie mogła odwiedzić tego mężczyznę, którego razem z panią przywieźli z wypadku. Nie chciałam przeszkadzać, bo od rana byli u pani goście, ale zapytałam go i się zgodził. Jeśli tylko będzie pani miała ochotę, to proszę mówić. W razie czego zaprowadzę.

Spojrzałam na nią i pochyliłam się lekko do przodu. Książka nie zajac, może przecież poczekać.

– A czy mogłabym zobaczyć go już teraz?

– Oczywiście. Pomóc pani w czymś?

– Nie, nie. Dziękuję. To tylko ręka.

Wygramoliłam się z łóżka.

– To chodźmy. – Uśmiechnęłam się blado i podążyłam za pielęgniarką długim korytarzem.

– To tutaj – powiedziała, zatrzymując się przy jednych z białych drzwi. – Tylko proszę nie za długo, dobrze? Pacjent nie czuje się najlepiej.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Rozumiem. Obiecuję, że porozmawiam z nim tylko kilka minut i wrócę do siebie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się szeroko.

– Gdyby trafiali nam się tylko tak zdyscyplinowani pacjenci jak pani, to nasza praca od razu byłaby przyjemniejsza. Do zobaczenia na oddziale – rzuciła tylko, a potem

odwróciła się i ruszyła z powrotem.

Ja natomiast popatrzyłam na białe drzwi i odetchnęłam głęboko. Miałam mieszane uczucia. Nie dość, że nie wiedziałam, co począć z Ludwikiem i Markiem, to jeszcze za tymi drzwiami czekał na mnie nie tylko mężczyzna, który uratował mi życie. Czaiła się za nimi też konfrontacja z bolesną przeszłością. Trudno mi było określić, czy w tym momencie górę brała wdzięczność, czy jednak żal i niedomówienia. Kiedyś bardzo długo czekałam na ponowne spotkanie z Teodorem. Chciałam wyjaśnić fakt, dlaczego zostawił mnie zaraz po zaręczynach i snułam w głowie scenariusze tego wydarzenia. Siedziałam skulona, zalewając się łzami i tęskniłam za nim jak nigdy za nikim.

Ale teraz było inaczej, tamte czasy minęły. Dorosłam, miałam poukładane życie, a do niego nie czułam już nic. Pozostał chyba tylko sentyment.

A jednak przeszłość postanowiła o sobie przypomnieć. Znowu miałam mętlik w głowie. I chciałam tam wejść i nie chciałam. Bo po co rozgrzebywać to, co się kiedyś zdarzyło?

Tylko w tej sytuacji nie miałam raczej innego wyjścia.

No! Ale bez paniki, moja droga Zuzanno, bez paniki – postanowiłam wziąć się w garść. Skoro już tu jestem, to raz kozie śmierć. A że ja śmierć w pewnym sensie mam już za sobą (choć finalnie, jak wiecie, wcale nie umarłam), to trzeba było tam wejść. Do odważnych świat należy. Nie ma co zachowywać się jak głupia, strachliwa krowa. Chociaż trudno powiedzieć, czy krowy są strachliwe, bo, wstyd się przyznać, ale boję się ich i od obserwacji tego gatunku zawsze stroniłam.

Powoli pchnęłam więc białe drzwi i zajrzałam do pojedynczej sali, gdzie w szpitalnym łóżku leżał nie kto inny jak Teodor. Mimo że nie widziałam go przez bardzo długi czas, nagle ożyły we mnie wszystkie wspomnienia związane z młodością i jego osobą. Choć zmęźniał, a jego rysy twarzy stały się wyrazistsze, odniosłam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie. Nadal miał w sobie coś z chłopca, za którym kiedyś szalałam, więc od razu poczułam się o kilka lat młodsza. Może to przez te wielkie, otoczone ciemnymi rzęsami oczy, którym przyglądałam się kiedyś godzinami?

– Zuzanna? – zapytał Teodor, gdy zrobiłam kilka kroków do przodu i przymknęłam za sobą drzwi.

– Tak, to ja. – Uśmiechnęłam się niepewnie na dźwięk jego głosu i powoli podeszłam do szpitalnego łóżka. – Mogę? – Spojrzałam na stojące przy nim, bieluchne krzesło.

– Pewnie, proszę.

Odsunęłam je lekko i usiadłam. Na chwilę zapadła między nami cisza. Ku mojemu zaskoczeniu wcale jednak nie była niezręczna. Czułam na sobie wzrok Teodora. Przyglądał mi się tak samo uważnie, jak ja jemu. Oboje konfrontowaliśmy się z przeszłością.

– Jak się czujesz? – odezwała się pierwsza.

Teodor wciąż patrzył na mnie uważnie. Zalała mnie fala wspomnień. Jakie on miał piękne, wrażliwe oczy, pomyślałam. Nic się w nich nie zmieniło...

– To tylko tak źle wygląda. – Teodor wysilił się na uśmiech i zrobił niedługą pauzę. – Dobrze cię widzieć.

– Tak. Ciebie też. Chociaż gdyby nie ten twój heroiczny wyczyn, to pewnie nie mielibyśmy teraz tej przyjemności.

Nie odpowiedział.

– Na pewno wiesz, że przyszedłam ci za to podziękować – kontynuowałam więc, nie do końca pewnym głosem. – Nie mogę opisać tego, jak bardzo jestem ci wdzięczna i... – spuściłam wzrok.

– Zuzka, daj spokój, proszę – wpadł mi w słowo, zanim atmosfera między nami zdążyła się zrobić naprawdę funeralna.

Cały on. Nawet pomimo upływu czasu nie mogłam zapomnieć, że nie znosił gładzenia i bezsensownych monologów. Chociaż w moim odczuciu akurat ten monolog miał dość spory sens.

– Okej, wiem, że nie lubisz wzruszających mów, ale pomyśl też o tym, jak ja się czuję. Uratowałeś mi życie. Gdyby nie ty, to... Jestem twoją dłużniczką – powiedziałam więc tylko. Wiedziałam, że teraz raczej nie ma sensu wydobywać z siebie zbędnych słów. To nie pora na okazywanie wdzięczności, wyrażanie nadziei czy wylewanie zgromadzonego przez lata żalu.

– Nie powiedziałbym, że masz wobec mnie jakikolwiek dług. Raczej, że ja właśnie go wobec ciebie spłaciłem.

Wbiłam wzrok w swoje kapcie. Ludwik kupił mi jakieś różowe z misiami. Poczułam się przez to jak mała dziewczynka, którą usilnie nie chciałam teraz być.

– Nie ma już o czym mówić – mruknęłam.

Teodor przez chwilę się nie odzywał. Błądził myślami gdzieś po nieznanym mi torach.

– Nie powinienem był wtedy cię zostawiać... – zaczął po kilku minutach, ale tym razem to ja nie dałam mu skończyć.

– Nie musimy dziś o tym rozmawiać.

Popatrzył na mnie nie mniej zaskoczony tymi słowami ode mnie, a ja starałam się grać obojętną, chociaż aż się we mnie gotowało. Kurczę blade! Pewnie, że chciałam o tym rozmawiać. I pewnie, że dziś! Ale nie byłam na to emocjonalnie przygotowana, a życie nauczyło mnie, że na rzucanie się na głęboką wodę jest już trochę za późno. W moim wieku i mięśnie, i kondycja nie te. Tym bardziej, że mam dla kogo żyć i raczej nie powinnam się topić.

– Chciałbym ci to wszystko wytłumaczyć... Dlaczego wtedy zniknąłem bez słowa. Jestem ci to winien.

– To już nie ma dla mnie większego znaczenia. A przynajmniej nie teraz – powiedziałam twardo, jak na dorosłą, dojrzałą kobietę przystało, chociaż na usta cisnęło mi się zupełnie co innego. Jak już zdążyliście zauważyć, mój wiek wcale nie świadczył o tym, że byłam w jakikolwiek sposób dojrzała. Może tylko nieco starsza.

– Na pewno masz do mnie żal... – Teodor z uporem wracał jednak do przeszłości.

Na moment przymknęłam powieki. Co mu się tak nagle po latach zebrało na wyznania? Nie mógł zrobić tego wcześniej? Na przykład wtedy, kiedy zostawił mnie samą z pierścieniem na palcu?

Miałam o tym nie myśleć!

– Sam powiedziałaś przed chwilą, że teraz jesteśmy kwita – orzekłam stanowczo. Nie chciałam dać się wciągnąć w tę głupią dyskusję. Chociaż, jakby się tak nad tym głęboko zastanowić, to wcale nie czułam, żebyśmy dzięki jego poświęceniu wyszli na zero. Było 1:0 dla niego. Jednak życie to wartość nadrzędna. A jego zniknięcie...

– Mimo to czuję się winny... Ale dobrze, skoro nie chcesz o tym rozmawiać, to nie. Nie teraz.

Odetchnęłam z ulgą.

– Bądźmy po prostu znajomymi z młodości, dobrze? Zapomnijmy o wszystkim. To już naprawdę nie ma dla mnie znaczenia – kłamałam jak z nut.

Teodor patrzył na mnie przez chwilę, ale w końcu się uśmiechnął.

– A więc ile to już lat? Dziesięć?

I czterdzieści jeden dni, dopowiedziałam sobie w głowie, chociaż WCALE nie miało to dla mnie znaczenia.

– Tak. Kupę lat, co? – Na moje usta też wypłynął uśmiech.

– Aż trudno w to uwierzyć. Ty zawsze potrafiłaś sprawić, że czułem, jakby nigdy nie było między naszymi spotkaniami żadnej przerwy. Teraz też tak jest. Mimo tego szmatu czasu.

Wokół mojego gardła zacisnęła się pełna emocji i żalu nić. To chyba znowu przez te leki, które mi podają. Byłam przez nie stanowczo za bardzo rozchwiana emocjonalnie. Jak nic czymś mnie tutaj trują! Ach, ta polska służba zdrowia...

Na szczęście przed atakiem płaczu i sentymentalnych wspomnień uratowała mnie pojawiająca się w sali pielęgniarka.

– Przepraszam bardzo, ale koniec odwiedzin. Musimy zabrać pana na badania. Przykro mi. – Spojrzała na mnie łagodnie.

– Tak, tak. Nie ma problemu. – Potrząsnęłam głową i natychmiast zerwałam się z krzesła. Przewróciło się do tyłu z głośnym hukiem. – Zasiedziałam się. Pójdę już. – Nerwowo ruszyłam w stronę drzwi.

– Zuzka? – rzucił za mną jeszcze Teodor.

Automatycznie odwróciłam się na dźwięk jego głosu.

– Zajrzysz do mnie jutro?

To chyba nie był dobry pomysł, zdążyłam tylko pomyśleć, bo przy odwracaniu zapomniałam się zatrzymać i z głową odwróconą do tyłu z impetem weszłam w ścianę.

– O matko kochana, nic się pani nie stało?! – Natychmiast rzuciła się do mnie pielęgniarka.

Od mojej połamanej ręki rozeszła się fala bólu. Jednak jak na twardzielkę przystało,

zignorowałam to, mocno zaciskając zęby i roztarłam czoło. Pewnie nabiłam sobie guza! Jakby wypadków było mi mało...

– Nie, nie. Jest w porządku. – Uspokajająco ścisnęłam rękę pielęgniarki.

– Na pewno? – Popatrzyła na mnie nieufnie, myśląc na pewno, że jestem jakąś pozał się Boże sierotą!

– Tak. Pójdę już – rzuciłam i ruszyłam korytarzem w stronę schodów, którymi wcześniej sprowadziła mnie na dół inna pielęgniarka. Jak to jednak na „pozał się Boże sierotę” przystało, wracając do siebie, pomyliłam piętra i trafiłam na oddział psychiatryczny, co uświadomiła mi dopiero jakaś upiorna kobietka klęcząca przede mną i krzycząca, że oto przyszedł jej Mesjasz.

– Pani Justynko, ależ co pani robi! – Natychmiast odciągnął ją ode mnie przypominający troglodytę pielęgniarski. – Mesjasz czeka na panią w sali. Sama mi pani o tym dziś rano opowiadała.

– Znowu miałam objawienie! On znowu do mnie mówił!

– Spokojnie, pani Justynko, spokojnie. – Pielęgniarski ujął ją pod ramię i pomógł wstać.

Powiodłam dookoła przestraszonym wzrokiem i czym prędzej stamtąd uciekłam.

Chociaż czy ja wiem, czy z tym oddziałem psychiatrycznym to była przypadkowa pomyłka? Freud miałby pewnie tutaj wiele do powiedzenia. Z moimi ostatnimi problemami w relacjach damsko-męskich to ja już dawno powinnam sfiksować Zagubiony w rzeczywistości, wiecznie nieobecny mąż, ociekający seksem wuefista i jeszcze Teodor, zaginiony narzeczony na dokładkę. Gdyby tak można było połączyć ich w jedno...

A do tego umierająca mamusia i furiatka sklepowa czyhająca na moje życie! Może ja jednak powinnam na tym oddziale psychiatrycznym zostać, co? Może byłabym wtedy bezpieczniejsza niż w domu?

Rozdział 4

– Boże kochany, dziecko! – Mamusia siedziała zapłakana na krześle przy szpitalnym łóżku i z furią dopadła mojej dłoni. Przycisnęła ją sobie do twarzy, jakbym była co najmniej obłożnie chora. Albo od razu umierająca. – Takie nieszczęście, takie nieszczęście! Ja tu od zmysłów odchodzę, co to teraz z nami wszystkimi będzie! – lamentowała.

Obie z Anką popatrzyłyśmy na nią z niedowierzaniem. Czy mamusia musiała odstawiać takie przedstawienie? Jakbyśmy mieli sytuację dramatyczną, cytując Marcela.

A jeśli ktoś teraz wejdzie do sali? Wstyd byłby na całą okolicę!

– Ale jakie nieszczęście, mamo? Zuzka ma się już przecież naprawdę dobrze – pierwsza odezwała się moja siostra.

– Dobrze? Dobrze?! Anka, na litość boską! – Mamusia rozplakała się jeszcze bardziej. – Popatrz na nią tylko! Błada, słaba. Całe życie z niej uszło, całe! A z nosa to już jej chyba krew odpływa... – Pochyliła głowę, by przyjrzeć mi się lepiej. – Czy ty nie widzisz, że zagipsowana tutaj leży jak jakaś mumia? Już ją do pochówku szykują. I to żywcem! Biedne dziecko, biedne dziecko... Takie nieszczęście.

– Ale mamo, co ty bredzisz? Przecież lekarze mówili, że Zuzannie siły wracają i jutro, góra pojutrze, już ją wypuszczą do domu. Nie dramatyzuj, bardzo cię proszę.

– Tym konowałam to nie ma co wierzyć. Oni zawsze tak mówią, a potem bum! Odchodzi człowiek z tego świata i to bez ostatniego namaszczenia, bo nieprzygotowany!

– Jakiego ostatniego namaszczenia, mamo? – Tym razem to ja nie wytrzymałam i o mały włos nie parsknęłam śmiechem.

– Nie martw się, kochanie, nie martw. Ja już z księdzem rozmawiałam i on wszystkim się zajmie. Obiecał cię odwiedzić. Pogrzeb też ci urządzimy najpiękniejszy, jaki się da. Miejsce na cmentarzu dostaniemy po promocyjnej cenie, bo ja dla siebie od razu też wezmę, to nie musisz się martwić o finanse... – Mama łkała i wpadała w swoją pokazową histerię.

Anka wywróciła oczami.

– Niepotrzebnie ją tutaj przywoziłam – szepnęła niemalże bezgłośnie, kiedy mamusia leżała na mojej dłoni, omdlewając z rozpacz. – Jak dobrze, że już jutro wychodzisz!

Zachichotałam pod nosem na widok miny siostry i zabrałam mamie rękę, żeby pogłaskać ją po głowie.

– Nie martw się, mamusiu, ja naprawdę mam się coraz lepiej. Dziękuję, że myślisz o moim pochówku już teraz, ale wydaje mi się, że jeszcze trochę będziesz się musiała ze mną pomęczyć.

Mama niechętnie podniosła na mnie wzrok i pociągnęła nosem.

– O mój Boże! – Zaszlochała przeraźliwie.

– Co się stało?! – wykrzyknęłyśmy obie z Anką. Przeszło mi przez myśl, że może mamusia ma jakiś spadek cukru albo co gorsza zawał serca.

– To zawsze tak jest, Zuzka! Jak siły wracają, to wcale nie jest dobrze. Potem nagle dostajesz ataku słabości i bach! Po tobie. – Mama zrobiła dramatyczną przerwę. – Moje dziecko najukochańsze, moja mała córeczka... Do czego to doszło, żebym ja swoje dziecko przeżyła...

– A może Zuzka po prostu zdrowieje? – Ania aż kipiała ze złości.

– Jakie tam zdrowieje?! Co ty wiesz o chorowaniu, dziecko kochane. Ja już tyle razy się ze śmiercią spotkałam, że wiem, co mówię, oj wiem. – Mama nawet na nią nie spojrzała i zapłakała wyjątkowo głośno. – Na stare lata taka mnie spotkała tragedia!

Anka szykowała się do jakiegoś komentarza, ale na szczęście zdążyłam odezwać się jako pierwsza i tym samym zapobiegłam katastrofie. Te dwie kłóciły się naprawdę często, co mama potem zawsze odchorowywała, a objawiało się to spadkiem cukru i trzeba było wzywać pogotowie. Choć tu przynajmniej lekarz byłby na miejscu...

– Wie mama co? Może mama poszłaby lepiej do leżącej dwie sale dalej pani Tereski Zielińskiej? Podobno miała stan przedzawałowy, a nikt jej tutaj nie odwiedza.

Mama natychmiast uniosła głowę.

– Tereska?

– Aha. Sama leży biedaczka. Słyszałam o tym od pielęgniarki.

– A... No to pewnie, że pójdę, Zuzanno, pewnie. W ostatnich chwilach trzeba sobie przecież pomagać. – Pociągnęła nosem i ocierając łzy, powoli wstała z krzesła, a potem ruszyła do drzwi i zniknęła na korytarzu.

Ania natomiast złapała się za głowę i ciężko opadła na krzesło.

– Nie wytrzymam z nią niedługo. Jak Boga kocham, nie wytrzymam!

Roześmiałam się głośno, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

– Nie martw się. Jutro już wychodzę, to jej przejdzie. – Spróbowałam uspokoić siostrę.

– Wierzysz w to? – Anka z powątpiewaniem zamrugła powiekami. – Jak nie o twojej śmierci, to będzie rozprawiać o swojej. Ja mam teraz za dużo problemów na głowie, żeby zajmować się jeszcze dramataми mamuśki!

Popatrzyłam na siostrę i przestałam się śmiać.

– Jakich problemów?

– Szkoda gadać...

– Jak u Jurka? Jak mu się wiedzie w tej Szwecji?

– W Szwecji dobrze, nie narzeka. Z niecierpliwością czeka na pierwszą wypłatę. – Anka wygładziła dłonią swoją sukienkę. Jej mąż wyjechał jakiś czas temu do pracy za granicę. – Z gospodarstwem też okej. Marek z Ludwikiem dużo mi pomagają, więc dają radę.

– No to o co chodzi? Coś z dzieckiem? – zapytałam zaniepokojona, bo Anka jakiś czas

temu ogłosiła mi, że jest w ciąży.

Ona jednak westchnęła głośno i spuściła wzrok. Nie wyglądała dobrze. Dopiero teraz dostrzegłam jej sińce pod oczami.

– Nie, nie. Chociaż to jest właściwie z ciążą związane...

Tym razem poruszyłam się niespokojnie.

– Ania, do choroby! Powiedz mi, o co chodzi, to może będę umiała ci pomóc, a nie robisz z tego jakąś tajemnicę!

Anka znowu głęboko nabrała powietrza.

– Pamiętasz ten dom za sklepem w sąsiedniej wsi, który przepisał na Jurka jego ojciec, a który wynajmujemy teraz jakiemuś pijaczynie? – zaczęła.

Pokiwałam głową.

– Tak. Temu, co rozebrał wam cały drewniany ganek i spalił deski w piecu, bo nie miał na węgiel. Pamiętam. Znowu odcięli mu prąd?

– Nie, nie. Odkąd drugi raz byłam w elektrowni ubłagać urzędników, żeby mu go przywrócili, a pijaczynie zagroziłam, że jak jeszcze raz nie zapłaci rachunków, to go wyrzucę, jest dobrze.

– No to o co chodzi?

– Widzisz, Zuzka... Jakiś czas temu wprowadziła się do niego Pani Dla Wszystkich.

Zrobiłam wielkie oczy. Może się przestyszałam?

– Kto?!

– No mówię, że Pani Dla Wszystkich. Taka wiejska prostytutka, jak zwał, tak zwał. Na jedno wychodzi.

– Pijaczyna zrobił ci z domu po teściach dom publiczny?!

– No... Ale to, to jeszcze palicho! Mały problem. Dwa dni temu Pani Dla Wszystkich przybiegła do sklepowej, cała czerwona na twarzy. Łapała się za brzuch i zaczęła krzyczeć, że się zatrucha, trzeba dzwonić po pogotowie, bo tak ją boli, że zaraz umrze.

– Matko kochana! A co jej się stało?

– Sklepowa popatrzyła na nią swoim wprawnym okiem i od razu zrozumiała, że to nie żadne zatrucie, jak usilnie wmawiała jej Pani Dla Wszystkich, ale że ona najzwyczajniej w świecie jest w ciąży i zaczęła rodzić!

– Co?!

– No to co słyszysz, Zuzka. – Anka spojrzała na mnie z ukosa. – Ale to nie jest wcale w tym wszystkim najgorsze.

– Nie?! – znowu mi się wyrwało. – A to może być gorzej?!

– No pewnie! Bo ja, chcąc zrobić dobry uczynek, zajrzałam do niej po tym całym porodzie na oddział wyżej, a ona zagroziła mi, że jak wyjdzie, to się do mnie sprowadzi.

– Do ciebie?! Z jakiej racji do ciebie?! – Nie mogłam ukryć wzburzenia.

– Tam rzekomo nie ma warunków dla dziecka. Zimno, ciemno i pół metra gołębich odchodów. Ja się z nią zgadzam, oczywiście, ale to chyba nie jest moja wina! Ja tylko

tę rudere wynajmuję pijacynie... No i nie wiem, co ja zrobię, Zuzka. Drugą noc nie mogłam przez to spać, bo się boję, że jak ona wyjdzie z tej porodówki, to naprawdę mi się do domu sprowadzi. Rozmawiałam z pielęgniarkami, żeby potrzyimali ją na oddziale trochę dłużej, ale to się kiedyś skończy... A co ja wtedy zrobię? Wyrzucę ją z dzieckiem na bruk? Chyba nie miałabym serca...

– Tobie to się jakoś zawsze obrywa za tę twoją dobroczynność! Chcesz dobrze, a potem wychodzą z tego różne nieszczęścia. I jak to nie masz serca? Nie przyjmiesz żadnej Pani Dla Wszystkich pod swój dach i już. Po moim trupie – powiedziałam stanowczo.

– Ale Zuzka...

– Anka, do cholery. Czy ty na głowę upadłaś? Mało masz swoich problemów?! Chcesz sobie brać ich jeszcze więcej?!

– No niby nie...

– No to przestań mi się tutaj zamartwiać. Już ja coś wymyślę, zobaczysz.

Ania popatrzyła na mnie z wdzięcznością.

– Wymyślisz?

– No pewnie, że tak – niemal krzyknęłam, chcąc jej dodać otuchy. – A teraz przestań się tym zadręczać i zacznij mnie pocieszać w chorobie. Bo widzę, że w tej rodzinie to ja stanowią źródło wsparcia, nawet kiedy jestem ofiarą.

Ania roześmiała się głośno.

– Oj Zuzka, Zuzka. Bo ty po prostu jesteś naszą rodzinną twardzielką. – Ścisnęła moją dłoń. – No, ale dobrze. – Rozpromieniła się w końcu. – To co u ciebie? Rozwiązałaś zagadkę tych tajemniczych kwiatów, która ostatnio tak zaprzętała ci głowę?

Popatrzyłam na nią wdzięczna, że zmienia temat.

– Nie – przyznałam zgodnie z prawdą. Do tej pory nie wiem, kto wysłał mi przepiękny bukiet róż i to w dodatku wtedy, kiedy po kilku dniach wysyłania ich samej sobie (tak, tak, żeby odzyskać uwagę męża i wzbudzić w nim zazdrość, co finalnie na nic się zdało) przestałam to robić.

– Ciekawa sprawa, nie? – Anka pochyliła się do mnie konspiracyjnie. – Wyznam ci, że mnie też to nurtuje. I tak sobie myślałam później, wiesz, że to mógł być Teodor.

– Teodor?! Z jakiej racji miałby wysłać mi kwiaty? I to po tylu latach ciągłej nieobecności. Nie wydaje mi się – zakwestionowałam ten pomysł.

– Ale pomyśl, Zuzka... Skoro nikt inny nie przychodzi nam do głowy, a on miał cię za co przeprosić, to nie wydaje ci się to logiczne?

Przez chwilę w milczeniu trawiłam jej słowa.

– Nie do końca – mruknęłam.

– Dlaczego? – Anka zmarszczyła nos.

– Bo znam Teodora i wiem, że nie załatwiłby czegoś o tak wielkiej wadze bukietem kwiatów.

– Nie widziałaś go przez dziesięć lat, więc co ty o nim wiesz. Ludzie się zmieniają. Może chciał, żeby były wstępem do przeprosin?

Spojrzałam za okno na poruszającą się wraz z wiatrem bujną zieleń. To, co wymyśliła moja siostra, naprawdę nie pasowało mi do Teodora.

– No, ale powiedz, co z nim? Widzieliście się? – Głos Anki oderwał mnie od przemyśleń.

– Tak. – Natychmiast przeniosłam na nią wzrok. – Wczoraj. Zamieniliśmy kilka słów.

– I jak było?

– Jeny Ania... No a jak miało być? Jak to z Teodorem. Jakbyśmy znali się na wylot i to od lat.

– A więc nie było niezręcznie?

– Nie. Raczej wręcz przeciwnie.

Ania z zaciekawieniem jeszcze bardziej pochyliła się do przodu.

– I co? Powiedział ci, dlaczego wtedy tak nagle zniknął? – zaczęła dopytywać. – Wyjaśniliście sobie wszystko?

Wzruszyłam ramionami. A raczej jednym ramieniem, bo drugie nadal bolało mnie po wypadku. Utrudniał ten ruch także założony na rękę gips.

– Nie – odpowiedziałam.

– Nie?! – Anka popatrzyła na mnie jak na wariatkę. – Jak to nie?!

– Po prostu. Chciał mi powiedzieć, ale nie byłam zainteresowana jego wytłumaczeniami.

– Matko kochana, Zuzka! Jak to nie byłaś, skoro przez dziesięć lat usilnie chciałaś się tego dowiedzieć? – To, co powiedziałam, nie mogło pomieścić się jej w głowie.

– Nie wiem. Po prostu zmieniłam zdanie. Te jego wyjaśnienia już nie mają znaczenia. A na pewno nie chcę słuchać ich teraz. Nie jestem przygotowana psychicznie na konfrontowanie się z przeszłością.

– Nie?

– Nie. – Spojrzałam na nią twardo. – Mam już poukładane życie – skłamałam. – I ani myślę rozdrapywać stare rany. Nie mam do tego głowy i po prostu nie chcę. Zwłaszcza teraz. To dla mnie już zamknięty temat. A przynajmniej tak czuję w tej chwili.

– Jeszcze jakiś czas temu mówiłaś zupełnie inaczej.

– Bo jakiś czas temu Teodor nie rzucił się bohatercko pod koła samochodu, żeby mnie uratować.

Ania zrobiła zadumaną minę.

– Cóż... To ma sens... – mruknęła. – No ale co z wami dalej będzie?

Znowu wzruszyłam ramieniem. Może to jakiś mój nowy, nerwowy tik?

– Nie wiem, a co ma być? Będziemy się kumplować. I tyle.

– Po tym wszystkim, co ci zrobił? – Ania nie mogła ukryć zdziwienia. – Po tej waszej burzliwej miłości?

Znowu popatrzyłam na zieleń, która nadal nie działała na mnie uspokajająco.

Chociaż... Kto wie?

– Minęło dużo czasu. Rany się zagoiły, oboje się zmieniliśmy. Nie żyję już tamtymi wydarzeniami. Nie obchodzi mnie to, że odszedł bez wyjaśnienia i zniknął na dziesięć lat. Miał do tego prawo.

Anka popatrzyła na mnie i zrobiła wielkie oczy.

– Albo nagle dojrzałaś, Zuzka, albo dają ci ukradkiem coś psychotropowego i dlatego gadasz od rzeczy.

– A wiesz, że jakiś czas temu mi też przyszło to do głowy?

Obie zarechotałyśmy głośno.

– Cieszę się, że nic ci nie jest siostrzyczko. – Anka opanowała się pierwsza. – Może rzeczywiście uda się wam stworzyć z Teodorem jakąś fajną relację. Nadal uważam, że to on wysłał ci te kwiaty. Pewnie ciągle jest w tobie zakochany. Taka miłość jak wasza nigdy nie mija. A przynajmniej tak piszą w książkach.

– Dzięki, ale nie sądzę. – Uśmiechnęłam się do niej ciepło. Jej obecność mimo piętrzących się problemów bardzo często działała na mnie kojąco i tak było też teraz. – A ja mam nadzieję, że do ciebie nie sprowadzi się żadna Pani Dla Wszystkich i nic nie będziemy musiały wymyślać. Wystarczy na razie w tej rodzinie małych dzieci – powiedziałam dokładnie w momencie, w którym wróciła do nas zdecydowanie mniej zapłakana mama.

– Będziemy się chyba zbierać córeczko – oznajmiła słabiutkim głosem. – Dostyc już mam tej... umieralni.

Ania popatrzyła na mnie, kręcąc głową i przymknęła oczy. Wcale nie dziwię się, że przez mamę tak często wpadała w furję. Obcując z nią w kółko i w kółko, to nawet anioł straciłby swoją cierpliwość, a co dopiero chwilowo samotna matka trójki dzieci!

– Tak mam, masz rację. – Anka powoli wstała z krzesła i ucałowała mnie w oba policzki. – Do zobaczenia jutro w domu, Zuzka. Zrobię dla ciebie jakiś dobry obiadek.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

– Kasia już zapowiedziała, że coś upichci, więc nie musisz się kłopotać. Wpadnij do mnie po prostu z dziećmi. Szczególnie z małą Zośką. Wiesz, jak ją uwielbiam. I naprawdę bardzo się za nią stęskniłam. Kilka dni rozłąki z tym maluchem to o wiele za dużo.

– Wiem, wiem. Na pewno przyjdziemy. Jeszcze będziesz miała nas dość – stwierdziła ze śmiechem. – A teraz zdrowiej szybciej. Do jutra!

– Tylko nie idź w stronę światła, kochanie... – dorzuciła na odchodne swoje kilka groszy mamusia, w wyniku czego ja znowu wybuchnęłam śmiechem, a w Ani o mały włos się nie zagotowało.

Kiedy już wyszły, przez moją głowę przemknęła bardzo ciekawa myśl: Och, jak ja kocham te moje dwie udane kobietki!

Rozdział 5

W dzień powrotu do domu najpierw odpowiedziałam na złożone pytania dociekliwych policjantów, a potem zająrzałam do Teodora, który właśnie spał. Kiedy zobaczyłam jego odprężoną twarz, stwierdziłam, że nie ma sensu go budzić. Właściwie, to chyba całkiem dobrze się złożyło, bo nie do końca wiedziałam, o czym mielibyśmy porozmawiać. Chociaż atmosfera między nami została w pewien sposób oczyszczona, to nie czułam do niego zbyt wielu ciepłych emocji. A może raczej przekonywałam siebie, że ich nie czuję. Albo że nie mogę i nie powinnam ich czuć.

Wróciłam do sali (tym razem bez większych problemów), spakowałam się szybciotko, a potem zatraciłam w oczekiwaniu na Ludwika i patrzeniu przez okno. Mój ślubny zjawił się punktualnie o drugiej, tak jak obiecał. Bez zbędnego gadania zabrał moje bagaże do samochodu. Pożegnaliśmy się też z pielęgniarkami i wróciliśmy do domu. A w domu, jak to w domu, czekał na nas prawdziwy rozgardiasz, za którym przez ostatnie dni tak bardzo tęskniłam!

Nie dość, że liczba wytworzonych przez moich domowników decybeli znacznie przekraczała dopuszczalną normę, między innymi przez dzikie piski oblanego zupą Marcela, który za nic w świecie nie chciał Kasi dać się przebrać, to cała kuchnia pływała w owej zupie, a w środku tego tymczasowego bajorka, na garnku wywróconym do góry dnem, siedział nasz pies rasy yorkshire, Sara. Pobjowisko próbował uprzątnąć mopem wyrosnięty chłopak Kasi, przez którego po części leżałam w szpitalu. Sprzątanie wychodziło mu dość nieporadnie, jak to w takich sytuacjach bywa, gdy jest się mężczyzną.

– Marcel, na litość boską! Musisz dać mi się przebrać, bo jak mama wróci i zobaczy cię takiego brudnego, to obojgu nam głowy pourywa! – Kasia klęczała przed moim opornym synkiem, który wył teraz wniebogłosy.

– Ale to jest moja ulubiona bluzka! Ze Scoobym!

– Na pewno masz kilka takich ulubionych. Daj, tę wrzucimy do prania, a nowej poszukamy.

– Kasia, gdzie mam wyrznąć tego mopa, bo już nie chłonie! – Zdezorientowany Tomek popatrzył pytająco na Kasię.

– Wyrznąć to ty możesz komuś w łeb. Mopa to jedynie wyjąć, Tomeczku. Najlepiej we wiadrze.

– Ja nie chcę się rozbieraaaaać! – jeszcze głośniejszym głosem powiedział Marcel.

– Auu! – wyjął, dał o sobie znać także siedzący na garnku z jedną łapką w górze pies.

Posłaliśmy sobie z Ludwikiem rozbawione spojrzenia. Mimo że po tylu latach obcowania z dziećmi i młodzieżą wyczuwaliśmy po kościach, że obowiązek sprzątania tego dramatu i tak finalnie spadnie na nas, ten obrazek wyglądał po prostu

komicznie. Dwoje młodych ludzi, którzy stworzyli wokół siebie chaos, nie mogli dać sobie rady z małym dzieckiem, a na dokładkę jeszcze wyjący pies. Czy nie przypomina wam to czegoś? Tak, tak. Idealny archetyp współczesnej rodziny!

– Wiadro jest w łazience – odezwał się w końcu Ludwik. Najwidoczniej nie mógł już patrzeć na nieporadne poczynania tej trójki.

– A druga bluzka ze Scoobym powinna być wyprana – zawtórowałam mu, nie kryjąc rozbawienia.

Kasia z Tomkiem zastygli w bezruchu. Natychmiast oderwali się od swoich czynności i popatrzyli na nas przestraszonymi oczami. Marcel przestał się drzeć i rzucił się do mnie, po czym objął mnie lepkiemi od zupy rękami, a pies zeskoczył z garnka i nie zważając na rozlaną dookoła ciecz, przydreptał do nas i zaczął machać ogonem.

– Nie mieliście przyjechać trochę później? – pierwsza otrząsnęła się Kasia.

Razem z Ludwikiem zaśmialiśmy się głośno.

– Mieliśmy, ale z tego, co widzę, to trafiliśmy idealnie. – Popatrzyłam na jej zakłopotaną minę, sprawną ręką głaszcząc Marcela.

– My tutaj wszystko zaraz posprzątam, słowo. – Kasia niespokojnie przestępowała z nogi na nogę. – Po prostu chciałam przestawić garnek z zupą na blat, niechcący nadepnęłam Sarze na łapę, poleciałam do tyłu, zupa na podłogę i Marcela...

– Kasia, daj spokój. Takie rzeczy się zdarzają, czasami nawet notorycznie. Nie musicie się tym aż tak bardzo przejmować. – Wyrozumiale popatrzyłam to na nią, to na Tomka, a potem przeniosłam wzrok na Ludwika. – Pójdę przebrać małego, a ty pomóż im z tą podłogą. Jak wrócę, to zajmę się jakimś obiadem na szybko.

– Nie trzeba! Jest jeszcze pieczeń w piekarniku! – uprzedziła mnie Kasia.

Uśmiechnęłam się, tym razem pod nosem, a potem wzięłam małego za rękę i poprowadziłam w stronę schodów.

– Cieszę się, że już wróciłaś, mamusiu. Przynajmniej w domu będzie cicho i czysto. – Synek uścisnął moją dłoń.

Spojrzałam na niego i odetchnęłam głęboko.

– Tak, ja też się cieszę, że już wróciłam... – jęknęłam, chociaż nadal chciało mi się śmiać. Szybko przebrałam mu tę bluzkę i zesłam na dół, żeby zobaczyć, jak mojej ulubionej załodze idzie sprzątanie kuchni. Niestety, nie od razu do niej dotarłam, bo gdy tylko zesłam ze schodów, rozdzwonił się dzwonek do drzwi.

– Otworzę! – krzyknęłam w stronę kuchni, a potem przekręciłam klucz w drzwiach i pchnęłam je do przodu. Spodziewałam się Anki z dziećmi, mamusi lub Marka, jednak to, co zobaczyłam za nimi naprawdę mnie zaskoczyło. Miałam bowiem przed sobą grubawego facecika od stóp do głów ubranego na czarno. W ręce trzymał jakąś czarną skrzynkę, a może futerał. Obok niego stał drugi mężczyzna, o wiele młodszy i wychudzony, który wpatrywał się we mnie i zawzięcie żuł gumę. Jakby tego było mało, towarzyszyła im urocza, blondwłosa kobietka, której twarz na pierwszy rzut

oka wydała mi się znajoma. Tylko skąd mogłabym ją znać?

– Przepraszam... – bąknęłam, niepewnie obrzucając ich wzrokiem. – A państwo do kogo?

Trzy pary oczu uważnie mi się przyjrzały.

– To chyba ona, nie? – stwierdził Młodzik, uparcie przeżuwając gumę z otwartymi ustami. – Pokaż to zdjęcie, co wydrukowałem z neta, bo na takich zadupiach to nigdy nie wiadomo, czy dobrze się trafi – zwrócił się do Czarnego. Ten przez chwilę grzebał w kieszeni, z której wyciągnął w końcu złożone na pół zdjęcie.

Młodzik wyrwał mu je niemalże natychmiast i uniósł na wysokość mojej twarzy. Razem z Blondynką patrzyli to na nie, to na mnie. Mieli przy tym wyjątkowo zamyślane miny.

– Tak, to chyba ona. – Blondynka po chwili zadumy przerwała tę pełną mojego zdumienia ciszę. Nadal nie mogłam uzmysłwić sobie, skąd ją znam albo chociaż dlaczego wydaje mi się tak bardzo znajoma.

– To mam kręcić ten moment zaskoczenia? – odezwał się Czarny i uniósł swój pakunek trochę wyżej.

Młodzik pokręcił głową.

– Nie, no gdzie. To w ogóle nie pasuje do mojej koncepcji.

– Jakiej koncepcji?! – wyrwało mi się w końcu, bo nic nie rozumiałam.

Młodzik znowu mlasnął kilka razy.

– No filmu, nie? – Spojrzał na mnie jak na idiotkę.

Jeszcze raz obrzuciłam całą trójkę wzrokiem.

– Ale jakiego filmu... – szepnęłam przerażona.

– Idioci! Nawet jej się nie przedstawiliście! Z takim początkiem to na pewno się nie zgodzi! – fuknęła Blondynka, a potem zrobiła krok do przodu i nie pytając mnie o zdanie, złapała moją dłoń i mocno nią potrząsnęła. – Joanna Kaczorek, z *Twój problem, nasza sprawa*, a to są moi filmowcy.

– Przepraszam, bo ja za bardzo nie rozumiem... – Popatrzyłam na nią z przerażeniem.

– Sorry, sorry! Ja tu jestem reżyserem! – obruszył się z kolei Młodzik i kilka razy przeżuł gumę, jednak Blondynka zupełnie go zignorowała.

– Kojarzy pani z telewizji nasz program? – zapytała.

Pokiwałam głową. Dopiero teraz dotarło do mnie, skąd ją znam. Z telewizora!

– No właśnie. – Joanna Kaczorek rozpogodziła się jeszcze bardziej. – Przyjechaliśmy nakręcić o pani jeden odcinek programu.

Że co proszę? O mnie?! Ale z jakiej racji?! I po co? Trochę zakręciło mi się w głowie od tej wiadomości.

– Jeśli oczywiście się pani zgodzi. – Joanna uśmiechnęła się szeroko i cała ekipa znowu przyjrzała mi się badawczo.

– Ja... – bąknęłam niepewnie i wbiłam wzrok w próg.

– No to jak będzie? – Młodzik ponownie przeżuł gumę. – Nie chcemy tu stać do jutra. Odchrząknęłam.

– Coś nie tak? – Z opresji wyratował mnie dopiero pojawiający się u mojego boku, ubrany w kraciaste spodenki Ludwik. – Co to za ludzie? – zapytał, zerkając na filmowców.

Joanna pierwsza wyrwała się do uściśnięcia jego ręki.

– Joanna Kaczorek z *Twój problem, nasza sprawa*. Przyjechaliśmy zrobić odcinek o pana żonie. Bo to ta, którą z rozmachem chciała przejechać szalejąca za kółkiem sklepowa, prawda?

Na twarzy Ludwika odmalowała się nie mniejsza od mojej konsternacja.

– Tak, to ta – mruknął automatycznie. – Ale skąd o tym wiecie?

– No napisała do nas taka młoda dziewczyna, podobno krewna, że potrzeba tutaj wymierzenia sprawiedliwości i takie tam sraty-pierdaty – odpowiedział mu Młodzik i znowu zamlaskał.

Ponownie wymieniliśmy z Ludwikiem spojrzenia.

– Kasia?!

– Nie no, zabiję ją chyba. Film? – jęknęłam boleśnie. Już przeczuwałam, że trudno będzie mi się z tego wszystkiego wyplątać. Więc to był właśnie ten pomysł na zrekompensowanie nam strat, które ponieśliśmy w związku z jej wprowadzeniem się do nas? Naprawdę już niczego lepszego nie mogła wymyślić!

– No to, kurna, robimy ten odcinek czy nie? Bo jak nie, to trzeba jechać dalej... – Młodzik wyraźnie się zniecierpliwił.

Joanna Kaczorek natychmiast posłała mu złowrogie spojrzenie. Widać, że to ona z tej trójki najbardziej nadawała się do obcowania z innymi ludźmi, bo Młodzik tylko ciągle coś jęczał, a w dodatku uporczywie żuł tę swoją gumę, podczas gdy Czarnego bardziej interesowały jego własne buty niż my.

– Hmy... No cóż. To może niech państwo wejdą do środka i nakreślą nam, jak miałyby to wszystko wyglądać... My się za bardzo na tym nie znamy, prawda Zuzanno? – wyartykułował uprzejmie Ludwik, jak to na pedagoga przystało.

Pokiwałam głową, choć spojrzałam na niego z ukosa.

– Tak, to chyba dobry pomysł. Zapraszam państwa do środka. – Odsłoniłam przed filmowcami wnętrze domu, po czym poprowadziłam całą ekipę do salonu. Kątem oka zerknęłam do kuchni i o mały włos nie dostałam zawału.

Pomieszczenie było już zupełnie czyste, przyznaję, ale na samym środku stali Kasia i Tomek. Całowali się zawzięcie, wydając z siebie przeróżne dźwięki, aczkolwiek nie wiem, czy można to było nazwać TYLKO całowaniem.

– Widzę, że macie tutaj całkiem wesoło – skwitował Młodzik vel Reżyser.

Kasia z Tomkiem natychmiast popatrzyli na rozsiadających się w salonie gości. Nie wyglądali jednak ani na zmieszanych, ani zawstydzonych. Co jest z tą współczesną młodzieżą?!

– O, państwo z telewizji, nie? Nie wiedziałam, że przyjdziecie tak szybko! – Kasia ucieszyła się na ich widok chyba jako jedyna z naszej rodziny, przez co wszystko nagle stało się jasne. – To my lepiej pójdziemy na górę! – Dostrzegła moje złowrogie spojrzenie i natychmiast straciła cały entuzjazm. Złapała Tomka za rękę, a potem pociągnęła go w stronę schodów.

– Ostre, lubię takie. – Reżyser odprowadził wzrokiem jej tyłek, co przypomniało mi tylko o tym, że nie widziałam dziś jeszcze Marka. Czyżby znowu zniknął gdzieś w świecie, by załatwiać te swoje tajemnicze sprawy?

– Jacuś! – syknęła na Reżysera Joanna.

– No dobrze, to czego się państwo napiją? – Ludwik przejął obowiązki pana domu, gdy filmowcy rozsiedli się wygodnie w salonie..

– Dla mnie espresso – automatycznie rzuciła Joanna Kaczorek, po czym chyba musiała szybko się zreflektować, bo natychmiast poprawiła swoje „zamówienie” na „po prostu czarną kawę.”

– Ja wodę. Katuję ostatnio na siłce. Nie ma co się truć – zamlaskał młody Reżyser.

– A ty Olaf? – Joanna zwróciła się do milczącego kamerzysty, który popatrzył na nią rozkojarzonym wzrokiem.

– To samo, co dla ciebie – mruknął.

– Dla Olafa kawa. Dwie kostki cukru – podsumowała Joanna i wydobyła ze swojej torebki wielkich rozmiarów dotykowy telefon.

Przez to specyficzne towarzystwo pierwszy raz w życiu poczułam się w swoim domu co najmniej nieswojo.

– A dla ciebie, kochanie? – Ludwik zwrócił się w końcu do mnie.

– Kawę. Z mlekiem – odpowiedziałam i usiadłam na jednym z foteli, podczas gdy Joanna zrobiła sobie selfie swoim wielkim telefonem.

– Będzie dla fanów na Fejsie – wyjaśniła, widząc moje kolejne zdezorientowane spojrzenie.

– Ach tak. – Westchnęłam głośno i wtuliłam się w mięciuchne oparcie fotela.

Tak to właśnie jest, kiedy dzieci chcą dobrze!

– Gówniany macie tutaj zasięg – mruknął Reżyser, który również zaczął wpatrywać się w swój telefon.

Znowu głęboko nabrałam powietrza, a potem powoli je wypuściłam. Chyba zaczęłam tęsknić za spokojem szpitala. Naprawdę. Co to za życie, w którym człowiek nawet w swoim własnym domu nie może porządnie odpocząć?

– No dobrze, to o co właściwie chodzi z tym programem? – Rozmowa zaczęła się kleić dopiero wtedy, gdy wraz z napojami zjawił się w salonie Ludwik. Usiadł na kanapie obok Reżysera.

Na dźwięk jego głosu Joanna Kaczorek odłożyła telefon i potarła dłońmi o uda.

– No więc chcielibyśmy nakręcić program o pana żonie, która o mały włos nie została przejechana przez tutejszą sklepową, prawda? Mamy swoich informatorów

w prokuraturze i podobno biegli ustalili już, że nie był to żaden wypadek, bo kobieta nie zdjęła nogi z gazu nawet na chwilę. Chciała przejechać panią... – Spojrzała na mnie niepewnie.

– Zuzannę – odpowiedziałam jej.

– Tak. Panią Zuzannę. No... Więc tak to wygląda z naszej strony. Co państwo na to? Popatrzeliśmy z Ludwikiem po sobie.

– Nie wiem, czy warto to nagłaśniać... – zaczęłam niepewnie. – Po co robić wokół tego wypadku szum. Nie wystarczy nam sama sprawa sądowa?

Mój mąż miał chyba jednak zupełnie inne zdanie niż ja.

– Ale właściwie to czemu nie, Zuzka? Jak się zrobi szum, to na pewno ją wtedy ukarzą. A inaczej to różnie bywa. Ta baba chciała cię przejechać, zabić! I to dlaczego? Przez to, że Kasia spotyka się z jej synem? Psychopatka jak nic! Przecież to wcale jest śmieszne!

– Sklepową chciała cię przejechać, bo twoja córka bzyka się z jej synalkiem? – Reżyser wyraźnie się ożywił. – Niezły motyw.

– To nie jest moja córka, ale siostrzenica Ludwika. – Posłałam mu złowrogie spojrzenie. Co za dupek!

– I z nikim nie uprawia seksu! – stanął w obronie Kasi mój ślubny, co Reżyser skwitował głośnym śmiechem.

– Aha. W kuchni też było to widać.

– Czy jesteśmy tutaj, żeby rozmawiać o moralności mojej siostrzenicy?

– Nie, no oczywiście, że nie! – Joanna znowu spiorunowała Reżysera wzrokiem. Momentalnie spotulniał jak baranek i wrócił do zajmowania się swoim telefonem.

– Jacuś chciał powiedzieć, że zemsta nadaje temu zdarzeniu zupełnie inny charakter. Widzowie lubią takie „kryminalne” wątki. No i jak powiedział pan... – Joanna tym razem spojrzała na Ludwika.

– Ludwik.

– Tak. Ludwik. Szum wokół sprawy zdecydowanie wpływa na jej rozstrzygnięcie w sądzie. Sędziowie wiedzą, że są na celowniku i bardziej przykładają się do wymierzania sprawiedliwości.

– Nie wiem sama... – Nadal nie byłam do końca przekonana. Zdecydowanie nie nadawałam się na gwiazdę. Nawet jakiegoś programu dokumentalnego, czego kompletnie nie rozumiał mój Ludwik, bo jemu najwidoczniej rozgłos się marzył.

– Ale Zuzka, czego ty nie wiesz? Baba ma zostać ukarana i już. Sama słyszysz, co mówi pani Joanna. Zostałaś poszkodowana, nie można tego zamiatać pod dywan.

– Ludwik... – Popatrzyłam na niego wymownie, ale na nic się to zdało. Mój małżonek rozsiadł się tylko wygodniej i popatrzył na uszczęśliwionych jego poparciem filmowców.

– Więc skoro wstępnie się zgadzamy, to jak miałyby wyglądać ten film? – zapytał, nieświadomy moich rozterek.

Reżyser wraz z Joanną szybko nakreślili nam więc swoją wizję, z której, niestety, za wiele nie rozumiałam. Właściwie, to może powinnam powiedzieć inaczej. Nie miałam problemów ze zrozumieniem tego, co chce przekazać Joanna, ale z Reżyserem za nic w świecie nie mogłam się porozumieć. Nie potrafił zwerbalizować swoich myśli.

Kiedy więc oni siedzieli sobie w najlepsze i rozmawiali o filmie, ja postanowiłam się ewakuować i wymknęłam się na górę, gdzie rzuciłam się na łóżko (oczywiście na tyle, na ile pozwalała mi na to moja połamana ręka i obolały bark). Okazję do przytulenia się i nacieszenia starą, schorowaną matką wykorzystał oczywiście zmęczony wydarzeniami dzisiejszego dnia Marcel, który wgramolił się na łóżko zaraz po mnie.

– Kocham cię mamusiu – wyszeptał cicho, uśmiechając się do mnie, a potem schował twarz w moim ramieniu. Już po chwili zaczął oddychać spokojnie i miarowo.

Uśmiechnęłam się do niego i pocałowałam w czoło. Jednak nie ma na tym świecie nic piękniejszego niż miłość matki i dziecka, pomyślałam.

I właśnie tak, podczas gdy Ludwik toczył na dole zawziętą dyskusję z filmowcami, zasnęliśmy z Marcelem przytuleni do siebie, nie martwiąc się przy tym o cały Boży świat.

Rozdział 6

Ze słodkiego snu, gdzieś w okolicach dziewiętnastej, szarpiąc za zdrowe ramię, obudził mnie dopiero nadzwyczaj pobudzony Ludwik.

– Zuzka, Zuzka, obudź się! Mamy problem! – mówił ściszym głosem. Nachylał się przy tym nade mną jak jakiś rasowy dusiciel.

Popatrzyłam na niego spod ciężkich, zaspanych powiek i zamrugałam kilka razy, sennie się przy tym przeciągając.

– Jaki problem? – zapytałam dopiero po chwili, gdy udało mi się chociaż częściowo rozbudzić i prawie całkowicie wróciła do mnie świadomość otaczającej mnie rzeczywistości.

– No z tymi filmowcami! – obwieścił mi Ludwik.

– Jakimi filmowcami?

– No tymi, co będą o tobie kręcić ten dokument! – natychmiast sprowadził mnie ze świata błogiej i słodkiej nieświadomości do brutalnych realiów mojego życia codziennego.

No tak. Filmowcy. Zero spokoju, zero prywatności.

– A, tymi. – Pokiwałam więc głową. Usiadłam na łóżku i naciągnęłam na siebie puchaty koc, którym Ludwik musiał mnie chyba wcześniej nakryć. Odkryłam też, że po śpiącym obok Marcelu nie było już ani śladu. Z innego pokoju dobiegały za to pełne radości odgłosy zabawy. Pewnie mój zaradny syneček zaplanował wieczór Kasi i Tomkowi. W sumie dobrze, niech trenują.

– No to co z tymi filmowcami? – zapytałam. Oparłam się wygodnie o zagłówek łóżka, przy czym trochę zaboląła mnie ręka, więc skrzywiłam się.

Ludwik jednak nie zwrócił uwagi na ten grymas.

– No właśnie, Zuzka! Oni nie mają gdzie spać! – wypalił, nerwowo machając rękami.

Popatrzyłam na niego uważnie. No cóż. Nie ulegało wątpliwości, że w najbliższej okolicy nie było raczej żadnego hotelu, w którym mogliby się zatrzymać.

– Nie patrz na mnie tak, jakbyśmy mieli przyjąć ich do nas! – Wycelowałam w Ludwika palcem, w mig wyczytując z jego twarzy intencję przenocowania feralnej ekipy. – Nie dość, że mamy Kasię i Tomka, który, odkąd sklepowa trafiła za kratki, ciągle u nas koczuje, to jest jeszcze Marek. To nie żaden pensjonat ani ośrodek pomocy społecznej. Gdzie oni mieliby spać? Na materacu w łazience chyba. Albo w korytarzu!

Ludwik popatrzył na mnie mocno rozczarowany i klapnął na łóżko.

– Może oddamy im swoją sypialnię.

– Brawo geniuszu! – Gdyby wzrokiem można było zabijać, mój ślubny właśnie by nie żył. – Może jeszcze w ogóle cały dom. Tak do kompletu!

– No to ja nie wiem, co z nimi zrobimy... – Ludwik zgaszony moją reakcją pokręcił

głową.

Popatrzyłam na tą moją, pożał się Boże, logistyczną sierotę, a potem ciężko westchnęłam. Oczywiście to ja musiałam wymyślić, co zrobimy z całym tym głupim filmem, bo na niego nie można było liczyć. Chociaż ja wcale tych filmowców tutaj nie chciałam! Tak samo było kiedyś z psem.

– Jak długo zamierzają tutaj zostać? – zapytałam smętnie.

– Mówią, że jak wszystko dobrze pójdzie, to uwiną się w tydzień.

– Tydzień... – zamyśliłam się. – A kiedy Teodor wychodzi ze szpitala?

– Nie wiem. Jak rozmawiałem dzisiaj z lekarzem, to mówił, że góra trzy dni i jego też wypiszą.

– Hmy... No dobra, to robimy tak. Na trzy dni dajemy filmowców do tego pokoju i kuchni dla pracowników u Anki, a potem coś wymyślę.

– Ale Zuzka! To są filmowcy, gwiazdy telewizji! – oburzył się mój ślubny. – Chcesz ich zamknąć w małym pokoju i kuchni przy stodole? Naprawdę?!

Popatrzyłam na niego złowrogo.

– A masz jakiś lepszy pomysł, geniuszu?! Ja ich tutaj wcale nie chcę, to ciebie ciągnie do rozgłosu! Jak ci coś nie pasuje, martw się sam. Nic innego na razie nie wymyślę.

Ludwik zasepił się. W milczeniu trawił moją propozycję.

– No dobra, niech będzie – zgodził się w końcu wyjątkowo niechętnie. – Luksusy to nie są, ale nic lepszego rzeczywiście nie przychodzi mi do głowy. Anka się zgodzi?

– A ma wyjście? Zresztą, jak nie ma Teodora, to i tak nikt tam nie mieszka. Wielkiej różnicy jej to chyba nie robi.

– Cóż... No dobra. To zadzwonię do niej i potem powiem ekipie. – Powoli wstał z łóżka, a potem ruszył do drzwi.

– Aha, Ludwik! – rzuciłam jeszcze za nim. – Tylko nie zapomnij od nich za ten pobyt wziąć jakichś pieniędzy! Anka o tym nie wspomni, ale przyda jej się każdy grosz.

– Ale Zuzka... – Ludwik skrzywił się boleśnie. – To są filmowcy! Z Warszawy!

– I co, że są?! I że z Warszawy? To znaczy, że mam przed nimi czerwony dywan rozkładać? Jak chcą spać gdzie indziej niż w samochodzie, niech płacą!

Ludwik ewidentnie nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, biedaczek. W końcu wyszedł z sypialni. Jak się jednak okazało, tylko po to, żeby zaraz do niej wrócić.

– Filmowcy mówią, że pokój i kuchnia będą okej. Poszli już do Ani. Ustalili, że zapłacą dwieście złotych i pokryją opłatę za rachunki.

– Dwieście złotych za tydzień? Czy to nie jest za mało? – postanowiłam rycersko bronić finansów siostry.

– Jakże za tydzień, Zuzka? Ich budżet pozwala dwieście złotych za dzień płacić. Ponoć wyklada na to telewizja! – Ludwik nie mógł ukryć swojego podziwu.

Przyznam, że ta informacja trochę poprawiła mój, zrujnowany przez myśli o tym dokumencie, humor.

– No widzisz? – Uśmiechnęłam się tryumfująco. – Niepotrzebnie robiłeś wokół tego ich pobytu tyle zamieszania. Normalni ludzie. Tacy jak wszyscy – powiedziałam, chociaż gdy myślałam o żującym gumę Reżyserze, wcale nie byłam tego aż taka pewna.

– Tak, tak. Na pewno masz rację, kochanie... – Ludwik stanowczo zbyt usłużnie i miło pokiwał głową.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Co masz na sumieniu, że tak mi potakujesz? – wypaliłam bez ogródek.

– Ja? A czy zaraz muszę coś mieć? Po prostu się z tobą zgadzam. – Mój ślubny niczym anielica złożył dłonie na piersi i zamrugał.

– Jasne. Już to widzę – mruknęłam.

– Oj dobra, Zuzka... – poddał się w końcu. – Po prostu Albert zaprosił mnie na nocne poszukiwanie skarbów gdzieś w okolicach ponemieckiego lotniska. Sama rozumiesz... Grzech odmówić. Wiem, że nie lubisz, kiedy wracam nad ranem. I to jeszcze jak dookoła takie zamieszanie... Ale skoro ty jesteś już w domu i masz się lepiej, to pomyślałam... – zaczął bełkotać jak jakiś uczeń.

Słuchając tego jego gadania, nie mogłam zwalczyć usilnej chęci wywrócenia oczami. No i masz! Ledwo co wyszłam ze szpitala, a tu już, zaczyna się! Znowu będę musiała zasypiać sama. Bo mojego męża od własnej żony bardziej pociąga kawałek metalu i zardzewiała łopata do wykopywania skarbów!

– To co, zgadzasz się? – zapytał z nadzieją Ludwik, starając się ignorować moją nietęgą minę.

Popatrzyłam na niego złowrogo. Ale w sumie... Czy spokojny wieczór po całym dniu szaleństw był aż takim złym pomysłem?

– Idź! – warknęłam w końcu.

Najwidoczniej nie usłyszał w moim głosie złowrogich tonów, bo naprawdę się ucieszył.

– Aha. Bo widzisz, Zuzka, miałem ci jeszcze przekazać od Joanny, że oni chcą zacząć zdjęcia jutro o szóstej.

– RANO?! – jęknęłam przerażona. Przecież ja w końcu miałam wakacje! Przez cały rok zrywałam się skoro świt, a teraz dzięki tym świrom i mojemu mężowi nie mogę nawet porządnie się wyspać w wakacje.

– No, tak że ten... Ja lecę. Wstań jutro wcześniej, tylko błagam, nie budź mnie przy tym, bo na pewno będę cholernie zmęczony. I zrób dla filmowców jakieś dobre śniadanie. – Ludwik przeczuwając nadciągający wybuch furii, natychmiast się ulotnił.

Ja natomiast zwinęłam się na łóżku i naciągnęłam koc na twarz. No i masz babo placek! A raczej filmowców! Jak gdyby własnych problemów było mi mało...

I kiedy już złość na cały ten świat, a raczej Ludwika (choć co to właściwie za różnica?), zdążyła mi nieco przejść, jak na porządną matkę przystało, postanowiłam zebrać się w sobie, wstać z łóżka i zobaczyć, czy Kasia uśpiła Marcela. Zaglądając do

jego pokoiku, odkryłam oczywiście, że tak, mały już śpi, a Kasia w roli starszej siostry sprawdziła się po prostu wspaniale. Kolejny raz.

Nie chcąc więc budzić Marcela i spędzić najbliższych kilkadziesiąt minut na jego ponownym usypianiu, pocałowałam go tylko w czoło, poprawiłam kołderkę, a potem, zamknęłam za sobą drzwi i ponownie wycofałam się na korytarz. Przez wzgląd na fakt, że ostatnie kilka godzin przespałam, postanowiłam zejść na dół i zabrać się w końcu za coś pożytecznego. Jednak kiedy tylko skierowałam swoje kroki ku schodom, przez uchylone drzwi mignął mi leżący na rozłożonej kanapie Marek, który najwidoczniej wrócił już ze swoich wojaży. Stałam bez ruchu i zaczęłam przyglądać się jego męskiej, dobrze umięśnionej sylwetce. Przez kilka chwil walczyłam ze sobą, nie wiedząc, czy po ostatnich wydarzeniach powinnam wchodzić z nim w jakąkolwiek relację, a już na pewno taką zamkniętą w czterech ścianach, ale w końcu dałam za wygraną, uległam instyktowi i cichutko zapukałam do jego drzwi.

– Mogę?

Natychmiast, chociaż nie gwałtownie, odwrócił się w moją stronę, a kiedy tylko mnie zobaczył, na jego usta wypłynął błogi, leniwy uśmiech.

– Tak. Pewnie – odpowiedział, przekręcając się na bok.

Jeszcze raz omiotłam wzrokiem korytarz i weszłam do pokoju. Przymknęłam za sobą drzwi.

– Nawet nie zauważyłam, kiedy wróciłeś – powiedziałam. Usiadłam obok niego i wbiłam wzrok w przeciwległą ścianę.

Marek odgarnął do tyłu moje opadające na ramię, niesforne włosy. Pod wpływem jego dotyku znowu zaczęło dziać się ze mną coś dziwnego. Miał przyjemnie ciepłe palce.

– Ludwik powiedział mi, że spałaś. Zajrzałem do ciebie, ale wyglądałaś tak uroczo, że nie chciałem cię budzić.

Na dźwięk tego niewymuszonego komplementu mimowolnie się uśmiechnęłam i przeniosłam na niego wzrok.

– Zapytałabym, gdzie byłeś, ale pewnie nadal nie masz ochoty mówić mi o tych swoich ważnych sprawach, co?

– Powiem ci już niedługo, naprawdę. Jestem bliski dopięcia wszystkiego na ostatni guzik, a nie chcę zapeszać.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem.

– A jak ty się czujesz? – Marek popatrzył na moją zagipsowaną rękę. – Boli?

– Nie tak bardzo, jakbym się tego mogła spodziewać.

Na chwilę zapadła między nami cisza. Znowu przeniosłam wzrok na przeciwległą ścianę i stojące pod nią meble. W pokoju słychać było tylko nasze nierównomierne oddechy, podczas gdy za oknem już się ściemniło.

Marek pogładził wierzchem palców moje przedramię.

– Ludwika nie ma? – zapytał niskim, gardłowym głosem, od którego zawsze

zaczynałam się topić.

Głośno przełknęłam ślinę i przymknęłam oczy. Moja moralność znowu musiała stoczyć walkę z pożądaniem. Przecież miałam męża. Jaki by nie był, mąż to mąż, powtarzałam sobie uparcie.

Ale cholera! Wspomnienie tych Markowych dłoni... I zachłannych ust...

– Nie... – szepnęłam w końcu i niemalże niezauważalnie pokręciłam przy tym głową.

Nie musiałam widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, że lekko się uśmiechnął.

Oboje znowu zamilkliśmy na moment, wsłuchując się w swoje przyspieszone oddechy. Dopiero po chwili Marek uniósł się i usiadł za mną. Materac zatrzeszczał cichutko, kiedy jedną dłonią odgarnął na prawą stronę wszystkie moje włosy. Mimowolnie pochyliłam głowę w bok, odsłaniając mu szyję. Poczułam na skórze jego rozgrzany oddech, a potem delikatne muśnięcie ust. Wzdłuż mojego kręgosłupa rozszedł się przyjemny dreszcz. Próbowałam go zignorować, ale było to ponad moje siły.

– Uwielbiam cię tutaj całować – zamruczał mi do ucha.

Na wargi znowu wypłynął mi uśmiech, za który później się pewnie znienawidzę. Poddawałam się dotykowi Marka, podczas gdy rozum powoli przestawał panować nad sercem i moje opory znikwały.

Marek pogłaskał mnie po przedramieniu.

– Poleż tutaj ze mną – szepnął. – Odkąd wróciłem od ciebie ze szpitala, nie marzę o niczym innym, jak znowu cię obejmować.

Odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam mu prosto w oczy. Teraz siedzieliśmy twarzą w twarz.

– Czy ty właśnie proponujesz mi... – zaczęłam niepewnie. Znowu nie wiedziałam, czy właściwie tego chcę, czy nie. Albo raczej siłowałam się wewnętrznie z myślą, czy powinnam. Chociaż przecież doskonale znałam odpowiedź na to pytanie.

Słyszając moje słowa, Marek uśmiechnął się łobuzersko.

– Aha. – Pokiwał głową.

Moje serce z szybkością swoich uderzeń znalazło się w okolicach stanu co najmniej przedzawałowego.

On natomiast przysunął twarz do mnie i dotknął dłonią mojego policzka.

– Powiedziałem ci już kiedyś, że nie zrobię nic, na co nie miałabyś ochoty. Spokojnie.

– Pogłaskał mnie lekko. – Tylko żartowałem.

Przesunęłam zdrową dłonią po swoim udzie. Przecież tu wcale nie chodziło o żadną ochotę! Sama nie wiem, czy odetchnęłam z ulgą, czy raczej z zawodem.

– To jak będzie? – Marek musiał dostrzec wahanie w moich oczach, bo znowu zbliżył się niebezpiecznie blisko.

– Skoro chcesz tylko obok mnie poleżeć, i nie chodzi tutaj o nic więcej, to chyba mogę. Tak po przyjacielsku – mruknęłam, kiedy już skończył mnie całować. Posłusznie położyłam się na kanapie, podczas gdy on nadal siedział.

– Nie kładziesz się obok? – Popatrzyłam na niego z zaskoczeniem.

Powiódł spojrzeniem po całym moim ciele, przez co zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco, a potem nachylił się, umieszczając dłonie po moich bokach i sprawnym ruchem zawisł nade mną.

– Wolałbym raczej położyć się na tobie – odpowiedział z ustami zaledwie kilka milimetrów oddalonymi od moich warg, przez co zastygłam w bezruchu.

Miałam tak silną potrzebę, żeby go pocałować, że aż zapiekły mnie usta! Już nie tylko on, ale i ja musiałam mocno ze sobą walczyć, a kiedy znajdował się nade mną, w tej bardzo jednoznacznej pozycji, było to milion razy trudniejsze niż dotychczas. Ten facet stanowił coraz większe niebezpieczeństwo.

Czując promieniujące od niego ciepło, zamknęłam oczy i sprawną dłonią przejechałam wolno po jego umięśnionym brzuchu. Najchętniej to ściągnęłabym teraz z niego tę koszulkę i...

On chyba też musiał wyczuć, co się święci, bo kiedy moja dłoń znalazła się stanowczo zbyt blisko jego spodni, przechylił się i opadł obok.

Sprawnym ruchem przyciągnął mnie do siebie i kiedy zaczął błędzić palcami po moim ciele, przez chwilę miałam problem z odnalezieniem się w rzeczywistości. Jego bliskość była po prostu obezwładniająca. Chciałam go, ale jednocześnie doskonale wiedziałam, że nie mogę...

Co za cholerny dysonans!

Próbując się uspokoić, wtuliłam się w Markowe ramiona i zamknęłam oczy. Boże! Dlaczego ten facet nie mógł pojawić się w moim życiu kilka lat wcześniej?! I gdzie był mój mózg?! Uciekał na widok wuefisty?

– Lubię jak pachniesz, wiesz? – Marek odezwał się jeszcze, kiedy leżeliśmy przytuleni do siebie tak niewinnie już przez kilka chwil.

Poruszyłam się lekko na znak, że usłyszałam, nie chcąc się jednak od niego odrywać. Było mi z nim stanowczo zbyt dobrze. Mogłabym spędzić tak przynajmniej całą noc, a pewnie rano i tak byłoby mi tego za mało. Ja też uwielbiałam jego zapach. To, jak mnie dotykał, mówił do mnie... I w ogóle wszystko. Uwielbiałam jego bliskość. Z dnia na dzień coraz bardziej. I bardziej otwarcie przed samą sobą.

Czując, że to już nie jest czas na rozmowy, ale napawanie się swoją obecnością, Marek delikatnie pocałował mnie w czoło, wsunął palce w moje włosy i zaczął masować mi głowę.

– Dobrze mi z tobą, maleńka – wyszeptał do mojego ucha.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej błogo i przysięgam, że nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam. A już tym bardziej, jak znalazłam się w swoim łóżku, gdzie, o piątej trzydziści, obudziłam się obok śpiącego w najlepsze Ludwika, który widać musiał wrócić z tych swoich wojaży, gdy spałam.

Popatrzyłam na niego i zrobiło mi się jakoś tak smutno. Dlaczego on nie mógł patrzeć na mnie z takim zainteresowaniem i błyskiem w oku jak Marek? Dlaczego mój

mąż najzwyczajniej w świecie miał mnie gdzieś? I czy zbliżając się wczoraj z Markiem, w pewien sposób nie zdradziłam Ludwika?

O cholera!

Zamknęłam oczy i zakryłam je dłonią, starając się nie myśleć o tym, że z Marka jest nałogowy podrywacz.

Zaraz, zaraz! Wróć! Czy przez moją głowę właśnie nie przemknęła myśl, że to nie obok mojego męża chciałabym się tego ranka obudzić?

NIEDOBRZE!!!

Rozdział 7

– Nie no, źle to wszystko wygląda! Totalna beznadzieja – skwitował mój wygląd zrozpaczony Reżyser. Na potwierdzenie swoich słów z rezygnacją opuścił ręce i wydał z siebie głośny jęk rozpacz. – Mówiłem, żeby zabrać ze sobą Ankę od makijażu? Mówiłem? Przecież ta tutaj wygląda jak ostatnia sierota. Ma wory pod oczami gorsze niż moja babcia! I te plamy pudru wokół nosa... Jak można kogoś takiego sfilmować?! Przecież wstyd będzie później to emitować.

Joanna Kaczorek popatrzyła na mnie pojednawczo.

– Nie denerwuj się, Jacuś. No przecież nie jest tak źle...

– Źle?! Oczywiście, że nie jest źle, bo jest po prostu tragicznie! Jak mi nie wierzysz, to chodź tutaj i zobacz ostatnie zdjęcia. Jak można być kobietą i nie umieć się dobrze umalować?! – Teatralnie przyłożył palce do skroni i zrobił nimi małe kółeczka.

Była właśnie szósta trzydzieści, a ja już od pół godziny, wraz z całą ekipą telewizyjną stałam przed swoim płotem. Wysłuchiwałam przy tym ich głośnych, pełnych rozpacz i zawodu jęków. Właściwie, gwoli ścisłości, to jęczał głównie Reżyser, któremu otaczająca go rzeczywistość nie do końca zgadzała się z jego twórczą wizją. Kamerzysta Olaf prawie się nie odzywał, a Joanna bez przerwy zapobiegała wybuchom złości tego pierwszego. Tym razem chodziło o mój makijaż, ale jeszcze chwilę temu nie zgadzał mu się kąt padania światła i najchętniej to przeniósłby miejsce wypadku kilka metrów dalej, żeby otaczała nas zieleń, a nie szare, wiejskie zabudowania.

– Nie rozumiem, dlaczego ty możesz wyglądać dobrze, a ona jak ofiara przemocy domowej. – Reżyser oderwał wzrok od Joanny i znowu z pogardą popatrzył w moją stronę.

Przestąpiłam z nogi na nogę. A co mu się nie podobało w tym moim makijażu? Sam chciał na początku, żebym wyglądała naturalnie, no to ma. Miałam się odwalić w wieczorową sukienkę, a na powieki nałożyć dwie tony brokatu?

– Bo ja przed kamerami mizdrzę się od lat i wiem, jak się przed nie malować. A ona jest tylko... – Joanna spojrzała na mnie niepewnie.

– Nauczycielką – podpowiedziałam.

– Właśnie. Wiejską nauczycielką. Zastanów się lepiej, czego od kogo wymagasz. Zróbcie kilka ujęć pleneru, a ja się nią zajmę – rzuciła do niego bojowo, a potem zwróciła się do mnie. – A ty chodź lepiej ze mną...

– Zuzanno – podrzuciłam.

– Zuzanno, to rzeczywiście trochę cię podmaluję. Żeby Jacuś nam tutaj nie zszedł. Na zawał!

Popatrzyłam z niechęcią na Reżysera, który wkładał sobie właśnie kolejny pasek gumy do żucia do ust i posłusznie ruszyłam za Joanną. Ona jako jedyna z całej tej

telewizyjnej trupy wydawała mi się osobą na właściwym stanowisku.

– Kręcenie filmów zawsze tak wygląda? – zapytałam ją lekkim tonem, kiedy szliśmy przez podwórko Anki.

– Z Jackiem tak. On po prostu za bardzo wszystko przeżywa. To u niego normalne. Żyje w świecie artystycznych wizji, a nie rzeczywistości i czasem się zapomina.

Popatrzyłam na nią, zbyt wiele z tego nie rozumiejąc.

– Ma schizofrenię?

– Nie, no coś ty. – Joanna zachichotała. – Całkowicie oddał się sztuce, więc chce, żeby wszystko było perfekcyjne i takie, jak to sobie wymyślił. Wysoka sztuka nie zna kompromisów, dlatego tak trudno mu się na nie godzić. Ale właśnie przez to, że Jacuś raczej ich nie uznaje, jest w tym, co robi, taki dobry. Niektórzy mówią nawet, że najlepszy w swojej branży.

– Więc dlatego tyle się czepia?

– Między innymi. Dochodzą do tego też i temperamentalne, i osobowościowe czynniki, ale przypisałabym te jego wybuchy furii głównie artystycznym wizjom.

– To wszystko jest dziwne...

– No, ale nie gadajmy o Jacusiu. Jego trzeba znieść i tyle. – Joanna pchnęła przede mną drzwi do ich tymczasowego mieszkania. – Siadaj na krześle przy stole, a ja ci zaraz tę twarz jakoś ogarnę. Mam taki fajny podkład sceniczny. Zawsze go używam przed kamerami. Maskuje dosłownie wszystko – powiedziała z uśmiechem, a potem, gdy ja usiadłam, wydobyla ze swojej walizki potężnych rozmiarów kufer z kosmetykami.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

– To wszystko jest ci potrzebne? – zapytałam, kiedy Joanna zaczęła wyciągać kolejne kosmetyki. Były tam dziesiątki, a może nawet i setki pomadek, tuszy do rzęs, cieni do powiek, korektorów, pudrów, fluidów, bronzerów, rozświetlaczy... Nie wiem, czy to bezpieczne nakładać sobie tyle różności na twarz. I to codziennie.

Joanna jednak machnęła ręką i wycisnęła na dłoń trochę podkładu, a potem zaczęła pędzelkiem nakładać mi go na twarz.

– Wydaje się dużo, wiem, ale idzie się przyzwyczaić. A teraz nie gadaj, bo muszę się skupić. Nie będzie mi się chciało tego dziesięć razy poprawiać, a zdążyłaś się już sama przekonać, jaki Jacuś potrafi być wymagający.

No cóż, nie sposób się było z nią nie zgodzić. Posłusznie zamknęłam oczy, wystawiłam twarz ku światłu, a gdy trzeba było, nawet rozdziawiłam usta, które Joanna pociągnęła czerwona pomadką.

Kiedy po około dwudziestu minutach makijaż „przed kamerę” był gotowy, a ja, widząc się w lustrze, doszłam do wniosku, że właściwie to wcale nie wyglądam jak ja, mogłyśmy razem z Joanną wrócić do Olafa i szalejącego w najlepsze Reżysera.

– Boże, Aśka! Ja nie wytrzymam na tej wsi! Normalnie nie wytrzymam! – Natychmiast rzucił się do Joanny. – Nie da się pracować w takich warunkach! No po

prostu się nie da!

Stałam obok i ze spokojem zaczęłam przyglądać się jego kolejnej szopce.

– O co chodzi tym razem? – zapytała Joanna.

– Dostałem olśnienia! Na początku pokażemy tę wieś jako taką spokojną okolicę, a potem dopiero dajemy kadry z wypadku i wywiad z tą naszą, pożał się Boże, ofiarą. Wiesz... Drzewa lekko poruszane wiatrem, kwiatki, motylki. Niczym niezmacona cisza, w której zdarzył się wielki wypadek. Piękne, nie? Normalnie już to widzę oczami wyobraźni. Chłonę to, chłonę! – Zaczął przeżywać i gestykulować jak jakiś mistyk. – I patrzę na drogę, jedzie sobie taki stary samochód, idealny do mojego kadru. Piękny. Zaczepiam gościa, pytam, czy mógłby od strony tamtego parku, o, tamtego – chaotycznie wskazał ręką na park nad rzeką – przejechać dla nas specjalnie, tak wolno. Czaisz, nie? – przeżuł kilka razy gumę.

– No tak, rozumiem.

– I słuchaj, gościu jedzie tym autem tak, jak sobie wymarzyłem, Olo kręci, wszystko jest pięknie, magia, emocje, totalny chill, a tu nagle w kadr, nie uwierzysz, co mi wchodzi! KOT! Rozumiesz?! KOT wlaż mi w kadr. Czarny i wyliniały. Przespacerował się akurat po chodniku. No pochlastam się po prostu! No po prostu pochlastam! Od kiedy to ludzie puszczają koty luzem po ulicy? I to w takim kluczowym dla sztuki momencie?!

Joanna zaczęła przytulać do siebie bliskiego łez, roztrzęsionego z powodu KOTA Reżysera, a ja zachichotałam pod nosem. Kot to jednak straszna sprawa. Naprawdę straszna. No i ta wieś... Samo zło.

– Ale czy to nie wpisuje się w pana wizję? Ten kot? – zaczęłam niepewnie, zbliżając się do nich. – Przecież takie zwierzę to uosobienie wiejskiej natury. Czysty folklor – zauważyłam, w swoim odczuciu nader celnie, co niestety spotkało się z zupełnie inną reakcją, niż to sobie zamierzyłam. Reżyser rozszlochał się na całego, w wyniku czego Olaf wyłączył kamerę, a Joanna zajęła się uspokajaniem naszego wizjonera.

– No i jeszcze ta głupia niczego nie rozumie... – Jacuś pociągnął nosem. – Jak ja mogę pracować w takich warunkach. Wiochy mi się zachciało! A mogłem wziąć tamtą poparzoną kwasem lasencję z Łodzi!

Kamerzysta popatrzył na mnie z wyrzutem, przez co poczułam się trochę niezręcznie.

– Ja... – bąknęłam cicho, ale tuląca do siebie Reżysera Joanna dała mi dłonią znak, żebym przez chwilę się nie odzywała.

Kiwnęłam do niej głową i nie chcąc pogorszyć sytuacji, na wszelki wypadek wycofałam się w stronę domu. Usiadłam sobie na trawie, by z bezpiecznej odległości obserwować rozgrywający się na chodniku dramat. Z braku laku wyciągnęłam telefon i zaczęłam SMS-ować z przebywającą nad polskim morzem moją przyjaciółką, Beatką. Spojrzałam też na zegarek. Było dwadzieścia po ósmej.

Zrezygnowana oparłam brodę o kolana. W takim tempie to ten film będzie

powstawał przynajmniej kilka lat. Dobry Boże, w co też ten Ludwik znowu mnie wpakował!

Rozdział 8

Z powodu chwilowej niedyspozycji i braku warunków do pracy, jak to, przeżuwiąjąc gumę, wspaniale określił Reżyser, zdjęcia do filmu, w których miałam brać udział zostały przeniesione na jutro. Dziś natomiast zwariowane trio wyruszyło w plener uwiecznić piękno wiejskiej przyrody. Na szczęście beze mnie.

Właściwie, jak dla mnie, to mogliby wyruszyć nawet i na poszukiwania czającego się w okolicznych zaroślach słońca, byleby tylko zniknęli mi z oczu i więcej nie psuli nerwów. Jestem odporna na stres i tolerancyjna, owszem, ale ile można słuchać uwag pod swoim adresem? W końcu każdemu puściłyby nerwy!

Chcąc odzyskać spokój, wróciłam więc do domu i zajęłam się robieniem obiadu. Miałam ochotę na coś smacznego, co mogłoby poprawić mi humor.

– O, jesteś już? – Pojawiająca się w kuchni Kasia wyraźnie ucieszyła się na mój widok. – I jak zdjęcia do filmu? – zagadnęła wesoło, wskakując na kuchenny blat. Rozsiadła się na nim wygodnie i wbiła we mnie pytające spojrzenie.

– Z dzisiejszych zdjęć ze mną w roli głównej nici – ogłosiłam, wyciągając spod zlewu wiaderko z marchewką.

– Ale dlaczego? Bo makijaż, to muszę ci powiedzieć, masz naprawdę świetny!

– Bo nie pasowałam dzisiaj do wizji Reżysera. Właściwie, to nic, co dzisiaj nakręcili, nie pasowało do jego wizji, więc poszli do parku zachwycać się pięknem naszej wiejskiej przyrody.

– Serio? – zdziwiła się Kasia i wzięła do ręki miseczkę z truskawkami.

– No. – Posłałam jej przelotny uśmiech i zaczęłam skrobać marchewkę, co, biorąc pod uwagę moją połamaną rękę, nie było wcale takie proste. Musiałam wyłaniającymi się z gipsu palcami trzymać warzywo, a zdrową ręką operować skrobaczką. – Ale może to i dobrze. Nie miałam pojęcia, że głupie kręcenie filmu do tego stopnia może popsuć mi humor. Muszę ochłonąć.

– Nadal chcesz mnie zabić za to, że cię w to wszystko wrobiłam? Bo wiesz, Zuzka... Ja naprawdę chciałam dobrze. Pomyślałam, że jak sprawą zainteresuje się telewizja, to sklepowa na pewno zostanie ukarana za to, co ci zrobiła i chociaż z tego powodu nie będę czuła się winna.... – zaczęła tłumaczyć, zerkając przy tym na mnie niepewnie.

Westchnęłam. Chociaż wczoraj naprawdę byłam zła, a dzisiaj okropnie przez tych filmowców zmęczona, to przecież nie miałam prawa winić dziewczyny za to, że chciała dobrze... Co by wtedy ze mnie była za matka? Wystarczy, że Ludmiła, jej prawdziwa mamusia, traktowała Kasię jak piąte koło u wozu. Czy w tej sytuacji miałam prawo robić to jeszcze ja? Zwłaszcza znając jej szlachetne intencje?

– Nie jestem na ciebie zła, naprawdę. – Popatrzyłam więc na nią, siląc się nawet na wdzięczność. – Przecież chciałaś dobrze – powiedziałam, a potem na chwilę zapadła

między nami cisza.

– A ty nie spędzasz czasu z Tomkiem? – odezwałam się, nie chcąc, żeby sytuacja zrobiła się niezręczna. Wtedy Kasia z pewnością zaczęłaby zastanawiać się nad szczerością moich słów.

– Pojechał dzisiaj odwiedzić matkę w areszcie. Ojciec mu kazał.

Kasia wsadziła sobie do ust truskawkę i zaczęła ją przeżuwać.

– Smutna sprawa, co?

– Smutna? Daj spokój, Zuzka! Przecież ta baba chciała cię przejechać. Tobie jest z tego powodu smutno?

– No przecież tutaj chodzi o rodzinę twojego Tomka... Nie jest ci żal, że być może następne kilka lat spędzi bez matki? Która będzie siedziała w więzieniu? Mi jest go naprawdę szkoda – powiedziałam, odkładając na bok oskrobaną marchewkę i zabrałam się za następną.

Kasia wzruszyła ramionami i wzięła do ręki kolejną truskawkę.

– Mi i Tomkowi to chyba nie. Oboje uważamy, że to jakaś furiatka. Zresztą... W jego domu nigdy nie było za dobrze. Tak przynajmniej mi mówił.

Tym razem spojrzałam na Kasię żywo zainteresowana.

– Co masz na myśli?

– No wiesz... Matka trzęsa się nad nim jak nad noworodkiem. Kiedy był tutaj na stałe, to chuchała na niego i dmuchała jak na jakieś jajo. Zabraniała mu wychodzić, nawet ubrania mu prasowała takie, jakie ona chciała! Pomijając jej chwalebne hasło: zero dziewczyn, bo każda byłaby dla niego za głupia. Tomek momentami naprawdę nie mógł już tego znieść, bo ile można? To dlatego wybrał sobie uczelnię daleko od domu. Tam w końcu może żyć tak, jak on chce i robić to, na co on ma ochotę, a nie jego mamuśka. Tyle tylko, że jak wraca tutaj na wakacje, to znowu dostaje kota przez te jej cyrki.

– Nie wiedziałam, że tak to u niego wszystko wygląda.

– Teraz już wiesz. On się z tego jej aresztowania właściwie nawet cieszy. W końcu chociaż trochę od niej odpocznie.

– Kasia! Jak ty możesz tak mówić! Przecież to jego matka! Jaka by nie była, to jednak matka! Trzeba szanować.

– Może tak samo jak moją, co? – Kasia zachichotała cicho i wsadziła kolejną truskawkę do ust. – Ja mówię, jak jest, Zuzka. A ty przestań jej ciągle współczuć. Chciała cię przejechać, a ty nie musisz być dobrą samarytanką. Trochę zdrowego egoizmu wcale by ci nie zaszkodziło.

Popatrzyłam na nią zszokowana tymi słowami.

– Ja doskonale wiem, jak to jest żyć bez matki. – Kasia zmieniła nagle ton na smutny. – Wielokrotnie myślałam o tym, że lepiej byłoby jej nie mieć wcale, niż patrzeć, jak była taka skupiona na sobie i nieobecna. Może Tomkowi będzie lepiej tylko z ojcem?

– No co ty mówisz, Kasia? – Nagle zrobiło mi się jej żal.

– Mówię, co myślę. – Spuściła głowę i zamyśliła się na chwilę. – Wiesz, jak byłam dzieckiem, a matka tylko pracowała i pracowała, życzyłam jej śmierci. Wielokrotnie łapałam się na myśleniu o tym, że gdyby nie żyła, miałabym chociaż za kim płakać, za kim tęsknić. Mogłabym stworzyć sobie wtedy w głowie jakąś oderwaną od rzeczywistości wizję matki, wyidealizować ją. Myślałabym o niej w kategoriach dobrych wspomnień, a moja samotność nie byłaby samotnością w tłumie.

– Kasia... – Poczułam, że w moim gardle zbiera się jakaś dławiąca gęła.

– Nienawidziłam jej, wiesz? – Dziewczyna dalej wyrzucała z siebie tłumione do tej pory emocje. – Nie znosiłam tego, że nigdy jej nie ma, a wymaga ode mnie, żebym była dobrą córką. Robiłam te wszystkie głupstwa w swoim życiu, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Ćpałam, żeby była na mnie zła, zadawałam się z szemranym towarzystwem i za nic miałam swoją wartość, bo wtedy przynajmniej ze mną rozmawiała. Darła się, bo darła, ale była. Czułam się tak strasznie samotna i spragniona jej obecności, że byłam zdolna zrobić wszystko, by ją odzyskać i zwrócić na siebie jej uwagę. Chociaż na kilka krótkich chwil – wykrztusiła, a potem zamilkła. – No ale nigdy mi to nie wyszło, a dzięki tym wszystkim paskudnym doświadczeniom mam teraz twarde tyłek – westchnęła, a do moich oczu napłynęły łzy. – To dlatego myślę, że Tomkowi lepiej będzie bez matki.

Drżącą dłonią otarłam spływającą po policzku strużkę i już chciałam coś powiedzieć, ale w kuchni pojawił się Marcel.

– Co tutaj robicie? – zagadnął wesoło. Stał przy Kasi i wlepił w nią swój maślany wzrok. – Mogę też tak usiąść?

Kasia obdarzyła go ciepłym uśmiechem i wsadziła na blat, na który zaraz ponownie wgramoliła się sama.

– Mogę? – Marcel popatrzył na stojącą obok niej miseczkę z truskawkami.

Kasia pokiwała głową i podsunęła mu ją bliżej.

– Pewnie. Nie krępuj się.

– Ja się nie krępuję, tylko mama mi czasem zabrania jeść przed obiadem. Żebym nie miał takiego brzucha – wykonał przed sobą okrężny ruch ręką – jak tata. Bo potem mamie będzie się wstyd ze mną pokazać.

Kasia popatrzyła na mnie z konsternacją.

– No co? – Wzruszyłam ramieniem, także wysilając się na uśmiech. – Ważne, że działa – powiedziałam, ignorując bolesny temat dzieciństwa Kasi. Będziemy musiały wrócić do niego później.

– No to mogę tę truskawkę, mamó, czy nie? – dopytywał natomiast Marcel.

– Możesz. Truskawki są zdrowe.

– Nie tak jak chipsy?

– Właśnie. Niezdrowych przekąsek ani słodczy przed obiadem nie możesz jeść i kropka.

– Ale truskawki są słodkie.

Kasia zachichotała cicho i pogłaskała małego po głowie.

– Jedz, jedz. W razie czego stanę w twojej obronie – powiedziała, a potem zwróciła się do mnie. – A tak w ogóle, to kiedy będzie ten obiad? Jest taka piękna pogoda, a ja nadal nie skończyłam malować pałacu. Wiesz, taki widok od strony rzeki. Chciałabym dziś nad tym popracować.

– A bo ja wiem? – Dałam jej się zbić z tropu. Nie było przecież sensu drażnić poprzedniego tematu przy Marcelu. – Za godzinę? Albo trochę szybciej.

– Nie no, to nie opłaca mi się teraz iść. Może pobawimy się w piaskownicy, co Marcel?

Malec energicznie pokiwał głową i spróbował samodzielnie zeskoczyć z blatu, przed czym na szczęście uchroniła go czujna Kasia. A już za moment rozległ się donośny dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę – zaproponowałam rycersko. Ruszyłam do przedpokoju z nadzieją, że za drzwiami nie stoi ekipa telewizyjna. Zdecydowanie miałam na dziś dosyć ich towarzystwa.

Ku mojej wielkiej uldze za drzwiami stał jedynie zwariowany sąsiad pszczelarz, pan Kazio, który regularnie dostarczał całej naszej rodzinie przeróżnych atrakcji. Od przybiegania do nas po pomoc w samej koszulce i ręczniku, bo zatrzasnęły mu się drzwi wejściowe do domu, po odprawianie na naszym podwórku dzikich tańców i głośne walenie łychą w garnek, co miało na celu sprowadzenie pszczół do ula.

– Pani Zuzanno, jak dobrze, że pani jest! – wykrzyknął z typową dla siebie energią. – Sprawę bym miał do pani, taką malutką! A nawet malusieńką!

Popatrzyłam na niego co najmniej zaintrygowana tym, co też mógł znowu wymyślić.

– A mogę wejść do środka? Bo to delikatna sprawa jest. Głupio tak na dworze gadać. Jeszcze ktoś usłyszy.

Rozejrzałam się dookoła i choć nie dostrzegłam żadnych potencjalnych gapiów, zaprosiłam pana Kazia do środka.

– Tylko proszę do kuchni, bo właśnie gotuję obiad. Kawy? Herbaty?

– Nie, nie. Ja nic nie będę pił! – Pan Kaziu energicznie pokręcił głową i ruszył za mną do kuchni. – A tak na marginesie, to jak się pani podobały te kwiaty, które ostatnio pani wysłałem? – zapytał, rozsiadając się za stołem.

Popatrzyłam na niego zdziwiona.

– A więc to od pana był ten bukiet białych róż?

– No! Ładne wybrałem, co nie? Zobaczyłem, że do pani ślą te kwiaty normalnie dniami i nocami, to se pomyślałem, że też wyślę. A co! Inni mogą, to ja też. Nie? Z pani to jest taka równa babka, że aż grzech by było ich nie wysłać!

Jeszcze przez kilka chwil patrzyłam na pana Kazia jak urzeczona. Prawdę powiedziawszy, to trochę chciało mi się śmiać. Rozwiązanie zagadki bukietu białych róż, które do mnie wysłano, zdecydowanie odbiegało od moich wyobrażeń. Liczyłam

chyba na bardziej spektakularne wyjaśnienie tej tajemnicy. Najwidoczniej na księcia w lśniącej zbroi nie zasłużyłam. Jednak po chwili namysłu odetchnęłam z ulgą. Nie potrzebowałam kolejnych adoratorów. A taki pan Kazio chociaż był nieszkodliwy. I uważał mnie za równą babkę. Trzeba przyznać, że to bardzo oryginalny komplement.

– Coś nie tak? – zainteresował się sąsiad.

Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się pod nosem.

– Nie, nie. Wszystko okej. Bardzo dziękuję za kwiaty.

– Nie ma sprawy, pani Zuzanno kochana! Ja dla pani to mogę nawet i częściej je wysyłać!

Tym razem uśmiechnęłam się naprawdę szeroko i usiadłam po drugiej stronie stołu.

– No dobrze. Ale co pana do mnie sprowadza, panie Kaziu?

– A, no widzi pani. Dobrze, że pani pyta! – Sąsiad zaczął kręcić się niespokojnie i wydobyl z kieszeni swoich spodni mocno wymiętą, złożoną na cztery kartkę. – O robotę się staram!

Spojrzałam na niego naprawdę zdziwiona.

– Tak?

– No. – Znowu energicznie pokiwał głową. – W gazecie.

W gazecie?! Nie mogłam sobie nawet wyobrazić pana Kazia piszącego artykuły. Ewentualnie takie o pszczołach. Albo o rolnictwie. Nic innego nie wchodziło w grę.

– Jakiej gazety, jeśli można spytać? – Pochyliłam się do przodu.

– Takiej babskiej. Nie pamiętam już nazwy.

– Babskiej?! – Nie mogłam ukryć swojego zdziwienia.

Pan Kazio pokiwał głową na potwierdzenie swoich słów.

– A co miałby pan robić w takiej gazecie?

– No jak to co? Pisać artykuły.

Znowu musiałam mocno zawalczyć z przemożną chęcią roześmiania się.

– Ach tak.

– Dokładniej, to mam udzielać porad sercowych. Dlatego do pani przyszedłem.

– O matko kochana, a co ja mam związanego z poradami sercowymi?

Pan Kazio przyjrzał mi się uważnie i wzruszył ramionami.

– No młoda pani jest. Ładna. To na pewno pani takie miewa. Problemy z mężczyznami, rzecz jasna, bo o tym mowa. No i wykształcona pani jest, nie? A to znaczy, że mądra!

– No... Co prawda, to prawda... – bąknęłam cicho. Nie byłam jednak do końca przekonana, czy te dwa określenia koniecznie muszą iść ze sobą w parze.

– No właśnie. To widzi pani. Kogo innego miałbym zapytać?

Pochyliłam się do przodu jeszcze bardziej.

– Ale o co zapytać? – Spojrzałam na niego, unosząc brew.

– A, no widzi pani. Już mówię! – Pan Kazio rozłożył w końcu wyjętą z kieszeni karteczkę i wygładził ją, żeby rozprostować zagięcia. – Bo oni mi z tej gazety przysłali

jeden taki list od czytelniczki. Na próbę. Ja mam go przeczytać i udzielić porady, i jak ona im się spodoba, to mnie na stałe zatrudnią. Rozumie pani. W gazecie!

Pokiwałam głową. Czego tu miałam nie rozumieć? Pan Kazio wszystko mi wytłumaczył. Tylko nie byłam pewna, czy to odpowiednia rola dla niego. Pozostało dopytać, w jakim celu zjawił się u mnie.

– I co, chciałby pan, żebym panu pomogła udzielić tej porady? – zaryzykowałam.

– A gdzie tam! – Sąsiad machnął ręką. – Ja już odpowiedziałem. Tylko bym chciał, żeby to pani sprawdziła. Czy dobre. I czy błędów nie ma, bo ja to jednak jestem chłop bez matury, a pani młoda i wykształcona. No i na pewno problemy z sercem miewa.

Popatrzyłam na leżącą przed nim karteczkę. W pewnym sensie miał rację. Ostatnio rzeczywiście miewałam problemy sercowe, prawie tak samo, jak w czasach młodości. Z tym, że niekoniecznie chciałabym się z nimi afiszować!

– No to co? Zerknęłaby pani na to, co odpisałem? – ponowił swoją prośbę pan Kazio, kiedy dostrzegł moje wahanie.

– Cóż... Skoro pan prosi... – Wzięłam od niego w końcu tę karteczkę i zaczęłam czytać.

Droga Sercowa Wróżko,

mam nadzieję, że mi pomożesz. Mam problem ze swoim związkiem. Był zwykły dzień i jak zawsze wstałam rano, żeby odwieźć dzieci do szkoły, a potem pojechać do pracy. Niestety, pech chciał, że kiedy już odwiozłam dzieci, przypomniało mi się, że zostawiłam w domu swoją teczkę. Zawróciłam więc po nią do domu, a kiedy tam dotarłam, nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Mój mąż leżał w łóżku z nagą, zaledwie szesnastoletnią córką naszego wspólnego kolegi i wyprawiał z nią cuda niewidy. Nie muszę mówić, jak się wtedy poczułam! Pobraliśmy się 10 lat temu. Nie jestem już tą samą młodą kobietą, którą mój mąż poznał i poślubił, ale żeby mi robić coś takiego? Po tym, jak urodziłam mu dzieci, gotowałam obiady i podsuwałam wszystko pod nos?! Na domiar złego, kiedy wybiegłam z mieszkania, wsiadłam do samochodu, który nie chciał zapalić, a mąż wybiegł zaraz za mną. Zaczął walić w szyby i krzyzczeć, żebym go nie zostawiała, bo to tylko seks, który nic nie znaczy, a ja nie mogłam nawet stamtąd odjechać, bo ten cholerny samochód nie chciał zapalić! Jestem wrakiem człowieka. Ta sytuacja naprawdę mnie przerasta. Co robić?

Klara

Kiedy dotarłam do końca listu, poczułam się naprawdę dotknięta tą historią. Oczywiście było dla mnie, że trzeba doradzić tej kobiecie, żeby spróbowała porozmawiać z mężem na spokojnie i albo pomyśleć o rozwodzie, albo udać się do poradni małżeńskiej. Chociaż gdybym to ja była na jej miejscu, to wcale nie wybiegłabym wtedy z mieszkania, ale utłukła i tego podłego gada, i tę młodą zdzirę!

Nie chcąc się jednak nad tym zbyt długo zastanawiać, kontrolnie spojrzałam na

pana Kazia.

Przyglądał mi się uważnie i niecierpliwie, więc posłałam mu uśmiech i zaczęłam czytać jego odpowiedź...

Droga Klaro.

To, że twój samochód nie chce zapalić, mogło zostać spowodowane przez wiele czynników. Jeśli się na tym nie znasz, nie powinnaś grzebać w nim sama, ale zadzwonić do mechanika. Numeru powinnaś poszukać w książce telefonicznej pod literą M jak MECHANIK.

Sercowa Wróżka

– I co? Może być? – Sąsiad nie mógł doczekać się mojej opinii.

Spojrzałam na niego z uśmiechem, po czym odłożyłam list na stół, przeprosiłam grzecznie i wyszłam do łazienki, w której zaczęłam śmiać się do rozpuku. Doszłam do wniosku, że pan Kazio nie powinien udzielać sercowych porad. Nikomu. A tym bardziej nie w gazecie.

Po powrocie do kuchni powiedziałam mu jednak wymijająco, że żadnych błędów ortograficznych w jego tekście nie widzę i jeśli chce tę odpowiedź wysłać do redakcji, to śmiało może słać. Pod względem poprawności zapisu, co zaskakujące, tekst był czysty.

Przecież nie mogłam mu powiedzieć, co naprawdę myślę o tej poradzie. Kim ja jestem, żeby stawać na drodze pięknej kariery pana Kazia w gazecie? No kim?

Rozdział 9

– O nie! To wygląda naprawdę fatalnie – stwierdził Reżyser. Następnego dnia, również o szóstej, ponownie zebraliśmy się na podwórku, żeby spróbować nakręcić kolejne ujęcia do filmu.

Tym razem staliśmy z całą ekipą nie na chodniku przy drodze, ale na podjeździe. Tak, żeby było widać dom i podwórko. Reżyser, po kilkakrotnym zezłoszczeniu się na mnie, stwierdził bowiem, że to pokryje się z jego wizją wpuszczania widza w moją prywatność. (Cokolwiek mogło to oznaczać.) Podobno przez ukazanie mojego domu w tle, miał zapałać do mnie większą sympatią. Oczywiście widz, a nie Reżyser, bo ten to mnie chyba nie lubił. A widz obejrzy film tylko wtedy, kiedy będzie mnie lubił. Bo lubienie, w oczach Reżysera, było położone w hierarchii uczuć zdecydowanie wyżej niż litość, którą, naturalnie, każdy oglądający będzie odczuwał. Bo to przecież film dokumentalny. I o traumie.

Trudno mi było ocenić, czy ta twórcza wizja ma jakikolwiek związek z rzeczywistością. Jednak nie chciałam jeszcze bardziej rozjuszyć Reżysera, więc razem z Joanną i milczącym Olafem posłusznie przenieśliśmy się sprzed bramy na podwórko. Tym razem Joanna umalowała mnie już wcześniej, żeby nie tracić na to potem zbędnego czasu (przez co musiałam wstać nie za dziesięć szósta, ale o piątej dwadzieścia!), więc wszystko miało iść jak z płatka. Przynajmniej tak optymistycznie zakładałam, kiedy Joanna pierwszy raz podsuwała mi do twarzy mikrofon.

Ale Reżyser, jak to Reżyser, żując gumę, musiał ponownie zmienić swoją twórczą wizję i wpaść w szal.

– To drzewo kompletnie nie pasuje mi do tego kadru. Dom jest super, wy też prezentujecie się dobrze, ale no nie wiem... Tego drzewa tu jakoś nie widzę. Gdyby to była jakaś piękna i smukła brzoźka, to okej, wyglądałoby fajnie. Ale co to w ogóle jest? Stanowczo za wielkie! Zacienia mi cały kadr! – Wymachiwał rękami, w których trzymał jakieś kartki i miotał się zawzięcie po podjeździe.

– Ale Jacuś, nie panikuj, proszę. Może to drzewo nie jest wcale takie złe? Pokaż. – Joanna podeszła do kamery i spróbowała załagodzić tę nerwową sytuację.

– Jak ja mam nie panikować? No jak, skoro to drzewo psuje mi całą moją wizję?!

– To kasztan – podsunęłam, ale w szale zignorował moje słowa.

– Mam się dostosować do jakiejś zapyziałej wsi? – krzyczał dalej do Joanny. – Aśka, błagam cię. Co ty w ogóle wygadujesz. To tak nie działa! – Najwyraźniej nie zamierzał iść na żadne ustępstwa.

– To co ja, przepraszam, mam zrobić? – Popatrzyłam na niego. Moja frustracja pogłębiała się z każdą minutą! – Kazać wyciąć to drzewo, bo psuje panu kadr?

– A dałoby się? – Jego twarz natychmiast się rozpromieniła i popatrzył na mnie błagalnie. Widać nie zauważył zawartej w moich słowach ironii. – Najlepiej jeszcze

dzisiaj.

– Nie, do cholery! – Nie wytrzymałam i krzyknęłam na niego. – Nie będę zmieniała swojego podwórka, bo pan ma jakieś głupie wizje! To jest mój dom i mój ogród. Moje nerwy i moje życie! I jak się to panu nie podoba, to fora ze dwora! Idźcie sobie ten swój film kręcić gdzie indziej, bo ja przestaję mieć do tego wszystkiego cierpliwość! Drugi dzień to samo. Przecież to śmieszne!

Cała trójka stanęła jak wryta i patrzyła na mnie niepewnym, zdziwionym wzrokiem. Reżyser przeżuł kilka razy gumę, Olaf odchrząknął i lekko poruszył kamerą, a Joanna spojrzała to na mnie, to na Jacusia. Najwidoczniej zaskoczył ją fakt, że umiem krzyknąć. Chociaż wewnętrznie cała aż się trzęsłam, widok konsternacji na ich twarzach był naprawdę bezcenny.

– Ale... – odezwała się w końcu Joanna, tradycyjnie zapominając, jak mam na imię.

– Zuzanno.

– Zuzanno. Przecież tu wcale nie trzeba tak nerwowo... Jacuś to wszystko tak przeżywa, bo mu na tym filmie zależy. W gruncie rzeczy to opanowany i miły człowiek.

Reżyser miał jeszcze bardziej zaskoczony wyraz twarzy niż ja. On opanowany i miły? Dobrze sobie.

– Tak? – zapytał.

Joanna natychmiast zgromiła go wzrokiem.

– No a nie? Wolisz powiedzieć pani, że jesteś aspołeczny, a ludzi i otaczającą ich rzeczywistość traktujesz tylko w kategoriach środków do celu?!

Znowu zapadła pełna napięcia cisza. Reżyser kilka razy głośno mlasnął.

– Nie, no gdzie. Przecież ja jestem bardzo towarzyski. I miły.

– Ta. Pewnie – wyrwało mi się mimochodem. Nadal nie kryłam złości.

Joanna znowu spojrzała to na Jacusia, to na Olafa.

– Okej – poddała się w końcu, czując, że wszyscy muszą ochłonąć. – Dziesięć minut przerwy. Jacek zmienia swoją wizję, a...

– Zuzanna.

– A Zuzanna się uspokaja. Git?

Niechętnie popatrzyłam na pozostałą dwójkę filmowców i nie odzywając się ani słowem, odwróciłam się na pięcie, a potem poszłam do kuchni zrobić sobie kawę. Przez kuchenne okno widziałam jednak doskonale, jak rozwścieczona Joanna krzyczy na Jacusia, żywo przy tym gestykulując, a on przybiera postawę karconego dziecka. Nie powiem, ale ten widok sprawił mi naprawdę dużą przyjemność oraz, co ważniejsze, przyniósł też chwalebne skutki w postaci zmiany wizji Reżysera. Drzewo okazało się nagle aż nadto piękne, a cień wspaniale współgrał ze smutnym wydźwiękiem filmu. Magia, prawda?

– No dobra. Na dzisiaj to wszystko! – ogłosił w końcu Reżyser. Oczywiście dopiero po około piętnastokrotnym nagraniu rozmowy, którą przeprowadzała ze mną Joanna. – Tym razem obyło się bez szczekających psów, zagłuszających was ciągników i much

przelatujących przed kamerą.

Razem z Joanną odetchnęliśmy z ulgą.

– No i fajnie – mruknęła. – Nie ma to jak zacząć dzień od kawałka dobrze wykonanej roboty. – Posłała mi promienny uśmiech i uściśnęła rękę. – Bardzo dziękuję pani...

– Zuzanno.

– Tak. Naprawdę niezły wywiad.

Popatrzyłam na nich już nieco mniej zirytowana niż rano.

– To co będziecie kręcić teraz? – zapytałam, podchodząc do wpatrującego się w kamerę Reżysera i kamerzysty.

– Teraz to trzeba ściągnąć statystów i nagrać wypadek – bąknął ten pierwszy, nawet na mnie nie patrząc, i poprawiając swoje wielkie, przeciwsłoneczne okulary, przeniósł wzrok z kamery na Joannę. – No właśnie. Rozmawiałaś już z ludźmi z powiatu? Mamy pozwolenie na zablokowanie drogi i odtworzenie tamtych zdarzeń?

Joanna pokiwała głową i wzięła od Olafa swój telefon.

– Tak. Wszystko załatwione. Jutro między dziesiątą a dwunastą. – Zaczęła stukać palcami w dotykowy ekran. – Straż miejska dostarczy nam wszystkie papiery, kiedy przyjedzie tamować ruch.

Reżyser uśmiechnął się i też wyciągnął z kieszeni telefon.

– No to czad. – Pierwszy raz wyglądał na naprawdę zadowolonego. – W takim razie dzwonię, żeby umówić kaskaderów i statystów – rzucił i oddalił się od nas.

– Nie wiedziałam, że to aż takie wielkie przedsięwzięcie – zwróciłam się do pochłoniętej stukaniem w telefon Joanny. Prawdę powiedziawszy, patrząc na tych ludzi, czułam się trochę nie na miejscu. Jakbym znalazła się nagle w zupełnie innym świecie.

Joanna oderwała się na chwilę od telefonu i przeniosła na mnie wzrok.

– A nie. Nie martw się, to normalne. Po prostu chcemy pokazać widzom, jak wyglądał ten wypadek. Taka... No. Wizualizacja.

– Tak... A czy ja będę wam do tego jakoś potrzebna? – zapytałam przestraszona, bo wizja powtarzania tych scen z dziesięć razy, w dodatku w towarzystwie Reżysera i jego artystycznych wymagań, nie była szczytem moich marzeń.

Joanna na szczęście natychmiast rozwiązała moje obawy.

– Nie, no gdzie. Z tą połamaną ręką? Mamy już kaskaderów, spokojnie. Nie chcemy nikogo narażać na stres związany z ponownym przeżywaniem traumy.

Pokiwałam głową, wyraźnie uspokojona.

– Dobrze. To co? Dzięki za dziś i idę do domu – rzuciłam i już chciałam się oddalić, kiedy Joanna złapała mnie za rękę.

– Mam jeszcze dwa pytanki! – Uśmiechnęła się, oddając Olafowi telefon. – Mogę?

– Pewnie. – Pozwoliłam jej się złapać pod rękę i odciągnąć na bok.

– Pierwsze to takie, gdzie tu można zjeść obiad, bo Jacuś z głodu jeszcze bardziej szaleje. Są w pobliżu jakieś lokale?

Popatrzyłam na nią ze zrozumieniem. Wizja wrzeszczącego jeszcze głośniej Reżysera sprawiła, że trochę zrobiło mi się jej żal. W końcu to ona obcowała z nim na co dzień.

– Najbliżej to chyba w miasteczku.

– Tym, co się przez nie przejeżdża w drodze z Warszawy?

Pokiwałam głową.

– Tak. Właśnie tam.

– No dobra. Dzięki. Będziemy sobie radzić. Może od razu wpadniemy do tego starostwa powiatowego. A druga sprawa jest taka, że jak nam tutaj dziś wieczorem zjadą ci statyści i kaskaderzy, to trzeba będzie ich gdzieś przenocować. Ma pani jakiś pomysł? Są tu w okolicy hotele?

– Najbliżej to też chyba w miasteczku. Jest tam nieduży pensjonat. Ilu ich będzie?

– No tak z czterdzieści osób.

– Czterdzieści?! – Matko kochana, a na co aż tylu?!

– No może sześćdziesiąt. Wiem, że to sporo, ale trzeba też zrobić tłum gapiów. Bo na pewno był, nie? Przy takich wypadkach zawsze gromadzą się ciekawscy.

– Co prawda pamiętam to dosyć... Niewyraźnie, no ale tak. Chyba był.

– No właśnie. – Joanna pokiwała głową. – Aha! I jeszcze gdzieś będzie trzeba zostawić samochód, kiedy go statyści przywiozą. Ale to już chyba tutaj na podjeździe, co?

– Co za samochód? – Wizja roztaczana przede mną przez Joannę z chwili na chwilę coraz bardziej mnie przytłaczała. Jeden film dokumentalny, a tyle zachodu?

– No ten, co nim sklepowa jechała. Tylko taki specjalny, wzmocniony. Żeby się nie wgniótł podczas wypadku.

Popatrzyłam na nią z miną stereotypowej, głupiej blondynki.

– Ach tak – westchnęłam, dosyć czarno widząc ten jutrzejszy dzień. Reżyser miał problem z kręceniem filmu, gdy miał do dyspozycji trójkę ludzi i aż strach pomyśleć, co to będzie, kiedy pojawi się ich aż czterdziestu.

– No to fajnie. – Joanna najwyraźniej uznała mój pomruk za zgodę. – Auto u ciebie, super. A statyści gdzie?

Podrapałam się po głowie, mrużąc oczy przed słońcem.

– Ja nie wiem, czy u nas w okolicy znajdzie się miejsce aż dla tylu osób. To nie jest region za bardzo... Turystyczny.

– U, to niedobrze... – wyraziła swoje rozczarowanie Joanna, jednocześnie odganiając się od natarczywej muchy. – No to nie wiem, może jakaś remiza? Albo szkoła? Cokolwiek, byleby nie spali pod gołym niebem. No i żeby woda była. Bo jak nie, to chyba nam zostaną tylko namioty...

Przez głowę przemknęła mi niezbyt przyjemna wizja mojego podwórka pokrytego kolorowymi namiotami i zniszczonej, wydeptanej przez tłum statystów i kaskaderów trawy.

– Wiesz co? – pod wpływem tego wyobrażenia odpowiedziałam Joannie niemalże

natychmiast. – Ja pracuję tutaj w szkole, naprzeciwko, to zadzwonię do dyrektorki i zobaczę, co da się z tym fantem zrobić.

– Naprawdę? – Od razu się rozpromieniła. – Byłoby świetnie! A o kwestie finansowe proszę się nie martwić. Telewizja wszystko opłaci. Nie zapomnij powiedzieć o tym dyrekcji. Na pewno będzie to dodatkowy argument na naszą korzyść.

Już chciałam jej coś odpowiedzieć, ale ubiegł mnie głos milczącego zazwyczaj kamerzysty.

– Misiu, telefon do ciebie. – Wyciągnął w stronę Joanny jej komórkę. – Purzycka. Joanna spojrzała na mnie przepraszająco i wzięła od niego telefon.

– Tak, słonko? – rzuciła do słuchawki, po czym nie patrząc na mnie już więcej, oddaliła się podobnie jak Reżyser.

Zerknęłam na nich, nie do końca mogąc nadziwić się temu systemowi pracy. Ja chyba bym tak nie mogła. Milion spraw, milion telefonów, wszystko trzeba dopiąć na ostatni guzik... Jeden krótki film, a taki wielki chaos! Życie w rozjazdach i ciągłym stresie na pewno nie byłoby dla mnie. Wykończyłabym się nerwowo. I to już pierwszego dnia.

– To ja pójdę zadzwonić do tej dyrektorki... – bąknęłam więc nieśmiało niby to do Olafa, ale ten nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, bo zawzięcie wodził wzrokiem za drepczącą w kółko Joanną.

Jeszcze raz popatrzyłam więc to na nią, to na żywo gestykującego Reżysera, a potem powoli ruszyłam w stronę domu, żeby jak najszybciej uciec z ich zwariowanego świata, który dziwnym trafem wdarł się na moje podwórko. Chyba będę musiała się przed nimi w tym domu zabarykadować, bo sytuacja z dnia na dzień robiła się coraz bardziej, jak to mówi Marcel, dramatyczna. A filmowcy coraz bardziej ekspansywni. Już nawet w wakacje i to na swoim własnym podwórku nie można było zaznać spokoju! Niech ten tydzień się w końcu skończy...

Niestety, kiedy weszłam do domu, udało mi się wykonać tylko telefon do dyrektorki (która, naturalnie, gdy usłyszała o tym, że telewizja za ten proponowany wynajem szkoły zapłaci, zgodziła się niemalże natychmiast), bo za chwilę wpadła do mnie rozemocjonowana mamusia. Zaraz za nią biegła trzymająca na rękach swoją małą córeczkę, Zosię, zmachana Anka.

– Próbowałam ją zatrzymać, poważnie, ale nie chciała mnie słuchać. – Opadła ciężko na fotel, wskazując przy tym głową na matkę.

Posłałam jej pełne zrozumienia spojrzenie.

– Bo to jest ważna sprawa! – wyjaśniła mi natomiast mamusia. – Prawie życia i śmierci. – Usiadła na kanapę ze zmartwioną miną.

– Jak każda, z którą mama tu do mnie przychodzi – mruknęłam sama do siebie. – Chcecie coś do picia?

– Zuzka, błagam... – jęknęła boleśnie mamusia. – Nie mów mi o picciu w takim momencie.

Znowu popatrzyłam na Anię.

– Ale w jakim momencie, mamó?

– Ja nie wiem dziecko, co teraz będzie, ja po prostu nie wiem... – Mama zamiast mi odpowiedzieć, postanowiła jednak urządzić cały, przeciwiczony przez siebie tysiące razy, związany z wybuchem płaczu cyrk.

Ania pogłaskała Zosienkę po głowie.

– Przecież w naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów... – zapłakała głośno mamusia, nie zwracając uwagi na nasze skonsternowane miny.

– Ale jaki rozwód mamó, o czym ty mówisz? Kto się rozwodzi? Jurek i Ania?! – Z przerażeniem spojrzałam na siostrę. Jej mąż, Jerzy, z powodu ich problemów finansowych musiał wyjechać na jakiś czas do pracy za granicę. Czyżby tam sobie kogoś przygruchał, zdrajca perfidny?! Ja mu chyba nogi z...

Ania spojrzała na mnie jednak i wywróciła oczami, czym skutecznie pohamowała mój niedoszły wybuch agresji.

– No gdzie? Ja?! W życiu! – Na wszelki wypadek jeszcze w sposób werbalny wyprowadziła mnie z błędu i delikatnie ukołysała Zosienkę.

– No to wybacz, mamó, ale ja nie wiem, o czym mówisz. Mogłabyś jaśniej? – zapytałam więc mamę, oddychając z ulgą. Nie będzie trzeba nikogo zabijać.

Ona natomiast rozpaczliwie pociągnęła nosem i pokręciła głową.

– Takie nieszczęście. Takie nieszczęście – zalamantowała, wkurzając mnie tym samym jeszcze bardziej. Powoli traciłam do niej cierpliwość. Ile można słuchać tych jej płaczów?!

– Niechże mama w końcu powie mi, o co chodzi, bo zaczynam się martwić! – Nie wytrzymałam.

Spojrzała na mnie, znowu pociągnęła nosem, a po jej policzkach popłynęły kolejne łzy.

– No o tobie mówię, Zuzka. I o Ludwiku! – wypaliła, wgniatając mnie tym samym w fotel.

– Ale jak to o mnie i o Ludwiku? – zdołałam tylko wydusić drżącym głosem, bo nagle zrobiło mi się tak jakoś duszno i gorąco. Przecież między mną a Markiem do niczego nie doszło! No dobra, poza pocałunkami, ale skąd ona o tym wie, do cholery?! Czy to jakaś ukryta kamera? Rosyjski wywiad?

Poczułam, że robi mi się jeszcze cieplej. Mam nadzieję, że mama nie doniosła o tym Ludwikowi, bo dokąd ja się wyprowadzę i... Boże. Co ja zrobiłam. Co ja zrobiłam?! Moje małżeństwo, mój mąż, mój Ludwik...

– No skoro wprowadza się do ciebie Teodor, to widać przecież na pierwszy rzut oka, że też wasz związek wisi na włosku! – ogłosiła natomiast mamusia, a jej słowa o mało nie zwały mnie z nóg. – Jak ty to sobie wyobrażasz?! Były mąż i aktualny pod jednym dachem? To jak nic skończy się rozwodem. Takie zgorszenie. Taki wstyd... – załkała.

– Ale jaki były mąż, mammo! – pierwsza zareagowała na te głoszone przez mamusię herezje Anka, za co została obrzucona łzawym spojrzeniem.

– Oświadczył jej się przecież...

– Ale do ślubu nie doszło!

– Dlaczego on ma się do mnie wprowadzić? Nie rozumiem – wydusiłam, kiedy udało mi się otrząsnąć z pierwszego przerażenia. Jak widać, było ono jednak bezpodstawne i jak najbardziej mogłam wpaść teraz w drugie, związane zupełnie z czym innym.

– No a u kogo zamieszka, jak wyjdzie jutro z tego szpitala? Przecież on nikogo bliskiego tu nie ma... – lamentowała dalej niczym niewzruszona mamusia. – A uratował ci życie, masz wobec niego dług, Zuzanno. Masz wobec niego dług...

Kolejny raz tego dnia wymieniłyśmy z Anką niespokojne spojrzenia. Może rzeczywiście powinnam kiedyś wsadzić mamę do samochodu i zawieźć do psychiatry?

– Taka porażka, taki smutek... Pierwszy raz na nic dobrego się nie zda to nasze całe miłosierdzie...

– Niech mama nie płacze, bo ja nie mogę już tego wytrzymać! – Tym razem to Ance puściły nerwy. – Co mama sobie wymyśli jakiś problem, to urządza nam potem cyrk! Albo teatr! Może mama potrzebuje jakichś leków?!

Mamusia popatrzyła na nią przerażona, natychmiast przestała płakać i zerwała się z miejsca. Czyżby Ania odniosła w końcu wychowawczy sukces?

– O Boże! Zapomniałam o insulinie... – Mama jednak natychmiast wyprowadziła nas z błędu, o mało nie przyprawiając tym samym o zawał.

– Przynieść?! – zaoferowałam, też zrywając się z miejsca, bo doskonale pamiętałam jej zapaść, kiedy ostatni raz zapomniała o lekach.

– Nie, nie trzeba. – Machnęła niecierpliwie ręką. – Pójdę sama, kochana, pójdę sama. Dziękuję. I popłaczę sobie po drodze w spokoju, skoro nikt mnie tutaj nie chce. – Wymownie spojrzała na Anię.

– Ale może...

– Nie, nie! Siedz, Zuzka, siedz. – Smutno pokręciła głową. – Ale jeśli umrę gdzieś po drodze, to pamiętaj, że pieniądze na pogrzeb są w komodzie, a urna...

– Mamo! – jęknęłyśmy z Anką jednocześnie.

– Trzeba wiedzieć, kiedy odsunąć się w cień... – Mamusia jednak nie zrobiła sobie nic z naszej ożywionej reakcji i ruszyła ku drzwiom. – Umrę samotnie i to z własnej głupoty, kiedy nad naszą rodziną wisi takie wielkie nieszczęście. Ale może to i lepiej, że nie dożyję... – dobiegło tylko do nas, zanim zdążyła wyjść w końcu na zewnątrz.

– Ona mnie wykończy nerwowo... – mruknęła Anka i odchylając się do tyłu, znowu kilka razy pokotyssała śpiącą Zosieńkę.

Doskonale rozumiałam, co ma na myśli.

– Ale z tym Teodorem to ma rację, co? – Potarłam twarz zdrową dłonią i westchnęłam ciężko. Przeczuwałam, że obowiązek opieki nad nim w tej sytuacji rzeczywiście spada właśnie na mnie. – Co my z nim jutro zrobimy...

– Powiedziałaś już Ludwikowi, że to on jest tym zaginionym narzeczoną? – zapytała Anka.

Pokręciłam głową.

– Nie...

Ania westchnęła prawie tak ciężko jak ja.

– Powinam mu o tym powiedzieć, prawda? – Spojrzałam na nią pytająco.

Wbiła wzrok w ścianę przed sobą i przez chwilę po prostu milczała.

– Nie wiem – odezwała się w końcu. – To drażliwy temat. Może nie musi wiedzieć? –

Wreszcie popatrzyła mi w oczy. – Może powinnaś poprosić Teodora, żeby on też mu nic nie mówił i potraktować to właśnie jak odległą przeszłość, która nic już w twoim życiu nie zmieni? Pogodzić się z tym i zapomnieć?

– Mam zataić przed własnym mężem, kim jest Teodor, a w dodatku przyjąć go pod swój dach? Ania...

– A masz lepsze wyjście? Ten facet uratował ci życie! Myślisz, że dla Ludwika będzie miało jakiegokolwiek znaczenie, że w przeszłości tak bardzo cię skrzywdził? Wątpię. W końcu Teodor spłacił swój dług. I to z nawiązką. Chcesz go zostawić samego? Naprawdę?

– Nie. No oczywiście, że nie. Tylko...

– Twój mąż też jest człowiekiem, Zuzka. Zrozumie.

Znowu pokręciłam głową i ponownie schowałam ją w dłoniach. A raczej jednej dłoni. Tej zdrowej.

Przez ostatnie dni udawało mi się skutecznie nie myśleć o Teodorze, a teraz masz!

– Ale kicha... – jęknęłam cicho, naprawdę nie wiedząc, co z tym wszystkim zrobić. Ludwik. Marek. Już z tą dwójką było mi naprawdę trudno, a teraz jeszcze na dokładkę Teodor.

– Nie załamuj się, Zuzka, naprawdę... Może wcale nie będzie tak źle? – Ostatni raz spróbowała pocieszyć mnie Anka.

Popatrzyłam na nią, zupełnie nie wierząc w jej słowa. Zresztą, ona chyba też nie do końca wiedziała, co mówi, bo nie miałam jeszcze okazji porozmawiać z nią o swoich uczuciach do Marka i...

Nie no. Ja się po prostu zabiję. Jak wizja życia z nimi wszystkimi pod jednym dachem mogła mnie nie przerażać? No jak?!

Targana tymi wszystkimi pytaniami odprowadziłam Ankę do jej domu, a kiedy wróciłam do siebie, zastałam w salonie Kasię oraz dwie kobiety, mieszkanki Jaszczurek, przy czym jedna trzymała na kolanach pełen jajek kosz, a druga kankę z mlekiem.

– O, jesteś już! – Kasia uniosła się na mój widok z fotela. – Bo panie do ciebie. Nie będę przeszkadzała – mruknęła wymijająco, a potem pobiegła na górę.

Popatrzyłam na przestraszone kobieciny.

– Coś się stało? – zapytałam.

Jak na komendę obie pokręciły głowami.

– Nie... – odezwała się pani Teresa, która mieszkała w domu tuż za kapliczką. – To znaczy... – zawahała się. – Bo my przyszliśmy po prostu przynieść pani jajka i mleko, nie, Basia? – Popatrzyła na tę drugą. – Żeby się pani milej żyło.

Uniosłam brew, kiedy to powiedziała. Tak? Jeszcze niedawno cała wieś była na mnie święcie oburzona i czyhała na moje życie, a teraz proszę! Miałam stuprocentową pewność, że chodziło w tej wizycie o coś jeszcze. Zresztą, przekonałam się o tym za chwilę, bo kiedy tylko odebrałam od kobiet podarunki, odezwała się ta druga.

– No bo wie pani – zaczęła niepewnie. – Jak pani teraz taka sławna i ma znajomości w telewizji... – odchrząknęła, spuszczać wzrok.

– Bo my mamy chłopaków, co roboty nie mogą znaleźć – przyszła jej z pomocą pani Teresa. – Gdyby może pani szepnęła słówko gdzie trzeba...

– Przecież my wiemy, że chodzi tutaj o układy...

– Prosimy z całego serca, bo nam młodzież wpada w patologię na tym bezrobociu.

– No. – Pani Basia pokiwała głową. – Ja to się boję, że ten mój to zaraz zacznie pić! A taki z niego dobry chłopak. Tylko z robotą ciężko.

Westchnęłam głośno, nie wiedząc, co odpowiedzieć i popatrzyłam na mleko i jajka. Najchętniej oddałabym te podarunki, bo przecież ja dzieciom tych kobiet żadnej pracy nie załatwię. – Tak... – mruknęłam jednak, patrząc na ich wyczekujące miny. – No... – Podrapałam się po głowie.

– Boże, ja to od zawsze wiedziałam, że z pani dobra kobieta, a nie to, co na wsi mówią! – Pani Teresa widocznie uznała moje mruknięcie za znak, że się zgadzam i natychmiast rzuciła mi się na szyję. Uważając na zagipsowaną rękę, oczywiście.

Pani Basia też nie zamierzała stać w miejscu i nie zważając na moje protesty, również zaczęła wylewnie mi dziękować, a potem obie wybiegły z salonu uradowane i usłyszałam tylko trzask zamykanych drzwi.

– Ale ja nie jestem w stanie załatwić paniom tej pracy... – mruknęłam sama do siebie, nie mogąc wyjść z osłupienia.

Co to właściwie miało być? I że ja niby jestem teraz jakąś lokalną gwiazdą?! Przecież to film dokumentalny, na litość boską! Życie na tej zabitej dechami wsi chyba nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać...

Rozdział 10

– Zuzka, błagam cię! – Ludwik popatrzył na mnie surowo. – Naprawdę chcesz wyrzucić filmowców do ciotki Haliny i pozwolić Teodorowi ponownie zamieszkać w mieszkaniu Anki? Przecież on jest chory! Potrzebuje pomocy. Jak poradzi tam sobie sam ze złamaną nogą? W tym mieszkaniu jest tak ciasno, że nawet się nie obróci.

– Na złamaną nogę jeszcze nikt nie umarł... – burknęłam pod nosem, wiedząc jednak doskonale, że Ludwik ma rację. Nie lubiłam się z nim kłócić, zwłaszcza teraz, gdy ogarniały mnie wyrzuty sumienia związane z Markiem. Tylko co ja mogłam w tej sytuacji zrobić? Przyjąć Teodora pod dach, jak gdyby nigdy nic, i obwieścić wesoło: „Kochanie, to właśnie mój były narzeczony. Bawmy się razem w szczęśliwą rodzinę”?

– Nie ma w ogóle żadnej dyskusji. – Nieświadomy moich rozterek Ludwik popatrzył na mnie złowrogo. – Teodor wprowadza się do nas i już. Uratował życie mojej żonie, więc mam obowiązek się nim zająć.

– Ty? – prychnęłam, mając świadomość, że robię z siebie właśnie prawdziwą żołą. – Przecież ciebie wiecznie nie ma w domu, więc logiczne, że to ja się nim będę zajmować!

– I powiedz mi teraz, że wcale nie czujesz się zobowiązana nim zaopiekować, skoro raptem kilka dni temu uratował cię przed rozwścieczoną sklepową! Nie denerwuj mnie, Zuzka. Jadę po niego i już. To nie jest czas na dyskusje! – warknął takim tonem, że od razu zaczęłam żałować tego, co przed chwilą powiedziałam, a potem złapał leżące na blacie kluczyki.

Spuściłam wzrok jak małe, skarcone dziecko. Naprawdę mam świadomość, że w tym momencie wyszłam na żołą, ale robiłam to dla dobra naszego małżeństwa, czego oczywiście Ludwik nie wiedział. Przecież nie mogłam mu powiedzieć o tym, jaką krzywdę wyrządził mi kiedyś Teodor! No nie mogłam i już! Mój mąż był naprawdę inteligentnym człowiekiem i rzadko, przyznaję, ale jednak bywał impulsywny. Jeszcze gotów wyrządzić temu biedakowi jakąś krzywdę!

– No to nie wiem, gdzie on tutaj zamieszka – wymamrotałam, kiedy Ludwik ruszył w stronę drzwi. Próbowałam się chwycić ostatniej deski ratunku.

Natychmiast zatrzymał się w miejscu i odwrócił w moim kierunku.

– W salonie czy w klitce pod schodami? – zapytałam, wyzywająco patrząc mu w oczy. – A może w łazience?! Bo chciałam zauważyć, że niedługo w tym domu nie będzie już dla nikogo miejsca. My, Marcel, Kasia i Tomek, Marek...

Ludwik popatrzył na mnie jeszcze bardziej złowrogo, niż chwilę temu.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Zuzka, ale jeśli to tylko hormony, to zejdź mi z oczu. Nie psuj mi nerwów, bo jeszcze chwila, a powiem ci o dwa słowa za dużo. Na przykład wymusknie mi się, że uświadamiasz mi właśnie, że jestem w związku z kobietą bez serca – powiedział dobitnie, a potem ze złością odwrócił się w stronę drzwi i wychodząc, głośno nimi trzasnął.

Jeszcze przez chwilę tępo patrzyłam na nie z nadzieją, że jednak wróci i nie pojedzie po Teodora, ale w końcu uświadomiłam sobie nieodwołalność decyzji Ludwika. Ze złością kopnęłam w znajdujące się obok mnie schody i wcale nie mniej wściekła ruszyłam do salonu, gdzie bezsilnie opadłam na kanapę.

No to pięknie! Będę tu od dzisiaj miała aż trzech facetów. A jeszcze kilka tygodni temu narzekałam, że właściwie nie mam ani jednego, bo mój mąż nie zwraca na mnie uwagi. Po prostu wspaniale!

Nie mogąc oswoić się z tą myślą, a tym bardziej wizją trudnej przyszłości, która czeka mnie we własnym domu, zamknęłam oczy i zakryłam je sprawną ręką. Może po prostu zostaniemy jedną, wielką rodziną, co? Wszyscy czworo plus dzieci? Teraz nietypowe związki są przecież w modzie. Kultura Zachodu promuje coś takiego coraz nachalniej, więc w sumie... Dlaczego nie?

Jęknęłam boleśnie. Ta wizja, zamiast rozśmieszyć, dobiła mnie jeszcze bardziej. Nie miałam prawdziwych problemów, no to teraz mam!

I właśnie wtedy, kiedy najchętniej zapadłabym się pod ziemię, pojawił się w salonie Marek.

– Co się stało? – zapytał. Podeszedł do mnie ostrożnie i przysiadł na fotelu obok kanapy.

Przesunęłam rękę na czoło i nadal pólżąc, spojrzałam w jego kierunku.

– Taki prywatny dramat – zażartowałam. Wyszło mało śmiesznie. – Ale przeżyję, jakoś. Podobno złego diabli nie biorą – dodałam szybko.

Marek popatrzył na mnie uważnie. Chyba zastanawiał się, czy powinien mi wierzyć, czy nie.

– Na pewno?

W końcu uśmiechnęłam się do niego szczerze (w jego obecności inaczej po prostu się nie dało) i usiadłam na kanapie. Uświadomiłam sobie też przy okazji, że właściwie odkąd zasnąłam w jego ramionach, jeszcze ze sobą nie rozmawialiśmy. Ciągłe któreś było zajęte.

– Tak.

– Ekipa telewizyjna mocno cię wykończyła, co?

Pokiwałam głową.

– Można tak powiedzieć. A potem swoje trzy grosze dołożył też Ludwik... – Spojrzałam na Marka ukradkiem i natychmiast rozpogodziłam się jeszcze bardziej. – Ale nie ma co o tym rozmawiać – ucięłam temat. W obecności wuefisty czułam się jak niemogąca nad sobą zapanować nastolatka. – A co u ciebie?

W oczach Marka pojawiły się znowu niebezpieczne chochliki. Musiał zauważyć, jak zareagowałam na jego bliskość, bo pochylił się w moją stronę jeszcze bardziej, przez co stykaliśmy się teraz dłońmi.

– U mnie też wszystko dobrze – powiedział i pogładził mnie po zdrowej ręce, w wyniku czego poczułam dobrze mi znany, przyjemny dreszcz.

Zerknęłam na jego usta i przełknęłam ślinę. Były pełne i kuszące. Z dnia na dzień coraz trudniej przychodziło mi niepatrzenie na nie w taki sposób jak teraz.

Marek roześmiał się łobuzersko i przeniósł jedną z dłoni na mój policzek, a potem kciukiem potarł kącik moich ust.

– Mi też trudno o tobie nie myśleć. Kiedy leżę wieczorem w łóżku, wyobrażam sobie, jak smakujesz... – zamruczał, przysuwając się jeszcze bardziej, przez co poczułam na twarzy jego rozgrzany oddech.

Przez chwilę trwaliśmy w złowieszczym zawieszeniu. Nasze oddechy stawały się płytsze, a serca biły coraz szybciej i coraz mniej miarowo. Jego palce gładziły teraz całą moją dłoń, a robił to w sposób tak zmysłowy, że bez trudu mogłam wyobrazić sobie, jak dotyka mnie dosłownie wszędzie.

Powoli zaczynało kręcić mi się w głowie od nadmiaru wrażeń.

– Chodź tutaj do mnie – odezwał się w końcu gardłowym głosem, przerywając ciszę, i kolejny raz przesunął kciukiem po mojej dłoni.

Zamarłam, słysząc tę jego prośbę i na chwilę spuściłam wzrok. O mój Boże. Zrobiło mi się wyjątkowo gorąco i to wcale nie dlatego, że tego nie chciałam. Wręcz przeciwnie. Chciałam się z nim teraz całować.

I to nie z powodu Ludwika i tego, że przed chwilą mnie rozwścieczył...

O Boże. Przecież nie powinnam...

Marek musiał wyczuć, że się waham, bo ujął mnie pod brodę i delikatnie skierował ku sobie moją twarz. Nie mogłam teraz na niego nie patrzeć.

– Wiem, że ty też tego chcesz... – wyszeptał, odgarniając z twarzy moje niesforne włosy, a jego wzrok mógłby w tym momencie rozniecić niejednego pożar. – Tylko krótki pocałunek.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

– Ja... – Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

– Zuzka, proszę... – powiedział takim tonem, że całe moje ciało, tak, włącznie z głową i sercem, natychmiast wyrwało się do niego. Bez najmniejszych oporów usiadłam mu na kolanach.

Przesunął mi dłońmi po plecach, nie odrywając przy tym wzroku od ust.

Wsunęłam palce w jego włosy i lekko przyciągnęłam go do siebie. Popatrzył na mnie, najwidoczniej zaskoczyłam go tym gestem, ale nic już nie powiedział, bo nasze twarze z chwili na chwilę przysuwały się do siebie coraz bliżej. Czułam, że brakuje mi tchu... W końcu zaczęliśmy się całować.

Najpierw powoli i ostrożnie, a potem napierając na siebie coraz bardziej zachłannie. Liczyła się teraz tylko ta chwila. Mogłaby trwać w nieskończoność. On. I ja. Jeszcze nikt nigdy nie całował mnie tak zachłannie. Szaleńczo. Ten pocałunek był jak lekarstwo na całe zło tego świata i...

Albo i nie? Może właśnie wręcz przeciwnie?

– O mój Boże... – wyrwało mi się niemal bezgłośnie, kiedy w końcu się od siebie

oderwaliśmy. Nachylałam się nad Markiem, opierając kolana po bokach jego bioder. Twarz wuefisty była ukryta teraz pod kaskadą moich opadających włosów. Wsunął mi ręce pod bluzkę.

Oboje oddychaliśmy głośno i ciężko.

– Tak... – Marek przejechał dłońmi po moich plecach, przez co przycisnęłam się do niego jeszcze mocniej, a potem ponownie mnie pocałował. Tym razem krótko i lekko.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Błyszczały jeszcze bardziej niż moje. Widziałam też, że ma wściekle czerwone policzki. Jak ja. Ale to nic. Ten pocałunek rozbudził we mnie tyle emocji, że zupełnie nie dbałam o to, czy mogę nad sobą zapanować, czy nie. Wręcz przeciwnie. Znowu przejechałam palcami po tyle jego głowy i nachyliłam się bliżej, wcale nie myśląc o tym, że nie powinnam.

Marek znacząco przesunął dłońmi po moich biodrach. Zdażył jeszcze tylko cicho się zaśmiać, zanim ponownie zaczęliśmy się całować, a następnie odskoczyliśmy od siebie jak poparzeni, bo drzwi wejściowe do domu otworzyły się gwałtownie, a do środka wparowali Kasia, Tomek i Marcel, którzy już za moment znaleźli się w salonie. A zrobili to oczywiście w chwili, w której ja, z rozczochranymi włosami i czerwona jak burak, próbowałam uspokoić swój oddech i jedyną sprawną dłonią obciągałam w dół swoją podwiniętą przez Marka bluzkę.

– Stało się coś? – Kasia popatrzyła niepewnie to na mnie, to na Marka, w wyniku czego poczułam się jak przyłapaną na niewłaściwym zachowaniu małą dziewczynką. Energicznie pokręciłam głową, nie chcąc wzbudzać żadnych podejrzeń, co wyszło mi jednak chyba trochę na opak. Zrobiłam krok w tył i z impetem wpadłam na stojący za moimi plecami stolik.

– O matko kochana, Zuzka! – Kiedy upadłam na niego jak słoń i nieudolnie próbowałam wstać, Marek rzucił się w moim kierunku.

Jego ciepłe dłonie natychmiast pozwoliły mi wrócić do pionu, ale zamiast z wdzięcznością, spojrzałam na niego wzrokiem spłoszonej sarny. Marek odchrząknął i szybko wyswobodził mnie ze swoich objęć.

Znowu poczułam nadchodzącą falę gorąca.

– To ja... Ten, no... Mam kilka spraw na mieście. Wrócę później – rzucił tylko zdawkowo, a potem wyminął młodzież oraz Marcela i wyszedł na dwór, głośno zamykając za sobą drzwi.

– Źle się czujesz? – zapytała Kasia i podeszła do mnie. Wyglądała na zaniepokojoną. – Może chcesz się czegoś napić, co? Tomek nie stój tak, przynieś jej wody – rzuciła do chłopaka, a potem usadziła mnie na fotelu i przytknęła mi rękę do czoła. – Jesteś rozpalona, Zuzka. Chyba powinniśmy zadzwonić do lekarza, co? Może coś z tą twoją ręką nie tak i dlatego masz gorączkę?

– Nie, nie trzeba. Wszystko jest okej – bąknęłam, starając się wewnątrz wrócić w końcu do ładu i nie robić z siebie wariatki.

Kasia odsunęła się, wzięła pod boki i przyjrzała mi uważnie.

– No nie wiem...

– Jest i woda. – Tomek postawił przede mną szklaneczkę.

Rzuciłam się na nią, jakbym nie piła niczego co najmniej od tygodnia.

– A co tu takie zamieszanie? – Jak na złość pojawiła się w salonie również Ania, w wyniku czego zaczęłam parskać i prychać, gdy woda, zamiast do przetyku, poleciała mi do płuc.

– No właśnie mamy tutaj problem z Zuzką. Dziwnie się zachowuje – odpowiedziała jej Kasia.

– Tak? – zaniepokoiła się moja siostra. – Co się dzieje, Zuzka?

– Wszystko dobrze, dziękuję. – Machnęłam lekceważąco ręką, wylewając sobie tym samym trochę wody na kolana i bluzkę. – Po prostu zakręciło mi się w głowie i upadłam na stół.

Kasia wyjęła szklankę z mojej dłoni, a Ania uniosła brew.

– Znowu? – zapytała, bo jakiś czas temu opowiadałam jej o tym, jak wpadłam na ten sam stół. Pomijając jednak fakt, że i wtedy, i teraz miało to miejsce w obecności Marka. – Może powinnaś pojechać do lekarza po skierowanie do neurologa?

Raczej psychologa. Albo od razu psychiatry, pomyślałam.

– Ania, proszę cię. Po prostu zakręciło mi się w głowie. Jest gorąco i duszno. Do tego grzeje mnie ten gips i stąd całe to zamieszanie...

– O, à propos zamieszania! – wpadła mi w słowo Kasia. – My przyszliśmy właśnie dlatego! Widzieliście tych ludzi przed domem, co kręcą film? Cała wieś się zleciała i robią teraz za statystów! Ale oni są w tym niezli, ci kaskaderzy! Ze trzy razy nakręcali już tę stłuczkę. Rzucają się na asfalt, a nic im się nie dzieje! No i ten dym... Normalnie szął, nie? – Złapała Tomka za rękaw. – Przyszliśmy wam powiedzieć, bo może też byście chcieli zobaczyć!

– Robią wypadek, ciociu! – dołączył do Kasi rozemocjonowany Marcel. – Taki prawdziwy!

Anka pogłaskała go po głowie i ukucnęła.

– Tak? No to nie możemy tego przegapić! – Uśmiechnęła się szeroko z niewymuszoną radością. – Weźmiemy Pawełka i idziemy oglądać dalej?

– Tak! – pisnął Marcel i natychmiast pociągnął ją za rękę w stronę przedpokoju. Już za chwilę za nimi też zamknęły się drzwi.

Kasia natomiast znowu odwróciła się do mnie.

– A ty idziesz, Zuzka? – zapytała. – Na pewno wszystko już dobrze?

– Tak, tak. – Dla wzmocnienia swoich słów pokiwałam energicznie głową. – Zaraz przyjdę, idźcie oglądać.

– No nie wiem... – Chyba jednak mój głos nie zabrzmiał tak przekonująco, jak bym tego chciała, bo Kasia nadal przyglądała mi się badawczo.

– Daj spokój, mała – odezwał się jednak Tomek. – Jest gorąco, Zuzanna ma rację. Daj jej odpocząć i nie męcz tyle. Idziemy? – Złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć

w kierunku wyjścia.

Posłałam mu pełen wdzięczności uśmiech.

– No dobra, jak chcecie. – Kasia poddała się w końcu. – To my idziemy, tak? A ty dołącz do nas, Zuzka, bo jak nie, to naprawdę będę się o ciebie martwić – rzuciła jeszcze, a potem i oni wyszli na zewnątrz, zostawiając mnie samą.

W końcu odetchnęłam głęboko i wygodnie oparłam się o miękki fotel. Zamknęłam oczy i próbowałam ułożyć sobie w głowie, co właśnie się stało. Byłam skończoną idiotką. Zdradziecką małpą, ale zarazem czułam się tak bardzo szczęśliwa, jak nie byłam chyba od lat...

Jęknęłam, zakrywając oczy zdrową ręką. Katastrofa. Emocjonalna katastrofa. Za to, w co pakowałam się z każdym kolejnym dniem, powinni mnie chyba ukamienować.

Rozdział 11

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – wydarł się wniebogłosy rozemocjonowany Reżyser i gestem dłoni dał Olafowi znać, żeby przestał kręcić. Następnie wkroczył na plan i podszedł do siedzącej w samochodzie odtwórczyni roli sklepowej. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi do auta.

Widziałam to wszystko aż nader dokładnie, bo stałam na honorowym miejscu, obok ubranej w czarną, obcisłą sukienkę Joannę, mającą wielkie okulary na nosie, która co i rusz popijała kawę, zerkając w jakieś papiery. Oczywiście nawet kiedy pracowała, wyglądała jak gwiazda, która przed momentem opuściła czerwony dywan.

– Ty w ogóle tego nie czujesz! – jęknął Jacuś i złapał się teatralnie za głowę. Kobięcina grająca sklepową wysiadła z auta ze stropioną miną. – W ogóle! Nic a nic! – przeżywał. – Nie czujesz tej pasji, którą masz czuć. Tej żądzы zemsty, tego czającego się w twojej głowie zła, które bierze cię w posiadanie... Tej nienawiści... Na litość boską, pomyśl o swoim wyimaginowanym synu sprowadzanym na manowce, wyobraź to sobie, kobieto! Jesteś tak sztywna, tak... Tak nijaka, że aż mnie to boli! – Reżyser zakręcił się wokół własnej osi. – Rozwała mi to cały kadr.

Joanna spojrzała na mnie i zrobiła tę swoją minę, która oznaczała zarówno złość, jak i usprawiedliwienie wobec Jacusia. No i ból, że Reżyser znowu przez swoje emocje i wizje przerywa naprawdę niezły kadr. I prośbę o wybaczenie, że musi mnie zostawić i wkroczyć do akcji, zanim pokaźnie zbudowana aktorka Jacusia pobije... W ogóle to jej spojrzenie było pełne wszystkich możliwych emocji...

Uśmiechnęłam się wyrozumiale. Joanna natomiast głęboko nabrała w płuca powietrza i wręczyła biednemu Olafowi teczkę z dokumentami.

– Zabiję go kiedyś. Albo ktoś inny zrobi to za mnie – syknęła ze złością, idąc po asfalcie w swoich dwunastocentymetrowych szpilkach niczym rasowa modelka. Widać nie tylko mnie w kontakcie z Reżyserem puszczały nerwy, ale jej, opanowanej i zawsze stojącej po jego stronie, czasem też.

Właściwie, to trochę mnie to pocieszyło, bo znaczyło mniej więcej tyle, że wcale nie jestem jakoś wybitnie porywcza, ale po prostu reaguję na tego człowieka normalnie.

– O co chodzi? – Joanna stanęła po lewej stronie Reżysera i posłała mu zza swoich drogich okularów pełne wyrzutu spojrzenie. – Co tym razem jest nie tak?

– Jezu, Aśka! – Reżyser spojrzał na nią jak na głupią blondynkę. – No przecież widzisz, jak ona gra. Zero zaangażowania, zero pasji. A tu właśnie tej pasji nam trzeba! I to jak najwięcej. Zemsty, żądzы krwi... EMOCJI! A ona wygląda, jakby szła do warzywniaka cebulę wybierać! Tu potrzeba życia!

– O wypraszam sobie! – Kobieta złowieszczo wzięła się pod boki.

Joanna uspokajająco dotknęła jej ramienia i posłała przeproszający, aczkolwiek wystudiowany uśmiech.

– Niech pani tego nie bierze do siebie – powiedziała łagodnie.

– Ale jak nie bierze do siebie?! – jeszcze bardziej oburzył się Reżyser. – Oczywiście, niech pani to weźmie do siebie! I coś zrobi z tą swoją kamienną twarzą, cholera jasna, bo tak się nie da pracować! Jak chciałbym mieć tu manekina albo kukłę, tobym ją sobie, kurna, sprowadził!

Joanna odsunęła się od coraz mniej panującej nad sobą kobiety i przesunęła okulary słoneczne na włosy. Tak, żeby Reżyser mógł dobrze widzieć jej rozwścieczone oczy.

– Przecież jak ona siedzi za szybą i świeci jej prosto w oczy słońce, to żadnej pasji w jej oczach nie będzie w tej scenie widać! Coś ty sobie znowu wymyślił?!

Odtwórczyni roli sklepowej spojrzała na nich niepewnie i wycofała się. Pewnie zauważyła, że nic tam po niej. Joanna, chociaż drobna, szczupła i na szpilkach, wyglądała teraz jak płatny zabójca gotowy do strzału.

– Na rozum ci padło?! – wrzasnęła, wściekle machając ręką. – Czego się jej, do cholery, czepiasz?!

Jacusz popatrzył na Joannę co najmniej zdziwiony i natychmiast zrobił się jakiś taki malutki.

– Ale Aśka... No przecież... No przecież to dla dobra filmu... – bąknął niewyraźnie, za co został obdarowany kolejnym uśmiercającym spojrzeniem.

– Dla dobra filmu?! – krzyczała na niego, jakby nie była sobą. – Dla dobra filmu, tak?! Jak tak dalej pójdzie, to ten film w ogóle nie powstanie przez te twoje urojone fanaberie! Ogarnij się, dobrze ci radzę, bo za chwilę cała ekipa, włącznie ze mną i Olafem, będzie miała cię dość! – rzuciła, a potem na tych swoich cieniuchnych szpilkach zamasyście ruszyła w stronę miejsca, w którym przed chwilą razem stałyśmy.

Ja natomiast zawzięcie lustrowałam wzrokiem zmieniającego się na twarzy Reżysera, który nagle złapał się pod boki i w bojowym nastroju odwrócił się w stronę Joanny.

– I to wszystko przez to, że wczoraj bolała mnie głowa?

Nie tylko ja, ale i cała zgromadzona ekipa zamarła, gdy wypowiedział te słowa.

– Każdy ma prawo być zmęczony, Aśka, a ty odstawiasz potem jakieś sceny!

W Joannie aż się zagotowało. Nie odwracając się, podeszła do stolika obok mnie, złapała z niego papierowy kubek z kawą, a potem z wściekłością cisnęła nim w Reżysera i pokazała mu środkowy palec. Nie zważając na zdziwione miny wszystkich dookoła, dumnie ruszyła na swoich szpilkach w kierunku parku.

Spojrzenia ekipy filmowej i zebranego dookoła tłumu powędrowały natomiast w stronę skaczącego i robiącego z siebie pajaca Jacka, który piszczał wniebogłosy, jakby go właśnie obdzierali ze skóry i próbował porozpinać guziki swojej koszuli.

– Niech mi ktoś pomoże, niech mi ktoś pomoże! Poparzyła mnie! I zniszczyła moją ulubioną koszulę!

Z pomocą przybiegła mu jedna ze statystek. Po zebranych dookoła tłumie rozeszła się fala komentarzy. Ktoś zrobił Reżyserowi zdjęcie. Jeszcze inny zaczął nagrywać telefonem wszystko dookoła.

– Brukowce będą miały użytek – rzuciła do mnie stojąca obok szczupła brunetka i też zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. – Taka informacja i jeszcze zdjęcia to kupa kasy! – pisnęła ucieszona i również podbiegła w stronę Reżysera.

Popatrzyłam to na nich, to na Olafa, który, wiedząc doskonale, że nic już z tych dzisiejszych ujęć nie będzie, właśnie wyłączył kamerę.

– Ludzie to chyba nie mają dzisiaj moralności. Tylko sensacje i sensacje. Cieszą się nawet z cudzej krzywdy – wyrwało mi się.

Olaf powoli odwrócił głowę w moim kierunku.

– O romansie Jacka i Joanny było już głośno, gdy zaczynali ze sobą sypiać. Nie przejmuj się tym za bardzo. Oni przywykli – powiedział wolno i wyraźnie, w wyniku czego wmurowało mnie w chodnik.

W sumie to ciężko mi było powiedzieć, czy to dlatego, że ten ubierający się wciąż na czarno niedźwiedź w końcu się do mnie odezwał, czy z powodu tego, co padło z jego ust.

– Zresztą... – Podrapał się po głowie, kątem oka tak samo jak ja zerkając w kierunku płaczącego teraz Reżysera. – Oni odstawiają takie cyrki średnio co dwa tygodnie. – Wzruszył ramionami. – Pokłóć się, urządzą scenę, a potem im przejdzie.

– I ty mówisz o tym z takim spokojem? Przecież to jest znieczulica na krzywdę ludzką. I dorabianie się na cudzym nieszczęściu.

– Jakim nieszczęściu? Nikt nie umarł, a dzieci tego nie widzą.

– Jakie dzieci?! O matko kochana. Joanny i Jacka?!

– No właśnie ci mówię, że oni nie mają dzieci, więc jedyną krzywdą jest to, że Jacuś się wścieknie, a Joanna popłacze. Wieczorem i tak się pogodzą. Od kilku lat tak jest. Tylko ja, biedny, będę musiał spać dziś w kuchni przez te ich miłosne uniesienia... – zakończył trochę smutno, a potem zaczął pakować sprzęt do czarnych futerałów. – Idziesz na jakąś kawę, czy będziesz tutaj tak stać? – zagadnął mnie jeszcze po kilku minutach.

– A ekipa? – Spojrzałam na niego przerażonym wzrokiem. – A cały ten chaos? A statyści? Zostawiasz ich tutaj samych?

– To są dorośli ludzie, którzy wiedzą, że jak dzieje się coś takiego, oznacza po prostu koniec zdjęć. Zaraz sami się rozejdą.

– Zaraz, zaraz... – Przyłożyłam palce do skroni. – Ale co z filmem? Nie będzie nagrania z rekonstrukcji wypadku?

– Oczywiście, że będzie. Jacek nie zmienia tak szybko swoich wizji. Właściwie, to w ogóle ich nie zmienia. Jedynie trochę modyfikuje. Ale nieczęsto. Rekonstrukcja będzie na pewno.

Wiedziałam, o czym mówi. Pomimo że znałam Jacusia zaledwie kilka dni, to

zdążyłam się już do tych jego wybuchów przyzwyczać.

– Zdjęcia zrobimy jutro i tyle. – Olaf zarzucił sobie na ramię torbę ze sprzętem. – Idziesz na tę kawę czy zostajesz? – powtórzył swoje pytanie.

Popatrzyłam to na jego wyczekującą minę, to na ten rozjuszony tłum, który nijak nie pasował do Jaszczurek. Część statystów zbierała właśnie swoje rzeczy i powoli odchodziła w stronę szkoły. Reżyser zalewał się teraz łzami w ramionach jakiejś drobniutkiej kaskaderki, a tamujący ruch strażnicy miejscy popijali kawę, opierając się o maskę swojego samochodu. Żywo dyskutowali przy tym z moim sąsiadem.

Z niepokojem pokręciłam głową.

– Nie, wiesz co, może ta kawa innym razem – odezwałam się w końcu do Olafa. – Chyba pójdę do parku i poszukam Joanny. Nie powinna być sama w takiej sytuacji.

Olaf popatrzył na mnie tępo i zsunął z głowy na oczy swoje ciemne okulary.

– Jak chcesz, ale ona się wypłacze i sama wróci. Szkoda twojej fatygi. Ja w takim razie zamiast wypić kawę, pójdę się wyspać – powiedział o wiele mniej przyjaźnie niż jeszcze przed chwilą, a potem ruszył w kierunku podwórka Ani.

Ja natomiast na chwilę przymknęłam oczy i kilka razy głośno nabrałam w płuca powietrza. Co za dzień! No po prostu co za dzień! Nie dość, że miałam problemy ze swoimi emocjami (tak, patrz: pocałunek z Markiem i oczekiwanie na Teodora), to jeszcze musiałam rozwiązywać kryzysy zachowującej się jak grupa nastolatków ekipy z telewizji. To z pewnością było ponad moje siły. Miałam w te wakacje w końcu odpocząć, a nie od kilku dni egzystować w chaosie!

Kolejny raz głośno westchnęłam. Wykończy mnie to moje życie. Wykończy jak nic!

No dobrze... Jest źle, okej, ale przecież to tylko chwilowy stan. Na szczęście.

Aby się za długo nad sobą jednak nie użalać, otworzyłam w końcu oczy i zmobilizowałam siły do tego, żeby ruszyć na poszukiwania Joanny.

– Zuzka, Zuzka! – usłyszałam za sobą wołanie Kasi, kiedy oddalałam się w stronę parku. – Dokąd idziesz? – zapytała z troską.

– Poszukać Joanny – odkrzyknęłam w jej stronę. – A! Kasia! Proszę cię, dopilnuj, żeby oni tu wszystko szybko posprząтали, skoro nie będą dziś już kręcić. Droga musi być przejezdna.

– Nie ma sprawy! – Kasia energicznie pokiwała głową i uniosła do góry dwa kciuki na znak, że rozumie.

Posłałam jej promienny uśmiech i ponownie skierowałam swoje kroki w stronę parku, w którym, już po kilku chwilach szukania, odnalazłam skuloną i zapłakaną Joannę. Siedziała w tej swojej obcisłej sukience i szpilkach na wyłożonym betonowymi płytami zejściu do rzeki, a po policzkach spływały jej wielkie jak grochy łzy.

– Mogę? – zapytałam łagodnie, wskazując na miejsce obok niej, w wyniku czego spojrzała na mnie zdziwiona.

– Ty tutaj?

Pokiwałam głową.

– Pomyślałam, że w takiej sytuacji jak ta, przyda ci się wsparcie.

Joanna popatrzyła na mnie z wdzięcznością i ocierając chusteczką kolejne łzy, co na zbyt wiele się jednak nie zdało, bo zaraz z jej oczu popłynęły następne, posunęła się trochę i zrobiła mi miejsce.

– Proszę.

Usiadłam obok niej, uważając przy tym, żeby nie zachwiać się i nie wpaść do wody. Zejście do rzeki było tak strome, że w przeszłości kilkakrotnie już mi się to zdarzyło, a nie byłam dzisiaj w nastroju, żeby to doświadczenie powtarzać. Wolałam skupić się na zapłakanej Joannie, a nie na swoim mokrym ubraniu.

– Statyści i kaskaderzy zebrali swoje rzeczy i wrócili do szkoły. Nie będzie już dzisiaj zdjęć – powiedziałam po chwili milczenia, żeby jakoś zacząć rozmowę. Na twarz padały mi ciepłe promienie wakacyjnego słońca, a szum przepływającej w dole rzeki działał uspokajająco na moje emocje.

– Jacek pewnie wpadł w szal, co? – Joanna znowu wytarła policzki. – To była jego ulubiona koszula.

Spojrzałam na płynącą leniwie rzekę.

– Nie było tak źle. Zaczął skakać jak poparzony, to prawda, ale nikt nie ucierpiał.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Normalnie się tak nie zachowuję. Naprawdę.

Przymknęłam oczy, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli.

– Znam to. Czasem emocje przyćmiewają rozum. To chyba normalne. Zwłaszcza gdy jest się kobietą.

Joanna uśmiechnęła się przez łzy, słysząc moje słowa.

– Po prostu wiesz... – zawahała się i spojrzała na mnie niepewnie.

– Po prostu ci na nim zależy – dokończyłam za nią, czując, że nie chce jej to przejść przez gardło.

Spojrzała na mnie wcale tym niezaskoczona.

– Olaf ci powiedział?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Ale nie miej mu tego za złe. Nie mogłam zrozumieć, czemu ludzie zaczęli nagle wyciągać telefony i robić Reżyserowi zdjęcia. Wyjaśnił mi, że się spotykacie i tyle.

– Zdjęcia uwieczniające taki dramat na pewno dobrze się sprzedadzą – stwierdziła ze smutkiem, a potem, tak samo jak ja, zapatrzyła się na skrzącą się w słońcu rzekę.

Zrobiło mi się jej trochę żal. Każdy człowiek zasługiwał w moich oczach na chociaż odrobinę prywatności.

– Bo wiesz... – Po niedługiej chwili milczenia odezwała się w końcu. – Mamy z Jackiem taki układ: tylko przyjemności, zero zobowiązań.

– Taki otwarty związek wolnych ludzi, tak?

Pokiwała głową i zaczęła ścisnąć w dłoni zmiętą chusteczkę.

– Ta. Jakaś totalna paranoja. Już z daleka czuć, że wymyślił to mężczyzna, nie?

– Niby zero zobowiązań, a tobie naprawdę na nim zależy? – Popatrzyłam na nią

z ukosa.

– Ostatnio coraz bardziej. – Po policzku Joanny znowu popłynęły łzy. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy taka nie byłam... Nigdy się nie wściekałam, że nie ma dla mnie czasu albo wychodzi do klubów z młodszymi. Nie chciałam zobowiązań, pasowało mi to. Ale ostatnio...

– Coś się zmieniło? – podsunęłam jej pełnym zrozumienia głosem.

– Tak. – Znowu pokiwała głową. – Chyba tak. Co za głupota. Kompletnie nie umiem sobie z tym poradzić. Chyba się starzeję, ale chciałabym stabilizacji. Tylko w świecie mediów nie jest to takie łatwe...

W normalnym świecie chyba też nie, pomyślałam, ale nie odważyłam się powiedzieć tego na głos. Jedni pragną stabilizacji, a drudzy szukają szaleństw. O ironio, co?

– Tam zawsze jesteś na cenzurowanym – kontynuowała natomiast Joanna. – A związki są tylko dla picu. Nie mają nic wspólnego z miłością.

– Nie? – Jakoś nie mogłam ułożyć sobie w głowie jej słów.

– No pewnie, że nie. Liczy się to, żeby móc pokazać się z kimś miłym albo przystojnym. Najlepiej jedno i drugie. Oczywiście są od tego wyjątki, ale...

– Ale Jacek nim nie jest?

Joanna spuściła wzrok i pociągnęła nosem. Po jej twarzy znowu pociekły łzy.

– Nie. Ale wcale mu się nie dziwię.

– Jak to?

– Jest młody, przystojny, ambitny... Jego kariera nabiera tempa, wytwórnice filmowe ostatnio aż się o niego biją. Słyszałaś o tym historycznym filmie, który mają zacząć kręcić pod koniec lipca?

– *Wojny napoleońskie*? O tym mówisz?

– Tak.

– Coś mi się tam kiedyś obito o uszy.

– No to Jacek ma go reżyserować. Czaisz? Taki wielki film i taki młody reżyser! W prawdziwym świecie takie rzeczy nie dzieją się za często, a tu masz. Ani on nie ma żadnych znajomości, ani jego rodzice. Ludzie doceniają go za to, że jest dobry w tym, co robi. Propozycje współpracy napływają zewsząd. Jeszcze niedawno musiał się o nie bić, a teraz może odrzucać. Nic dziwnego, że mu odbija. Każdemu by uderzyła woda sodowa do głowy.

– Ale zaraz... – weszłam jej w słowo, bo coś mi tutaj nie grało. – Skoro on jest taki dobry, to dlaczego kręci jakiś głupi, dokumentalny film o wypadku w zabitej dechami wsi?

Na ustach Joanny w końcu pojawił się uśmiech.

– To miały być takie nasze miniwakacje. On jest tutaj przeze mnie. Normalnie moje dokumenty reżyseruje taki Rysiek. Jacek zajmował się tym kiedyś, na początku. Tak się poznaliśmy. Potem odszedł. Mój szef zgodził się, żeby zrobił ten odcinek, bo mamy spadek oglądalności. Szef twierdzi, że nazwisko Jacka przyciągnie więcej widzów.

A skoro Jacek sam to zaproponował, wystarczyło skorzystać z okazji. Może jest ostatnią deską ratunku dla mojego programu.

– Więc dlatego praca przy tym filmie wygląda tak, jak wygląda? – Słowa Joanny zaczęły nagle układać mi się w głowie.

– Tak. Normalnie trwa to dziesięć razy krócej. Nie ściąga się tłumy ludzi z Warszawy i nie odstawia cyrków z przestawianiem drzewa. I kaskaderami.

Nie odpowiedziałam, za to ona znowu głośno westchnęła.

– Sama więc widzisz, że mogę być o niego zazdrosna. Kręci się wokół niego ostatnio tyle kobiet... Chodzi na te wszystkie gale, kolacje, obiady... Tylko czekam, aż wybierze spośród tych chętnych dziewczynek jakąś piękną szesnastolatkę, a mnie rzuci w kąt. Młoda aktorka i dobrze rokujący reżyser. Już widzę te nagłówki w gazetach. Dlatego ostatnio świruję. Nie jestem gotowa na to, żeby go stracić. A ja tak bardzo go kocham... Nawet nie wiem, kiedy się zakochałam. Jeszcze do żadnego faceta czegoś takiego nie czułam. Chyba się starzeję.

W przypiływie ciepłych uczuć objęłam Joannę ramieniem. Było mi jej teraz naprawdę szkoda. Tym bardziej, że kiedy siedziała tak z rozmazanym makijażem na brzegu naszej rzeki, wcale nie przypominała twardej i zaradnej gwiazdki z telewizji. Ale po prostu smutną, zagubioną kobietę.

– Będzie dobrze, nie martw się. Jemu na pewno też na tobie zależy. Nie zostawi cię dla młodszej... – Pogłaskałam ją po plecach i przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, aż tu nagle, za naszymi plecami, pojawił się ubrany tylko w kolorowe spodenki Reżyser.

– Na litość boską, wszędzie cię szukam! – rzucił do Joanny uniesionym tonem, w wyniku czego natychmiast od siebie odskoczyłyśmy i spojrzałyśmy na niego.

Od słonecznych okularów, które miał na nosie, odbijało się słońce, a jego blada i wątła klatka piersiowa była tak podrapana, jak gdyby rzucił się na niego jakiś wściekły kot.

Joanna pierwsza zareagowała na ten widok i zerwała się na równe nogi.

– Co ci się stało?

– Przedzierałem się przez ten gąszcz, żeby cię odnaleźć, nie? – Spojrzał na nią z wyrzutem i kilka razy przeżuł gumę.

W oczach Joanny znowu zebrały się łzy. Widać już zupełnie przeszła jej złość, bo przytuliła się do niego całym ciałem i objęła rękami za szyję.

– Biedactwo moje... – wyszeptała, z ustami tuż przy jego uchu.

Reżyser widać też nie zamierzał długo się na nią bocyć, bo objął ją w pasie, uśmiechnął się, wypluł na bok gumę do żucia, a potem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, zaczęli namiętnie się całować.

Patrzyłam na ten obrazek z uśmiechem jeszcze przez kilka chwil, aż w końcu podniosłam się i bez słowa ruszyłam wzdłuż rzeki w kierunku Jaszczurek. Nie było sensu przeszkadzać im w okazywaniu sobie miłości, skoro konflikt został zażegnany.

Szłam do domu i rozkoszowałam się świeżym, letnim powietrzem. Mimowolnie zaczęłam myśleć o pocałunku z Markiem. Na samą myśl o nim wzdłuż mojego kręgosłupa rozszedł się przyjemny dreszcz. Już od kilku lat nie doświadczałam takiej namiętności i zrobiło mi się trochę smutno. Chociaż to uczucie mógł spowodować też fakt, że w pewnym sensie zdradziłam Ludwika i nie miałam z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Boże...

Przecież to oznaczało, że ja naprawdę jestem okropną żoną. Czepiałam się go za to, że nie poświęca mi ostatnimi czasy zbyt wiele uwagi, a co ja robiłam? Całowałam się z obłądnie przystojnym wuefistą jak gdyby nigdy nic! I to we własnym domu, pod dzielonym z Ludwikiem dachem!

Okej. Wcześniej podjęłam wiele prób, żeby odzyskać zainteresowanie Ludwika, które na wiele się nie zdały, ale...

Nawet nie zauważyłam, kiedy dotarłam na swoje podwórko. A tam czekało na mnie kolejne zamieszanie. Ale w sumie czego ja się spodziewałam? Chwili spokoju? Przecież biorąc pod uwagę to, jak pełne absurdalnych wydarzeń było ostatnio moje życie, powinnam się do tego przyzwyczaić. Prawda?

Chyba potrzebowałam też wizyty u psychologa.

Rozdział 12

– O, Zuzka, Zuzka! – Ludwik pomachał w moją stronę. Stał przy samochodzie i mocował się z jakimś dziwnym sprzętem. – Dobrze, że jesteś. Chodź tutaj mi pomóc!

Zbliżyłam się do niego ostrożnie, bo nie wiedziałam, czy przeszła mu już poranna złość. Jak się okazało, moje obawy były zbyteczne. Małżonek nie warknął na mnie ani nie krzyknął. Chociaż jeśli mam być szczerą, to on nigdy tego nie robił. Nawet, kiedy był naprawdę wściekły, wyrażał swoje zdanie spokojnym i opanowanym głosem.

– Co się stało? – zapytałam i podeszłam do niego. Dopiero teraz dotarło do mnie, że siłuje się z wózkiem Teodora.

– Cześć Zuzanna – odezwał się nieśmiało do mnie z samochodu mój wybawiciel.

Posłałam mu ciepły uśmiech.

– Cześć, wszystko w porządku?

– No właśnie nie! – wysapał Ludwik. – Siłuję się z tym ustrojstwem już dobre piętnaście minut i za nic w świecie nie mogę tego otworzyć! Pewnie wcisnęli mi w szpitalu jakiś szajs i teraz męcz się, człowieku.

– W szpitalu jeździł – zauważył Teodor. – Tylko potem pielęgniarz go złożył, bo inaczej nie zmieściłby się do bagażnika.

Przyjrzałam się uważnie wózkowi i dotknęłam ramienia Ludwika.

– Pokaż mi to. Może ja spróbuję.

Ludwik odetchnął zdenerwowany, ale w końcu ustąpił mi miejsca przy leżącym na ziemi wózku.

– Spróbuj, ale wątpię, że ci się uda. – Wyciągnął z kieszeni telefon. – Może poszukam w internecie jakiejś instrukcji obsługi.

Ja natomiast spojrzałam to na siedzącego z wyciągniętą nogą na tylnym siedzeniu Teodora, to na wózek i uśmiechnęłam się z wyższością.

– No przecież to jest proste – powiedziałam, kiedy mój mąż zajęty był szukaniem instrukcji obsługi. – Spacerówka Marcela rozkładała się podobnie – mruknęłam, a potem przytrzymałam nogą jedną część, a za drugą mocno szarpnęłam i wózek pięknie się rozłożył.

Ludwik spojrzał na mnie zszokowany, a Teodor uśmiechnął się z uznaniem.

– Tylko załóż tutaj o... – Wskazałam na nieduże, metalowe elementy. – Te klapki, żeby zablokować.

– Mam żonę geniusza – bąknął zdumiony Ludwik.

Razem z Teodorem roześmialiśmy się głośno. W tym momencie przypomniałam sobie, że mieliśmy dokładnie takie samo poczucie humoru i zawsze rozumieliśmy się bez słów. Naprawdę rozbawił nas fakt, że rozłożenie wózka było dla Ludwika oznaką geniuszu.

– No, gotowe. – Ludwik przerwał moje rozmyślenia. – Otwórz drzwi wejściowe do

domu, a ja pomogę Teodorowi usiąść na wózek.

Tym razem to ja posłusznie wykonałam jego prośbę i już za chwilę popychany przez Ludwika Teodor znalazł się w naszym domu.

– Ładnie mieszkanie – powiedział z uznaniem, kiedy Ludwik przetransportował go do salonu. – Widać, że to dom urządzone z pomysłem.

Popatrzyłam na niego niby z wdzięcznością, ale przez moją głowę przemknęło pewne wspomnienie. Siedzieliśmy kiedyś na sianie w stodole u moich rodziców i trzymaliśmy się za ręce. Przed nami rozciągał się teren, na którym znajdował się teraz ten dom, a niegdyś sad. Wyobrażaliśmy sobie, że kiedyś wybudujemy się właśnie tu. Stworzymy dom dla nas i gromadki dzieci. Choć myślałam, że jestem pogodzona ze swoim losem, a zwłaszcza ze związaną z Teodoreem przeszłością, trochę mnie to wspomnienie zakłuło.

– Będziesz mieszkał w takim niedużym pomieszczeniu pod schodami – wyjaśnił Teodorowi Ludwik i odłożył jego torbę na fotel. – Nie możemy zaproponować ci niczego lepszego, bo mamy dom pełen ludzi i...

– Na pewno będzie mi tam dobrze – przerwał mu Teodor. – I tak nie spodziewałem się tego, że zostanę przez was otoczony opieką. To samo w sobie jest już wielkim luksusem. Dziękuję.

Popatrzeliliśmy z Ludwikiem na siebie.

– To ja może zaniosę tę torbę do tamtego pokoju – mruknął mój ślubny, by nie dopuścić do dalszych podziękowań.

– A ja zrobię coś do picia. – Uśmiechnęłam się do Teodora. – Czego sobie życzysz? Wodę z lodem i cytryną? Lemoniadę, którą sama robiłam?

– Może być lemoniada. Przez jazdę samochodem w taki upał usycham z pragnienia.

– Okej – przytaknęłam i przeszłam do kuchni, żeby nalać nam do szklanek chłodnego napoju. Cały czas obserwowałam Teodora znad oddzielającego kuchnię od salonu blatu.

Cholera! On nadal był zabójczo przystojny. Może nie tak, jak w czasach, kiedy spotykaliśmy się w młodości, bo mocno zmężniał, ale... No właśnie! Przez te drobne zmarszczki wokół oczu wydał mi się jeszcze bardziej pociągający niż wtedy. Dodawały mu pewnej elegancji, ale wskazywały też na dojrzałość. No i kiedy się uśmiechał, wydawał się tak samo uroczy, jak wtedy, gdy się spotykaliśmy. A może nawet i bardziej.

– Ej, Zuzka. Mówię do ciebie! – oderwał mnie od gapienia się na niego jego rozbawiony głos.

Nerwowo potrząsnęłam głową. Już drugi raz tego dnia poczułam się jak przyłapaną na gorącym uczynku dziewczynka. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze wejdzie mi to w nawyk!

– Mówiłem, że masz tutaj tak, jak zawsze chciałaś. Przestronny, przeszklony z dwóch stron salon, którego okna wychodzą na dom twojej mamy i na podwórko.

Kolejne zrealizowane dziecięce marzenie – wyjaśnił, widząc moje zakłopotanie.

Pokiwałam głową i wzięłam z blatu tackę ze szklankami z lemoniadą. Przeszłam do salonu, usiadłam na kanapie i postawiłam napoje na stół.

– Tak, to prawda. Architektka, która projektowała nam ten dom, nie miała ze mną łatwo – zażartowałam, nie chcąc poruszać z nim żadnych związanych z przeszłością tematów. Teraz nie było to ani odpowiednie miejsce, ani dobry czas.

Teodor wziął ze stołu jedną ze szklanek i upił duży łyk.

– Dobra. – Obdarzył mnie uśmiechem. – Sama robiłaś?

– Razem z Marcelem.

– Kim?

– Z moim czteroletnim synkiem – wyjaśniłam. – Pomagał mi wyciskać cytryny. I wrzucać do środka kardamon. Ania nie mówiła ci, że mam dziecko? Nie wiedziałaś o tym?

Wesoły wyraz jego twarzy jakby przygasł, kiedy usłyszał moje słowa.

– Długo nie było mnie w Polsce. A potem prawie od razu znalazłem się tutaj. Nie miałem zbyt wiele czasu, żeby z nią o tobie porozmawiać. Wiedziałem tylko, że wyszłaś za męża i mieszkasz po sąsiedzku. Tyle powiedział mi Jurek, a potem Ania. O resztę chciałem zapytać już ciebie.

– A media społecznościowe? – podsunęłam, zanim ugryzłam się w język. Trochę nie mieściło mi się w głowie, że w dobie internetu nie podglądał, co się ze mną działo, no ale przecież nie musiał. To ja miałam swojego czasu dość dużą obsesję na jego punkcie. W przeciwieństwie do niego, bo przecież to on bez żadnego wyjaśnienia zostawił mnie z pierścieniem zaręczynowym na palcu. Byłam po prostu kimś, kogo się nie kocha i już.

Teodor nie odpowiedział mi od razu. Przez chwilę jakoś tak pusto patrzył w okno.

– Służyłem w Afganistanie, Zuzka. Zostałem ranny, a potem długo się leczyłem. Nie miałem czasu bawić się w Facebooka – powiedział, a ja, jak to ja w takich nerwowych i zaskakujących sytuacjach, zamiast powiedzieć coś mądrego i zareagować jak dorosła kobieta, wylałam na siebie lemoniadę.

Teodor patrzył na mnie, kiedy zrywałam się z kanapy i odstawiałam szklankę na stolik.

– Przepraszam cię bardzo, nie wiem, co mi się stało. – Posłałam mu przelotne, przepraszające spojrzenie. Próbowałam w dość chaotyczny sposób uratować swoje mokre ubranie, po którym wilgoć rozprzestrzeniała się z prędkością światła.

– Nie ma sprawy... Nie wiem, mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, nie, no coś ty. – Zaczęłam kręcić głową. Odkleiłam od ciała zalaną bluzkę i spojrzałam w kierunku łazienki. – Muszę się przebrać. I od razu to zapiorę. Przepraszam na chwilę – bąknęłam, a potem wyminęłam go i zamknęłam się w łazience.

– Coś się stało? – Kiedy zdejmowałam przez głowę mokrą bluzkę, dobiegł mnie

jeszcze głos pojawiającego się w salonie Ludwika.

– Zuzka oblała się lemoniadą. Poszła się przebrać.

– Każdemu się zdarza. Nawet takiej wspaniałej kobiecie jak ona – odpowiedział Teodorowi Ludwik, a potem zaczęli rozmawiać na jakieś luźne, męskie tematy.

Ja natomiast zdjęłam również spodenki, wrzuciłam je do umywalki tak samo, jak bluzkę. Zatkałam odpływ i zaczęłam napełniać do niej wodę. Oparłam zdrową dłoń o umywalkę, spuściłam głowę i wsłuchałam się w kojący szum. Teodor zniknął, a potem był w Afganistanie. Naraził życie, w każdej chwili mógł umrzeć, był ranny. A potem wrócił i musiał się leczyć. Następnie pojawił się z powrotem, tuż za moim płotem, jak gdyby nigdy nic. I po tym wszystkim co przeżył, uratował mi życie.

Zalała mnie fala gorąca i nogi się pode mną ugięły. Czy Anka i Jerzy o tym wszystkim wiedzieli? Jerzy na pewno, ale Anka? Dlaczego mi nie powiedzieli? Dlaczego nie mówili mi o tym przez cały czas. Dlaczego ja o tym wszystkim nie wiedziałam?!

Zrobiłam głęboki wdech.

Ludwik powiedział, że jestem wspaniałą kobietą.

Umywalka już prawie napełniła się wodą.

Całowałam się z Markiem. A mam kochającego męża. Który co prawda trochę mnie zaniedbywał, ale zawsze przy mnie był i z uporem powtarzał, że mnie kocha.

To był tak obłądny pocałunek, że nadal kręciło mi się w głowie na samą myśl o nim. Jeszcze chyba nigdy nikt tak mnie nie całował.

Zamknęłam oczy, jeszcze bardziej wsłuchując się w ten kojący szum.

Wyszłam za mąż za Ludwika, bo wierzyłam, że wyleczyłam się ze swojej miłości do Teodora i pogodziłam się z jego odejściem. A teraz on wrócił.

Poczułam, że moja ręka robi się mokra, a po brzegach umywalki zaczyna ściekać woda. Niedobrze!

Szybko zakręciłam kurek i spojrzałam w wiszące nad umywalką lustro. Popatrzyłam na swoje rude, okalające głowę loki, a potem prosto w oczy. Boże, co ja najlepszego robiłam!

Znowu opuściłam wzrok na umywalkę. Wzięłam kolejny głęboki wdech. Nie zasługiwałam na bycie z Ludwikiem.

Wypuściłam powietrze.

Na wspomnienie pocałunku z Markiem po moim ciele rozszedł się elektryzujący dreszcz.

Znowu nabrałam powietrza.

Teodor uciekł ode mnie i zaciągnął się do wojska. Pytanie tylko dlaczego? Zawsze był męski, ale nigdy mi o tym nie mówił.

Powoli powtórzyłam cały ten cykl z uspokajającym oddychaniem jeszcze raz. I jeszcze. Tak, jak uczył kiedyś dzieciaki w mojej szkole ubrany w garnitur facecik od relaksacji.

Niestety, zamiast pomóc, to proste ćwiczenie wywołało w mojej głowie jeszcze większy chaos. Chociaż może nie? Może rzeczywiście pomagało w poukładaniu sobie tego wszystkiego?

Jak by jednak nie było, wiedziałam teraz na pewno tylko jedną rzecz. Trzech facetów to zdecydowanie za dużo. Ta cała sytuacja, w którą nieświadomie się wpakowałam, coraz bardziej przestawała mi się podobać. Zaczynała emocjonalnie po prostu mnie przerastać.

Rozdział 13

Następnego dnia, kiedy to po obudzeniu się obok chrapiącego w najlepsze Ludwika doszłam ze swoimi emocjami do względnego ładu i zajęłam się robieniem dla tłumu domowników śniadania, odwiedziła mnie rozemocjonowana Anka. Wpadła do kuchni ubrana w zwiewną bluzkę i krótkie spodenki. Miała rozwiane włosy oraz rumiane od biegu policzki.

– Boże, Zuzka, no dramat. Katastrofa! – obwieściła, siadając na stołku przy barku, kiedy wybijałam na patelnię kolejne jajka. – Kiedyś nie wytrzymam i rzucę swoje życie w cholerę!

Popatrzyłam na nią zaniepokojona tym wyznaniem.

– Coś nie tak z mamą? Z filmowcami? Wieś znowu atakuje?!

– Gdzie tam, Zuzka! Z nimi to ja mam święte życie, naprawdę! Nawet w tej zapyziałej wsi – jęknęła, opierając łokcie o blat.

Uniosłam brew. Mojej siostrze udało się mnie zaskoczyć.

– Z mamą też?

– Z mamą, z mamą! – Popatrzyła na mnie z wyrzutem. – No dobra, z nią może nie zawsze, ale nie w tym rzecz! Pani Dla Wszystkich rozwaliła mi się na schodach z tobołami i dzieckiem, i ogłosiła, że nigdzie nie idzie – wypaliła w końcu z bezradną miną.

Słowo daję, że gdybym miała teraz coś w ustach, to chyba bym się tym zakrztusiła.

– Naprawdę? – udało mi się wydukać. – Myślałam, że ona się tak tylko odgraża... Że to, wiesz, takie groźby bez pokrycia.

– No mówię ci przecież! Wypisali ją i przyszła. I tak lekarka przytrzymała ją na porodówce dłużej, ale ile można? – Anka popatrzyła na mnie i pokręciła głową. – Ja nie wiem, co mam zrobić, Zuzka, po prostu nie wiem. Nie mam serca kazać jej wracać do tego...

– Domu – podsunęłam, wycierając sprawną rękę w ścierkę.

– Gdzie tam domu! – Anka uniosła głos. – To ruina, a nie dom! Znowu temu pijaczynie prąd odcięli.

– Co?

– No mówię przecież. Znowu będę musiała wyłożyć ze swoich i jechać się kajać do urzędu. Jakbym to nie miała własnych problemów... Ja nie mam już do tego pijaczyny siły, Zuzka. Pół tony gołębich odchodów, cały ganek rozebrany, szyby potłuczone, ciemno jak w grobie... No to nie są warunki dla matki i dziecka. Jaka by ta matka nie była.

– Mówiliśmy ci już dawno z mamą, żebyś go stamtąd wyrzuciła i wynajęła ten dom komuś innemu.

– Ta – prychnęła Anka. – A kto by chciał mieszkać w takiej ruinie? Przecież wiesz, że

to się nadaje teraz już tylko do wyburzenia. Już dawno powinniśmy umieścić tam tabliczkę, że grozi zawaleniem.

Pomieszałam ścinające się jajka i dorzuciłam do nich przygotowany wcześniej szczypiorek.

– Porozmawiaj z Jerzym i sprzedajcie tę działkę. Od wieków macie z nią tylko problemy. Na co to trzymać?

– Nie wiem sama. Jak zasugerowałam to kiedyś Jurkowi, to powiedział, że biednieć od tego nie biedniejemy, a może się kiedyś przyda. Dla Zosi, Pawełka albo tego maleństwa. – Ania pogłaskała się po brzuchu, ale szybko wróciła do poprzedniego tematu. – Co ja mam zrobić z tą kobietą? Poradź mi, Zuzka, bo pod dach to na pewno jej nie przyjmę. Ledwo się sami mieścimy w tych kilku pokojach. A w mieszkaniu przy szopie filmowcy!

– Cóż... – Wyłączyłam gaz pod patelnią i przysiadłam się do Anki. Miałam świadomość, że to naprawdę jest duży problem, który trzeba finalnie jakoś rozwiązać, bo Pani Dla Wszystkich nie może przecież mieszkać na schodach. – Ja ci niestety nie pomogę. U mnie już więcej ludzi się nie zmieści.

– Wiem, wiem. – Ania spojrzała na mnie ze zrozumieniem. – Ja w ogóle nie miałam na myśli tego, żebyś ty ją do siebie przyjmowała, Zuzka. Nie dość, że mieszka u ciebie Kasia, Marek, to teraz jeszcze i Teodor. Z ciebie i tak już stanowczo za dobra samarytanka. Ludzkie miłosierdzie też musi w końcu mieć jakieś granice. Po prostu przysłałam z nadzieją, że może wymyślisz, komu mogłabym ją...

– Podrzucić. – Uśmiechnęłam się jakoś bez entuzjazmu. – No pewnie. Rozumiem, co miałaś na myśli – powiedziałam i zamyśliłam się na moment. Podobnie zresztą jak Anka.

Cóż... No nie była to prosta sprawa, skoro w mieszkaniu Anki komplet, u mnie komplet, w szkole komplet...

– Wiem! – Z entuzjazmem uniosłam w końcu w górę dwa palce i podskoczyłam energicznie.

Ania popatrzyła na mnie z nadzieją.

– Podrzucimy ją ciotce Halinie! – oznajmiłam z dumą i przesadną radością.

Anka zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Że możemy tak po prostu wywieźć ją do Sosenek? – zapytała niepewnie.

– No a czemu nie? – Spojrzałam na nią, bo dla mnie to, że możemy, było aż nadto oczywiste. – Przecież od kilku lat ciotka z wujem mają chatę wolną – powiedziałam.

Anka chyba jednak nadal nie była zbyt przekonana co do tego mojego pomysłu.

– Ale Zuzka... Wiesz, jaka jest ciotka.

Wysiliłam się na uśmiech. No niestety, wiedziałam. Ciotka Halina była najbardziej władczą i ekscentryczną osobą, jaką obie z Anką znałyśmy. Mało tego! Ona słynęła z tych dwóch cech na całą okolicę.

Fakt był jednak taki, że jako jedyna z naszej rodziny miała w tym momencie wolny dom, do którego mogłaby kogoś przyjąć. A do tego nad podziw wielkie serce, co, w połączeniu z jej charakterem, stanowiło czasem mieszanekę naprawdę wybuchową, o czym przekonałyśmy się z Anką ponownie jeszcze tego samego popołudnia. Po krótkim nakreśleniu przeze mnie problemu siostry, ciocia zgodziła się bowiem przyjmując Panią Dla Wszystkich pod swój dach i otoczyć ją opieką. Mało tego! Postanowiła również, że żeby nie dokładać samotnej chwilowo Ani problemów, razem z wujem Henrykiem osobiście po Panią Dla Wszystkich i dziecko przyjadą, w wyniku czego w okolicach obiadu ich niebieska, siedmioosobowa mazda znalazła się na moim podwórku.

– Ciocia, wujek! – rzuciłam się w ich stronę, kiedy tylko wysiedli. – Tak dobrze was widzieć!

– Mieszkamy tak blisko, a tak trudno się spotkać. Prawda Zuzanko? – Wujek się roześmiał i ucałował mnie w oba policzki.

– Jak ktoś ma duży tyłek i trudno mu wyjść z domu, a do tego miga się jeszcze od kontaktów rodzinnych, to potem tak jest, że rodzinę widzi się od święta – zaszcebiotała cioteczka, chwytając mnie w ramiona. Właściwie, to nie wiem, kogo miała na myśli, kiedy mówiła o tym dużym tyłku, ale taka właśnie była ciocia Halina. Czasem nie dało się za jej pokręconą logiką po prostu nadażyć.

Wuj Henryk wyrócił oczami.

– I jak tu pokazywać się publicznie z taką małżonką – mruknął, czego ciotka na szczęście nie usłyszała, bo teraz była zajęta ściskaniem Ludwika.

– Powiem ci, Zuzka, że po tobie tego nie widać, ale twój mąż to w oczach się starzeje po prostu! Powinnaś obejrzeć się za młodszym – zażartowała, przenosząc na mnie swoją uwagę. Mimowolnie pomyślałam o wspaniale całujących ustach Marka. Co prawda był od Ludwika minimalnie starszy, ale...

Dość!

– To co, wejdziecie do środka? – zaproponował wujostwu Ludwik, ignorując słowa ciotki.

– Chętnie. – Wuj Henryk się uśmiechnął.

– Chętnie?! – Małżonka natychmiast spiorunowała go wzrokiem. – Co ty gadasz, Henryk?! Jakie chętnie? Bierzemy to nasze niezaradne życiowo kobiecisko i jedziemy do Sosenek. Iwonka dzisiaj na kolację przyjeżdża. Z mężem i dziećmi! – ogłosiła. Mówiła o swojej jedynej córce, która po rozwodzie przeprowadziła się do siedliska na Mazurach.

– Z Jareczkiem? – Spojrzałam na ciotkę.

Ciotka energicznie pokiwała głową.

– Żaden z niego Jareczek. Jaruś! – poprawiła mnie. – Odkąd się pobrali, poszłam w odstawkę. A jak jeszcze Agatka się chajtnie, to już w ogóle wszyscy z tej rodziny o mnie zapomną.

Wuj Henryk miał chyba trochę inne zdanie na ten temat.

– Ty lepiej, Zuzanno, ciotki nie słuchaj. Agatka nie planuje jeszcze żadnego ślubu. Po prostu się zakochała.

– No ale to już chyba pierwszy krok do tego, żeby niedługo paradować z mężem, tak?

– postanowiła bronić swojego zdania ciotunia. – Deformujesz takim głupim gadaniem nasze życie rodzinne!

Wuj Henryk popatrzył na mnie znacząco, pokręcił głową, ale nic już nie powiedział.

– Jak by jednak nie było, cieszę się, że u Agatki wszystko w porządku – mruknęłam.

Ciotka energicznie pokiwała głową, przyznając mi rację.

– Prawda, prawda. Tylko żeby ten rozwód, którego dopuściła się Iwonka, nie stał się u nas w rodzinie jakimś trendem, bo więcej takiego stresu nie zdzierzę!

Wysiliłam się na uśmiech, chociaż nie powiem, gdzieś w środku coś mnie jednak zakłuło.

– Naszej Martusi też się wszystko poukładało – kontynuowała jednak swoje wywody ciotka. – Zabrała dzieciaki i wyprowadziła się do starego młyna do dyrektora. A też się martwiliśmy, że ona panna! Z dwójką dzieci, co prawda, ale jednak panna. A teraz trzecie w drodze! W końcu ich wspólne! Tak że widzisz, Zuzanko – ciotka westchnęła przesadnie ciężko – same wydatki...

Wuj Henryk znowu wywrócił oczami, w wyniku czego musiałam mocno ze sobą walczyć, żeby nie zachichotać.

– To może pójde porozmawiać z Ludwikiem... – bąknął cicho, ale ciotka natychmiast mocno szarpnęła go za ramię.

– Dokąd?! – warknęła. – Nigdzie nie idziesz. Ktoś musi przecież pozanosić do samochodu bagaże tej biednej, samotnej kobiety. Ja na pewno nie będę tego robić. Od czegoś w końcu cię mam.

– To może ja pomogę... – nieśmiało zaoferował Ludwik.

– A po co?! – Ciotka bojowo oparła dłonie na biodrach i krzywo spojrzała na mojego męża. – W tej rodzinie jest już jeden mężczyzna. Prawda Henryku?

Wuj nie miał wyboru i od niechcienia pokiwał głową.

– No! – Ciotka zaklasnęła w ręce uszczęśliwiona. – To chodźmy po tę kobietkę do Anki, chodźmy! Na pewno biedulka chce odpocząć po porodzie, a tu jej każą siedzieć na schodach... – powiedziała, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy kiedy ciotka zobaczy Panią Dla Wszystkich, nadal będzie dla niej taka serdeczna.

I jak się okazało już za chwilę, moje obawy nie były bezpodstawne. Kiedy tylko ciotka zobaczyła swoją nową podopieczną, krew się w niej zagotowała.

– No ja bardzo przepraszam, ale to ma być matka?! – jęknęła teatralnie, lustrując wzrokiem od stóp do głów biedną Panią Dla Wszystkich. Młoda matka na swoje nieszczęście, i mimo całkiem pokażnej tuszy, ubrana była w króciutką minispódniczkę ledwie zasłaniającą jej pupę, znad której wylewało się stanowczo za dużo tkanki tłuszczowej, czarne kabaretki i pokryty cekinami top. Paznokcie miała do tego długie

jak szpony, makijaż stanowczo za mocny (nie wspominając o tym, że robiła go sobie chyba bez patrzenia w lusterko), a na ramiona spływały jej tlenione blond włosy.

Dla kontrastu trzymała na rękach różowe zawiniątko z zaledwie kilkudniową córeczką.

– Nie no... – ponownie jęknęła ciotka, kiedy nie usłyszała żadnej reakcji z mojej i wuja strony. – Ten dwudziesty pierwszy wiek to mnie kiedyś zabije. Jak to tak można?! W takim stroju?! Do dziecka?!

Tym razem Pani Dla Wszystkich uraczyła ciotkę zdziwionym spojrzeniem. Widać nie za bardzo wiedziała, biedulka, o co ciotce właściwie chodzi.

– Ale co jest nie tak z moim ubraniem? – zapytała dość tępo. – Przecież ładnie wyglądam. To moja najlepsza bluzka. Specjalnie się dzisiaj tak wystroiłam, żeby dobre wrażenie zrobić. O co pani chodzi?

– W imię Ojca i Syna... – Ciotka przeżegnała się, słysząc jej słowa. – O to mi chodzi, dziewczyno – zwróciła się do Pani Dla Wszystkich – że ty jak kurtyzana z domu publicznego wyglądasz. A nie jak matka!

Pod wpływem ostrych słów ciotki Haliny załała mnie fala gorąca. Chyba oddanie Pani Dla Wszystkich właśnie pod jej skrzydła nie było takim znowu dobrym pomysłem. Przecież one we dwie w jednym domu to się chyba pozabijają!

I kiedy już chciałam zareagować i jakoś całą tę sytuację odkręcić, stała się rzecz przedziwna. Pani Dla Wszystkich, pod wpływem dosadnej wypowiedzi ciotki Haliny, zamiast zareagować agresją, najzwyczajniej w świecie się rozplakała.

– A pani myśli, że ja od dziecka marzyłam, żeby tak się ubierać i zarabiać na życie jako kobieta do towarzystwa? – Tuląc do siebie zawiniątko, popatrzyła na ciotkę załzawionymi oczami. – Czasem po prostu nie ma wyjścia, droga pani. Czasami życie nie układa się tak, jak byśmy chcieli... – zaszlochała.

Ciotka spojrzała na mnie z wyraźną konsternacją (prawdę powiedziawszy ja też nie wiedziałam, jak się zachować), ale w końcu pokiwała głową i podeszła do biednej Pani Dla Wszystkich. Przysiadła obok niej i mocno przytuliła dziewczynę.

Wuj Henryk natomiast zbliżył się do mnie.

– Ona taka już jest, ta moja Halinka. Charakter ma potwornie trudny i niejednego tym swoim gadaniem wpędziłaby do grobu, ale w gruncie rzeczy to dobra kobieta. Tylko brakuje jej wyczucia. Ot co.

Doskonale wiedziałam, o czym wujek mówi. Z uśmiechem popatrzyłam na rozgrywającą się właśnie przede mną wzruszającą scenę. Być może byłam świadkiem metamorfozy Pani Dla Wszystkich w porządną kobietę. Muszę wyznać, że ta myśl naprawdę ścisnęła mnie za serce.

– Nie płacz, już nie płacz, dziecko – pocieszała natomiast Panią Dla Wszystkich ciotka. – Tu nie ma co płakać! Tu się trzeba za siebie wziąć. I tyle! O, à propos brania! – Puknęła się w głowę i spojrzała na wuja Henryka. – Co tak stoisz jak kołek? Weźże te bagaże i zanieś do samochodu! Na co czekasz?!

Wuj Henryk jak na komendę spuścił wzrok, wziął stojące pod schodami torby Pani Dla Wszystkich i posłusznie zaniósł je do samochodu.

– No – sapnęła zadowolona ciotka. – A jak ty właściwie masz na imię, dziecko? – ponownie zwróciła się do ocierającej łzy kobiety.

– Mariola – odpowiedziała tamta.

– I bardzo dobrze. A ty chodź Mariola do tego samochodu, bo ciebie ten mój mężulek raczej nie zanieś. W krzyżu mu ostatnio strzyka, a ty na leciutką nie wyglądasz. Ale spokojnie, spokojnie. Ja ci dietę ułożę, to schudniesz. Lekarz mi ostatnio tłumaczył, co trzeba jeść, bo mnie od nadwagi pobolewają kolana. Po pierwsze wyeliminujemy gluten, kochanie!

Mariola spojrzała na ciotkę z wdzięcznością.

– Naprawdę? – Zrobiła rozanielone oczy, nie do końca rozumiejąc jednak, o co chodzi z tym glutenem.

Ciotka pokiwała głową.

– No pewnie! To nic trudnego. Trzeba też ograniczyć cukry i tłuszcze. Ale ja ci to już wszystko wytłumaczę po drodze do domu. – Zadowolona z siebie ciotka podniosła się z miejsca i pomogła wstać chwiejącej się na cieniuchnych szpilkach Pani Dla Wszystkich.

– Odprowadzę was – zaproponowałam wspaniałomyślnie, a potem uściskałam wuja i ciotkę na pożegnanie, pomogłam Mariolę i dziecko zapakować do samochodu, a kiedy pojechali, zamknęłam za nimi bramę.

Moja ciotka jest fenomenalna. Niemiła i arogancka, a jednak wszyscy lgną do niej bardziej niż myszy do sera. Może rzeczywiście coś jest w stwierdzeniu, że szczerść popłaca?

Nieważne.

Tak czy siak, udało mi się rozwiązać problem Anki i to jeszcze tego samego dnia, w którym realnie zaistniał. I kiedy zadowolona zamknęłam już bramę i radosnym krokiem wracałam do domu, nagle zrobiło mi się jakoś tak przykro. Dlaczego rozwiązywanie cudzych problemów szło mi o wiele łatwiej niż moich? To wcale nie było sprawiedliwe...

Rozdział 14

Podczas wystawnej kolacji, nad przygotowaniem której ślęczałam chyba z godzinę, mój mąż oświadczył, że wyjeżdża. Z kolegami. Bo ma wakacje. Szukać skarbów. Na trzy dni. Oczywiście nie zapytał mnie o zdanie. Po prostu ogłosił ten fakt. Bo przecież mu wolno, tak?

– No bo nie ukrywajmy, Zuzka, ty masz teraz tutaj lepszą opiekę, niż gdybym ja sam się tobą zajmował. A jak trochę od siebie odpoczniemy, to tylko dobrze nam to zrobi. Obojgu. – Popatrzył na mnie niepewnie, kiedy o mały włos nie zabiłam go wzrokiem. – Jest tutaj Kasia, Marek, Teodor... Doborowe towarzystwo, można powiedzieć. Po tych dramatycznych zdarzeniach ostatniego czasu przyda nam się trochę odpoczynku. A jak wrócę, to do końca wakacji będziemy przecież razem.

Odłożyłam na talerz trzymany w ręku widelec, żeby w afekcie czasem nim w Ludwika nie rzucić! Jakże odpoczniemy od siebie? Co on znowu wymyślił? Jak gdybyśmy nie odpoczywali od siebie cały czas! Bo jego ciągle nie ma. I w ogóle o jakim on mówi odpoczynku? To, że pojedzie sobie beztrudno hasać po lasach, oznacza tylko tyle, że ja będę tutaj jeszcze ciężiej harować! A to ja zostałam poturbowana w wypadku. Nie on! To ja ucierpiałam!

– Nie no, ja właściwie uważam, że to nie jest taki zły pomysł – po długiej chwili milczenia odezwała się Kasia i spojrzała na mnie, czując, że jeśli nie zainterweniuje, to zaraz rozpęta się awantura. – Jeszcze przez kilka dni pomieszkają tutaj filmowcy, więc i tak będziesz zajęta... A Ludwik wróci raz-dwa i resztę wakacji spędzicie razem, nie?

Nie widząc żadnej reakcji z mojej strony, Kasia przeniosła wzrok na Ludwika.

– No co? – wzruszył tylko ramionami.

Kasia przełknęła ślinę i znowu spojrzała na mnie. Tym razem bezsilnie.

– Zaopiekujemy się tobą lepiej niż on. Słowo. Nie musisz się niczym martwić. Jak chcesz, to ja mogę sama w tym czasie gotować... I w ogóle.

Wysiliłam się na uśmiech. Doskonale wiedziałam, że bardzo stara się mnie teraz uspokoić. Posłałam przelotne spojrzenie milczącemu Markowi i Teodorowi. Oboje siedzieli cicho, czekając na dalszy rozwój wydarzeń i dłubali widelcami w sałatce.

– Dobrze – poddałam się w końcu i powoli odsunęłam od stołu swoje krzesło. – Jak chcesz, to jedź, proszę bardzo – rzuciłam do Ludwika nad podziw spokojnie, chociaż w środku aż się gotowałam ze złości. Nie zważając na zdziwione spojrzenia siedzących przy stole domowników, wstałam i ruszyłam ku schodom.

– Wiesz co Ludwik, ty to jednak naprawdę nie jesteś za mądry! – Usłyszałam jeszcze tylko, jak Kasia strofuje Ludwika. – Zostawiać ją ze złamaną ręką samą w tym kotle? Chyba na głowę upadłeś! Naprawdę! – warknęła i o wiele głośniejszym głosem niż ja odsunęła do tyłu swoje krzesło. – Wychodzę. A ty idź lepiej na górę i udobruchaj Zuzkę. Albo

odwołał cały ten wyjazd, zanim będzie za późno! – syknęła i z impetem trzaskając drzwiami, zakończyła rozmowę.

Wzdychając ciężko, weszłam na górę, a potem do sypialni i opadłam na łóżko.

To by było na tyle, jeśli chodzi o moje pożycie małżeńskie. Nawet pomimo wypadku nic się w tym temacie nie zmieniło, chociaż ja, głupia, naprawdę miałam taką głęboką nadzieję. Ludwik sobie wyjedzie, ja zostanę sama. Z dzieckiem, z połamanym Teodorem, z Kasią, z mamą, z Anką, z Markiem... Będę nadal zasypiać w pustym łóżku. I jeszcze przyjdzie mi się o tego mojego pożałuj Boże męża zamartwiać, żeby mu się w tym lesie przypadkiem nic nie stało. Wspaniale. Po prostu wymarzone życie! I jak tutaj nie ulegać wuefiście? I jak tutaj ciągle nie wzdychać?!

Zanim jednak zdołałam się kompletnie tą przymusową (w pewnym sensie, oczywiście) małżeńską samotnością załamać, rozległo się pukanie do drzwi. Ale żeby nie było za pięknie, po moim „proszę” do środka wcale nie zajrzał skruszony Ludwik, ale zaniepokojony moim stanem psychicznym Marek.

– Mogę? – zapytał, zamykając za sobą drzwi i ruchem głowy wskazał na łóżko.

– Proszę. – Przeszłam z pozycji leżącej do siedzenia.

Marek usiadł obok mnie i nie pytając o pozwolenie, od razu otoczył mnie ramieniem, a potem przyciągnął do siebie, żebym mogła się do niego przytulić.

– Czym ty się przejmujesz, mała? – zapytał miękkim głosem i pogłaskał mnie po plecach. – Pojedzie na trzy dni i wróci. Świat się przecież nie zawali.

– Łatwo ci mówić. To nie ty jesteś połamany, masz dziecko i kumpla na wózku na karku. A do tego mama powiedziała mi dzisiaj, że część wsi zdecydowanie opowiedziała się za sklepową i twierdzi, że ten wypadek to moja wina. Że jak Kasię przyjął pod dach i nie chcę wyrzucić, to mam, na co zasłużyłam. Wyobrażasz sobie?

Marek pogładził mnie po plecach jeszcze czulej.

– Ciężka sprawa...

– No co ty nie powiesz – mruknęłam bezsilnie.

On natomiast odsunął mnie trochę od siebie i odgarniając mi z twarzy niesforne pasma włosów, ujął w dłonie moje policzki.

– Ale chyba mam lekarstwo na całe to zło, wiesz? – wymruczał uwodzicielsko z tym swoim szelmowskim uśmiechem, na widok którego zawsze cała miękłam, i potarł kciukiem kącik moich ust. – Chcesz się przekonać jakie?

Moje ciało natychmiast zareagowało na tę jego niewyartykułowaną propozycję, a oczy rozbłysły. Nie zdążyłam wydusić z siebie jednak ani jednego słowa, bo nie czekając na przyzwolenie, przeniósł ręce na moje biodra i zaczął całować. Znowu mocno, głęboko i namiętnie. Najpierw byłam tym faktem trochę zaskoczona, ale gdy dotarło do mnie, co się dzieje, zaczęłam oddawać mu pocałunki. Przelewałam w niego całe swoje rozżalenie i złość. Całując się z nim z chwili na chwilę coraz bardziej zachłannie, dawałam upust wszystkim swoim emocjom. Tak, że aż kręciło mi się

w głowie.

To było jak szaleńczy bieg, który sprawiał, że w mojej głowie aż roiło się od endorfin. Ta chwila mogłaby trwać i trwać.

– Boże, uwielbiam się z tobą całować – wyszeptał mi do ucha, kiedy ciężko oddychając, odsunęliśmy się w końcu od siebie. – Myślę tylko o tym, że chciałbym mieć cię więcej. Teraz. Zaraz. Już.

Przycisnęłam do jego twarzy swój rozgrzany policzek i rozkoszując się zapachem Markowego ciała, przymknęłam oczy. Przytulił mnie do siebie i też nie mógł uspokoić oddechu. Moje myśli wirowały i za nic nie chciały dać się okiełznać. Marek był zakazanym owocem, który z każdym kolejnym kęsem smakował coraz lepiej. Z jednej strony to było naprawdę ekscytujące, a z drugiej jednak dosyć przykre.

– Ja już nie mogę się doczekać, kiedy Ludwik wyjedzie, Zuzka – szepnęła jeszcze, zanim udało mi się cokolwiek więcej pomyśleć. A zanim cokolwiek odpowiedziałam, z dołu rozległo się głośne wołanie Teodora.

– Zuzka, ktoś przyszedł!

Natychmiast odsunęliśmy się z Markiem od siebie. Oblizując usta, spojrzałam na niego przepaszająco, a potem, wygładziłam wymiętą bluzkę i zbiegłam na dół.

– Jakiś mężczyzna czeka na ciebie w salonie – poinformował mnie Teodor. – Będę u siebie. Poczytam. – Posłał mi uśmiech.

– Zajrzę do ciebie później. Porozmawiamy.

Teodor pokiwał głową, a potem zawrócił wózek, uważając, żeby o nic przy tym manewrze nie zahaczyć i przetransportował się do pokoiku pod schodami.

Przez chwilę stałam i patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął, aż w końcu potrząsnęłam głową i kątem oka zerknęłam w wiszące na ścianie lustro. Niedobrze. Cała moja twarz aż krzyczała, że właśnie się całowałam. Miałam zaczerwienione usta i rumiane policzki. Stanowczo za bardzo rumiane.

No cóż. Jako że nie mogłam nic więcej z tym zrobić, jeszcze raz, dla zasady, wygładziłam swoje ubranie i ruszyłam do salonu.

– O! – Ucieszył się na mój widok siedzący na kanapie Olaf.

Podeszłam do niego zaskoczona.

– Coś się stało? Coś nie tak z filmem?

– Co? Nie, nie. Z filmem wszystko w porządku. Po tych scenach, co dzisiaj nakręciliśmy ze świadkami zdarzenia, to już mamy prawie komplet. No i w końcu z Aśką odprawiliśmy statystów, bo Jacek uznał, że już nie będą potrzebni. Więc teraz z górki. Jeszcze przed prokuraturą coś by trzeba tylko dograć. No i Jacuś chce jeszcze jakieś sceny z tobą... Ale nie wiem na ten temat nic więcej. Ciężko nadażyć za jego wiecznie zmieniającą się wizją.

Pokiwałam głową, oddychając z ulgą, że tym razem nie podpadłam Reżyserowi.

– No tak... To fajnie. – Popatrzyłam pytająco na Olafa. – W takim razie, co cię do mnie sprowadza?

Kamerzysta spuścił wzrok.

– Joanna z Jackiem od wczoraj się godzą. Dość głośno, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Tych dwoje pod tym względem to prawdziwy wulkan energii, serio. Nie miałem co ze sobą zrobić. Najpierw snułem się po okolicy, ale jakaś kobieta na mnie napadła i zaczęła krzyczeć, że drugiego innowiercy to wieś nie zniesie. Cokolwiek by to znaczyło, uznałem, że lepiej się nie narażać i pomyślałem, że przyjdę. No bo gdzie indziej mógłbym tu pójść. Ale jak przeszkadzam, to mogę iść i... – Nieśmiało spojrział w stronę drzwi.

– Nie, no skąd. Zostań, proszę. Napijesz się czegoś? – Uśmiechnęłam się do niego zaniepokojona wizją kolejnego wioskowego linczu. Wieś jeszcze nie pogodziła się z odmiennym wyglądem Kasi, a tu proszę, spaceruje po chodnikach kolejny człowiek ubrany od stóp do głów na czarno. Teraz to mnie będą pewnie próbować przejechać ciężarówką!

Nieświadomy moich wewnętrznych obaw Olaf wyraźnie się odprężył.

– Czegoś zimnego, jeśli masz.

– Woda z cytryną? Sok?

– Może być woda.

– To usiądź, proszę, nie krępuj się. Zaraz naleję – rzuciłam do niego i oddaliłam się do kuchni, w której, kiedy on ponownie rozsiadł się na kanapie, nalałam mu wody. Potem postawiłam ją na stole i sama usadowiłam się w fotelu.

– Oni tak często? – zagadnęłam, nawiązując do Joanny i Jacka po chwili niezręcznej ciszy, żeby jakoś rozpocząć rozmowę. Nie uśmiechało mi się siedzieć tutaj z milczącym, misiowatym kamerzystą przez cały wieczór i tępo patrzeć w ścianę.

– Czy oni często się tak godzą? – zapytał dla pewności.

Skinęłam.

– Tak. Właściwie, to tak.

– No to masz przerąbane, co?

Na jego usta wypląnął cień uśmiechu, który dość zabawnie wyglądał w połączeniu z czernią, w którą ubrany był od stóp do głów. Uśmiech w żaden sposób nie pasował do jego mrocznego wizerunku. Pomijając fakt, że była to chyba pierwsza emocja, jaką kiedykolwiek dostrzegłam na jego twarzy.

– Nie no, nie jest tak źle. Zazwyczaj mieszkamy w hotelach i mamy oddzielne pokoje. A jak zdarzają się takie sytuacje jak ta, to zwykle wychodzę wtedy na dłużej i tyle. Daję im przestrzeń.

– Więc oni naprawdę aż tak mocno się kłócą?

– Kiedy są razem, Aśka robi sceny zazdrości średnio raz, dwa razy w tygodniu.

– Nie no... Żartujesz!

– Jacek daje jej powody. A właściwie, to ona tak twierdzi.

– Boi się, że Jackowi wpadnie w oko młodsza – powiedziałam, mając z tyłu głowy ostatnią rozmowę z Joanną.

– Ta – przyznał mi rację. – Jak tylko zobaczy Jacka z młodszą, to od razu dostaje paranoi. Ale to baba. Kobiety nie zrozumiesz.

– Ja... – Chciałam zaprotestować, ale nie zdążyłam.

– Nie, nie! – Na widok mojej miny Olaf zaczął gwałtownie machać rękami. – Znaczy, ja nie chciałem cię urazić, nie! Nie bierz tego do siebie. Ty jesteś spoko babka. Po prostu Aśka ma nierówno pod sufitem. Ale u niej to z miłości.

– Wnioskuje z tego, że ty nie jesteś w żadnym stałym związku?

Olaf uniósł do ust szklankę i upił łyk wody.

– Nie. Mnie to nie kręci. Kłótnie, godzenie... To nie dla mnie. Jacek jest młody i głupi, to sobie może za Aśką latać. Ja wolę piwo, motor i kumpli.

– No wiesz, ale związek nie zawsze musi wyglądać tak... – Zawahałam się, szukając dobrego słowa. – Burzliwie.

Olaf popatrzył na mnie jak na heretyczkę.

– Tak się tylko mówi. Prędzej czy później każdy tak wygląda. Ludziom w związkach odbija.

– Tak? – Spojrzałam na niego zaskoczona tym odważnym wyznaniem. No proszę! Nie pomyślałabym wcześniej, że ociężały kamerzysta może mieć takie głębokie przemyślenia!

– Nie mam racji? Najpierw ludzie się kumplują, imponują sobie, a potem, kiedy sformalizują swój związek i zadeklarują, że chcą się ze sobą spotykać, to masz! Jak pałą w łeb! Kobiety się robią zazdrosne, faceci mają wylane... Żadna przyjemność, serio. Przerabiałem kilka razy. I wolę być sam.

– I nie tęskno ci czasem za kobietą? Za rodziną? – Nie mogłam uwierzyć w szczerość jego słów. Choć muszę przyznać, że przemyślenia kamerzysty na temat związków były całkiem słuszne.

Olaf wzruszył ramionami i oparł się wygodniej o kanapę.

– Czasem może i tak – powiedział z kamienną twarzą, chociaż w jego głosie jakby coś drgnęło. Może zadźwięczała w nim nuta smutku? A może tak mi się tylko zdawało.

– Ale wtedy wsiadam na motor i czuję adrenalinę – kontynuował swój wywód, niczym niewzruszony. – Owiewa mnie zimne powietrze, dodaję gazu, warkot dochodzi mi do uszu coraz głośniejsze i głośniejsze... To jest prawdziwe życie. A nie dzieci i kobiety. Ja sobie cenię święty spokój.

– Więc jesteś takim wolnym strzelcem, co? – Postanowiłam nie bawić się w żadne dyskusje na temat zalet posiadania rodziny. Nie każdy był przecież do tego stworzony.

– No, tak właściwie, to chyba tak – mruknął i znowu zapadła między nami cisza, którą przerwało dopiero pojawienie się w salonie Kasi i Tomka.

– O, Zuzka, jesteś. – Kasia zdziwiła się na mój widok. – Przyszliśmy tylko po coś do picia, luz. Nie będziemy wam przeszkadzać.

– Dobry wieczór. – Ukłonił się stojący dwa kroki za Kasią Tomek.

– A gdzie miałabym być? – zdziwiło mnie jej pytanie.

Wzruszyła ramionami.

– A bo ja wiem? Myślałam, że wkurzyłaś się na Ludwika i gdzieś poszłaś. Tak tylko pytam.

– Wkurzyłam się, ale jestem – odpowiedziałam jej raczej mało ambitnie. – A jak tam u was? – zagadnęłam.

– Spoko, spoko. – Kasia podeszła do barku i wyjęła z szafki dwie wysokie szklaneczki.

– Robimy sobie tylko coś do picia i zmykamy. Na motor. Tomek zabiera mnie na przejażdżkę.

– Na motor? – podchwycił temat Olaf.

Kasia pokiwała głową.

– No. Tomek ma takiego fajnego ścigacza. Nie wiedziałaś?

– Ścigacza?! – Na samą myśl o Kasi na ścigaczu zrobiło mi się gorąco. Przecież ja byłam za nią teraz odpowiedzialna! Jak matka! A ona chce wsiąść z tym chłopakiem na motor?!

– Nic wielkiego... – bąknął Tomek.

– Ta, nic wielkiego. – Kasia podeszła do niego ze szklanką soku. – Nic wielkiego, a dwieście wyciąga!

– Dwieście? – Z mojej twarzy zaczęła odpływać krew. Niektórych rzeczy matka jednak nie powinna słyszeć. Nawet ta tymczasowa.

– Wow, no to grubo! – Olafowi aż rozbłysły oczy. – Masz gdzieś tutaj tego ścigacza? – zwrócił się do Tomka.

Tomek pokiwał głową.

– Ta. Na podwórku przed domem.

– Nie no, stary! Ja co prawda ubóstwiam choppersy, ale muszę zobaczyć to twoje cudeńko. Dasz się przejechać?

Tomek niepewnie popatrzył na Kasię.

– Spoko, spoko. Idźcie. Ja pójdę się jeszcze przebrać. Zaraz do was dołączę.

Olaf ucieszył się jak mały chłopiec, słysząc jej zgodę i ruszyli z Tomkiem oglądać to „cudo”. Zawzięcie dyskutowali przy tym o parametrach Tomkowej maszyny.

– No co? – Kasia spojrzała natomiast na moją przerażoną twarz.

– Nie no... Nic – bąknęłam, nie chcąc wyjść na paranoiczkę. Przecież ja wcale nie tak dawno temu też byłam młoda i doskonale pamiętałam, jak to jest czuć wiatr we włosach podczas takich przejażdżek. A że teraz uważałam to za szalenie niebezpieczne? Kogo to obchodziło!

– Oj nie martw się, staruszek! – Kasia chyba czytała w moich myślach, bo podeszła i lekko mnie przytuliła. – Nic mi się nie stanie, słowo. Tomek jeździ naprawdę bezpiecznie.

Pokiwałam głową, choć nie wyglądałam na przekonaną ani tym bardziej uspokojoną jej zapewnieniami. Chyba nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam się zmieniać we własną, przewrażliwioną matkę.

– Jeny, Zuzka, myślałam, że jesteś bardziej wyluzowana. Nie panikuj, proszę. Ludzie tacy jak ja nie mogą nie mieć skłonności do ryzyka. Moja psycholożka mówiła, że dzieci dorastające bez uwagi rodziców charakteryzują się tym dość często. Osobowości nie zmienię, przykra sprawa. – Kasia zaśmiała się głośno, widząc moją minę, a potem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, pobiegła na górę, żeby przebrać się w skórzane spodnie i kurtkę.

Ja natomiast popatrzyłam na stojącą na stole szklankę z niedopitą wodą, którą zostawił Olaf.

– Wiecznie skazana na samotność... – mruknęłam pod nosem sama do siebie, a potem odstawiłam szklankę do zlewu i ruszyłam w stronę schodów. Przez cały ten stres związany z wizją Kasi na motorze kompletnie zapomniałam o tym, że obiecałam Teodorowi, że do niego zajrzę.

Wykąpałam tylko Marcela, utuliłam go do snu, a na sam koniec dnia położyłam się do łóżka i zasnęłam. Tradycyjnie już w samotności. Ale podobno do wszystkiego można przywyknąć...

Rozdział 15

Następnego ranka, zamiast zastać w łóżku mojego męża, obudziłam się z kebabem na sąsiedniej poduszce. Tak, tak. Ja też byłam w szoku i doskonale wiem, jak głupio to zabrzmiało. Jednak naprawdę na miejscu, gdzie zwykle sypiał Ludwik, leżała sobie w najlepsze wypełniona warzywami i mięsem niedojedzona bułka obficie polana sosem.

A zaraz obok rozłożył się mój pies, który radośnie machał ogonem. Musiał być naprawdę z siebie dumny, bo przecież przyniósł swojej pani śniadanko. I to do łóżka. Żeby nie cierpiała w samotności.

– Nie no, błagam. Ja się chyba zabiję! – jęknęłam boleśnie na samą myśl o tym, że muszę to teraz posprzątać, wyprać pościel, założyć drugą i nikt mi w tym na pewno nie pomoże.

W pierwszym odruchu chciałam nakrzyczeć na Sarę, ale natychmiast doszłam do wniosku, że nie miało to sensu. Psinka na pewno chciała dobrze. Musiała się przecież mocno namęczyć, żeby przywlec tego kebaba po schodach, a potem jeszcze ułożyć na łóżku. Na pewno chciała dobrze. A że wyszło jak zwykle? Jakie to miało właściwie znaczenie...

– Dobrze, już dobrze! – Spojrzałam na wyciągniętą na jasnej pościeli Sarę i jeszcze raz na rozlany na poduszce sos. – Nie merdaj tak tym ogonem. Doceniam twój gest. Śniadanie do łóżka. Ludwika nie ma, to chociaż ty o mnie dbasz. – Usiadłam i pogłaskałam psa zdrową ręką, a potem narzuciłam na siebie szlafroczek, wzięłam do ręki niedojedzony kebab i zesłam na dół.

– O! A ja go właśnie tutaj szukałam – poinformowała mnie Kasia, kiedy weszłam do kuchni. – Ale spoko, jak chcesz zjeść, to smacznego. Jeszcze gdzieś powinien być kebab Tomka. Kupiliśmy sobie wczoraj na stacji, jak wracaliśmy wieczorem z wycieczki. Ale nie daliśmy rady dokończyć – powiedziała i zaczęła po kolei otwierać kolejne kuchenne szafki.

Po chwili wyciągnęła z jednej z nich zawiniętą w folię aluminiową, też niedojedzoną bułkę.

– No i jest! – Uśmiechnęła się sama do siebie, wyjęła ze zmywarki talerz, a potem usiadła przy barku i zaczęła jeść.

– To ty jesz mięso? – Nie zdołałam ukryć zdziwienia. Jeszcze nie tak dawno Kasia była wegetarianką. Przynajmniej w dni nieparzyste.

– Rzuciłam wegetarianizm w cholerę. Na dłuższą metę tak się nie da. A na pewno nie na tej wsi, gdzie nie ma się dostępu do żadnych zdrowych zamienników mięsa. A ty co tak stoisz? Stało się coś? – zapytała, zauważając, że wciąż tkwię w tym samym miejscu, a w ręce trzymam opływającą sosem bułkę.

– Nie, no skąd! – odpowiedziałam jej raczej mało przyjemnie. – Po prostu następnym razem chowaj swoje resztki do szafki tak jak Tomek, bo pies mi to potem przynosi do

łóżka.

Kasia spojrzała na mnie z konsternacją.

– Sara zniosła ci kebaba do łóżka? – zapytała, o mały włos nie dławiąc się przy tym kapustą.

– Tak. Wyobraź sobie, że dzisiaj zamiast z Ludwikiem, obudziłam się w łóżku z tą bułą. Musiałas zostawić na blacie, pies wskoczył na krzesło, potem na szafkę, ściągnął z niej kebaba i postanowił zrobić mi niespodziankę. Śniadanie do łóżka.

Kasia zaczęła się śmiać.

– Jeny, Zuzka. Gdybym wiedziała, że z Sary jest taka oddana przyjaciółka, to na pewno bym go schowała. Przepraszam – udało jej się wydusić, kiedy opanowała się w końcu i przełknęła zamknięty w ustach kęs.

Popatrzyłam na nią bezradnie i pokręciłam głową, a potem wrzuciłam bułkę do miski z resztkami.

– Zniosę Ance. Będzie miała dla psów – wyjaśniłam Kasi i zabrałam się za robienie porannej kawy.

– Jak było wczoraj na tej przejażdżce motorem? – zagadnęłam, wsypując kawę do kubka. – Fajnie?

– Całkiem miło. Dzisiaj też jedziemy. Tylko trochę dalej. I wyruszymy wcześniej.

Nadal nie byłam przekonana, czy jest to bezpieczne. Przecież gdyby Kasi nie daj Boże coś się stało, to jej matka, Ludmiła, wróci tu w te pędy i zabije mnie na miejscu!

– A! I Zuzka! – Kasia przełknąwszy kolejny kęs, ubiegła mnie przed wyartykułowaniem moich obaw. – Nie czekaj na mnie dzisiaj wieczorem. Nie wracam na noc.

Spojrzałam na nią i zrobiłam wielkie oczy. Dobrze, że nie zalałam sobie jeszcze tej kawy, bo chyba bym się nią teraz zachłysnęła. Że co proszę?! Co ta Kasia powiedziała?

– A to gdzie, przepraszam, będziesz? – udało mi się zapytać, kiedy odzyskałam mowę.

Kasia wzruszyła ramionami.

– No wiesz... Pewnie późno wrócimy z tej wycieczki. Nie chcę was budzić. Ciebie, Marcela... Będę spać dzisiaj u Tomka.

– U Tomka? Ale jak to? Gdzie?! – naprawdę się przejęłam.

Kasia wywróciła oczami.

– Matko kochana, no Zuzka! W domu u niego, a gdzie!

Zalała mnie jeszcze większa fala gorąca niż chwilę wcześniej. Przecież jak sklepowa się o tym dowie, to nie będzie mnie chciała tylko przejechać, ale od razu podpali mi dom! I nie przeszkodzi jej w tym fakt, że siedzi teraz w areszcie!

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś właśnie ducha zobaczyła – mało odkrywczo stwierdziła natomiast Kasia.

– Ja...

– Po prostu przeraziła cię myśl, że mogę z Tomkiem uprawiać seks? – Nie dała mi

rozwinąć swojej wypowiedzi. – Matko kochana, Zuzka! Ty naprawdę jesteś strasznie staroświecka. Gorsze rzeczy w życiu robiłam. Nie musisz się martwić. Dziecka z tego nie będzie. Umiem się zabezpieczać.

Moje źrenice stały się jeszcze większe. Już nie wiedziałam, co było gorsze. Czy to, że sklepowa podpali nam dom, czy to, co właśnie powiedziała Kasia. I jakie, choroba jasna, dziecko?!

Zanim jednak zdołałam swoje przerażenie wyartykułować, po naszym domu rozszedł się dźwięk dzwonka do drzwi.

– Ja otworzę. – Kasia nie patrząc na mnie, zeskoczyła z barowego stołka.

Matko kochana! Nadal nie mogłam oswoić się z tym wszystkim, co przed chwilą powiedziała. Jakie gorsze rzeczy? Nie miałam jednak szansy porozmawiać z Kasią na ten temat, ponieważ pojawiła się po chwili w kuchni razem z przygnębioną żoną pana Kazia, Cecylią.

– To do ciebie – obwieściła, nadal unikając mojego wzroku. – Wy sobie pogadajcie, a ja lecę. – Cmoknęła mnie w policzek. – Wrócę rano – rzuciła na odchodne i tyleśmy ją z panią Celą widziały.

– Ale... – wyrwało mi się za nią.

Pani Cecylia popatrzyła na mnie pełnym współczucia wzrokiem i podeszła do barku.

– Za tymi młodymi to dzisiaj nie idzie nadażyć, co? – zagadnęła.

Powoli pokiwałam głową i wysiliłam się na uśmiech.

– Tak – szepnęłam. – A potem trzeba ratować sytuację, kiedy w coś złego się wpakują... No. Ale my nie o tym, prawda? Co panią do mnie sprowadza, pani Celu? Napije się pani czegoś?

Pani Cecylia pokręciła głową i wzdychając ciężko, oparła się o blat.

– Problem mam. Z moim mężem. I pomyślałam, że może pomożesz mi, Zuzka, go rozwiązać. Bo jak nie, no to ja już nie wiem. Chyba tylko mi rozwód został.

Popatrzyłam na nią niepewnie.

– Pani chce się z panem Kaziem rozwodzić? – Trudno mi było w to uwierzyć. To już chyba się prędzej spodziewałam, że ziemia mi się pod nogami nagle zapadnie. Ale takie rzeczy? U moich sąsiadów?!

Pani Cela przechyliła się na bok jeszcze bardziej i smutno spuściła wzrok.

– A tak. Bo odkąd znalazł w internecie ogłoszenie z gazety, to mu kompletnie rozum odjęło. Ja już z nim wytrzymać po prostu nie mogę. No nie mogę i już.

– To może jednak pani chociaż na chwilę usiądzie, co?

Pani Cela pokiwała głową i razem przeszłyśmy do salonu.

– No to niech mi pani powie, o co chodzi. Postaram się pomóc – zachęciłam ją do zwierzeń, siadając w fotelu.

– No bo widzisz, Zuzanna, on tej pracy wtedy w gazecie nie dostał. I zamiast przyjąć tę porażkę po męsku i dać sobie spokój, to wymyślił, że nie ma kwalifikacji. I że przez to go nie chcieli zatrudnić.

Pokiwałam głową. Nie ma to przecież jak szalejący mąż, nie?

– No i wyobraź sobie, że on się zaczął teraz doszkalać. Żeby móc pracować w gazecie!

– To pięknie, że mu się chce. W takim wieku...

– Pięknie?! – parsknęła podirytowana. – W tym nie ma nic pięknego, Zuzka! Chodzi mi po domu ze słuchawkami na uszach i ciągle powtarza jakieś głupie zwroty.

– Głupie zwroty? Zaczął mówić sam do siebie? Może to objaw poważnej choroby...

– Gdzie tam choroby! – Pani Cela pociągnęła nosem. – Jemu na mózg padło, owszem, ale żadne schorzenie, tylko angielski!

– Angielski? – zdziwiłam się głośno.

– No! Kupił sobie jakieś kasety, wyciągnął z szafy starego walkmana i gada do siebie, kręcąc się w kółko po domu!

– Kurczę... – Popatrzyłam na panią Celę niepewnie. – Ale może to dobrze, że pani mąż się zaczął rozwijać, co? Może powinna pani go wspierać?

– Wspierać?! Ja to nawet bym chciała, owszem! Tylko jak ja coś do niego mówię, to on mi po tym swoim angielsku bełkocze i ja go za nic nie umiem zrozumieć. A on mi ciągle mówi to samo. Za każdym razem! Jak mnie widzi! Chyba ma jakąś obsesję!

– Aha... – mruknęłam, niewiele jednak z tego wszystkiego rozumiejąc.

– No i widzisz, Zuzka, ja się chciałam teraz ciebie zapytać – pani Cela mimo wszystko spojrzała na mnie z nadzieją – czy ty może znasz angielski?

– No coś tam niby znam...

– Matko kochana, no to kamień z serca! – Pani Cela aż podskoczyła z radości. – To ja ci teraz powiem, co on ciągle do mnie mówi, a ty mi przetłumacz, dobrze? Żebym ja go chociaż rozumiała. I na głupią babę ze wsi przed własnym mężem nie wychodziła. Bo tak to zostało mi się tylko na niego wściekać...

– No dobrze, dobrze. Jeśli tylko będę umiała, to postaram się pomóc. Co pan Kaziu do pani mówi? – pochyliłam się w jej stronę.

– Co ja do niego nie powiem albo gdzie mnie tylko nie zobaczy, to podchodzi do mnie rozanielony i mówi „Hello kitty”. A ja nerwicy już od tego dostaję!

Słyszając słowa pani Celi, o mało nie buchnęłam głośnym śmiechem. To było takie bardzo w stylu pana Kazia, że aż potrafiłam to sobie zwizualizować!

– Matko kochana! – Pani Cela złożyła ręce na piersi wystraszona moją reakcją. – To coś zbereźnego, tak? Pewnie jakiś wulgaryzm?

– Nie, nie! No skąd! – Chichocząc pod nosem, pokręciłam głową. – On do pani mówi „cześć kotku”. W tym nie ma nic złego. Po prostu chce być dla pani miły. Tak się mówi po angielsku. To jest bardzo... Hmy... Pieszczotliwe.

Twarz pani Celi od razu nabrała zupełnie innego wyrazu.

– Cześć kotku? – powtórzyła, nie dowierzając.

Pokiwałam głową.

Pani Cela zarumieniła się lekko i zaczęła się śmiać.

– No popatrz, Zuzanna, jak mu się nagle na amory zebrało. Witaj kotku, tak? Ach

ten mój Kaziu... – Widocznie oddychając z ulgą, machnęła ręką. – Stary a głupi. Jak dziecko!

– On do pani mówi bardzo pięknie. A pani chciała się z nim rozwodzić!

– Tak to właśnie jest, Zuzka, jak ktoś stary, a językowo ułomny. Jednak ogólna wiedza to się ludziom czasem przydaje. Ze wszystkiego. – Pani Cela uśmiechnęła się ciepło, a potem podniosła z fotela. – No, ale dobrze. Dziękuję ci bardzo za to tłumaczenie, naprawdę. Teraz będę spokojniejsza i wiem, że Kaziowi po prostu zbiera się na amory! W tym wieku! Myślałby kto... Jeszcze raz ci bardzo dziękuję. I pójdę już do tego mojego amanta, żeby nie zawracać ci głowy. Bóg zapłać, Zuzka. Naprawdę Bóg zapłać. – Nie mogła mi przestać dziękować, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi.

Ja natomiast jeszcze przez chwilę nie przestawałam się śmiać. W życiu nie posądzałam pana Kazia o taki romantyzm. I to jeszcze w dodatku angielski! Niby niepozorny, a jednak kryła się w nim dusza jakiegoś brytyjskiego lorda!

Jednak niektórzy to mogą mieć przyjemne, pełne wzruszeń życie w małżeństwie. Nawet pomimo upływu lat!

Rozdział 16

Wieczorem postanowiłam zajrzeć w końcu do Teodora. Obiecałam mu to już wczoraj, ale nic z tego nie wyszło. Teraz Marcel bawił się razem z Pawełkiem u Anki, Kasia hulala gdzieś w świecie (o matko kochana, nadal było mi gorąco na samą myśl o tym jej „hulaniu”!), a Marek znowu pognał za tymi swoimi ważnymi sprawami, o których nie chciał mi niczego powiedzieć. Właściwie to zaczynałam ostatnio podejrzewać, że tą jego ważną sprawą jest po prostu jakaś nowa, nastoletnia kobieta. Chociaż może skoro nastoletnia, to lepiej by było powiedzieć, dziewczynka?

Nieważne. Nie obchodziło mnie to. Dzisiaj odczuwałam tylko przykrość z powodu nieobecności mojego męża. Tak, tak, już nie zazdrość ani złość. Po prostu było mi przykro, że postanowił zostawić mnie w tym chaosie, a sam pojechał dobrze się bawić. Zwłaszcza teraz, kiedy w pewien sposób ważyły się losy naszego małżeństwa...

Ale może i nie? Między Bogiem a prawdą, to ja go chyba jednak wcale nie chciałam zostawić...

Niedobrze! Ale te wszystkie głupoty to tylko przez to, że ja po prostu za nim tęskniłam. Cały dzień. Tak. No i co to właściwie za głupia myśl ta wcześniejsza? Przecież ja mam z Ludwikiem dziecko! I to małe! Zdecydowanie nie zamierzałam nikogo zostawiać. Ani swojego ślubnego, ani Marcelka. Bo co to ja jestem? Kukułka, żeby podrzucać?!

No dobra, wiem. To przysłowie nijak się ma do naszej sytuacji. Jak by jednak nie było, nie zamierzałam się dzisiaj nad tym rozckliwiać. Ani nad chwilami słabości, podczas których całowałam się z Markiem. Nie dawałam sobie przyzwolenia na to, żeby o nich myśleć. Tym bardziej, że Marek naprawdę wybitnie całował i działał na mnie jak jakiś afrodyzjak, to te pocałunki nic dla mnie nie znaczyły. Było przyjemnie i czułam się zadbana, ale czy odnajdywałam w nich coś poza tym?

No i masz babo placek! Dlaczego ja mogłam mieć takie myśli właśnie dziś, kiedy nie było przy mnie Ludwika, a kiedy to bezkarnie rzucałam się w ramiona Mareczka? Co to w ogóle ma znaczyć? Co to za podejrzany dysonans?

Z tyłu mojej głowy znowu zakołatała myśl, że chyba potrzebuję psychologa. I to w całkiem niedalekiej przyszłości...

Żeby nie pogrążyć się w analizach mojego fatalnego położenia, kontrolnie spojrzałam w lustro i przypudrowałam swój świecący się nosek. Nastolatką już może nie byłam, a Teodor naprawdę widywał mnie nieraz w fatalnym stanie, ale czasy się zmieniły i wypadało o siebie dbać. Nie, żebym chciała mu w jakikolwiek sposób zaimponować albo się przypodobać, nie, przecież ja kocham Ludwika. Tylko...

Nie wiem co. Chyba zabrakło mi argumentów. Przecież kobieta powinna o siebie dbać! I to sama dla siebie.

W każdym razie poprawiłam ten nieszczęsny makijaż, a potem, jak gdyby nigdy nic,

cicho zastukałam do drzwi pod schodami.

– Proszę – zaprosił mnie melodyjny głos Teodora.

Weszłam do środka. Pokoik pod schodami, po wyniesieniu przez Ludwika wszystkich zawałających go rupieci, wyglądał naprawdę ciepło i przytulnie. Dwie dłuższe ściany obite były jasnymi deskami, a pozostałe dwie pomalowane farbą w kolorze écru. Pod niewielkim okienkiem naprzeciwko drzwi stał nieduży, okrągły stolicek, a po jego bokach spływały ku ziemi zasłony w duże, czerwone kwiaty.

Teodor natomiast siedział na łóżku z wyciągniętymi przed siebie nogami, w tym jedną w gipsie, i czytał sobie jakąś niegrubą książkę.

Uśmiechnęłam się na ten widok. Właśnie tak zazwyczaj wyglądał, kiedy przychodziłam do niego w młodości. Leżał na swoim łóżku z książką przed nosem, którą na mój widok odkładał na półkę i posyłał mi długi, rozczulający uśmiech.

A potem zaczynaliśmy się całować...

– Nie przeszkadzam? – zapytałam, potrząsając głową, nie chcąc za bardzo zagłębiać się w te wspomnienia. Przecież teraz one nie miały już żadnego znaczenia. Prawda?

Teodor uśmiechnął się do mnie, włożył do książki leżącą obok zakładkę i odłożył ją na łóżko.

– Nie, skąd. Dobrze, że jesteś.

– Co czytasz? – zagadnęłam, przysuwając się bliżej łóżka. Ten pokoik był tak ciasny, że mieściło się w nim właściwie tylko ono. I jakiś stary regał, który Ludwik wcisnął tu kiedyś, gdy po remoncie w naszej sypialni szkoda mi było go wyrzucić.

– Trochę wracam literacko do czasów młodości. Jack London.

Doskonale pamiętałam, że w szkole średniej zaczytywał się w tym właśnie autorze.

– Niech zgadnę. *Wilk morski*?

Na usta Teodora wypłynął szeroki, pełen uznania uśmiech.

– Moja ulubiona. Tak, zgadza się. Pamiętałaś.

– Jak mogłabym nie pamiętać? Zawsze przecież mówiłam, że nie muszę rywalizować o ciebie z innymi dziewczynami, ale właśnie z tą książką – wyrwało mi się, zanim zdołałam ugryźć się w język. W pokoju zapadła niezręczna, pełna duchów przeszłości cisza.

– Nie stój tak, usiądź – przerwał ją po kilku minutach Teodor i wymownie spojrzał na łóżko.

Uśmiechnęłam się do niego i usiadłam obok, opierając się plecami o ścianę.

– Chcesz poduszkę? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję. Jest okej. A jak ty się czujesz? – Spojrzałam na jego zagipsowaną nogę. – Boli?

Łagodnie popatrzył mi w oczy.

– Bywało gorzej.

Nie odpowiedziałam. I dla mnie, i dla niego było oczywiste, że mówi to w nawiązaniu

do swojego pobytu w Afganistanie. I chociaż znałam go kiedyś jak własną kieszeń, to teraz nie wiedziałam, jak się zachować. Czy zapytać o misję, czy nie drażnić. Informacja o tym, że służył za granicą, była czymś nowym w tej relacji. Patrzyłam na niego nie jak na małego chłopca żyjącego beztrosko w wielkim świecie, ale dorosłego, w pewien sposób obcego człowieka, który naprawdę dużo przeszedł.

Teodor też musiał w tym momencie właśnie o tym myśleć, bo zanim zdążyłam się w ten temat jakoś szczególnie zagłębić, wyrwał mnie ze świata refleksji jego głos.

– Jeśli masz potrzebę o coś mnie zapytać, po prostu pytaj – powiedział cicho.

Tym razem to na moje usta wypłynął uśmiech.

– Pewnie kiedyś zapytam, ale to chyba jeszcze nie czas. Na razie oswajam się z myślą o tym, jakie piekło przeżyłeś. To i tak mocno przekracza moją wytrzymałość emocjonalną.

Pokiwał głową.

Nadal opierając się o ścianę, na chwilę przymknęłam oczy. Jedność dusz i umiejętność czytania sobie nawzajem z Teodorem w myślach, pomimo upływu czasu, nadal była dla mnie trudna do wyjaśnienia, choć kiedyś zdawała się oczywista. Spędzaliśmy ze sobą dzień za dniem i przyjaźniliśmy się. Ale to, że pomimo upływu ponad dziesięciu lat nic się w tej kwestii nie zmieniło, było dla mnie trudne i nie mogłam pojąć tego rozumem.

Chociaż może nie? Tak naprawdę to przecież bardzo miłe. Trochę zadziwiające, owszem, ale jednak wspaniałe.

Uśmiechając się sama do siebie na myśl o tym braterstwie dusz, powoli otworzyłam oczy. Za oknem zapadł już zmrok. Siedzieliśmy z Teodorem twarzą w twarz. On też opierał się o ścianę i miał przekreśloną w bok głowę. Byliśmy na wyciągnięcie ręki. Ja mu się przyglądałam, on przyglądał się mi. Dwójka najlepszych przyjaciół.

Wpatrywaliśmy się sobie w oczy jak urzeczeni. Jak gdyby nic się w naszych życiach nie zmieniło. Nasze serca wcale nie biły szybko, a płuca napełniały powietrzem wolno i miarowo. Nie miało to nic wspólnego z jakimś szaleństwem. Ogarnął mnie obezwładniający spokój. Jak gdyby wszystko było tak, jak powinno być. Dwa elementy rozsypanej układanki we właściwym miejscu. A przez to, że ograniczała nas przestrzeń naprawdę ciasnego pokoju, ta sytuacja wydała mi się aż bajkowo intymna. Nierzeczywista. I jemu na pewno też. Aż trudno mi było uwierzyć w to, że nadal potrafiliśmy razem czegoś takiego doświadczyć. Mimo że ja byłam mężatką, a on mnie porzucił.

I kiedy tak po prostu przy sobie trwaliśmy, przez moją głowę przemknęła ta właśnie bolesna myśl. On mnie kiedyś świadomie zostawił. Porzucił niemal przed ołtarzem, jak gdybym była zabawką i zrobił to, choć na pewno wiedział, jak mogłoby być pięknie, gdybyśmy spędzili życie nie osobno, ale razem. Moglibyśmy rozkoszować się taką chwilą co wieczór. Być ze sobą. Milczeć. Upajać się tym. Jak najlepsi przyjaciele. Nie zatracać się w namiętności, co proponował mi Marek, ale po prostu przy sobie trwać.

A jednak mnie odtrącił. Skrzywdził. Więc może dla niego wcale nie było to takie wyjątkowe i piękne?

Teodor przekręcił głowę i wbił wzrok w ścianę przed nami.

– To nie było tak, że ja przestałem cię kochać – wyszeptał, odgadując moje myśli.

Znowu przymknęłam oczy. Z jednej strony nie chciałam tej rozmowy, a z drugiej wiedziałam, że nie mogę przed nią w nieskończoność uciekać. W końcu nastąpi ta konfrontacja. I właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że musi się to stać dziś. Żebym mogła chociaż częściowo uporządkować mętlik w głowie, zanim wróci Ludwik.

– Może to dziwnie zabrzmiał, Zuzka, ale najpierw ci się oświadczyłem, a potem zabrakło mi... Dojrzałości? Odpowiedzialności? Cywilnej odwagi? Nie wiem, jak to określić. Nie miałem nawet dwudziestu lat i zacząłem myśleć, że chyba za bardzo dałem się ponieść chwili. Że mógłbym jeszcze w życiu spełnić tyle swoich marzeń, zrobić tyle rzeczy... A tymi oświadczeniami skazałem się na stabilizację. Nie wiem, jak nazwać, co się wtedy we mnie odezwało, ale chyba właśnie o to chodziło. Może poczułem jeszcze jakąś dziecięcą potrzebę przeżycia przygody? Wiesz, takiej, w której chłopcy zakładają zbroje, potem szturmują zdobywają obce zamki, zabijają smoki i...

– I ratują księżniczki?

Teodor spuścił wzrok.

– Wiem, że wyszedłem na dupka. Masz stuprocentowe prawo tak o mnie myśleć. Gdyby to chociaż była jakaś spektakularna historia, mógłbym się próbować usprawiedliwiać. A tak... Po prostu nawaliłem. I tyle.

Pokiwałam głową. Miał rację.

– Ale dlaczego mi wtedy nie powiedziałeś, co? Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, rozmawialiśmy o wszystkim. A ty zniknąłeś. Bez słowa. Bez nawet jednego słowa wyjaśnienia! – Coś we mnie pękło.

– Bałem się, że nie zrozumiesz.

– I przez to, że się bałeś, od razu wyzbyłeś się do mnie całego szacunku? Wybacz szczerze, ale w moich oczach zawsze byłeś wyjątkowym facetem. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Dużo więcej. Może gdybyś mi wtedy o tym powiedział, może gdybyśmy to przegadali...

– No i widzisz, Zuzka? – przerwał mi. – Właśnie o to chodziło. O te wszystkie wymagania. Nie mówię, że z twojej strony. Ale też te, które stawiali przede mną rodzice. Ja się czułem osaczony, a chciałem być wolny.

– Po tym, jak latami mówiłeś, że chciałbyś wcześniej założyć rodzinę i mieć dzieci? Po tym, jak klęknąłeś przede mną i dałeś mi pierścionek?

Teodor zasepił się na chwilę.

– Chyba coś musiało we mnie wtedy pęknąć. Wstąpienie do wojska było bardzo impulsywną decyzją, ale czułem całym sobą, że chcę to zrobić. Że potrzebuję chociaż na jakiś czas wyrwać się ze swojego poukładanego życia i poczuć niepewność, poznać smak adrenaliny.

Nie otwierając oczu, głośno przełknęłam ślinę. Pod powiekami zbierały mi się łzy.

– Chciałeś wrócić? – zapytałam, usilnie próbując zapanować nad rozedrganym głosem.

– Tak – odpowiedział niemalże natychmiast. – Nie wiem, jak ja to sobie wyobrażałem, ale wyjeżdżałem z przekonaniem, że to właśnie z tobą spędzę resztę życia. Tylko że jeszcze nie wtedy.

Po moich policzkach pociekły dwie pierwsze łzy.

– Może głupio to zabrzmie, Zuzka – kontynuował natomiast Teodor – ale ja przez cały czas nosiłem przy sobie twoje zdjęcie. Byłaś moim dobrym duchem. I w wojsku tutaj, w Polsce, i potem w Afganistanie. To, że miałem ciebie przy sobie, dodawało mi sił. Pomimo tego, jak bardzo cię skrzywdziłem. Gdy dookoła ginęli poznani tam kumple, za każdym razem, kiedy zakładałem mundur, robiłem to z myślą, że mam w Polsce kogoś, do kogo muszę wrócić.

Pociągnęłam nosem.

– Tylko dzięki tobie przetrwałem tamto piekło.

Otworzyłam oczy, nie mogąc przestać płakać.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby jakoś mi o tym wcześniej powiedzieć? Znałeś adres, miałeś mój telefon. A ja tyle łez przez ciebie wypłakałam. Schudłam prawie piętnaście kilo, bo nie mogłam spać ani jeść. Wiecznie tylko snułam się po domu i łudziłam się, że wrócisz. Czekałam wiernie jak ten głupi pies. Kilka lat! Gdybyś pojawił się wtedy, gdybyś wrócił... Dałabym ci drugą szansę, Teodor. Mimo wszystko bym ci ją dała. Ale nie. Ty tak po prostu ze mnie zrezygnowałeś...

Teodor odwrócił głowę w moim kierunku. Doskonale wiedziałam, że chociaż starał się być twardy, to jemu też musiało teraz pękać serce.

Dotknął lekko mojej leżącej na kolanach dłoni.

– Nie wiem, jak mógłbym cię za to wszystko przeprosić, Zuzka.

– Uratowałeś mi życie. Bardziej się już nie da. – Jego dotyk podziałał na mnie naprawdę kojąco. Mimo szalejących we mnie przed chwilą emocji, poczułam wyjątkowy spokój.

– Przez wszystkie te lata żyłem nadzieją, że uładasz sobie życie beze mnie. Że jesteś szczęśliwa. Zasługiwałaś na to jak mało kto. Ja po prostu nawaliłem.

Popatrzyłam mu prosto w oczy naprawdę poruszona tymi słowami. Po policzkach płynęły mi jeszcze ostatnie łzy.

– Jesteś szczęśliwa, Zuzka? – zapytał Teodor.

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu. Dobre pytanie. Czy byłam szczęśliwa, mieszkając w Jaszczurkach, mając małe dziecko i żyjąc z dnia na dzień u boku Ludwika?

Pomyślałam o wszystkich naszych przeżytych wspólnie, szczęśliwych chwilach.

– Tak – odezwałam się w końcu i mimo łez na mojej twarzy zagościł uśmiech. – Jestem.

Teodor też się uśmiechnął i wyciągnął do mnie swoje ręce.

– Chodź tutaj do mnie – powiedział cicho.

Przysunęłam się do niego i pozwoliłam przytulić. Nie było to podszyte żadnym podtekstem erotycznym, tak jak w przypadku Marka. Nie. Teodor nie obejmował mnie, ale naprawdę przytulał. Jak najlepszy przyjaciel, który jedyne, czego chce, to tego, żeby właśnie tobie, nie jemu, było dobrze. Który zrobiłby dla ciebie wszystko.

Napawając się kojącą bliskością Teodora, znowu przymknęłam oczy. Jego ramiona były jak lek na całe zło. Z tej perspektywy zupełnie inaczej wyglądała też otaczająca mnie rzeczywistość. Znowu krystalizowały się moje priorytety. I odzywały wyrzuty sumienia.

W życiu bym się tego nie spodziewała, ale rozmowa z Teodorem i rozłąka z Ludwikiem brutalnie uświadomiły mi jedno: że ostatnimi czasy, wchodząc w relację z Markiem, wpakowałam się w niezły syf. I że tak naprawdę bardzo mocno kochałam swojego męża. Mimo że jeśli chodzi o zainteresowanie, bardzo mnie zaniedbał, bo przecież to nie takie głupoty były w życiu najważniejsze, ale czysta, bezwarunkowa miłość, którą darzył mnie nie Marek, ale właśnie Ludwik.

No i Teodor...

W życiu bym nie pomyślała, że wracanie do przeszłości i rozmowa z tym człowiekiem ukierunkuje mnie na mojego męża.

Rozdział 17

Dzięki szczerzej rozmowie z Teodorem uświadomiłam sobie, że powinnam zmienić swoje życie. Nie, nie miałam na myśli zmian, które na okrągło promowały programy telewizyjne czy czasopisma kobiece. Nie chodziło o przefarbowanie włosów, wymienienie garderoby czy poszukanie nowej pracy. Myślałam o przeanalizowaniu swoich dotychczasowych poczynań i wypracowaniu innej strategii działania. Jedno było pewne – nie mogłam już dłużej trwać w zawieszeniu. Zwodzić Marka, a przede wszystkim krzywdzić męża. Niemalże przez całą noc kręciłam się w przyjemnie pachnącej pościeli i patrzyłam na leniwie zaglądający przez okno księżyc. Czepiałam się tego mojego męża i czepiałam, a sama nie byłam lepsza. Ba! Miejmy nadzieję, że on się z nikim nie całował, bo...

Stop! Nie mogłam o tym nawet myśleć! Wpatrując się w księżyc, doszłam natomiast do wniosku, że muszę z kimś na ten temat porozmawiać. A wiadomo przecież nie od dziś, że największe zmiany zaczyna się od telefonicznej rozmowy z przyjaciółką.

Dlatego nie zwracając uwagi na godzinę, wygrzebałam się z pościeli i zapaliłam lampkę przy łóżku. Sypialnia rozświetliła się bladym światłem i stała się jeszcze bardziej przytulna niż dotychczas. Zerknęłam na dobijające się przez okno ćmy i wybrałam w telefonie numer do odpoczywającej nad polskim morzem Beatki.

– Zuzka! – odebrała już po drugim sygnale. – Stało się coś, że dzwonisz w środku nocy?

Usadoviłam się wygodniej na łóżku, oparłam o zagłówek i naciągnęłam na siebie kołdrę.

– I tak, i nie – powiedziałam do telefonu. – Ale jak by na to wszystko nie patrzeć, to mam problem. – Przeczesałam palcami swoje kręcone włosy. – Obudziłam cię?

– Nie, nie. My z Darkiem to tutaj chodzimy spać bladym świtem, więc jest w porządku. – W słuchawce rozległ się cichy trzask. – Tylko wiesz co, poczekaj moment, przetransportuję się na werandę, to będziemy mogły swobodniej rozmawiać, okej?

Pokiwałam głową.

– No pewnie, nie ma sprawy. – A potem przez chwilę czekałam, aż Beata przeniesie się na werandę.

– Jestem – powiedziała po chwili. – I odbiegając na moment od twojego palącego problemu, to powiem ci, że siedzę właśnie na leżaku i bezkarnie wpatruję się w morze.

Uśmiechnęłam się lekko.

– No proszę, ale z ciebie szczęściara. Ja natomiast wakacje spędzam w swoim prywatnym, standardowo już pustym łóżku.

W słuchawce rozległo się westchnięcie Beatki.

– A więc nic się u ciebie pod tym względem nie zmieniło? – zapytała smutno.

Chcąc nie chcąc, musiałam przyznać jej rację.

– No i właśnie dlatego dzwonię – dodałam.

– Znowu chcesz wymyślić jakiś genialny plan mający na celu odzyskanie swojego męża? Powiem ci, Zuzka, że powoli kończą mi się już na to pomysły. Ten z kwiatami był chyba moim ostatnim.

Zaśmiałam się cicho na wspomnienie tej nieudolnej próby zwrócenia na siebie uwagi Ludwika.

– Nie, nie. Spokojnie – wyprowadziłam z błędu Beatkę. – Ja się o to pomartwię, jak będę rozmawiać z psychologiem. Dzwonię w zupełnie innej sprawie.

– Z psychologiem?! To jest między wami aż tak źle?! Tylko mi nie mów, że chcesz się rozwieść!

– Jakie rozwieść, proszę cię. Ale mniej więcej w tej sprawie dzwonię.

– W sprawie rozwodu?!

– Beatka, proszę cię! – Wywróciłam oczami. – W sprawie rozgrzeszenia!

– Rozgrzeszenia? Wybacz, Zuzka, ale ja niczego z tego nie rozumiem. O rozgrzeszeniu to tym bardziej nie ze mną powinnaś rozmawiać, ale z księdzem.

– Kiedy ja właśnie nie wiem, czy go potrzebuję. Bo nie wiem, czy to, co się stało, jest już zdradą.

– Zdradą?! Na litość boską, Zuzka! Tylko mi nie mów, że zdradziłaś Ludwika! To ja już chyba wolałam ten rozwód!

– Nie spałam z nikim, Beata! Po prostu się... No... Całowałam.

– Z kim?! – wykrzyknęła.

Ściszyłam głos na wszelki wypadek i popatrzyłam w kierunku drzwi.

– Z Markiem.

– Z wuefistą? Na litość boską, Zuzka! Całowałaś się z naszym wuefistą?! Dałaś się sprowokować temu podrywaczowi? Naprawdę?! Przecież to zawodowy łamacz serc! Myślałam, że masz w sobie trochę więcej samozaparcia. No i że kochasz Ludwika!

– Tak, ja też myślałam, że będę bardziej odporna na wdzięki Marka – westchnęłam, chociaż wspomnienie smaku jego ust nadal wywoływało u mnie gęsią skórkę. – A miłość do Ludwika nie ma tu nic do rzeczy! – dodałam. – To nie jest kwestia miłości.

– Tak? – Nie mogła tego pojąć Beatka. – A czego według ciebie?

– A bo ja wiem? – musiałam przez moment się nad tym zastanowić. – Chwili słabości?

– Chwili słabości?! Zuzka! To ja już się boję, jak wyglądałaby wasza „dłuższa” chwila zapomnienia. Zapomniałybyś, że masz męża i jeszcze z Mareczkiem poszła do łóżka.

– W sumie to w pewien sposób poszłam... – przyznałam zgodnie z prawdą.

Beata jęknęła boleśnie.

– Spałaś z wuefistą?! Zuzanna!

– No spałam, przyznaję. Ale bez seksu!

– Boże... Nic z tego nie rozumiem, ale naprawdę fatalnie to brzmi.

– Po prostu obok niego zasnąłam. A on mnie potem odniósł do łóżka. I obudziłam się już obok Ludwika. Więc w sumie nie stało się nic złego.

– Na dwa tygodnie cię tam samą zostawiam, Zuzka, a ty już się wdajesz w jakieś podejrzanе układy. – Beatka nie mogła już w spokoju słuchać tych moich rewelacji.

– Powinnam ci jeszcze powiedzieć, że mieszka u mnie od niedawna Teodor...

– Powiedz mi, proszę, że nie masz na myśli TEGO Teodora i ja po prostu coś złe usłyszałam... – ponownie jęknęła Beatka. – I że z nim się nie całowałaś.

– No nie, z Teodoreм nie.

– Dzięki Bogu! – Beata głośno odetchnęła z ulgą. – No ale dlaczego on właściwie u ciebie mieszka?

– Bo Ludwik się uparł – mruknęłam.

– Ludwik? A powiedziałaś mu chociaż, że to ten twój były narzeczony, który złamał ci serce?

– Nie powiedziałam. Bo nie wiem, po co miałabym to robić. Przecież to już i tak niczego by nie zmieniło. A Teodor uratował mi życie. Więc w sumie... Jesteśmy kwita.

– Nie nadażam czasem za twoim tokiem myślenia.

– No ale Beatka, nie uważasz tak? Najpierw mnie skrzywdził, a potem uratował. Spłacił swój dług i to z nawiązką.

– I jeszcze mi powiedz, że zamierzasz się z nim teraz przyjaźnić. Przez wzgląd na miłą przeszłość sprzed tego jak zniknął.

Znowu musiałam chwilę zastanowić się nad jej słowami.

– No... – mruknęłam w końcu. – Nie myślałam o tym jeszcze, ale wszystko wskazuje na to, że chyba tak. Wiele sobie wyjaśniliśmy. I spędziliśmy ze sobą miłą, oczyszczający wieczór.

– Braliście razem prysznic?!

Tym razem zaczęłam głośno się śmiać.

– Nie w ten sposób oczyszczający! – zachichotałam. – Raczej uwalniający organizm z nadmiaru wody.

– Zuzka, ty mnie przyprawisz kiedyś o zawał serca.

Znowu się zaśmiałam. Beatka momentami była naprawdę urocza. No i trzeba jej przyznać, że wyjątkowo się o mnie martwiła. Co zresztą słyszeć po tych jej pełnych emocji reakcjach.

– Jesteś kochana, wiesz? – powiedziałam, ocierając lejące mi z oczu ze śmiechu łzy.

– No ale dobra, koniec z tym – opamiętałam się w końcu. – Powiedz mi, jak to wszystko w twoich oczach wygląda. Tylko nie mów, że niezły kocioł. No bo sama to wiem.

– No co, dla mnie to wszystko jest oczywiste. Wywalasz od siebie Marka, kończysz z obściskiwaniem się z nim i przenosisz wszystkie swoje czułości na biednego Ludwika. To jest jedyne mądre rozwiązanie w tej sytuacji! I nie rób maślanych oczu do Teodora! – dodała jeszcze po chwili. – Bo on jest połamany, więc jego nie będziesz

mogła wyrzucić! To by było wbrew zasadom etycznym.

– Dobra, oj dobra. – Ponownie wywróciłam oczami. – No przecież nie będę.

– Z Markiem też nie miałaś! A proszę, co wyszło! Na wszelki wypadek wolę dmuchać na zimne.

– Już ci powiedziałam, że to była po prostu jakaś chwila słabości... Dobrze, może trzy. Czy ile tam ich było.

– Zuzka, błagam cię! Trzy?! – znowu wpadła mi w słowa Beatka. – Nie mów mi już nic więcej, bo aż się we mnie gotuje, kiedy ciebie słucham. Zamiast gadać i o tym myśleć, to skup się lepiej na Ludwiku. To taki dobry facet, a ty odstawiasz jakiś cyrk.

Na chwilę zamyśliłam się nad jej słowami. Miała stuprocentową rację. Potrzebowałam kubła zimnej wody, a kogo, jak kogo, ale Beatę stać było na szczerość. Nawet tę trochę bolesną. I przesadnie dosadną. Pożegnałam się z nią wylewnie, podziękowałam za wszystko, a potem ułożyłam się w łóżku i spróbowałam zasnąć. Moje myśli nieustannie krążyły jednak wokół Ludwika. Pierwszy raz od dawna odniosłam wrażenie, że goniłam za czymś, co wydawało mi się nieuchwytnie, a tymczasem miałam to przecież pod nosem. Bo czy Ludwik rzeczywiście zaniedbał mnie aż tak, że teraz szukałam zainteresowania w oczach kogoś innego? Był przy mnie zawsze, kochał mnie i szanował. Mieliśmy razem dziecko. Byliśmy naprawdę szczęśliwi. To bardzo racjonalne argumenty, które przemawiały na jego korzyść.

Cóż...

Leżąc tak i wpatrując się w ciemność, natrętnie wracałam myślami do momentu, w którym mój obecny mąż, trzymając mnie w ramionach, pierwszy raz powiedział, że mnie kocha... Boże! Jakie to było cudowne, wyczekane i romantyczne! Ten jego niski głos, szczerość w oczach... Pomimo upływu czasu doskonale pamiętałam, że poczułam wtedy, jak gdyby jakiś brakujący element układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Kocham cię, Zuzka – wyszeptał wtedy w mroku, wpatrując mi się w oczy, a ja niemal się rozpląnęłam.

Zasnęłam tej nocy kołysana właśnie wspomnieniem brzmienia tych słów w jego wykonaniu.

Rozdział 18

Następnego ranka obudziłam się wyspana i pełna energii do zmian. Filmowcy nie kazali mi zrywać się skoro świt, więc mogłam bezkarnie wypocząć. Leniwie zagładające do sypialni słońce czule muskało moje policzki, a dzięki uchylonemu przez noc oknu, powietrze, którym napełniłam płuca już przy pierwszym wdechu, było orzeźwiające i świeże. Jak nic zapanował odpowiedni klimat do zmian. Prawda?

Ale jak to w życiu bywa, a może nawet nie tyle w życiu, co z powodu moich domowników, zamiast wdrażać swój nowy sposób postrzegania świata (a raczej mojego Ludwika), od razu zostałam pochłonięta przez problemy szalejącej w kuchni Kasi. A sprowadziło mnie na dół, w kapciach i piżamce, nic innego, jak głośnie walenie garnkami i nieustanne trzaskanie drzwiczek od kuchennej szafki.

– Coś się stało? – zapytałam. Stałam przy blacie, kiedy Kasia kolejny raz wrzucała do szafki patelnię, tylko po to, żeby ta odbiła się od stojących w niej garnków i wypadła na ziemię.

W kuchni rozległ się kolejny głośny brzęk. Kasia ze złością wzięła do ręki leżącą na podłodze patelnię i ignorując moje pytanie, ponownie wrzuciła ją do szafki. Z takim samym opłakanym skutkiem jak poprzednio.

– Nic się, do cholery, nie stało! – rzuciła ze złością, podnosząc z ziemi patelnię.

Pokręciłam głową i podeszłam do niej, a potem wyjęłam jej z rąk nieszczęsne naczynie i powoli włożyłam je do szafki. Tym razem nie wypadło.

– Kawy? – zapytałam, wyczuwając, że szykuje się dosyć poważna rozmowa.

Kasia odetchnęła głęboko, odgarnęła do tyłu włosy i niechętnie pokiwała głową.

– Ale ja zaparzę! – Zatrzymałam ją ręką, kiedy zrobiła ruch w stronę szafki ze szklankami. Szkoda mi było naczyń.

Posłała mi tępe spojrzenie i bez słowa przeszła do salonu. Ciężko opadła na fotel. W milczeniu zrobiłam nam kawę.

– No to o co chodzi? – zapytałam, siadając na kanapie razem z filiżanką w ręku tak, żeby nie oślepiało mnie słońce. Był naprawdę piękny, słoneczny poranek.

Na dźwięk mojego głosu Kasia uniosła głowę.

– No bo to wszystko jest po prostu nie tak! – wyrzuciła i wybuchła płaczem.

Popatrzyłam na nią z wdzięcznością za to jakże hojne wyjaśnienie.

– A jakbyś tak mogła doprecyzować, co? – poprosiłam łagodnie.

Kasia załkała głośno i znowu spuściła wzrok, który wlepiła w swoje palce.

– Chodzi o Tomka – powiedziała.

Pokiwałam głową i zrobiłam minę, która miała wyrażać empatię. Jakby to nie było dla mnie oczywiste!

– Ach tak – westchnęłam i spojrzałam na nią z ukosa. – O ten wasz wieczór?

Tym razem to Kasia skinęła.

– Tak.

Na chwilę zapadła między nami cisza.

– Ja się dla niego wyszykowałam, kupiłam wino i świece, a on... – zawiesiła głos

i dopiero po chwili po salonie rozległ się jej głośny szloch. – Wiesz, co on zrobił, Zuzka?

– Kasia spojrzała na mnie z rozpaczą. – On mi, cholera jasna, powiedział, że mnie nie

chce! – wydusiła i zaczęła płakać jeszcze głośniej. – Zresztą nikt na tym świecie mnie

nie chce. Ani mój facet, ani moja matka.

Natychmiast zerwałam się z kanapy i przysiadłam na brzegu fotela, żeby ją do siebie przytulić.

– Nie płacz, słonko. Tylko nie płacz – szeptałam jej nad uchem, kiedy jej drobnym

ciałkiem wstrząsał szloch za szlochem. – Tak to czasem już w życiu jest, że nie

wszystko układa się po naszej myśli – powiedziałam metafizycznie, łapiąc się po chwili

na tym, że zabrzmiałam jak własna matka. – Nie martw się, że z tobą zerwał.

Kasia rozplakała się jeszcze głośniej.

– Ale on ze mną nie zerwał, Zuzka! – jęknęła. – Ani ja z nim.

Odsunęłam się nieco i popatrzyłam na nią uważnie.

– No to w jakim sensie powiedział ci, że cię nie chce?

– Jak to w jakim, Zuzka! W fizycznym! – Kasia ponownie zaniósła się płaczem i przytuliła do mojego ramienia.

Zrobiłam zatroskaną minę, w duchu jednak skakałam z radości. Dziękowałam Bogu

za to, że Kasia trafiła na porządnego chłopaka i żadnych dzieci z tego związku nie

będzie. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Swoją drogą, to jakie to wszystko ciekawe!

Tomek okazał się nieprzewidywalny: jeździ na motorze, gra na basie, no po prostu

uosobienie prawdziwego mężczyzny, ale jak co do czego, to proszę! Potrafi się dzieciak

zachować. I to jak! Normalnie chłopak na medal. I pomyśleć, że urodziła go matka-

wariatka... Jakie to życie potrafi być zaskakujące!

Nie chcąc jednak wyjść przed Kasią na samolubną bestię, pozwoliłam jej się do siebie

przytulać i płakać, a potem zmusiłam się do okazania empatii, pogłaskałam ją po

głowie i finalnie podstawiłam pod nos chusteczki. Dopiero potem przesiadłam się na

kanapę.

– Lepiej? – zapytałam, kiedy otarła nos.

– Nie wiem. Ale na pewno nie będę już płakać – bąknęła.

Pokiwałam głową.

– No to może opowiesz mi, co się dokładnie wczoraj między wami stało, co? –

zachęciłam. – Może będę jakoś umiała ci pomóc?

Kasia pociągnęła nosem i wahała się przez chwilę, ale w końcu zdecydowała się na

rozmowę.

– No więc to było tak – zaczęła – że najpierw pojechaliśmy sobie motorem na

wycieczkę. No i było super. Wiesz... Wiatr we włosach, adrenalina. Jeszcze bezkarnie

mogłam sobie za nim siedzieć i przytulać się do niego. Normalnie poezja. Nad jeziorem

też wszystko super. Wieczorem nie było już prawie ludzi, więc rozłożyliśmy sobie kocyk i leżeliśmy, wpatrując się w wodę. Nikt nam tego nie zakłócał. Było tak romantycznie... Naprawdę. Prawie jak w filmie! No i wiesz, jak wróciliśmy, to myślałam, że jakoś pociągniemy ten nastrój. Zaczęliśmy się całować, poszliśmy do jego sypialni. No i właśnie wtedy on powiedział, że mnie kocha! – Znowu zalała się łzami.

Popatrzyłam na nią, nie wierząc w to, co słyszę i widzę.

– No ale zaraz... To źle? – zapytałam niepewnie.

Kasia spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– No nie! – zapłakała.

Jak Boga kocham, naprawdę za wiele z tego wszystkiego nie rozumiałam!

– No to o co chodzi? Ty go nie kochasz?

– Oczywiście, że kocham, Zuzka. Ale nie w tym rzecz! On powiedział zaraz potem, że jeszcze nikomu tego nie mówił, że jeszcze żadnej dziewczyny naprawdę nie kochał i że traktuje mnie bardzo poważnie – wydusiła na jednym oddechu.

– A ty nie traktujesz go poważnie? – zapytałam z cichą, wewnętrzną nadzieją.

Którą Kasia jednak już za chwilę rozviała.

– Oczywiście, że jest dla mnie bardzo ważny. – Uniosła wzrok. – I naprawdę chciałabym z nim być. Ale jak on mógł powiedzieć, że właśnie dlatego, że nie chce się mną tylko zabawić i skrzywdzić, powinniśmy jeszcze z tym łóżkiem poczekać? No jak, Zuzka?! No jak?! Kocha mnie, ale mu się nie podobam?

Na mojej twarzy odmalowała się konsternacja. Co ta dzisiejsza młodzież ma w głowie? Takie słowa z ust mądrej dziewczyny? Naprawdę?

– Przecież nie ma niczego złego w tym, że Tomek woli się tobą nacieszyć, a z pójściem do łóżka jednak trochę poczekać – zauważyłam trafnie, aczkolwiek niepewnie.

Kasia otarła chusteczką nos.

– Jezu, Zuzka! Ty naprawdę niczego nie rozumiesz – jęknęła. – W dzisiejszym świecie to już tak nie działa! Seks nie jest zwieńczeniem miłości, jakąś tam wisienką na torcie. A przynajmniej nie dla młodych ludzi. Chcecie ze sobą być, to go uprawiasz i już. Okazujesz w ten sposób tej drugiej osobie, że cię pociąga. I jest fajnie. A przynajmniej w moim świecie tak zawsze było. Na co ten Tomek chce czekać?! Aż będę stara i brzydka? Naprawdę?! Ja nie jestem na coś takiego gotowa...

– Wiesz Kasiu, my jednak mieszkamy na wsi... Ludzie mają bardziej konserwatywne poglądy niż w mieście... – Jej słowa zbiły mnie z tropu tak bardzo, że nie wiedziałam już, jak mam tego biednego Tomka bronić. Niby każda dziewczyna chce porządnego chłopca, a jak przychodzi co do czego, to nie! Widać przez brak ojca i niedostateczne zainteresowanie ze strony matki Kasia desperacko łaknęła miłości. Ta potrzeba chyba ją przerastała i biedulka nie wiedziała, co z tej rozpaczki gada. Bo jak inaczej można wytłumaczyć jej zachowanie? Głupotą? Mediami? Popkulturą? Kasia głupia nie była i wątpię, żeby dała się ponieść tym trendom. Chociaż? Ona jest przecież z Warszawy,

a to jednak „wielkie” miasto...

Nie chciałam wyjść na złośliwą, starą ciotkę, więc cały poranek spędziłam na pocieszaniu Kasi. Chociaż opornie to szło, udało mi się w końcu przekonać dziewczynę, że powinna raczej skakać z radości, a nie pogrążyć się w rozpacz. Tomek wcale jej nie odtrącił, a wręcz przeciwnie. Raczej docenił jej wartość.

– Lepiej już? – zapytałam po pewnym czasie, nadal ją do siebie tuląc.

– Tak. – Delikatnie skinęła głową i otarła nos.

– Może chcesz czegoś do picia? – zaproponowałam, ale zaprzeczyła.

– Bo wiesz, Zuzka... – wyznała w końcu, spuszcżając wzrok. – Tu tak naprawdę nie chodzi o seks.

– Nie? – Popatrzyłam na nią z ukosa.

– Nie.

– Więc o co?

Kasia zmięła trzymaną w rękach chusteczkę.

– Mnie po prostu przeraża miłość. Doszłam do tego wniosku już dawno. Nigdy jej nie zaznałam ze strony matki i ojca, więc nie wiem, jak sobie z tym radzić.

– Ale... – szepnęłam, przysuwając się do niej bliżej.

– Po prostu czuję, że na nią nie zasługuję. Że człowiek taki jak ja nie jest wart kochania.

– Co ty mówisz, dziecko! – Ponownie otoczyłam ją ramieniem. – Przecież jesteś świetną dziewczyną.

– Tak ci się tylko wydaje, nie znasz mnie. Właściwie to nic o mnie nie wiesz.

– Nieprawda – zaprzeczyłam zdecydowanie i przytuliłam do jej ramienia policzek. – Może popełniłaś kilka błędów, ale jesteś dobrym człowiekiem. Życie mocno cię doświadczyło, ale mimo wszystko masz moralny kręgosłup, chociaż usilnie próbujesz temu zaprzeczać. Podchodzisz z anielską cierpliwością do mojej matki, znosisz humory Marcela, a do tego jak nikt rozumiesz i uszczęśliwiasz Tomka. To mało?

– Nigdy tak o sobie nie myślałam. Zawsze byłam dla wszystkich nie dość dobra.

– Więc spróbuj to zmienić. Może i boisz się miłości, ale musisz wiedzieć, że my tutaj wszyscy cię kochamy. Nikomu już nie damy cię skrzywdzić – powiedziałam, czując, że zaraz sama się rozplączę i przymknęłam oczy.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

I kiedy Kasia w końcu przestała się mazać, podziękowała mi za wszystkie miłe słowa, a następnie pobiegła malować pałac, we mnie ponownie wstąpiła nadzieja, że chociaż po południu (skoro rano się nie udało) będę miała w końcu święty spokój. Niestety, zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła. A wszystko za sprawą pełnego wizji Reżysera, który niespodziewanie zajrzał do mojego ogródka, kiedy razem z Marcelem stawialiśmy w piaskownicy babki z piasku.

– No tutaj jesteś! – Przywitał się ze mną pretensjonalnie, jeśli w ogóle można było to nazwać przywitaniem, i zasłonił nam słońce. Ubrany był w kraciastą koszulkę, kuse

spodenki, a na nosie miał drogie, przeciwsłoneczne okulary. Oczywiście przeżuwał gumę, co dodatkowo spotęgowało moją frustrację.

– Coś się stało? – zapytałam.

– No oczywiście, że się stało! – Machnął złowieszczo swoimi długimi kończynami. – Jesteś nam potrzebna przy filmie, a siedzisz sobie w piasku!

Pogładziłam Marcela po głowie i uśmiechając się do niego ciepło, wstałam. Jeszcze tego brakowało, żeby Reżyser dosłownie spoglądał na mnie z góry.

– Nikt mi nie mówił, że będę wam dzisiaj potrzebna do zdjęć. Widocznie byliście z Joanną za bardzo zajęci „godzeniem się”, żeby mnie o tym poinformować. Więc nie przychodź tutaj do mnie z pretensją w głosie, bo to, że nie jestem teraz z wami, na zdjęciach, nie jest nawet w najmniejszym stopniu moją winą – oznajmiłam wyniosłym tonem. Ten człowiek działał na mnie jak płachta na byka.

Reżyser kilka razy głośno przeżuł gumę.

– No dobra, może coś w tym jest. – Mlasnął, patrząc pod słońce. – Skoro już jednak wiesz, że cię potrzebujemy, to chyba możesz ze mną iść, nie? – Znowu złowieszcze mlaśnięcie. – Olaf z Joanną są już w samochodzie.

– W samochodzie?

– No tak. – Reżyser spojrzał na mnie jak na słodką idiotkę. – Jedziemy pod prokuraturę.

– Ale jak to pod prokuraturę? A co z Marcelem? Nie mogę sobie stąd tak po prostu iść bez dziecka.

– Nie?

– No oczywiście, że nie! Dziecko nie jest zabawką. Nie możesz go wyłączyć i odłożyć na bok, kiedy ci się znudzi!

Reżyser przyłożył palec do ust i analizując wnikliwie zaistniałą sytuację, kilka razy mlasnął.

– A, no tak! – ożywił się w końcu. – Dzieci zostawia się przecież z nianią, fakt! Idź i zostaw. Poczekamy na ciebie.

Posłałam mu mordercze spojrzenie. Mnie to mnie, ale nie miał prawa instrumentalnie traktować mojego dziecka!

– Tak się składa, że u nas, na wsi, nie mamy niań.

– Nie? – Reżyser popatrzył na mnie, jakbym była z jakiejś innej planety. – No to z kim wy, do diabła, zostawiacie tu swoje dzieci? Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek!

Pokręciłam głową sfrustrowana jego głupotą. Jeszcze chwilę, a normalnie bym mu przyłożyła! Ale naprawdę nie miałam z kim zostawić Marcela. Ania z mamą wybrały się do ciotki Haliny, a Kasia, odkąd przeszła jej złość, pobiegła pogodzić się z Tomkiem i do tej pory to robili. Cokolwiek to mogło oznaczać.

– No dobra, trzeba, to trzeba – wydukał w końcu, gdy nie otrzymał ode mnie żadnej sensownej odpowiedzi. – Dawaj dzieciaka. Jedzie z nami – zadyrygował.

Teraz to ja popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Co?

– No przecież mówię wyraźnie! – oburzył się Reżyser. – Dawaj go z nami do samochodu. Na miejscu mu się wymyśli jakąś opiekę. – Kilka razy mlasnął.

Spojrzałam na Marcela. Już przeczuwałam, że to nie jest dobry pomysł, ale cóż. Jeśli kręcenie tego filmu miało się wreszcie skończyć, a doprowadzający mnie do szału Reżyser jak najszybciej stąd wyjechać, to nie powinnam stwarzać większych problemów. Pochyliłam się więc do Marcela i zaproponowałam mu wyjazd. Mój kochany synek ogromnie się ucieszył, a potem poszłam przebrać i jego, i siebie, zamknęłam dom na trzy spusty, po czym wygodnie usadowiliśmy się na tylnym siedzeniu w samochodzie Reżysera, w którym czekali już na nas wszyscy filmowcy.

– Tylko niech ten dzieciak niczego mi tu nie dotyka. To drogi sprzęt – z miną męczennika rzucił do nas Reżyser, kiedy odpalał silnik w swojej czarnej terenówce.

Przed ostrym komentarzem powstrzymała mnie jedynie uspokajająca ręka Joanny i jej prosząca o wyrozumiałość mina.

– Jacuś, bądź miły – przywołała go do pionu. – Popatrz, jaki ten Marcelek jest kochany i grzeczny.

– Ta. Ja już znam takich. Ludzie się nimi zachwycają, a oni nas biorą z zaskoczenia i wycinają jakiś numer. Wiozłem kiedyś swoją pięcioletnią siostrzenicę. Przez całą drogę żarła czekoladę i niby mieliśmy z nią spokój. A okazało się, że usmarowała mi całą tapicerkę, w dodatku na koniec ją zemdliło i się zrzygała. Tak że wielkie dzięki za radę, Aśka, ale do dzieci to ja wolę podchodzić z dystansem. I broń Boże nie dawajcie temu małemu tutaj niczego jeść! Po siostrzenicy śmierdziało mi w aucie chyba ze dwa miesiące.

Próbując zachować powagę, pogłodziłam po głowie siedzącego w foteliku na środku Marcela.

– No dobrze, ale nie rozmawiajmy o dzieciach – postanowiła zmienić temat Joanna. Najwidoczniej zrozumiała, że nie ma sensu przekonywać Jacusia do walorów posiadania potomstwa. – Masz jakieś szczególne wymagania odnośnie do tych dzisiejszych scen przed prokuraturą czy robimy standard?

– Standard. Ty mówisz, że trwa właśnie postępowanie przygotowawcze, a prokurator jako środek zapobiegawczy stosuje tymczasowy areszt, nagrywamy zbliżenie na okno celi sklepowej, kilka scen z tą połamana...

– Chciałam zauważyć, że ja tutaj jestem! – postanowiłam przypomnieć Reżyserowi, żeby nie zagalopował się za bardzo w tym wyrażaniu do mnie braku szacunku. Zwłaszcza w obecności dziecka. – A swoją drogą, to mam do was pytanie. Wy na pewno bardziej się orientujecie w tym całym śledztwie niż ja. Ile trwa takie postępowanie prokuratorskie?

– A czy ja wyglądam, jakbym udzielał porad prawnych? – sarknął mój ulubieniec. – Ja jestem reżyserem! Człowiekiem światła, wizji! Nie sprowadzajcie mnie do roli biurokraty! Ciągłe jakieś obelgi! – oburzył się, przeżuując przy tym tę swoją gumę.

– Zwykle do trzech miesięcy. – Joanna jak zawsze jednak wyratowała go z opresji. – Prokurator stosuje wtedy tymczasowy areszt i zajmuje się dochodzeniem. Po tym czasie zwykle odbywa się rozprawa i skazany dostaje wyrok. Chyba że wydarzy się coś niesamowitego. Wtedy wszystko może potrwać trochę dłużej.

– Aż trzy miesiące będzie zbierał dowody?

– Czasem tyle to trwa – powiedziała Joanna i wyciągnęła z torebki swój wypasiony telefon. – A teraz przepraszam cię, słonko, ale muszę pilnie zadzwonić do szefa. Od poniedziałku będziemy robili następny odcinek, a on mi jeszcze nie przysłał żadnych materiałów. – Posłała mi promienny uśmiech, a potem przesunęła na głowę swoje ciemne okulary i zaczęła burzliwą rozmowę z producentem filmu.

Nie chcąc jej przeszkadzać, zlustrowałam wzrokiem wnętrze samochodu. Takie auto musiało naprawdę sporo kosztować. Miało wmontowane w zagłówki ekrany, wypasioną deskę rozdzielczą, no i te skóry... Zupełnie inny standard niż moje zielone cinquecento. No i ci filmowcy tak świetnie pasowali do tego pojazdu. Tylko ja z Marcelem byliśmy jak z innej bajki. Ekscentrycznie ubrany i mlaszczący Reżyser, odstrojona jak na czerwony dywan Joanna i jej piękne, błyszczące blond włosy, małomówny Olaf... Kiedy tak z nimi dłużej przebywałam, zawsze robiło mi się siebie w pewien sposób żal. Namiastka makijażu i powyciągane ciuchy nie pomagały mi w uznawaniu siebie za atrakcyjną kobietę, a wręcz przeciwnie. Nie sprawiał też tego mój wiecznie zabiegany mąż i mały domek na skraju wsi. I gdyby nie to, że oni wiecznie żyli w rozjazdach, to chyba popadłabym w jakąś depresję z tęsknoty za lepszym życiem, przygodami i blichtrzem. Serio.

– Dobra, jesteśmy na miejscu – oderwał mnie od tych przemyśleń głos Reżysera. – Wsiadamy. Tylko niech dzieciak niczego mi przy tym nie pobrudzi!

Ignorując jego irytujące jęki, posłusznie wysiadłam z samochodu. Już po chwili wyciągnęłam też z auta Marcela.

– No dobra. – Kiedy wysiedliśmy już wszyscy, a Olaf wypakował z bagażnika cały swój sprzęt, Reżyser popatrzył na mojego synka. – To kto wymyśli, co z nim teraz zrobić, żeby nam się nie pałętał przed kamerą? – zapytał, mlaszcząc gumą.

Nikt nie raczył udzielić mu najkrótszej nawet odpowiedzi.

– Okej, okej! Jak chcecie. – Reżyser rozłożył ręce w geście rezygnacji. – Sam mu znajdę jakąś niańkę – bąknął, a potem ruszył w kierunku siedzącej na ławce przypadkowej kobiety.

– Zaraz! – krzyknęłam za nim i złapałam Marcela za rękę. – Ja się na to nie zgadzam!

Reżyser odwrócił się do mnie gwałtownie, a z jego twarzy nagle odplynęła krew.

– Jak to się nie zgadzasz?

– Normalnie i już! To jest moje jedyne dziecko i nie zamierzam zostawiać go z obcą kobietą.

– Ale... Ale jak to? – Popatrzył na mnie niepewnie. – Przecież kamera, film... AŚKA! –

wrzasnął rozpaczliwie. Zrozumiał, że mu nie ustąpię i będzie potrzebował pomocy.

Joanna zjawiła się przy nas natychmiast.

– Co się stało?

– Ona nie chce oddać dziecka pod opiekę niańki. Przecież ten bachor zepsuje mi całą wizję... – Reżyser mówił coraz bardziej płaczącym tonem.

Joanna podeszła do niego i pogłaskała go po ramieniu.

– Spokojnie, Jacuś, spokojnie. Przecież to grzeczne dziecko. Wcale nie musi od razu wchodzić ci w kadr. Spójrz tylko na niego.

Jak na potwierdzenie jej słów, Marcel uroczo się uśmiechnął, co jednak, zamiast pocieszyć Reżysera, jeszcze bardziej go dobiło.

– Gdyby nie to, że gorąco jak diabli, to można by było na chwilę zamknąć go w samochodzie, a tak...

– Jacek! – przystopowała jego mroczne zapędy Joanna. – Przecież to nieludzkie! Nawet tak nie mów!

– No to co ja mam zrobić, Aśka? No co? Jesteśmy już tak blisko skończenia tego filmu, a tu jak zawsze kłody pod nogi – zapłakał.

– To wy tu sobie gadajcie, a ja pójdę nakręcić zbliżenie na okno, żeby nie marnować czasu – wtrącił się do rozmowy stojący nieopodal Olaf. Z zarzuconą na ramię kamerą ruszył w kierunku prokuratury i przylegającego do niej aresztu śledczego.

– Tak. – Ja natomiast pokiwałam głową. – My też chyba na chwilę was zostawimy. Pójdziemy sobie na lody. Co ty na to Marcel?

– Tak, super! Lody! – Marcela do tego pomysłu nie trzeba było długo namawiać. Zostawiliśmy płaczącego Reżysera razem z Joanną i czym prędzej oddaliliśmy się, by poszukać budki z lodami. W duchu liczyłam na to, że Joanna wymyśli jakieś magiczne rozwiązanie tej jakże „trudnej” sytuacji.

No i, jak to zwykle w życiu bywa, kiedy wróciliśmy do nich razem z lodami, Joanna poinformowała mnie, że owszem, coś wymyśliła.

– Po prostu wystąpisz przed kamerą razem z dzieckiem – powiedziała z uśmiechem, kołysząc przy tym swoją idealnie prostą kitką. – To nam nawet doda w filmie dramatyzmu. Rozumiesz, nie? Małe dzieci zawsze chwytają za serce. Widz na pewno będzie jeszcze bardziej żądny sprawiedliwości, kiedy zobaczy, że takie maleństwo jak Marcel o mały włos nie zostało sierotą. Przecież to będzie piękne!

Jakoś nie podzielałam jej zachwyty, ale rzeczywiście, ten pomysł wydał mi się rozsądniejszy niż herezje przedstawione wcześniej przez Reżysera.

– A co na to Jacek? – zapytałam z ciekawości.

– A tam Jacek! – Joanna machnęła ręką. – Dobrze będzie i już. On tu nie ma za wiele do gadania. Ja mu potem jakoś wynagrodzę tę jego nadszarpniętą wizję, już ty się nie martw – zachichotała i posłała w stronę Reżysera bardzo jednoznaczne spojrzenie. Potem poprowadziła nas na drugą stronę ulicy, przed prokuraturę.

I kiedy już wszystko miało być pięknie, sprzęt został rozłożony, a my z Marcelem

stanęliśmy przed mikrofonem Joanny gotowi do odgrywania swoich wzruszających ról, stała się rzecz niespotykana. (Chociaż biorąc pod uwagę fakt, jakie dziwne zdarzenia rozgrywają się zwykle za sprawą filmowców, to chyba nie powinno mnie to dziwić.)

Z budynku prokuratury wyleciało bowiem dwóch rosnących ochroniarzy, którzy wymachując gumowymi pałkami, zaczęli pędzić w naszą stronę. Do moich uszu doszły ich agresywne pokrzykiwania. Jacek z Olafem jak na komendę chwycili kamery oraz resztę sprzętu i czym prędzej, nie zważając na jadące samochody, popędzili na drugą stronę ulicy. Biedna Joanna opuściła swój mikrofon i na wszelki wypadek odciągnęła na bok i mnie, i Marcela. Ochroniarze jeszcze przez chwilę awanturowali się, wymachując pałkami w kierunku zdyszanych filmowców, aż w końcu dali sobie spokój i powoli wrócili do budynku.

Ja natomiast popatrzyłam ze zdziwieniem na Joannę. Naprawdę niewiele z tego wszystkiego rozumiałam.

– Nie stresuj się. – Joanna uspokajająco dotknęła mojego ramienia. – To jest normalne.

– Aż tak nie lubią tutaj filmowców?

Zrobiła zamyśloną minę.

– Hmy... Chyba nie wszystkich, wiesz? – mruknęła zdawkowo, ale czując na sobie mój nieustępliwy wzrok, zabrała się w końcu za wyjaśnienia. – Po prostu ci ochroniarze nie tolerują Olafa i Jacka. W sumie to mają do tego prawo, bo kiedyś, jak kręciliśmy tu zdjęcia, chłopcy chcieli szturmem wdrzeć się do prokuratury, żeby nagrać wywiad w środku, na korytarzu. A że nie robili tego miło i kulturalnie, tylko zaczęli pajacować, ci tutaj teraz tak na nich reagują. Jak tylko widzą naszą ekipę, to przeganiają ich na drugą stronę ulicy.

– A mimo to i tak chcecie kręcić tu zdjęcia? Nie możecie tego robić gdzie indziej albo darować sobie te fragmenty? Przecież to jest niebezpieczne. Jeszcze kiedyś, uciekając, zagapią się i wpadną pod samochód – zauważyłam.

Joanna spojrzała na stojących po drugiej stronie filmowców.

– No niby tak, ale Jacuś mówi, że się nie da zastraszyć i że będzie zawzięcie bronił swojej wizji. Zresztą... Mówiłam ci już wcześniej. Zwykle to nie on reżyseruje te moje dokumenty. W sumie agresja ochroniarzy to też jest jeden z powodów, dla których oddał się ostatnio sztuce wysokiej. Producent go, jeśli chodzi o dokumenty, zawiesił. Bo po tamtym zajściu w ogóle nie chcieli nas tutaj przez jakiś czas wpuszczać! Nawet na plac! No, ale koniec tego gadania. – Joanna poprawiła palcami misternie zebrane do tyłu włosy. – Chodźmy lepiej tam do nich, bo na odległość w tym zawodzie pracować się nie da. – Uśmiechnęła się ciepło, a potem ruszyła w stronę chłopaków, stukając tymi swoimi cieniutkimi szpilkami. My z Marcelem oczywiście za nią.

– No to co, będziemy kręcić tutaj, nie? – zapytała ze spokojem i stanęła obok swojego Jacusia.

Reżyser pokiwał głową.

– No, jak zawsze. Tylko dajcie Olafovi chwilę. Musi ustawić kamerę tak, żeby napis „prokuratura” wchodził nam w kadr – powiedział.

– To chodź, Zuzka, strzelimy sobie wcześniej jeszcze fotkę dla moich fanów. – Joanna ustawiła mnie tuż przy sobie, zrobiła zdjęcie komórką, a potem w końcu dograliśmy ten fragment przed prokuraturą. Oczywiście staliśmy na chodniku po drugiej stronie ulicy. Tak dla bezpieczeństwa.

Rozdział 19

Przez szaleństwa przed prokuraturą wdrażanie w życie mojego planu ponownego skupienia się tylko i wyłącznie na Ludwiku zostało przesunięte na kolejny dzień. Niestety, Marek nie zamierzał mi tego ułatwić. Mniej więcej w okolicach południa zajrzał bowiem do salonu, w którym klęcząc na ziemi, zawzięcie myłam podłogę. Była już tak brudna, że nawet złamana ręka mi w tym nie przeszkodziła. Przecież drugą miałam sprawną, prawda? A na męża to na pewno nie mogłam liczyć. Wuefista oparł się nonszalancko o ścianę i posłał mi jeden ze swoich zabójczych uśmiechów.

– Nieźle wyglądasz w tej pozycji. Pomóc ci? – zapytał.

Zrobiłam ostatni kulisty ruch szmatką i oderwałam wzrok od podłogi.

– Nie dzięki, obejdzcie się. – Też się do niego uśmiechnęłam. – Ale jak potrzebujesz czegoś z kuchni, to musisz chwilę poczekać, aż przeschnie.

Marek pokiwał głową.

– Właściwie to potrzebuję czegoś tylko od ciebie – mruknął i pomógł mi wstać.

Zganiłam się w myślach za to, że znowu zrobiło mi się na jego widok gorąco. Miałam być twarda! Wierna swojemu mężowi. A nie poddawać się wpływowi jakiegoś amanta!

– O co chodzi? – Odgarnęłam zdrową ręką do tyłu niesforne włosy, które podczas sprzątania niechlujnie opadały mi na twarz.

Marek uśmiechnął się na ten widok jeszcze szerzej.

– Kupiłem mieszkanie – ogłosił.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Mieszkanie? Ale jak?

– Normalnie. Znalazłem w miasteczku pośrednika, wziąłem kredyt, zrobiłem szybki, kosmetyczny remont, no i mam. Mówiłem ci przecież, że nie będę w nieskończoność siedział wam na głowie.

Przyjrzałam mu się z uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

– A więc to właśnie była ta twoja ważna sprawa w ciągu ostatnich tygodni? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Może mogłabym ci jakoś w tym pomóc! – Zrobiłam oburzoną minę.

Marek roześmiał się gardłowo i obejmując mnie w pasie, przysunął do siebie, a potem nachylił się do mojego ucha i musnął je ustami.

– No i właśnie moja propozycja jest taka, żebyś dała mi się dzisiaj do mnie zaprosić – zamruczał zmysłowo. – Tylko ty, ja i moje nieużywane jeszcze łóżko. Co ty na to?

– Ale ja... – bąknęłam niepewnie, kiedy delikatnie mnie całował. Zachowywanie rozsądku, podczas gdy tonęłam w jego ramionach, było naprawdę o niebo trudniejsze niż robienie tego na odległość, tak jak na przykład wczoraj.

– Pomyśl tylko. Romantyczna kolacja, wino, świece, a potem...

Mimo że przez to jego „potem...” porządnie zaschło mi w gardle, właśnie dzięki niemu

udało mi się lekko odepchnąć wufistę.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – wychrypiałam, kiedy znajdował się w bezpiecznej odległości, to znaczy nie przyklejał się do mojej skóry, ale stał kilka centymetrów dalej. Chociaż zapach jego perfum był naprawdę zaborczy, to postanowiłam zawalczyć o swoje małżeństwo. Musiałam zagłuszyć jakieś swoje pierwotne popędy i kierować się tym, co podpowiadał mi rozum, a nie chwilowe emocje.

Marek popatrzył na mnie z wyjątkową pewnością siebie i z czarującym uśmiechem spróbował znowu się do mnie przysunąć. Udało mi się skutecznie przystopować go wyciągniętą ręką i zrobieniem kroku w tył. Zawadziłam przy tym nogą (no bo jak by mogło być przecież inaczej) o stojącą za moimi plecami miskę z wodą. Pokryta pianą ciecz zakołysała się niebezpiecznie, ale, ku mojej wielkiej uldze, nie zalała świeżo umytej podłogi.

Marek zdziwił się, widząc moją reakcję.

– Nie? – zapytał. Widocznie nie wiedział, jak poradzić sobie z moją odmową i bezradnie rozłożył ręce. Na pewno była to dla niego nowość. W końcu jakaś kobieta zdołała mu się oprzeć. Ba! I jeszcze miała tyle siły, żeby odsunąć go od siebie, kiedy wchodził w tę swoją odbierającą dech fazę „zaloty”.

Na potwierdzenie swoich słów gwałtownie pokręciłam głową.

– Przykro mi Marek, ale naprawdę nic z tego nie będzie. Ja mam męża. I dziecko – powiedziałam, bardziej przypominając o tym sobie, niż jemu. Mimo że bardzo się starałam, w moim głosie dało się jednak wyczuć smutek. Te słowa nie były dla mnie łatwe.

Marek przez chwilę trawił w milczeniu to, co powiedziałam.

– Cóż... – mruknął w końcu. – No tak. Mogłem się tego w sumie spodziewać, chociaż po tym, jak ostatnio się całowaliśmy, myślałem, że jednak...

– Przestań – nie dałam mu skończyć, zerkając przy tym za jego plecy z obawą, że jeszcze ktoś tę naszą rozmowę usłyszy.

Po salonie rozniosło się jego głośne westchnięcie.

– No dobrze, nie to nie. Nie myśl sobie, że nie umiem przyjąć odmowy kobiety na klatę, z godnością. Niemniej jednak, gdybyś zmieniła zdanie, to do wieczora wiesz, gdzie mnie szukać. – Uśmiechnął się lekko, a potem, nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się na pięcie i wbiegł schodami na górę.

Kiedy tylko zniknął mi z oczu, przymknęłam powieki i próbując ignorować nerwowe bicie serca, opadłam do tyłu, na fotel. A właściwie chciałam to zrobić, bo przez szalejące mi w głowie myśli i emocje na śmierć zapomniałam o stojącej za moimi nogami misce z wodą, w którą finalnie weszłam z impetem. Oczywiście incydent skończył się zalaniem połowy salonu i przedpokoju.

– A niech to szlag! – jęknęłam na ten niemalże popowodziowy widok.

– Coś się stało? – Na dźwięk dobiegających z salonu hałasów z pokoju pod schodami

wyłonił się Teodor. Podjechał do mnie na wózku. Zrobiłam bezradną minę.

– Hmy... Właściwie to nic. Po prostu niezdara ze mnie. Zagapiłam się i wlałam w miskę. Ale nie martw się, wszystko w porządku. Muszę to tylko teraz posprzątać i przebrać spodnie...

Teodor popatrzył na mnie niepewnie, kiedy unikając jego wzroku, rozglądałam się po zalanej podłodze.

– Muszę iść do łazienki po jakieś szmatki... – bąknęłam i spróbowałam go wyminąć, ale delikatnie złapał mnie za rękę i zatrzymał.

– Słyszałem twoją rozmowę z Markiem – powiedział cicho.

Spojrzałam na niego przestraszonym wzrokiem.

– Nie chcę być wścibski i zachowam to dla siebie, nie martw się – jak gdyby czytając mi w myślach, ubiegł mój nadchodzący atak paniki. – Ale gdybyś chciała z kimś o tym wszystkim porozmawiać, to pamiętaj, że jestem – dokończył, łagodnie patrząc mi przy tym w oczy.

Pokiwałam głową, choć nie bardzo mogłam się oswoić z myślą, że ktoś, poza Beatką, dowiedział się o moich „incydentach” z Markiem. I że tym kimś musiał być właśnie Teodor.

– Matko kochana, a co tu się stało! – wykrzyknęła zbiegająca po schodach Kasia. Nieświadomie przerwała tę pełną napięcia chwilę.

Teodor natychmiast puścił moją rękę.

– Ja... – Spojrzałam na nią niepewnie. – Zagapiłam się i po prostu wlałam w miskę. Ale zaraz to posprzątam, nie martw się.

Kasia posłała mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Jak nie stół, to miska. Nie wiem, Zuzka, może ty naprawdę potrzebujesz neurologa? – mruknęła.

– Cóż... – westchnęłam, zerkając ukradkiem na Teodora.

– Pójdę do łazienki po szmaty i jakoś ci z tym pomogę. Przecież z tą złamaną ręką to do jutra sama tego nie ogarniesz. – Kasia pokręciła głową, a potem zniknęła za drzwiami łazienki.

– To ja się na wszelki wypadek oddalę – odezwał się natomiast Teodor.

– Zajrzę do ciebie później. – Posłałam mu pełen wdzięczności uśmiech i po chwili razem z Kasią zabrałam się za sprzątanie. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że taka przyszywana córka to prawdziwy skarb.

– No dobra, to co? Chyba posprzątane? – stwierdziła po mniej więcej trzydziestu minutach klęczenia na kolanach.

Pokiwałam głową i odłożyłam na bok ostatnią suchą szmatkę. Podłoga była idealnie wytarta i po chwilowej powodzi nie zostało śladu.

– Tyle roboty z własnej głupoty – mruknęłam. – Dziękuję ci, Kasiu, że mi z tym wszystkim pomogłaś. Gdyby nie ty, to pewnie ślęczałabym nad tym jeszcze drugie tyle – powiedziałam z wdzięcznością.

Kasia pokiwała głową i podniosła do góry miskę.

– Daj spokój, Zuzka. To ja sprowadzam na ciebie i Ludwika same kłopoty. Choć raz mogłam pomóc.

Uśmiechnęłam się do niej, choć źle czułam się z tym, że tak się o ten wypadek obwinia.

– No, ale nie ma co się użalać, nie? – skwitowała i przeszła z miską do kuchni, gdzie wylała jej zawartość do zlewu. – A jak tam u Ludwika? Dzwonił do ciebie? Wszystko u niego w porządku?

– Tak, tak. Jest okej. Bawi się świetnie. Ludwik uwielbia taki survival. Jest w swoim żywiole – powiedziałam, mając w głowie poranne, zdawkowe trzydzieści sekund rozmowy z moim wspaniale bawiącym się mężem, który, gdy tylko do niego zadzwoniłam, powiedział, że żyje i odezwie się do południa.

O czym, rzecz jasna, zapomniał.

Kasia w milczeniu wyflukała miskę, a potem schowała ją do szafki pod zlewem.

– No dobra, to ja będę leciała – powiedziała i wytarła ręce w leżącą na blacie ściereczkę.

– Dokąd? – Spojrzałam na nią pytająco.

– Dziś jest takie piękne słońce, że chyba w końcu dokończę mój pejzaż. W ogóle, to jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, ale chyba zrobię temu obrazowi zdjęcia i wyślę na konkurs dla młodych twórców do takiej jednej galerii w Warszawie. Nie czuję, że to jakieś fantastyczne dzieło, ale Tomek mnie przekonał.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Jednak ten Tomek to naprawdę porządny chłopak. Nie dość, że ma swoje zasady, to jeszcze Kasię motywuje do samorozwoju. No proszę...

– To ja lecę. – Dziewczyna cmoknęła mnie w policzek, złapała ze stojącej na blacie miseczki jabłko i wyszła na dwór. Przez okno widziałam, jak wyciąga z garażu obraz ze sztalugami i wędruje nad rzekę.

Ja natomiast zaparzyłam kawę i usiadłam w salonie. Niestety, już za chwilę uświadomiłam sobie, że dzisiejszego dnia samotność i dumanie przy kawie nie były żadnym rewelacyjnym pomysłem. Zamiast bowiem delektować się spokojem i ciszą, moje myśli natrętnie wracały do propozycji Marka.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca w domu, zabrałam więc kawę i wyszłam na dwór, by snuć się bez celu po podwórku. Upał nie dawał o sobie tego dnia znać jakoś wybitnie dotkliwie, dlatego mogłam spacerować w spokoju. Starłam się okiełznać szalejące w mojej głowie myśli i rozkoszować się świeżym powietrzem. Ptaki krążyły nad moją głową, a kolorowe rabaty pławiły się w słońcu i uświadamiały mi, że ja to jednak naprawdę mam wspaniałe, niemalże bajkowe życie i zmarnowanie tego wszystkiego przez wspólną noc z Markiem byłoby czystą głupotą.

Po mniej więcej godzinie takiego snucia się w kółko po naszym zadbanym, dzięki Kasi, ogrodzie i dobitnym przekonywaniu samej siebie, że wybierając Ludwika, dokonuję dobrego wyboru, stwierdziłam, że jednak potrzebuję do tego myślenia

zdecydowanie więcej przestrzeni. Na podwórku zwiedziłam już wszystko. Poszłam więc do domu po oglądającego bajki Marcela, doprowadziłam go do stanu używalności (mam tutaj na myśli wymienienie jego ubrudzonych czekoladą spodenek na czyste), a potem, trzymając się za ręce, ruszyliśmy poboczem w stronę wijących się nad rzeką alejek i parku.

– Ale piękne lato, co? – rozkoszowałam się lekkim wiatrem i ścisnęłam małą rączkę Marcela.

– No – pokiwał głową. – Ale szkoda, że nie wiosna.

Spojrzałam na niego, unosząc brew.

– Tak? A to dlaczego? Nie lubisz lata?

– Lubię, mamusiu. Tylko to już nie to samo. – Marcel smutno pokręcił główką.

– Nudzisz się w domu i smutno ci, że nie chodzisz do przedszkola?

– Nie. Tylko nie włączają już w telewizji tej fajnej reklamy, co w niej jakaś pani mówi: „zakochaj się na wiosnę”. I tak mi jakoś smutno.

Muszę przyznać, że dostrzegłam w tym jakąś dziecięcą logikę.

– A ty chciałbyś się zakochać, tak? – zapytałam.

Marcel pokiwał głową.

– No. Szkoda, że latem już nie można.

– Ale syneczku, dlaczego tak mówisz? Zakochać się można niezależnie od tego, jaką mamy porę roku! Naprawdę! Nie wierz w to, co ta pani mówiła w reklamie. Co prawda wiosna to taki piękny czas, kiedy natura budzi się do życia, ale inne pory roku też są piękne. I też się można wtedy zakochać.

Marcel popatrzył na mnie z nadzieją. Jego wielkie oczy błyszczały w popołudniowym słońcu.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak – zapewniłam go i zrobiłam krótką pauzę. – A tak swoją drogą, to o co chodzi w tym zakochiwaniu? Nie masz się z kim bawić? Chciałbyś mieć więcej koleżanek? Jak chcesz, to możemy pojechać kiedyś do jakiejś dziewczynki z przedszkola, żebyście mogli spędzić razem trochę czasu.

Marcel energicznie pokręcił głową.

– Nie mamusiu, nie trzeba. To wszystko przez Pawełka.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Przez Pawełka? Cioci Ani? – zapytałam.

– No. Bo on ma dziewczynę, wiesz? I opowiada mi, jakie to jest fajne. Ona mu przynosi słodycze na plac zabaw, robi mu laurki, nawet się trzymają za rękę!

Uśmiechnęłam się do niego.

– I co, ty też byś tak chciał?

– No. Bo ty mi mamusiu ostatnio tak mało kupujesz słodyczy, że trochę by się taka dziewczyna jednak przydała...

Rozdział 20

Następnego dnia umówiłam się w końcu na wizytę do Matyldy Mak, jedynej psycholożki, do której, po pamiętnym spotkaniu autorskim, miałam wizytówkę. Matylda, jak się okazało, dokładnie pamiętała pełen łoż dramat, który odegrałam przed nią swego czasu, i po krótkim naświetleniu przeze mnie mojego problemu od razu sprawdziła w kalendarzu swój grafik.

– Mam wolne dopiero na początku przyszłego tygodnia. Pasuje ci?

– Jak najbardziej – rzuciłam entuzjastycznie. Muszę przyznać, że świadomość tego, że w końcu zmierzę się ze swoimi problemami jak dorosły, odpowiedzialny człowiek, od razu dodała mi skrzydeł i napęliła optymizmem. Szczęśliwa zaparzyłam sobie kawę, z którą usiadłam w salonie i zaczęłam wczytywać się w zamieszczony w mojej ulubionej gazecie artykuł o tym, że nadopiekuńczość w stosunku do dziecka jest formą przemocy. Niestety, lekturę przerwała mi Anka.

– Mogę? – zapytała, zakradając się do salonu, o mały włos nie przyprawiając mnie tym samym o zawał serca.

– Nie strasz mnie tak! – rzuciłam i odłożyłam gazetę.

Ania roześmiała się ciepło.

– Wybacz, siostrzyczko, nie chciałam – powiedziała i usiadła na kanapie. – Nie przeszkadzam ci?

Pokręciłam głową.

– Nie. Film już nakręcony, więc oficjalnie mam wakacje.

– Wiem, wiem. Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Joanną. Spotkałyśmy się w ogrodzie. Widziałaś go już? W sensie film?

– Nie. Olaf nie zmontował jeszcze całości. Ale obiecał, że jak tylko to zrobi, to od razu da mi znać.

– Wpraszam się na ten seans. Moja siostra gwiazdą telewizji! Nie myślałam, że tego doczekam – zachichotała Ania.

– Jaki film, taka gwiazda. Ja to właściwie chyba nie chcę tego nawet oglądać. Wystarczająco dużo rozrywki dostarczyło mi użeranie się z Reżyserem. Mam tego filmu po dziurki w nosie.

– Zuzka, błagam cię! Jak to nie chcesz go oglądać? Jak nie dla przyjemności i własnej satysfakcji, to chociaż po to, żeby ocenić, jak wszystko wyszło. Ja to myślę, że cała okolica obejrzy go z wypiekami na twarzy.

– A potem wrócą do linczowania mojej rodziny, opowiadając się po stronie sklepowej.

– Jestem pewna, że nie. Byłam wczoraj w sklepie. Mąż Haliny zatrudnił nową ekspedientkę.

Spojrzałam na Ankę zaciekawiona. Z powodu wioskowej nienawiści robiliśmy z Ludwikiem zakupy w Sosenkach albo sąsiednim miasteczku, dlatego o niczym nie

wiedzieliśmy. Ale czy zatrudnienie nowej ekspedientki nie oznaczało, że ta stara jednak za szybko nie wyjdzie na wolność?

– No i jakie wrażenia? – zapytałam.

– Całkiem pozytywne. Miła dziewczyna, uprzejma. A najważniejsze, że powiedziała mi, że cała wieś stoi za tobą murem.

– Naprawdę? – Jakoś ciężko mi było w to uwierzyć. Zresztą przecież mama niedawno powiedziała mi coś zupełnie innego.

– No. – Anka skinęła głową. – Wszyscy tak się zaangażowali w kibicowanie temu twojemu filmowi, że zamiast do ciebie, to pałają teraz nienawiścią do sklepowej. W końcu wszyscy chcą chwalić się znajomością z gwiazdą! Ta nowa ekspedientka powiedziała, że mąż Haliny przyjął ją do pracy, bo dostał anonim, że jak nie zatrudni nowej, nienastawionej wrogo do świata ekspedientki, to jego sklep splajtuje. Podobno wystraszył się biedulek nie na żarty.

– A to dopiero dramat, co?

Ania znowu się zaśmiała.

– Dramat? Zuzka, dla mnie życie w Jaszczurach to ostatnio komedia. Jakoś mnie to wszystko śmieszy. Poza oczywiście twoim nieszczęśliwym wypadkiem, rzecz jasna. Nasi sąsiedzi zachowują się jak banda wariatów. O filmowcach nie wspominając.

Uśmiechnęłam się szeroko. W jej słowach rzeczywiście było sporo prawdy. Dla zewnętrznego obserwatora poczynania mieszkańców Jaszczurek musiały być aż nader zabawne.

– Swoją drogą – Ania spojrzała na mnie pytająco – to może wypadałoby tych twoich filmowców jakoś przyzwoicie pożegnać przed wyjazdem, co? W końcu trochę się przy tym filmie napracowali.

– Mam zamówić jakieś kwiaty? – zapytałam.

Na twarzy Ani znowu pojawił się uśmiech.

– Raczej myślałam o dobrej kolacji. W końcu odwalili kawał dobrej roboty, nie? Taki film to jednak wielka sprawa. W dodatku oni to robili dla ciebie – zauważyła.

– No cóż... – westchnęłam głośno. Jakoś nie bardzo miałam ochotę na towarzystwo ekscentrycznego Reżysera. A może by tak zaprosić tylko Joannę i Olafa? – Pewnie masz rację – powiedziałam jednak do Anki. – Wypada ich jakoś pożegnać.

– To co, u mnie czy u ciebie?

– Jak to u ciebie? A mało to ty masz swoich spraw? Zośka, ciąża, mama, Pawełek... Oczywiście, że u mnie! I to bez dwóch zdań! Biorę przygotowania na siebie.

Tym razem to Ani wyrwało się westchnienie.

– No widzisz, Zuzka, bo ja właśnie przychodzę w tej sprawie... – mruknęła.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Ale w której? Mama, Zośka, ciąża czy Pawełek?

– Wszystkie cztery. – Ania roześmiała się. – A na dodatek jeszcze mój mąż na emigracji, który obudził mnie dzisiaj skoro świt, żeby powiedzieć, że za mną tęskni

i mocno mnie kocha! Ale tak poważnie, to Paweł i mama – oświadczyła i zmieniła ton głosu. – Ten pierwszy wykończy mnie swoją nieustanną chęcią przebywania u swojej nowej miłości, Paulinki, a ta druga znowu dzisiaj ma obsesję na punkcie umierania. Zostawiłam pod jej okiem śpiącą Zosię w nadziei, że może obcowanie z zacięciem rozwijającym się życiem jakoś jej pomoże i uciekłam stamtąd, łudząc się że może do czegoś będę ci potrzebna. Nie spieszy mi się za bardzo z wracaniem do tego chaosu. To mogłoby się rzeczywiście skończyć czyjąś śmiercią, bo jeszcze chwila w domu i mogłabym z nerwów kogoś tam udusić.

Pokiwałam głową, bo doskonale znałam taki stan. Ja sama doświadczałam go ostatnio stanowczo zbyt często, więc z łatwością mogłam wczuć się teraz w sytuację Anki. Zresztą... jako mężatka i mama na pełen etat raczej nie mogłam go nie znać! Każda z nas w końcu ma wszystkiego dość, to nic nadzwyczajnego.

– No to co? – zaproponowałam. – Robimy kolację! – ogłosiłam entuzjastycznie.

A nasze przygotowywanie zaczęło się oczywiście od zakupów, bowiem w domu, jak to w domu, zawsze, kiedy potrzeba, lodówka pusta.

– Ten makaron będzie dobry? – zapytała Ania i uniosła do góry opakowanie z kolorowymi wstążeczkami. Po niezbyt długiej dyskusji zdecydowałyśmy się na przyrządzenie pysznej zapiekanki makaronowej, którą zajadała się ostatnio cała nasza rodzina. Potem oczywiście obowiązkowo miał nastąpić deser w postaci kruchutkiej szarlotki ze śmietankowymi lodami i miętą.

– Tak, ten będzie w porządku. – Pokiwałam głową z aprobatą i włożyłam do wózka kilogram mąki.

Dokładnie w chwili, w której to robiłam, po sklepie rozniósł się głośny zgrzyt, potem trzask i czyjś uniesiony głos. Zaraz potem nastąpiło ogólne poruszenie pracowników, którzy zaczęli nagle biec w stronę drzwi.

– Matko kochana, co to może być? – zapytała podenerwowana Anka i szybko wrzuciła do koszyka opakowanie makaronu.

Spojrzałam na nią niepewnie, choć nie chciałam, żeby wpadała teraz w panikę. W obecnym stanie nie powinna się przecież denerwować.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Może ktoś chciał coś wynieść?

Ania pokręciła głową.

– Wynieść? Zuzka! Gdyby ktoś chciał coś ukraść, to słyhać by było pikanie, a nie taki hałas. To brzmiało, jakby ktoś młotem pneumatycznym w szyby uderzał, a nie jak obezwładnienie nieporadnego złodzieja. Boję się, Zuzka... Może to jakiś napad?

Tym razem to ja spojrzałam na nią wymownie.

– Napad? Przecież nie jesteśmy w żadnym amerykańskim filmie, ale w miasteczku na zakupach! Wiesz co? Może po prostu chodźmy to sprawdzić, zamiast tak stać – zaproponowałam i popchnęłam lekko wózek.

– Proszę się odsunąć! Proszę odsunąć się od drzwi! – dobiegł nas uniesiony głos jednego z ochroniarzy, w wyniku czego Anka złapała moją rękę i nachyliła się do mnie

konspiracyjnie.

– A jak to rzeczywiście jest napad? – szepnęła. – Może być niebezpiecznie. Chyba powinniśmy stać tu, za regałem i nigdzie się nie wychylać? Albo nawet schować?

– Ania, uspokój się. – Odsunęłam od siebie jej rękę. – Jak chcesz, to tutaj poczekaj. Ja pójdę sprawdzić, co tam się dzieje – mruknęłam i tak, jak powiedziałam, zrobiłam.

Już po chwili pożałowałam, że nie zostałam z Anką. Zastany przeze mnie widok pozbawił mnie tchu. A kiedy udało mi się w końcu zaczerpnąć powietrza, mój oddech był przyspieszony tak, jakbym przebiegła maraton w trzydziestostopniowym upale. Najpierw bym się udusiła, a potem zemdląła z powodu hiperwentylacji! Paradoksalnie śmierć wydała mi się jednak w tym momencie najlepszym wyjściem z zaistniałej sytuacji. Zresztą i tak zaraz się spalę ze wstydu, więc mogłaby przyjść jak najszybciej!

– Matko kochana... – wyrwało mi się boleśnie, kiedy zobaczyłam, co się stało.

Jeden z ochroniarzy zawzięcie odsuwał od drzwi podenerwowany, aczkolwiek żądny sensacji tłum.

– Proszę schować ten telefon! Nie dzieje się nic nadzwyczajnego! – krzyczał w stronę jakiegoś młodego chłopaka.

Nerwowo przełknęłam ślinę. Boże kochany! Co za wstyd! Zalewając się na raz rumieńcem i zimnym potem, zrobiłam krok w tył.

– Czy ktoś wie, czyj to jest samochód?! – rozległo się głośne wołanie jednego z pracowników sklepu.

Znowu przełknęłam ślinę. W moim gardle zebrała się wielka gula i najchętniej to zapadłabym się teraz pod ziemię.

– To moje cinquecento – jęknęłam najciszej, jak się dało, patrząc na zielony samochód stojący bezkarnie w rozsuwanych, sklepowych drzwiach.

Dziki tłum odwrócił się do mnie i nagle w sklepie zapadła pełna napięcia, niczym niezmacona cisza. Miałam ochotę stać się nagle niewidzialna. Albo od razu przestać istnieć, bo jak tu potem żyć ze świadomością tego, co właśnie się stało.

– No cóż... – odchrząknął pracownik sklepu, a potem przeniósł wzrok z mojej miny na stojący w drzwiach samochód z wgniecioną maską i ponownie na mnie. – A czy mogłaby pani nieco... – znowu odchrząknął. – Odjechać?

Czerwieniąc się ze wstydu, pokiwałam głową.

– O Boże, Zuzka, czy w drzwiach sklepowych stoi właśnie twoje zielone... – dobiegł mnie zdziwiony głos pojawiającej się obok Anki. – O raju. Ale cyrk – bąknęła, widząc moją minę i stanęła w miejscu jak wryta.

– Ta... – mruknęłam ucieszona, że nie wyjęła telefonu i nie zaczęła robić zdjęć. Ruszyłam do wyjścia pod ostrzałem rozbawionych spojrzeń klientów sklepu. Jak gdyby nigdy nic wydostałam się na zewnątrz przez boczne drzwi ewakuacyjne. Z racji tego, że miałam sprawne palce zagipsowanej ręki, a drugą, zdrową, nadal mogłam prowadzić samochód. Palcami trzymałam kierownicę, a drugą ręką zmieniałam biegi. Co prawda było to nieco trudniejsze niż normalnie, ale nie byłam zupełnie uziemiona.

Otworzyłam więc auto, wsiadłam do niego, odpaliłam silnik i wycofałam. Zaparkowałam na tym samym miejscu parkingowym, co chwilę temu.

– Cholera jasna! – zganiłam się w myślach, gasząc silnik i wyciągając ze stacyjki kluczyki. Że też znowu musiałam zapomnieć o tym ręcznym hamulcu! I to właśnie wtedy, kiedy zaparkowałam na górce!

Rozdział 21

Po traumatycznych doświadczeniach w związku z samoistnym wjechaniem mojego samochodu w sklepowe drzwi (swoją drogą, dobrze, że nie były całkowicie otwarte ani szersze, bo jak nic wjechałyby do środka!) zabrałyśmy się w końcu z Anią za przygotowanie kolacji. Ona piekła ciasto, a ja robiłam zapiekankę, ponieważ z pieczeniem zawsze byłam w pewien sposób na bakier. Nie mówię tutaj, że ciasta mi nie wychodziły, bo wychodziły, owszem, i to całkiem smaczne, ale ja po prostu nigdy za bardzo tego nie lubiłam i musiałam się do pieczenia zmuszać. Już od najmłodszych lat, gdy tylko było to możliwe, spychałam ten przykry obowiązek na Ankę, a sama zabierałam się za sałatki i mięsa. To był bardzo sprawiedliwy układ, który, jak widać, przetrwał do dziś.

– Ale ładnie pachnie. – Kiedy szarlotka rumieniła się w piekarniku, pojawił się w kuchni Teodor. – Będzie można spróbować?

Razem z Anką posłałyśmy mu rozanielone spojrzenia. Jak to przyjemnie być czasem pochwaloną, prawda? I to przez mężczyznę!

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała mu Ania i wytarła ręce w leżącą na blacie ścierkę. – To na kolację. Też jesteś zaproszony.

– Pyszne ciasto i to na kolację? – Teodor uniósł brew. – Jest jakaś ważna okazja?

– Filmowcy niedługo wyjeżdżają. Postanowiłyśmy jakoś miło ich pożegnać. Należy im się, nie uważasz?

– Oczywiście, że tak. – Teodor pokiwał głową. – Chociaż prywatnie to mam wielką nadzieję, że mój udział w tym filmie ograniczą do minimum. Nagadałem takich głupot przed kamerą, że sam się teraz za siebie wstydzę. Chyba nawet tego nie obejrzę.

Popatrzyłam na niego ze zrozumieniem i zaśmiałam się cicho.

– Tak, mam dokładnie tak samo – wyznałam, odrywając się na chwilę od mieszania w garnku makaronu. Teodor też uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem.

Ania natomiast spojrzała na nas wymownie.

– Dziwolągi – mruknęła, w wyniku czego oboje zaczęliśmy śmiać się jeszcze głośniej. Kiedy byliśmy z Teodorem parą, zawsze kiedy w jej towarzystwie „czytaliśmy sobie w myślach”, a ona nie wiedziała, o co chodzi, nazywała nas właśnie tak.

– Oj Ania, Ania. Nic się nie zmieniłaś – stwierdził Teodor, kiedy skończyliśmy się śmiać.

Moja siostra powiodła wzrokiem od niego do mnie.

– Wy też nie. Nadal zachowujecie się jak para nastolatków – powiedziała z sympatią.

– Tylko mam nadzieję, że tym razem po wspólnym robieniu kolacji nie przyłapię was potem obściskujących się na sianie. Z oczywistych względów.

Na wspomnienie przywołanej przez Anię sytuacji oboje z Teodorem zrobiliśmy rozmarzone miny. Rzeczywiście, kiedyś, po wspólnym przygotowywaniu urodzinowej

kolacji dla mamy, poszliśmy razem do stodóły po wiadro ziemniaków i przy przesypywaniu ich z worka do wiadra tak poniosły nas emocje, że wylądowaliśmy na kopie siana, całując się i zapalczywie ściągając z siebie ubrania. Niestety, zanim zdążyło do czegokolwiek dojść, nasz pełen namiętności incydent przerwała zniecierpliwiona Anka, która, jak to wtedy powiedziała, „na gwałt” potrzebowała tych ziemniaków.

– To były piękne czasy, co? – Nie mogąc przestać się uśmiechać, posłałam Teodorowi długie spojrzenie.

Pokiwał głową, łapiąc mój wzrok.

– Tak. Ania zawsze wiedziała, kiedy pojawić się w najmniej odpowiednim momencie – powiedział, w wyniku czego kuchnia znowu wypełniła się gromkim śmiechem całej naszej trójki.

– Bo wy po prostu zawsze musieliście odstawić coś głupiego i w najmniej odpowiedniej chwili. Nie pamiętacie już, jak ratowałam was przed wujkiem, który przyjechał w odwiedziny o piątej rano, kiedy rodzice byli na wakacjach, a wy spaliście w jednym łóżku?

Pokiwaliśmy głowami. Oczywiście, że pamiętaliśmy, jak Teodor musiał koczować skulony na balkonie w samych bokserkach, kiedy wujek urządził inspekcję mojej sypialni. Dwie koleżanki dzwoniły później do mojej mamy, żeby donieść jej o tym fakcie, a Anka zmyśliła jak z nut, że Teodor pomagał nam odetkać zlew (który, na całe szczęście, w tamtym okresie ciągle się zatykał) i opryskała go wodą, w wyniku czego musiał suszyć swoje ubrania na balkonie. (Chociaż żadnych ubrań oczywiście nie było.) O piątej rano przybiegł nam pomagać! Taki dobry chłopak, że lepszego to chyba sobie wymarzyć nie mogłam, krzyczała przez telefon, co mamusia oczywiście od razu łyknęła i jeszcze przywiozła Teodorowi w nagrodę pamiątkę z wakacji.

I właśnie tak, wspominając dawne czasy i zaśmiewając się do rozpuku, upłynęły nam przygotowania do kolacji, na której, punkt dziewiętnasta, poza naszą trójką, pojawili się zaproszeni filmowcy i moja mamusia. Mieli być jeszcze Kasia z Tomkiem, ale widząc, że szykuje się elegancka uczta, zgodnie postanowili, że poświęcą się dla dobra ogółu i zabiorą Marcela do domu Anki, gdzie opiekowali się teraz dziećmi. A Marek, jak to Marek, zabrał swojego wolnego ducha i zniknął nie wiadomo gdzie.

– Mogę zrobić zdjęcie? – zapytała ubrana elegancko Joanna, kiedy weszła do salonu i popatrzyła z podziwem na suto zastawiony stół. – Byłoby dla fanów.

– Jasne, czemu nie. – Wyglądziłam sukienkę i posłałam jej serdeczny uśmiech. Chyba już przywykłam do tych ich, to znaczy filmowców, dziwnych zachowań, bo nawet nieustanne robienie przez Joannę zdjęć dla fanów przestało mi przeszkadzać.

– No dziewczynki, ładnie się spisałyście – pochwaliła mnie i Anię mamusia, kiedy Joanna pstrykała zdjęcia. – Mam nadzieję, że na stypę po moim pogrzebie też przygotujecie takie pyszności – mruknęła i zajęła miejsce za stołem.

– Sporo musieliście wybulić na catering – zauważył natomiast Reżyser.

– Jaki catering, chłopie? – Spojrzał na niego Teodor. – One to wszystko same dzisiaj robiły przez pół dnia. I to w pocie czoła.

W salonie zapadła nagle cisza.

– Ale jak to same? – zapytała Joanna. – Gotowałyście to wszystko? – Spojrzała ze zdziwieniem to na mnie, to na Ankę. – Naprawdę?

Pokiwałyśmy z Anką głowami, trochę się przy tym rumieniąc.

– A co? Nie lubicie domowego jedzenia? – zapytałam z przerażeniem, zerkając na ich dziwne wyrazy twarzy.

– Nie, nie! No skąd! Ja to wręcz przeciwnie! Uwielbiam! – ożywił się milczący do tej pory Olaf.

– Ja mam nawet numer na szybkim wybieraniu do takiego baru, co to tam domowe jedzenie robią. Tylko cholernie drogo mają. Ale warto – skwitował Reżyser, uporczywie przeżuwając gumę.

Uśmiechnęłyśmy się z Anką do siebie.

– To kamień spadł mi z serca! – Moja kochana siostrzyczka zaklasnęła w ręce. – Częstujcie się śmiało!

Rozpromienieni filmowcy jak na komendę zasiedli do stołu i zaczęli wyrywać sobie naczynia z zapiekanką. Zachowywali się przy tym jak wygłodniałe, żądne słodczy dzieci, którym ktoś dał w końcu upragniony batonik.

– Żeby tak nas wszędzie żegnali, co nie, Aśka? – wyciągając z ust gumę i przyklejając ją do talerza, rzucił Reżyser.

Joanna zatrzepotała swoimi długimi rzęsami i pokiwała głową.

– Normalnie żyć nie umierać. Zazwyczaj raczej nas wyganiają.

– A to dlaczego, jeśli można wiedzieć? – zainteresowała się mama.

– Wie pani, jak to jest w show-biznesie... – westchnęła Joanna.

– Sławnych nikt nie lubi – przyszedł jej z pomocą mlaszczący Reżyser. – Zazdroszczą nam ludzie i tyle – mruknął, wkładając sobie do ust kolejną porcję makaronu.

– A pomyślałby kto! – ożywiła się mama. – Przecież z was tacy porządni ludzie. Zwłaszcza pani Joasia. Miła taka. I ładna.

– Mamo! – fuknęłyśmy na nią z Anką w tym samym momencie.

– No co? – Zrobiła minę niewiniątka. – Mówię tylko jak jest. Ale to straszny los mają ci ludzie „z górnej półki”, że tak się wyrażę. Nie dość, że ciągle w drodze i domu na oczy nie widzicie, to jeszcze non stop wyobcowani i samotni! – ponownie zwróciła się do filmowców, którzy energicznie jej przytaknęli.

– No ale co poradzisz, kochaniutka. – Reżyser upił łyk wina. – Taka robota i już. A tak w ogóle to sorry, ale ten makaron to bez glutenu? – Popatrzył na mnie uważnie.

A skąd ja mam, przepraszam bardzo, wiedzieć, co to jest cały ten gluten?!

– A nie wiem... – wyznałam zgodnie z prawdą. – Mogę sprawdzić na opakowaniu i...

– Jacuś, na litość boską! – wpadła mi w słowo Joanna. – Jedz, jak dają, ja ci lepiej nie ugotuję.

– A to ty umiesz gotować? – odezwał się Olaf.

– No przecież mówię, że nie.

– Ale Aśka, moja dieta...

Joanna wywróciła oczami, a potem dotknęła jego przedramienia.

– Spalisz te kalorie w nocy, kochanie, już ja tego dopilnuję – zachichotała.

– Ej, tylko bez takich! – Natychmiast przywołał ją do porządku Olaf. – Ja chcę się wyspać, skoro z rana wyjeżdżamy.

– A kiedy wrócicie, jeśli mogę zapytać? – Mamusia pochyliła się ku Joannie.

– Mamo! – Znowu stworzyłyśmy z Anią całkiem zgrany chórek.

– No co? – Mama udała głupią. – Dobrze płacą, to pytam. Nieczęsto nam się trafia taki niespodziewany przyptyw gotówki....

– Komu dokładkę? – Anka zerwała się z miejsca, by nie dać się mamusi rozkręcić.

– O! No to ja poproszę! – Reżyser uniósł w górę talerz i Anka nałożyła mu kolejną porcję zapiekanki.

– Swoją drogą, to bardzo ładnie tutaj mieszkacie. Aż szkoda będzie wyjeżdżać – zmieniła temat Joanna.

– No co ty gadasz, Aśka? Podoba ci się w tej głuszy? Naprawdę? – zdziwił się Reżyser i odłożył z wrażenia widelec.

– Wiesz, Jacuś, ostatnio czuję jakąś większą więź z naturą... Chyba coraz bardziej urzeka mnie życie z dala od zgiełku.

– Musisz czuć to wszystko akurat teraz?

– Nie rozumiem... – bąknęła Joanna.

– Przecież ja niedługo zaczynam kręcić pełnometrażowy film! Myślałem, że przeniesiesz się ze mną na jakiś czas do...

– A wina komu?! – Czując, że awantura między tą dwójką wisi na włosku, tym razem to ja postanowiłam uratować sytuację.

– Bardzo dobra ta kolacja, naprawdę – wtrącił Teodor, który w mig odczytał moje intencje. – Jesteś świetną kucharką, Zuzka, naprawdę.

– We mnie poszła... – teatralnie westchnęła mamusia. – Ale może i lepiej. Ja już niedługo umieram, to trzeba to wszystko komuś przekazać. Dziejową spuściznę, można powiedzieć, prawda?

Słyszając jej słowa, Joanna o mało co nie zachłysnęła się winem.

– A to pani na coś choruje?

– Och, kochana... – Mama dotknęła jej leżącej na stole dłoni. – A na co ja nie choruję? Ale w moim wieku to przecież normalne. Kiedyś się trzeba z życiem pożegnać. Na coś umrzeć, jak to mówią.

– Ale to może trzeba wezwać pogotowie, jak pani źle się czuje? – Joanna przeraziła się nie na żarty.

– Nie, nie. Z mamą wszystko dobrze! – uspokoiła ją Anka. – Może tylko cukier jej spadł. Choruje na cukrzycę.

I na hipochondrię, dodałam sobie w myślach i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, drzwi wejściowe do domu gwałtownie się otworzyły i dobiegły nas głośne, damsko-męskie salwy śmiechu.

– Ale cicho bądź, kotku, nie tutaj! – uciszył kobietę męski głos.

Całe zgromadzone przy stole towarzystwo popatrzyło na mnie pytająco.

– Kasia z Tomkiem? – zapytała Anka.

Pokręciłam głową.

– No gdzie! Przecież pilnują dzieci – rzuciłam i wstałam z krzesła. – Sprawdzę to – powiedziałam dzielnie i oddaliłam się od stołu w kierunku przedpokoju. A tam, pod ścianą Marek całował w najlepsze jakąś o wiele młodszą od Kasi dziewczynkę.

– O, Zuzka! – Oderwał się od nastolatki na mój widok. – Poznajcie się. To jest Sandra – powiedział, ocierając usta i zerkając przy tym na blond dziewczę o zaczerwienionych od całowania ustach.

– Miło poznać – dygnęła niewinnie i zrobiła krok w przód.

Nie mogłam odmówić sobie przyjemności, a raczej nieprzyjemności zlustrowania jej wzrokiem. Miała, na moje oko, jakieś szesnaście, może siedemnaście lat, roztrzepane włosy i białą, zwiewną sukienkę, która jakoś nie do końca grała z wizerunkiem łatwej i naiwnej. Bo przecież, jeżeli pozwoliła się Markowi przyciągnąć na noc do domu, taka właśnie była!

– Tak... – bąknęłam, wracając spojrzeniem do jej zarumienionej twarzy. – Mi też miło.

Marek rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– No co tak stoisz? Oczekujesz, że powiem ci teraz, że to jakaś moja siostrzenica czy coś?

Sandra zachichotała pod nosem i przytuliła się do jego ramienia.

– Jakoś nie bardzo obchodzi mnie w tym momencie twoja moralność. – Z trudem, ale jednak, udało mi się zachować spokój i wytrzymać jego wyzywające spojrzenie.

– No i fajnie! – rzucił uradowany. – To co, my z Sandrą idziemy na górę...

– Zaraz! – Tego już było dla mnie za wiele. – To, co robisz, może nie ma dla mnie znaczenia, ale to jednak mój dom i chciałabym ci przypomnieć, że mam małe dziecko...

– Jakoś wcześniej ci to nie przeszkadzało – wpadł mi w słowo.

– Ale teraz przeszkadza. To nie jest żaden dom publiczny, do którego możesz sobie przyprowadzić kogo chcesz. I o ile mi wiadomo, kupiłeś nowe mieszkanie. Na pewno jest o wiele ciekawszym miejscem na schadzki niż pełen ludzi dom.

Sandra popatrzyła na niego niepewnie.

– Pełen ludzi? Ej! Mówiłeś, że będziemy sami! – Zrobiła nadąsaną minę.

– Coś nie tak? – Dotarł do moich uszu głos pojawiającego się za mną Teodora.

W końcu przestaliśmy mierzyć się z Markiem wzrokiem.

– Nie, skąd. – Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się ciepło. – Państwo już

wychodzą.

– Ta – mruknął Marek, który widocznie spodziewał się po tej swojej spektakularnej prowokacji jakiegoś wybuchu emocji z mojej strony. – Podjadę jutro po swoje rzeczy – rzucił na pożegnanie. Następnie złapał Sandrę za rękę i pociągnął do wyjścia. Po chwili już ich nie było.

– Wszystko w porządku? – Poczułam na nadgarstku ciepłą dłoń Teodora.

W końcu odwróciłam się w jego stronę.

– Tak, dziękuję. Po prostu...

– Wiem. – Teodor odciążył mnie od wypowiedzania trudnych słów. – Nic nie znaczył, ale jednak ukłuło.

Pokiwałam głową. Trochę było mi wstyd. Nawet nie tyle przed nim, ale przed samą sobą.

– Ale pogadamy o tym później, okej? – Pogładził mnie uspokajająco po rękę. – Powinniśmy wrócić teraz do gości. Twoja mama, nie zważając na protesty Anki, zaczęła opowiadać o swoich przygotowaniach do pogrzebu. Chyba nie obędzie się bez twojej interwencji. – Uśmiechnął się ciepło, a potem puścił moją rękę i oboje wróciliśmy do stołu i trwającej w najlepsze ożywionej dyskusji, w której mama z Reżyserem debatowali o wadach i zaletach kremacji.

– O, Zuzka! No wreszcie! – Mamusia oderwała się od opowiadania o swojej urnie i spojrzała na mnie smutno. – Gdzie ten deser? My już tutaj z Jacusiem z głodu umieramy.

– Umieramy – zaśmiał się Olaf, któremu widocznie wino powoli zaczynało uderzać do głowy.

– Olo, zachowuj się! – upomniała go Joanna i wreszcie położyła telefon obok talerza.

– Już przynoszę – odpowiedziałam mamusi i szybko wstałam od stołu.

Poszłam do kuchni i zabrałam się za nakładanie na talerze ciepłej, aromatycznej szarlotki i lodów, a potem za zdobienie ich bitą śmietaną i miętą.

Myślami jednak wcale nie byłam w kuchni, ale kolejny raz odtwarzałam zaistniałą kilka chwil temu sytuację sprowokowaną przez Marka. Czy naprawdę myślał, że ugra dla siebie cokolwiek, wzbudzając we mnie zazdrość?

Na jednym z talerzy wylądowała kolejna łyżka bitej śmietany.

Cóż, na pewno tak myślał, bo z jakiego innego powodu przyprowadzałby tutaj tę nastolatkę. Chciał, żeby coś tam w środku mnie ukłuło, jak trafnie określił to Teodor. Ale skąd on w ogóle ją wziął? I co to za poroniony pomysł?

Na bitej śmietanie wylądował liść mięty.

To, że przyprowadził tutaj tę dziewczynę, wcale nie było w tym wszystkim najgorsze, wręcz przeciwnie. Doskonale wiedziałam, że jakakolwiek relacja z nią nie miała dla Marka najmniejszego znaczenia. Najgorszy w całej sytuacji był fakt, że rzeczywiście coś tam w środku we mnie drgnęło na widok tego, jak zachłannie się całowali. Jakaś nuta zazdrości?

Nakładając bitą śmietanę na kolejną porcję ciasta, pokręciłam głową. Niedobrze! Chyba potrzebowałam tej wizyty u Matyldy Mak bardziej, niż mi się wydawało!

Kątem oka spojrzałam na leżący obok telefon. No i gdzie, do cholery, przebywał teraz Ludwik?! Gdyby tutaj był, cała ta sytuacja z pewnością nie miałaby dla mnie znaczenia. Przytuliłabym się do niego i natychmiast zapomniała o Marku.

I wszystko w końcu byłoby dobrze

Rozdział 22

Kiedy filmowcy i mama z Anką poszli w końcu do siebie, zabrałam się za sprzątanie ze stołu i wkładanie naczyń do zmywarki. Kasia, po powrocie do domu i położeniu Marcela spać, oznajmiła mi, że idą jeszcze z Tomkiem na długi, nocny spacer i nie wiadomo, kiedy wrócą. Byłam więc w kuchni sama, a dookoła mnie panowała względnie niezmacona cisza, którą przerwało dopiero pojawienie się Teodora.

– Pomóc ci w czymś? – zagadnął, podjeżdżając wózkiem do oddzielającego kuchnię od salonu blatu.

Obdarzyłam go przelotnym uśmiechem i popatrzyłam na załadowaną do granic możliwości zmywarę.

– Nie, dziękuję. Już prawie kończę. – Włożyłam do niej trzymany w ręku talerz. Potrzebujesz czegoś? – ponownie zwróciłam się do Teodora.

Pokręcił głową.

– Po prostu chyba jeszcze za wcześnie, żebym poszedł spać. Jest dopiero przed północą, a ja ostatnio siedzę po nocach i czytam. Rozumiesz, kwestia przyzwyczajenia. A na czytanie jakoś odeszła mi ochota.

– To może masz ochotę na coś do picia i moje towarzystwo? Ja chyba jeszcze też nie będę się kładła.

– Na rozmowę z tobą zawsze i wszędzie.

– To co, nalać nam soku i usiądziemy w salonie? – zaproponowałam, zamykając zmywarę. Za oknem nad zlewem, w które spojrzałam, prostując się, widać było jedynie ciemność. Nie dostrzegłam żadnych gwiazd ani księżyca.

– A może tak, jak ostatnio, rozłożymy się na łóżku w moim pokoju? – podsunął natomiast swój pomysł Teodor. – Mógłbym przesiąść się w końcu z tego wózka, nie jest za wygodny, a w salonie nie bardzo mam na co. Nie chciałbym pobrudzić twojej jasnej kanapy.

– No dobrze, jeśli to ma być dla twojej wygody, to okej. – Posłałam mu uśmiech. – Zaraz do ciebie dołączę, naleję nam tylko tego soku. Od rozmawiania przy stole chce mi się pić.

Teodor pojechał do pokoju pod schodami, by przesiąść się na łóżko, a ja znowu zostałam w kuchni sama. Przez chwilę stałam przy zlewie i wciąż patrzyłam przez okno. Spowity ciemnością świat wydawał mi się dzisiaj wyjątkowo mroczny. Chyba przedłużająca się nieobecność Ludwika sprawiała, że powolutku traciłam poczucie bezpieczeństwa. Jak dobrze, że wraca już jutro.

Nie chcąc za bardzo rozdrabniać się nad tematem moich tęsknot za mężem, nalałam w końcu do szklanek sok pomarańczowy i zaniiosłam tacę do pokoju Teodora. Postawiłam ją na etażerze przy łóżku i sama usadowiłam się na materacu. Za plecy wepchnęłam sobie niedużą poduszkę.

– Znowu jak za dawnych lat, co? – zagadnęłam go, przekręcając głowę w jego kierunku. – Kiedyś też zamykaliśmy się w ciasnym pokoju, żeby swobodnie rozmawiać po nocach.

Kąciki ust Teodora uniosły się w górę. Znowu nagle odmłodził w moich oczach. Ten uśmiech zmywał z jego twarzy wszystkie trudne doświadczenia. Sprawiał, że wracały czasy beztroski.

– Pamiętam, jak kiedyś twoja mama o drugiej w nocy nakryła nas siedzących w łóżku i opatulonych kołdrą.

– Tak, zamiast zrobić, jak normalna matka, awanturę o to, że siedzimy pod jedną kołdrą, to przygotowała nam kakao i sama wpakowała się do łóżka.

Teodor zaśmiał się cicho.

– O czym my właściwie wtedy rozmawialiśmy? Tego już nie pamiętam...

– Jak to o czym? Na pewno snuliśmy plany na przyszłość! To był ten czas, kiedy z uporem wymyślaliśmy imiona dla naszych dzieci... Albo nie, wiem! – Uniosłam palec. – Mogliśmy dyskutować o infrastrukturze w Pekinie.

Teodor roześmiał się jeszcze głośniej.

– Tak. Pamiętam, że to był jeden z naszych ulubionych tematów. Ale teraz za dużo bym już o niej nie wiedział. Jednak fakultety z geografii robiły swoje.

– Teraz za to mógłbyś bez końca opowiadać o... – Zawahałam się, nie wiedząc, czy psuć tę przyjemną atmosferę nawiązywaniem do Afganistanu.

Teodor jednak jak zwykle wyczytał mi w myślach, co chciałam powiedzieć.

– Tak, mógłbym – powiedział nieco bardziej poważnie, niż przed chwilą. – Ale misja nie jest niczym ciekawym. Kojarzy mi się z... – Potrząsnął głową. – Wiesz co, nie wiem, czy chciałabyś słuchać moich wspomnień wojennych. Obawiam się, że to nie na twoją wrażliwość. A zwłaszcza nie o tej porze. Boję się, że potem nie mogłabyś spać.

Pokiwałam głową wdzięczna za to, że mi tego okrucieństwa oszczędza.

– Dziękuję. Ale pewnie i tak nie będę mogła zasnąć – szepnęłam.

Teodor spojrział mi w oczy.

– To przez Marka, prawda?

Przymknęłam powieki i pokiwałam głową. Im więcej myślałam ostatnio o Marku, tym bardziej było mi wstyd tego, co zrobiłam Ludwikowi. Przecież byłam o krok od dopuszczenia się zdrady i gdyby rozsądek nie dał o sobie znać w samą porę, to nie wiadomo, jak cała ta relacja z Markiem mogłaby się skończyć. Byłam potworną żoną i potwornym człowiekiem. I chyba wolałabym, gdyby Teodor o mnie tego nie wiedział.

– Coś was łączyło, prawda?

Znowu pokiwałam głową, a potem nabrałam w płuca powietrza i krótko opowiedziałam mu o ostatnich wydarzeniach związanych z wuefistą.

Kiedy skończyłam mówić, Teodor w milczeniu patrzył w ścianę.

– Jesteś mną rozczarowany? – zapytałam ni z gruszki, ni z pietruszki, kiedy panująca w pokoju cisza dłużyła się w nieskończoność. Sama nie wiem, dlaczego tak

bardzo zależało mi na tym, żeby akurat ten człowiek myślał o mnie dobrze.

Teodor przekręcił głowę w moją stronę. Przez chwilę patrzył mi w oczy.

– Nie – zaprzeczył. – Przecież sama powiedziałaś, że to dlatego, że twój mąż ostatnio mocno cię zaniedbał i przestał widzieć w tobie kobietę. On jest temu wszystkiemu współwinny. Nie zawiniłaś tylko ty. Jeśli w ogóle można tu mówić o jakiegokolwiek winie – powiedział i znowu zamilkł.

– Tylko mam wrażenie, że gdyby sytuacja była odwrotna i to Ludwik czułby się przeze mnie zaniedbany, to i tak nie szukałby ukojenia w ramionach innej – westchnęłam.

Teodor natomiast znowu przeniósł wzrok na ścianę i nic nie mówił.

– Ej... – Nie mogłam już tego znieść. – Liczyłam na jakąś burzliwą dyskusję, a ty nic nie mówisz. – Spróbowałam zażartować, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Może lepiej byłoby, gdybym mu o tym wszystkim nie opowiadała?

Ech... Za późno.

Dopiero słysząc moje upomnienie, Teodor trochę się ożywił i ponownie popatrzył mi w oczy.

– Wiesz, Zuzka... – zaczął i przełknął ślinę. – Chyba jednak nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebyśmy o tym rozmawiali. Cofam to, co powiedziałem ci wcześniej. Nie powinnaś mi się zwierzać ze swoich sercowych dylematów.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Nie bardzo wiedziałam, co ma teraz na myśli.

– Ale... – zaczęłam niepewnie.

Teodor powstrzymał mnie przed wypowiedzeniem wątpliwości, ujmując w dłoń mój podbródek. Lekko pogładził mnie po policzku.

– Nie udzielę ci żadnej konstruktywnej rady – powiedział, patrząc na moje usta. – Bo sam chciałbym być na miejscu tego faceta i móc się z tobą całować. Nawet doskonale zdając sobie sprawę z tego, że masz męża.

– Przecież... – ponownie jęknęłam zaskoczona, ale pogładził kciukiem moje usta.

– Nie jestem taki i tego nie zrobię, co nie znaczy, że nie mam na to ochoty – wyszeptał, wpatrując się we mnie intensywnie, a potem zabrał swoją dłoń i odchrząkując, znowu wbił wzrok w ścianę.

W pokoju zapadła cisza. Nawet cykające za oknem świerszcze wyczuły napięcie między nami i na chwilę przerwały swój koncert.

– Powinnaś już iść – Teodor odezwał się pierwszy.

Nie przestając na niego patrzeć, pokiwałam głową i przesunęłam się ku dołowi łóżka. Po chwili powiedziałam tylko: „Dobranoc” i wyszłam z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pogasiłam na dole wszystkie światła, sprawdziłam, czy drzwi wyjściowe są zamknięte, zajrzałam do Marcela i w końcu poszłam do sypialni. Zamiast jednak położyć się spać, stanęłam w oknie i zapatrzyłam się w ciemność.

Teodor nie był taki jak Marek. Nie chodziło mu tylko o przyjemności i nie zamierzał wykorzystać okazji. Nie był egoistą. Doskonale wiedziałam, że nadal mnie kocha i nie

chce nikogo skrzywdzić. Może nie powinnam się z nim przyjaźnić? Przecież kiedy spędzał ze mną czas, musiał w pewien sposób cierpieć. Chyba wobec niego też byłam nie fair. Podobnie jak wobec Ludwika.

– Boże... – westchnęłam. Przyłożyłam palce do skroni i wykonałam nimi kilka kolistych ruchów. Czy naprawdę niczego do niego nie czułam i wystarczy mi tylko przyjaźń? Relacja z Teodorem, przez wzgląd na przeszłość, której nie da się wymazać, była jeszcze trudniejsza niż ta z Markiem. Tu nie chodziło o żadną fizyczną zdradę, ale tą gorszą, bo emocjonalną...

Czy ja naprawdę zawsze musiałam wpadać z deszczu pod rynnę? Nie mogłam skupiać się tylko na swoim MĘŻU, Ludwiku, który co prawda miał mnie ostatnio gdzieś, ale jednak nim był? To jemu ślubowałam miłość i wierność! Byłam żoną! To już nie czas na miłosne rozterki, ale pora stabilizacji. Nawet jeśli oznaczała także, niestety, stagnację.

Dobrze, że chociaż Teodor był na tyle przyzwoitym człowiekiem, żeby, w odróżnieniu od Marka, nie wzbudzać we mnie fali namiętności!

– Nie no... Po prostu sytuacja. Dramatyczna – powtórzyłam ulubiony tekścik Marcela i w końcu odeszłam od okna, by wreszcie spróbować zasnąć. Jutro miał wrócić mój mąż. Jego stała obecność na pewno ukróci te moje wewnętrzne dylematy...

Rozdział 23

Następnego ranka wyjątkowo obudziłam się w łóżku nie sama, lecz z mężem, co było dla mnie nie lada zaskoczeniem, a ostatnio przede wszystkim rzadkością. W dodatku, co o mały włos nie przyprawiło mnie o zawał serca, Ludwik leżał na swojej poduszce z głową wspartą o zgiętą rękę i w ciszy mi się przyglądał. A robił to z tak urzeczonym wyrazem twarzy i zaspanymi oczami, że mimowolnie szeroko się uśmiechnęłam. Biło od niego szczęście. Czy to naprawdę był mój mąż?

– Proszę, powiedz, że to nie sen... – szepnęłam na jego widok, w odpowiedzi na co kąciki jego ust uniosły się jeszcze bardziej.

– Jestem jak najbardziej prawdziwy. – Z czułością odgarnął z mojego policzka kilka niesfornych pasm włosów.

– Dobrze, że już jesteś. – Przysunęłam się do niego bliżej.

Otoczył mnie ramieniem i zaczął gładzić po plecach.

– Tęskniłem za tobą, Zuzka – wyszeptał, nachylając się do mnie, a potem pocałował.

I kiedy jak urzeczona delektowałam się tą niewiarygodną, bajkową chwilą, zatracając się w pocałunkach z własnym mężem, jak to w naszym domu zwykle bywa, musiało wydarzyć się coś, co ten moment brutalnie przerwało. Tym razem do sypialni wparowała ubrana na czarno Kasia.

– Ta... – mruknęła na nasz widok. Stała w drzwiach i wzięła się pod boki. – Na dole awantura, a wy się migdalicie. No bardzo dojrzałe. Bardzo.

Odsunęliśmy się z Ludwikiem od siebie i popatrzyliśmy na nią nieprzytomnie.

– Co? – pierwszy odezwał się mój mąż.

– Filmowcy zbierają się do drogi, ale Joanna urządza jakiś cyrk i krzyczy, że nigdzie nie jedzie. Na pół wsi ją słychać. Może tak byście zeszli, żeby załagodzić konflikt, zamiast się obściskować? Możecie to zrobić później! – rzuciła, a potem odwróciła się na pięcie i zbiegła po schodach.

Niechętnie się od siebie z Ludwikiem odsunęliśmy. Moja bajka została przerwana brutalnie (choć to było do przewidzenia), a księżę, w którego rolę wcielił się Ludwik, stracił romantyczny nastrój i czym prędzej wciągnął przez głowę czarną koszulkę.

Jak na księżniczkę przystało, przez chwilę leżałam pod kołdrą, czekając na jakieś „dokończymy to później” z jego strony, którego jednak się nie doczekałam.

Niechętnie zwlekłam się z łóżka.

– Pospiesz się – rzucił do mnie natomiast mój ślubny. – Nie wiadomo co tam się dzieje. Może to coś poważnego.

– Ta, poważnego... – mruknęłam niezadowolona, przebierając się z piżamy w noszone wczoraj ubrania. Pewnie znowu mają z Reżyserem jakiś „intymny” problem, pomyślałam, zbiegając na dół. Przez życie uczuciowe filmowców pierwszy od

dawna przejaw zainteresowania ze strony Ludwika rozplynął się niczym mgła. A podobno oni zjawili się tu dla mojego dobra! Akurat...

Jeśli chodzi o przewidywanie, z jakim problemem borykają się filmowcy, wcale za bardzo się nie pomyliłam. Już za chwilę moim oczom ukazał się prawdziwy dramat. A może raczej komedia?

Stałam obok zaniepokojonej Kasi, by rozeznąć się w sytuacji. Wymalowana i ubrana w króciutką sukienkę Joanna stała na podjeździe w cieniutkich szpilkach. Zalewała się łzami i wymachiwała ręką w stronę zdezorientowanego Jacusia. Stał przy otwartych drzwiach samochodu w swoich przeciwsłonecznych okularach, zza których patrzył na nią niepewnie.

– Nigdzie z tobą nie jadę! Zapomnij! – krzyczała właśnie Joanna. – Umrę porzucona przez ciebie na tej cholernej wsi i nikomu nie będzie z tego powodu przykro. Proszę bardzo, jedź sobie! Weź Olafa i śmiało, w drogę! Jedź do tej swojej młodziutkiej blondynki i nie wracaj!

Reżyser zatrzasnął drzwi i zrobił niepewny krok w stronę rozhisteryzowanej Joanny.

– Ale Aśka, jakiej blondynki? O co ci znowu chodzi?

– Nie udawaj niewiniątka! – Dziennikarka szlochła. – Widziałam komentarz pod twoim zdjęciem na Fejsie! Już wszystko wiem!

– Jakim zdjęciem? Jaki komentarz? – Na twarzy Reżysera odmalowała się konsternacja.

Joanna natomiast uniosła do góry ściskany w ręce, drogi telefon i ostentacyjnie rzuciła nim w Reżysera.

– Nie zgrywaj niewiniątka! – wrzasnęła ile sił w płucach, po czym zdjęła ze stóp swoje wściekle różowe szpilki i one też poleciały w jego stronę.

Trzeba przyznać, że Reżyser miał niezły refleks, bo wychylając się na boki, sprawnie uniknął ciosów.

– „Pięknie przystojniaku”, tak? Jak cię tu zaraz zabiję, to nie będziesz już taki przystojny! – krzyczała dalej Joanna. – Ze zmasakrowaną twarzą nikt nie jest!

Kasia szturchnęła mnie łokciem.

– No co tak stoisz? Zrób coś – mruknęła ściszone głosem.

Popatrzyłam na zdezorientowanego Ludwika. Tylko wzruszył ramionami.

Pokręciłam głową z dezaprobatą na widok jego reakcji i już miałam przystąpić do działania, kiedy Joanna zatoczyła się niebezpiecznie i poleciała na plecy.

– Matko kochana, Aśka! – powietrze przeszył pisk Reżysera, który czym prędzej ruszył w jej kierunku. Tak samo zresztą jak ja, Kasia, Ludwik i Olaf.

Joanna leżała na podjeździe. Była nieprzytomna. Nagle uszła z niej cała prezentowana jeszcze przed chwilą energia.

– No co tak stoisz?! – Reżyser rzucił do Olafa. – Dzwon na pogotowie!

– Dobra, dobra. Dzwonię. Jaki jest numer?

– 112! – krzyknęliśmy wszyscy jak na komendę.

– Nigdy tego nie zapamiętam... – bąknął pod nosem.

– Aśka, Aśka! Obudź się! – Podenerwowany Reżyser szarpał Joannę za ramię. Na jego czole pojawiła się pulsująca żyłka.

Przerażonym wzrokiem popatrzyłam na Olafa wpisującego w komórkę numer pogotowia.

– Nie, nie, spokojnie. – Wykonał w moją stronę lekki ruch ręką. – To jej się zdarza. Jak długo wrzeszczy, to jej mózg dostaje za dużo tlenu i mdleje – powiedział, jak gdyby nigdy nic i przyłożył do ucha komórkę, a potem wezwał pogotowie.

Na nieszczęście, zanim zdążyła przyjechać karetka, na swoje podwórko wyszła moja mama. Gdy tylko zobaczyła zbiegowisko na naszym podjeździe, czym prędzej do niego dołączyła.

– A co tu się dzieje? – zapytała, nachylając się nad Joanną. – O matko kochana! Nie żyje?! – jęknęła i przyłożyła sobie rękę do ust.

Podniosłam się z kolan i objęłam ją ramieniem.

– Zemdląła z emocji, nic jej nie jest – wyjaśniłam.

Mama pokiwała głową, choć nadal niepewnie wpatrywała się w twarz Joanny i ciężko oddychała.

– Niektórzy to nawet bez życia wyglądają pięknie. W zakładzie pogrzebowym nie będą jej musieli malować. Ale to dobrze. – Spojrzała na Reżysera. – Zaoszczędzicie.

– Mamo! – przywołałam ją do porządku. Jak gdyby nigdy nic wzruszyła ramionami i strzepnęła z siebie moją rękę.

– To idę – westchnęła głośno.

– Dokąd? – zapytałam zaniepokojona.

– No skoro młodsze ode mnie umierają i to w tak niespodziewany sposób, to ze światem idę się pożegnać. Trzeba być przygotowanym – powiedziała, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie, a potem oddaliła się w stronę swojego domu.

Nie wiedziałam sama, czy powinnam się śmiać, czy może raczej płakać. Na szczęście, gdy tylko mamusia sobie poszła, przyjechała karetka. Ubrani na czerwono panowie czym prędzej zabrali Joannę na nosze.

– Zabieramy ją do szpitala. Trzeba sprawdzić, czy przy upadku nie dostała wstrząśnienia mózgu – wyjaśnili przerażonemu Reżyserowi.

Pokiwał głową.

– Tak, tak. Jedziemy za wami. To gdzie ten szpital?

Jeden z ratowników podał mu adres i razem z Olafem wsiedli do auta, a potem pojechali za karetką.

– Nie miałaś babo kłopotów, no to masz filmowców! – Kiedy szliśmy do domu, z wyrzutem spojrzałam na Ludwika. – Nigdy więcej! – warknęłam ostrzegawczo.

Mój mężulek pokiwał głową i otoczył mnie ramieniem.

– Oczywiście, kochanie, już nigdy nie zrobimy nic wbrew twojej woli – powiedział, a potem cmoknął mnie w skroń.

Gwałtownie zatrzymałam się w miejscu. Chory był czy co?

– Co ty kombinujesz? – Popatrzyłam na niego wyczekująco.

– Ale Zuzka, czy ja od razu muszę...

– Znam cię nie od dziś. Co wymyśliłeś?

– To ja was może zostawię i zobaczę, czy Marcel już wstał... – przeczuwając, co się święci, mruknęła Kasia i odeszła.

Kiedy tylko zniknęła, Ludwik westchnął ciężko i spuścił wzrok. To nie wróżyło za dobrze. O matko kochana?! A jak on mi teraz powie, że ma kogoś na boku i odchodzi?! W mojej głowie natychmiast powstały setki czarnych scenariuszy.

– Chcę kupić samochód – powiedział, a we mnie aż się zagotowało.

– Trzeci?! – Nie wytrzymałam. – Na litość boską! Na co nam trzeci samochód?! Już utrzymanie dwóch mocno nas obciąża finansowo!

– Ale Zuzka... – Ludwik zrobił krok w przód i wyciągnął ręce w moją stronę. – To nie byle jakie auto. Chcę kupić samochód terenowy! – powiedział dumnie, jak gdyby to coś zmieniało.

To, że nie byłam zachwycona tym jego pomysłem, uznałabym za kłamstwo. Byłam na niego po prostu wściekła!

– Terenowy? Czy ty na głowę upadłeś?! Gdzie ty miałbyś czymś takim jeździć?

– Po polach i innych takich...

– Mowy nie ma! Żadnych terenówek! Zresztą za co ty chcesz go kupić? Czy ty myślisz, że my śpimy na pieniądzach?!

– Kredyt byśmy wzięli... Nieduży. Nisko oprocentowany...

– O mój Boże, trzymajcie mnie. Kredyt na samochód. Jeszcze za dom będziemy spłacać raty latami, a ty chcesz się w drugi kredyt pakować?! Ludwik, do jasnej cholery! Kredyt na twoje głupie fanaberie?

– Jakie fanaberie, Zuzka? To auto jest mi teraz naprawdę potrzebne – tłumaczył ze spokojem mój ślubny.

Popatrzyłam na niego. Na przemian czerwieniłam się i bladłam z wściekłości. To już bym chyba wołała, żeby mnie zdradzał!

– Tak? A to przepraszam, do czego? Sytuacja życiowa nagle ci się zmieniła czy co? W naszej okolicy nie ma żadnych wertepów! – wypaliłam.

– A widzisz, i tu nie masz racji! – ogłosił natomiast mój ślubny. – Niedługo pod miasteczkiem, tam, gdzie była kiedyś żwirownia, będzie organizowany rajd terenowy...

– Nie no, trzymajcie mnie. I jeszcze powiedz, że masz zamiar wziąć w nim udział. Ludwik! Przecież ty nigdy nie jeździłeś terenówką! A jak coś ci się stanie? – ton mojego głosu zmienił się z wściekłego na przerażony.

Ludwik dumnie wypiął swoją cherlawą pierś.

– Będę! I ja ci powiem więcej, Zuzka! Ja zamierzam ten rajd wygrać!

– Ale...

– Nagroda główna to dwadzieścia tysięcy, rozumiesz?! Dwadzieścia tysięcy do

zgarńnięcia! – zaczął się emocjonować.

Pokręciłam głową. Wizja Ludwika za kierownicą sunącego w błocie auta terenowego nie była przekonująca. Może jego pociągały takie typowo męskie rozrywki, ale mnie na pewno nie. Chyba nawet wręcz przeciwnie, już teraz się o niego bałam. A jak ten samochód się przewróci i będzie z tego tragedia? Przecież takie jeżdżenie zabłoconym, skaczącym na boki autem, kiedy przez przednią szybę nic nie widać, naprawdę może być niebezpieczne...

– Nie zgadzam się i już – oznajmiłam twardo. Oczami wyobraźni widziałam, jak mój zatrzaśnięty w starej terenówce ślubny woła pomocy. Nie zważając na jego dalsze protesty, pomaszerowałam do domu.

Marcel już nie spał, więc zrobiłam mu na śniadanie naleśniki, a Ludwik, jak na złość, przyniósł do salonu swojego laptopa i ignorując moje protesty, zaczął oglądać samochody. Nim zdążyłam mu jednak przypomnieć swoje stanowisko w tej sprawie, rozdzwonił się dzwonek do drzwi. Na ganku stał pan Kaziu.

– O, jak dobrze, że pani jest! – Ucieszył się na mój widok i nie czekając na przyzwolenie, złapał moją rękę i mocno nią potrząsnął. – Z nieba mi pani spada, królowo złota! Mogę?

Spojrzałam na niego zaniepokojona. Wyglądał trochę tak, jakby był w stanie upojenia alkoholowego. Może zamiast wpuszczać go do domu, powinnam zadzwonić do pani Cecylii?

– Sprawkę mam. Taką malutką – powiedział, widząc moje wahanie.

Pokiwałam głową i zrobiłam krok w tył.

– Ach tak... – westchnęłam. – No to niech pan wejdzie... – mruknęłam. Byłam ciekawa, co tym razem ten nasz sąsiad wymyślił.

A pomyśl, jak okazało się już za chwilę, miał tym razem naprawdę... No cóż... Pomysłowy i tyle.

– O, dzień dobry! – Pan Kaziu przywitał się z moim ślubnym, kiedy przeszliśmy do salonu.

Ludwik uniósł się nieznacznie i podał mu dłoń.

– Coś się stało, panie Kaziu? – Popatrzył na sąsiada tak samo niepewnie jak ja wcześniej.

Pan Kaziu ponownie potrząsnął głową i, kiedy Ludwik wskazał mu gestem fotel, rozsiadł się wygodnie.

– No, właściwie, to można powiedzieć, że tak. – Popatrzył to na mnie, to na Ludwika.

– To może ja też sobie usiądę... – westchnęłam. Wystarczająco dużo niespodzianek zgotowali mi dziś już filmowcy i mąż. A teraz jeszcze na dokładkę pan Kaziu! Pięknie...

– No bo widzicie... – zaczął pan Kaziu, kiedy klapnęłam na fotel. – Ja specjalnie czekałem, aż sobie ci z telewizji pojada...

– Ciekawie się zaczyna, ciekawie. – Ludwik pokiwał głową.

– Angielskiego się ostatnio nauczyłem, jak mnie nie chcieli do roboty w gazecie

przyjąć. Żeby mieć, te, no... Kwalifikacje!

– Tak, coś mi na ten temat wiadomo. – Uśmiechnęłam się na samą myśl o nie tak dawnej wizycie zaniepokojonej pani Cecylii.

– Przeczytałem kiedyś w gazecie, że jak ktoś zna angielski, to świat stoi przed nim otworem – kontynuował pan Kaziu.

Ludwik spojrział na mnie znad ekranu laptopa, ale pozostałam niewzruszona.

– A mógłby pan przejść do rzeczy? – zwrócił się do pana Kazia.

Sąsiad głęboko zaczerpnął powietrza.

– No bo sprawa wygląda tak. Ja znam angielski, wy macie kontakty w telewizji. Może byście mi tam załatwili jakąś robótkę, co? – wypalił.

Oboje z Ludwikiem musieliśmy mocno się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Tylko najlepiej z mieszkaniem, żebym miał się w tej Warszawie gdzie podziąć.

– Tak...

– No i nie za najniższą krajową. Jak się zna angielski, to trzeba się cenić, nie?

Ludwik odchrząknął donośnie.

– Pomyślmy, co się da zrobić – wypaliłam, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Ślubny popatrzył na mnie z zaskoczeniem, a pan Kaziu zerwał się z fotela i zaczął całować mnie po ręce.

– Z pani to jest anioł, nie kobieta!

Zaśmiałam się głośno.

– Ależ panie Kaziu, ludzka rzecz sobie pomagać! Tylko niczego nie obiecuję!

Pan Kaziu wyprostował się mężnie.

– Tak, tak, ja wiem. Ale i tak dziękuję. Z całego serca!

Ludwik nadal patrzył na mnie jak na wariatkę.

– No co? – Wzruszyłam ramionami, kiedy entuzjazm sąsiada zdążył nieco opaść i pan Kaziu ponownie usadowił się na fotelu. W tych facetach to chyba nie ma za grosz empatii. Po co rozwiewać marzenia biednego pszczelarza, jak lepiej dać mu nadzieję. Złudną bo złudną, ale zawsze? Mężczyźni nic nie rozumieją.

– A tak swoją drogą – zwrócił się do sąsiada Ludwik. Podejrzanie unikał przy tym mojego wzroku. – Zna się pan może na autach terenowych?

– Pewnie, że znam! Przez dwadzieścia lat takim jeździłem! Tylko później się zaczął sypać i trzeba było sprzedać. A co, kupuje pan?

– I to na dniach – powiedział mój ślubny, a we mnie znowu się zagotowało. Zerwałam się z fotela.

– To ja was lepiej zostawię... – syknęłam ze złością. Chwyciłam leżący na blacie telefon i wyszłam na dwór. Pora zadzwonić do filmowców i zapytać, co z Joanną.

Na szczęście czuła się już lepiej, jak poinformował mnie Olaf. Lekarze na wszelki wypadek robili jej jakieś badania głowy, ale nic nie wskazywało na wstrząs mózgu.

– Tylko będziemy musieli tutaj zostać jeszcze do jutra. Lekarz kategorycznie zabronił wieźć ją do Warszawy w takim stanie. Ma dziś tylko leżeć – powiedział jeszcze

kamerzysta, kiedy chciałam się rozłączyć.

– Pewnie, nie ma sprawy – mruknęłam, a potem pożegnaliśmy się z Olafem niezbyt wylewnie i ruszyłam w stronę domu mamy. Ania na pewno ucieszy się z faktu, że filmowcy zostaną u niej dzień dłużej. W jej sytuacji materialnej każdy grosz się liczył.

Rozdział 24

Wieczorem zjawił się Marek. Ludwik wraz z zaangażowanym w poszukiwania samochodu panem Kaziem przenieśli się na górę, a ja i ubrany w piżamkę Marcel oglądaliśmy bajki, wylegając się na rozłożonej kanapie w salonie. I właśnie wtedy zjawił się nasz gość.

– Przyjechałem po rzeczy – powiedział, niepewnie zaglądając do salonu. – Mogę cię prosić na chwilę?

Odpowiedziałam mu pozbawionym emocji spojrzeniem, ale pogłaskałam Marcela po głowie i wstałam z kanapy. W końcu i tak nie uniknęlibyśmy rozmowy. Wakacje wakacjami, ale od września znów trzeba będzie razem pracować.

– O co chodzi? – zapytałam i stanęłam w drzwiach.

Marek obrzucił mnie tęsknym spojrzeniem, a potem popatrzył na wpatrzone w telewizor dziecko.

– A moglibyśmy porozmawiać gdzieś, gdzie będziemy sami?

Odwróciłam się i kontrolnie zerknęłam na Marcela. Był tak pochłonięty oglądaniem bajki, że pewnie nawet nie zauważyłby mojej nieobecności.

– Dobrze – odpowiedziałam Markowi.

– Pójdziemy do pokoju na górze? – zaproponował.

Na myśl o przebywaniu z nim sam na sam w miejscu, w którym kiedyś zasnęłam wtulona w jego ramiona, poczułam się trochę nieswojo. Nie miałam jednak żadnej lepszej propozycji.

– Poproszę tylko Teodora, żeby zerknął na małego – powiedziałam do Marka, wyminęłam go i zajrzałam do pokoju pod schodami. Na moją prośbę Teodor odłożył czytana właśnie książkę, przesiadł się na wózek i przemieścił do salonu.

– No to o co chodzi? – zapytałam, kiedy znaleźliśmy się sam na sam w pokoju, który dotychczas zajmował wuefista.

Marek zamknął drzwi i podszedł do mnie. Czarna koszulka, w którą był ubrany, napięła się na umięśnionych przedramionach i klatce piersiowej. Od razu owionął mnie jego zapach. Pomimo sztywnych postanowień, jakie powzięłam co do jego osoby, bliskość tego człowieka nadal działała na mnie obezwładniająco.

Na wszelki wypadek zrobiłam niewielki krok w tył.

– O czym chciałeś porozmawiać? – powtórzyłam twardo pytanie, na które nie odpowiedział.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Przyszedłem rozliczyć się za mieszkanie – powiedział w końcu, jak gdyby uszło z niego nagle całe powietrze. – I wyjaśnić tę nieprzyjemną sytuację, kiedy byłem pijany i...

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać. To nie moja sprawa. – Starłam się zachować

spokój, chociaż naprawdę nie było to łatwe.

Doskonale wiedziałam, że przyprowadzenie tej małolaty do mojego domu miało być jedynie demonstracją siły. Nie chciałaś mnie, to popatrz. Mogę mieć każdą inną. To nie ja tracę, ale ty – właśnie to próbował mi wtedy zakomunikować.

– Ale Zuzka... – Marek znowu wykonał krok w moim kierunku. – Ona nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

Pokręciłam głową. Ta rozmowa nie była taka łatwa, jak zakładałam, kiedy się na nią zgodziłam. No i nie tak miała przebiegać!

– I jak to łóżko u ciebie w mieszkaniu? – zapytałam, zanim zdołałam ugryźć się w język. Co to mnie, do cholery, obchodziło?! Czy w jego obecności zawsze musiałam tracić rozum?!

– Zuzka, proszę cię! – Marek zrobił taką minę, jakbym wymierzyła mu właśnie policzek. – Nie mogę o tobie zapomnieć. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie czułam czegoś takiego. Nie byłaś tylko na chwilę. – Przenikliwie popatrzył mi w oczy.

Nerwowo przełknęłam ślinę. To jego wyznanie niczego nie zmieniało.

– Mam męża.

Na dźwięk tych słów Marek wyciągnął rękę i pogładził mnie po przedramieniu. W pierwszym odruchu chciałam ją z siebie strząsnąć, ale była tak przyjemnie ciepła, że nie miałam siły, żeby to zrobić. No i przecież naprawdę lubiłam, kiedy mnie dotykał...

– Daj spokój, oboje wiemy, jak między wami jest – powiedział, ściszej głoś.

– Raz lepiej, raz gorzej. Jak to w małżeństwie.

Pokręcił głową i podszedł jeszcze bliżej. Niemalże napierał na mnie teraz swoim ciałem.

Wiem, że powinnam się odsunąć, ale kiedy czułam go przy sobie tak blisko, było to potwornie trudne... No i ta wściekłość na Ludwika, którą spowodował jego głupi pomysł kupienia samochodu terenowego...

Marek ujął dłonią mój podbródek i unosząc go lekko w górę, skierował moją twarz ku swojej. Jego spojrzenie niemal paliło.

– Nie rób mi tego – powiedział, nachylając się do mnie.

Uniosłam rękę i zacisnęłam mu ją na nadgarstku. Moje serce waliło jak oszalone. Co mam teraz zrobić? Nie! Stop? Co powinnam?!

O mój Boże, dlaczego on musiał być taki przystojny i...

– Nie – powiedziałam stanowczo, kiedy na pomoc przyszedł mi w końcu rozum. Halo! Ziemia do Zuzki! Gdzie on do tej pory był, do cholery?!

Marek chyba jednak niewiele robił sobie z tych słów, bo jego twarz znalazła się jeszcze bliżej mojej.

Z sercem, które o mało nie wyskoczyło mi z piersi, zrobiłam krok w tył, w wyniku czego zachwiałam się, bo napotykałam na swojej drodze rozłożoną kanapę. Przez chwilę próbowałam utrzymać równowagę, ale w końcu z impetem opadłam na nią.

Staralam się uważać na swoją zagipsowaną rękę. Czy ja zawsze w towarzystwie tego mężczyzny musiałam robić z siebie taką sierotę?!

I już miałam się cieszyć, że udało mi się czmychnąć przed Markiem, kiedy on też opadł na łóżko i zawisł nade mną. Ciężar ciała oparł na rozłożonych po bokach mojej głowy dłoniach.

– Z tej perspektywy wyglądasz jeszcze lepiej, wiesz? – wymruczał, nachylając się do mnie złowieszczo.

Mój oddech znowu przyspieszył. Kiedyś ten jego głos z pewnością wywołałby w moim ciele przyjemny dreszczyk, ale teraz podziałał na mnie odpychająco.

Popatrzyłam w pełne żądry oczy Marka i wystraszyłam się nie na żarty. W jednej chwili uświadomiłam sobie, że przecież tak naprawdę nie znam tego człowieka i nie wiem, do czego jest zdolny! I nie miał tu żadnego znaczenia fakt, że byliśmy w moim własnym domu!

Spróbowałam odepchnąć go od siebie, ale zaśmiał się gardłowo i nachylił jeszcze bardziej. Nasze twarze dzieliły teraz zaledwie milimetry. Byłam pewna, że zaraz zacznie mnie całować, bo patrzył mi w oczy tak, jak gdyby cała ta sytuacja sprawiała mu przyjemność.

Matko! A jeśli on teraz, nie zważając na moje protesty, ośmieli się zrobić mi krzywdę?

Jeszcze wyraźniej poczułam na twarzy jego przyspieszony oddech. Z tym rozjuszonym spojrzeniem nie zwiastował niczego dobrego i... właśnie wtedy miarka się przebrała.

– Ludwik! – wydarłam się, ile sił w płucach. A potem wydarzenia rozegrały się w tak szybkim tempie, że pamiętam je jakby przez mgłę.

Zaskoczony moim posunięciem Marek nie zdążył się nawet dobrze odsunąć, kiedy do sypialni wpadł wystraszony Ludwik, a zaraz za nim pan Kaziu. Po szybkim rozeznaniu się w sytuacji Ludwik chwycił dwa razy potężniejszego od siebie Marka za ramiona i odciągnął go ode mnie, popychając wufistę w kierunku pana Kazia.

– Myślałem, że chcesz... – Markowi udało się rzucić do mnie zdziwionym głosem.

Nic więcej nie dane mu było jednak powiedzieć, bo przejął go od Ludwika pan Kaziu, który w towarzystwie pojawiającego się w drzwiach Tomka szybko wyprowadził go na dwór, obrzucając przy tym niezbyt cenzuralnymi słowami.

– I żebym cię tutaj więcej nie widział, łajdaku jeden! Przykładne kobiety bałamucić! A to dopiero!

Mój ślubny natomiast padł na kolana przed łóżkiem, na którym leżałam. Pomógł mi wstać i wziął mnie w ramiona. Kiedy przytuliłam się do niego, zaczęłam płakać.

– Nie bój się. Nie dam nikomu zrobić ci krzywdy – wyszeptał nad moją głową, nieświadomy prawdziwej przyczyny moich łez. Przecież ja wcale nie płakałam dlatego, że bałam się Marka! Owszem, wystraszyłam się tego jego pełnego żądry spojrzenia, ale nie w tym rzecz. Podświadomie miałam przecucie, że Marek nie skrzywdziłby nawet

muchy!

Płakałam dlatego, że nagle ogarnęło mnie przytłaczające przeświadczenie o swojej głupocie. Jak ja, mając u boku wspaniałego męża, mogłam rzucić się w ramiona kogoś takiego jak Marek? Przecież od samego początku wiedziałam, jakim jest człowiekiem i że chodzi mu tylko o jedno.

– Boże... – wyrwało mi się cicho i jeszcze mocniej wtuliłam się w ramiona Ludwika. Ja chyba miałam coś z głową! Mając u boku takiego męża, wdać się w jakiś chory układ... Takiego męża!

Moim ciałem wstrząsnął jeszcze większy szloch.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – rozszedł się po sypialni uspokajający głos Ludwika.

Znowu załkałam. Z chwili na chwilę ogarniała mnie coraz większa bezsilność. Przecież tego wszystkiego, co zrobiłam Ludwikowi, nie da się już cofnąć...

– Wyrzuciliśmy go na zbity pysk! – obwieścił ponownie pojawiający się w sypialni razem z Kasią pan Kaziu.

Ludwik posłał mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie, ale nie puścił mnie nawet na chwilę.

– No to ten... – widząc, co się dzieje, bąknął pan Kaziu. – Ja lepiej już pójdę – mruknął, a potem pozwolił Kasi zamknąć drzwi i do naszych uszu dotarły jakieś pojedyncze dźwięki prowadzonej przez nich rozmowy.

Ludwik odsunął się ode mnie i usiadł na łóżku. Podłożył sobie pod plecy poduszkę, oparł się wygodnie o ścianę i pozwolił mi ponownie się w siebie wtulić.

– Jeśli ten drań chciał zrobić ci jakąś krzywdę, to obiecuję, że go za to zabiję... – wyrwało mu się złowrogo, kiedy płakałam w najlepsze.

Spojrzałam na niego niepewnie.

– Kocham cię, Zuzka – dodał, gładząc mnie po włosach, a potem już niczego nie mówił.

Ja natomiast pogrążałam się w żałobie, dopóki nie zasnęłam. Żałobie nad swoim zdrowym rozsądkiem, rzecz jasna. Jak to łatwo przejść z roli tej złej do roli ofiary, co? Nawet jeśli wcześniej myślałam, że z powodu pocałunków z Markiem nie będę miała żadnych wyrzutów sumienia, to byłam w błędzie. To, że można w jakikolwiek sposób je zagłuszyć, okazało się jedną wielką bujną. Wyrzuty sumienia prędzej czy później dopadną każdego.

I wiecie co? Chyba nawet lepiej, jeśli zrobią to wcześniej. Wtedy przynajmniej można spróbować wszystko odkręcić, zanim kogoś naprawdę się zrani.

Rozdział 25

Następny poranek uświadomił mi boleśnie, że kiedy się ma kochającą rodzinę, a zwłaszcza aż nadto kochającą mamusię, nie można w spokoju pograżać się nawet w depresji. Albo chociaż spadku nastroju. Mama wpadła do nas już o wpół do ósmej rano, kiedy z podpuchniętymi oczami starałam się przyszykować dla śpiących w najlepsze domowników jakieś dobre śniadanie.

– A co za awantura była wczoraj tu u was na podwórku ? – zapytała bez ogródek i usiadła na jednym z barowych stołków.

Popatrzyłam na nią, nie przestając rozkładać na talerze plasterków szynki.

– Jaka awantura? Nie wiem, o czym mówisz – postanowiłam udawać głupią. Doskonale wiedziałam, że gdybym opowiedziała mamie o ostatnich wydarzeniach rozgrywających się w moim życiu prywatnym, to pewnie od razu umarłaby na zawał. W jej wieku nie powinno się już wiedzieć wszystkiego. A zwłaszcza nie można słuchać o pikantnych szczegółach z życia swoich dzieci.

– Ach, Zuzka, Zuzka... – westchnęła tymczasem mama. – Jolka z kółka różańcowego do mnie właśnie dzwoniła...

– Przecież nie ma jeszcze nawet ósmej!

– No właśnie. Widać uznała tę waszą awanturę za sprawę, która nie może czekać... –

Mama oparła się o blat i zrobiła pauzę. Była dziś wyjątkowo blada. Może znowu spadł jej cukier?

– Ale co z tą Jolką? – zapytałam, po przedłużającej się chwili milczenia i włożyłam opakowanie szynki do lodówki. Zabrałam się za krojenie pomidora. Swoją drogą to niedługo nie będę ich musiała kupować, bo Kasia nasadziła w ogródku za domem tak dużo krzaczków, że chyba nie damy w tym roku rady przejeść tych pomidorów.

Wracając jednak do tematu...

– Bo synowa Jolki szła wczoraj wieczorem ze sklepu do siebie i podobno słyszała jakieś niepokojące dźwięki dobiegające od ciebie z podwórka.

Pomimo swojego marnego stanu uśmiechnęłam się pod nosem.

– Niepokojące dźwięki, tak?

Mamusia pokiwała głową.

– Ktoś na kogoś krzyczał. Podobno – powiedziała słabym głosem.

– A ta Jola jest pewna, że jej synowa słyszała to u nas?

Mama spojrzała na mnie pytająco. Na moment przerwałam krojenie pomidora.

– Ciemno było przecież, to nie mogła nic zobaczyć. Może nie u nas słyszała? Może to u sąsiadów? – Nie było przecież sensu dokładać mamie zmartwień.

Swoją drogą to ja powinnam chyba zrobić doktorat z zatajania prawdy w dobrym celu. Ostatnio dochodziłam w tym do perfekcji!

– U Kazia? – Mama podchwyciła moją sugestię. – Awantura? Przecież oni z Celą są

potulni jak barany. No popatrz... – Pokręciła z dezaprobatą głową.

– Chyba owce, bo barany to nie mają zbyt wiele wspólnego z potulnością – ośmieliłam się zauważyć, ale nie zwróciła na to moje wtrącenie uwagi i ciężko westchnęła.

– Bo wiesz, Zuzka, ja już jestem taka stara...

– Tak. Wiem. I wołałaby mama umrzeć w spokoju. Dla mamy dobra powinniśmy unikać awantur – wyrecytowałam dobrze znaną formułkę, którą powtarzała przy każdej możliwej okazji.

Zanim mama zdążyła cokolwiek powiedzieć, do kuchni wszedł ubrany w pizamę Ludwik.

– Jak się czujesz? – zapytał, podchodząc do mnie i przyciągając do siebie, cmoknął w skroń. Moje zmysły owionął jego zapach.

– Wszystko dobrze. – Uśmiechnęłam się blado.

Mama odchrząknęła głośno, bojąc się chyba, że dojdzie tu zaraz do jakichś przesadnych czułości.

– O! Mamusia tutaj? – Ludwik zdziwił się na jej widok.

– Tak wyszło syneczku, tak wyszło – westchnęła. – W moim wieku nie potrzebuje się aż tyle snu co wy, młodzi.

Ludwik obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, a ja w odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Już sama nie wiedziałam, czy lepiej pozwolić mamie wypowiedzieć na głos te jej wszystkie ludowe mądrości związane ze starością i śmiercią, czy nie. Z jednej strony mogłoby jej się zrobić od tego lepiej, ale z drugiej jeszcze by się rozkręciła, a my, biedni, musielibyśmy słuchać tego w nieskończoność.

– A ty dlaczego już wstałeś? – zapytałam Ludwika, wybierając jednak tę drugą opcję.

– Jadę po samochód – obwieścił wszem i wobec.

Na wszelki wypadek odłożyłam trzymany w ręce nóż na blat. Czy w naszym życiu zawsze musiało być tak, że zaraz po chwilach czułości działo się coś, przez co trafiał mnie szlag?!

– Jaki samochód? – zapytałam przymilnie, starając się opanować cisnące mi się na usta przekleństwa. Już ja dobrze przeczuwałam jaki!

– Terenowy, a jaki? Mówiłem ci przecież, że chcę kupić.

– Ale nie, że tak szybko! Skąd weźmiesz na niego pieniądze? Przecież nie mamy prawie żadnych oszczędności, a na kredyt się nie zgodzę!

– Spokojnie, Zuzka. Ja już to wszystko załatwiłem. – Ludwik wyciągnął rękę, żeby pogłaskać mnie po przedramieniu. W porę jednak dostrzegł moją minę, więc szybko zrezygnował z tego pomysłu.

– Co załatwiłeś?! Kredyt?!

– O Matko z Częstochowskiego Wizerunku... – jęknęła z przerażeniem moja mamusia. W jej oczach pojawiły się łzy. Niczego nie bała się w życiu tak bardzo jak kredytów. A już zwłaszcza branych przez swoje dzieci. Tuż przed jej śmiercią!

– Jaki kredyt, kochanie... Rozmawiałem z panem Kaziem, pożycz mi te pieniądze.

Będę mu oddawał w ratach.

Przyłożyłam rękę do czoła. Z tych nerwów już prawie dostałam gorączki.

– Chyba będziemy oddawali – ośmieliłam się zauważyć. – Za ile ten samochód?

– Niedrogi – mruknął.

Spojrzałam na niego złowrogo.

– Oj Zuzka, naprawdę niedrogi. Bardziej powinno zainteresować cię, dokąd po niego jedziemy.

– Jedziemy? Ja się stąd nigdzie nie ruszam. – No jeszcze tego brakowało, żebym jeździła z nim po samochód!

– Zuzka, nie jadę z tobą, ale z panem Kaziem! – Ludwika najwidoczniej cała ta sytuacja bawiła.

– Z panem Kaziem?

– No przecież mówię. On kiedyś jeździł terenówkami, więc się na nich zna. Przyda mi się tam na miejscu opinia eksperta. – Ludwik podszedł do kuchennego blatu i chwycił leżące na nim jabłko, a potem przysunął je do ust.

Kiedy na niego patrzyłam, trochę przeszła mi złość.

– Ale pan Kaziu?

I to w roli eksperta? Spojrzałam na Ludwika spode łba. Nie wiem, czy to dobry pomysł...

– Pan Kaziu będzie dobrym towarzyszem podróży. Przecież ktoś musi ten samochód tutaj przyprowadzić, jak już go kupię, a pan Kaziu ma doświadczenie i kiedyś dużo jeździł terenówkami. Nie każdy byłby w stanie przejechać ponad pięćset kilometrów w jedną stronę. Przecież na ciebie w ogóle bym nie mógł liczyć!

– O matko kochana! – Zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować na tę obelgę, moja mamusia westchnęła przeraźliwie. – Przecież to taki kawał świata... A na drogach aż roi się od wypadków...

W normalnej sytuacji posłałabym jej uspokajające spojrzenie, ale za bardzo byłam skupiona na bezmyślnym Ludwiku.

– I ty chcesz jechać pięćset kilometrów w jedną stronę po głupi samochód? Dokąd?!

– Do Wałbrzycha...

– Czy ty na głowę upadłeś?! A jak ci się nie spodoba i wcale go nie kupisz?! Ludwik błagam, nie załamuj mnie... Nie ma takich aut gdzieś bliżej? Na pewno są!

– Ale Zuzka, ten samochód to taka okazja, że grzechem by było po niego nie pojechać! Facet daje supercenę i jeszcze dokłada opony na zmianę. A auto jest w naprawdę świetnym stanie!

– Na zdjęciach wszystko jest w świetnym stanie...

– Już dzwoniłem do tego faceta i powiedziałem, że wieczorem będziemy! – ekscytował się jak dziecko. Kompletnie ignorował moje uwagi.

– Może mu jeszcze powiedziałaś, że kupujesz go w ciemno! – jęknęłam.

– Przeszło mi to przez głowę, przyznaję, ale...

– Ludwik, na litość boską!

Roześmiał się głośno na widok mojej miny. Odłożył niedojedzone jabłko na blat i mnie przytulił.

– Nie denerwuj się, Zuzka. Wrócimy tutaj raz-dwa. I to z samochodem.

– Ale ja się nie martwię, że nie wróciacie, tylko...

– Wszystko będzie dobrze – uciał moje wątpliwości.

Odetchnęłam głęboko, wtulając się w jego ciepłą klatkę piersiową. Wiedziałam doskonale, że pod względem uporu byliśmy do siebie bardzo podobni i jeśli postanowił kupić auto terenowe, to raczej nie przekonam go do zmiany planów. Pozostało mi się więc tylko pogodzić z jego decyzją i przyjąć do wiadomości fakt, że nasz domowy budżet zostanie dodatkowo obciążony przez oddawanie pieniędzy panu Kaziowi.

– Lepiej? – Po chwili milczenia, której nie przerywała nawet siedząca niedaleko mamusia, Ludwik odsunął mnie w końcu od siebie.

Pokiwałam głową. Odgarnął z mojej twarzy niesforne pasma rudych loków.

– No to dobrze. – Uśmiechnął się delikatnie i pocałował mnie w czoło. – To teraz zrób nam jakiś prowiant na drogę, a ja pójdę się myć – powiedział i urok tej chwili prysł jak bańka mydlana.

Przysięgam, że gdybym miała pod ręką coś innego niż nóż, to rzuciłabym tym w niego z całej siły, kiedy wychodził z kuchni! Po prostu prawdziwa matka Polka służąca, ot, jak mnie widział mój mąż!

– Taka tragedia... – westchnęła mamusia, kiedy Ludwik zniknął.

Spojrzałam na nią przelotnie i wróciłam do krojenia warzyw. Co ja mogłam zrobić w tej sytuacji? Uparł się, żeby kupić to auto, to kupi je nawet bez mojego błogosławieństwa. Siłą Ludwika w domu nie zatrzymam... Chociaż gdyby tak zamknąć go na przykład w naszej sypialni i nie wypuszczać przez kilka dni?

Moje rozważania przerwał dzwonek do drzwi.

– Otworzę – rzuciłam do przygnębionej wyjazdem Ludwika mamusi.

Na ganku stał pan Kaziu.

– O, już pan jest? – zdziwiłam się na jego widok. – Zapraszam do środka.

Pan Kaziu, jak na dżentelmena przystało, wytarł buty w wycieraczkę przed drzwiami i wszedł do domu. W dłoni ścisnął uchwyt od wielkiej torby podróżnej.

Spojrzałam na nią niepewnie. Była stanowczo za duża, jak na spakowanie rzeczy potrzebnych na jednodniowy wypad. No i wyglądała na ciężką.

– A, to... – pan Kaziu poruszył się niespokojnie i też popatrzył na torbę. – To Cela mi dała na podróż. Mówi, że jak się jedzie na drugi koniec świata, to trzeba być przygotowanym na wszystko.

Przeniosłam wzrok na jego twarz.

– Ach tak... Ale co pan tam ma? Cegły?

– Nie, cegły to nie... Wodę, bo upał, ubrania na zmianę, ręcznik, kosmetyki... Nawet

dwa słoiki z bigosem, jakbyśmy z Ludwikiem zgłodnieli...

Pokiwałam głową, starając się nie roześmiać.

– No tak – mruknęłam. – Przewrotny zawsze ubezpieczony.

– Cela to samo mi powiedziała...

– To może niech pan postawi na razie tę torbę gdzieś z boku i zapraszam pana na śniadanie – zaproponowałam panu Kaziowi. Z całych sił powstrzymałam się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie chciałbym robić kłopotu...

– Żaden kłopot, panie Kaziu, naprawdę. – Uśmiechnęłam się do niego zachęcająco, więc w końcu odstawił tę torbę.

Kiedy chciałam ruszyć z powrotem do kuchni, pan Kaziu złapał mnie jeszcze za ramię.

– Ja przepraszam, że zapytam. – Nachylił się do mnie, ścisząc głos i popatrzył na mnie niepewnie. – Ale ten wczorajszy... Amant... Pojawił się jeszcze?

– Nie – zaprzeczyłam.

– No to kamień z serca, bo ja pół nocy nie mogłem przez to zasnąć. – Pan Kaziu odetchnął z ulgą. – Tak się o panią martwiłem!

– To bardzo miłe, dziękuję...

– No i tak sobie rękę naciągnąłem przy tym, jak mu przywaliłem w ryj, że Cela musiała jakąś maścią na noc mi smarować, żeby...

– O, już pan jest! – przerwał naszą rozmowę w najbardziej interesującym momencie pojawiający się na dole, odświeżony Ludwik. – To co? – klasnął w dłonie. – Śniadanko i jedziemy?

Pan Kaziu odsunął się ode mnie i wyprostował.

– Tak... – westchnęłam, przytłoczona entuzjazmem swojego męża. – Siadajcie w salonie. Już podaję. Mam nadzieję, że będzie wam smakowało – mruknęłam, a potem przeszłam do kuchni, w której nadal siedziała moja zamartwiająca się mamusia i dokończyłam przygotowanie śniadania.

Ludwik z panem Kaziem pochłonęli jedzenie w niecałe dziesięć minut, a potem wrzucili do auta torbę zapakowaną przez panią Celę, koszyk z prowiantem i mapę. Sprzątanie ze stołu pozostawili oczywiście mnie, jakżeby inaczej!

– Będę pod telefonem – powiedział jeszcze Ludwik, cmoknął mnie w czoło i tyle ich tego dnia widziałam.

– Gorzej niż z dziećmi – burknęłam, zamykając bramę i wróciłam do domu, żeby sprawdzić, czy Marcel już wstał. Nie chciało mi się kolejny raz myśleć o tym, że mój mąż znowu zostawia mnie samą. Otoczona rodziną, to prawda, ale jednak samotną...

Rozdział 26

Po południu odwiedzili mnie wracający ze szpitala filmowcy. A dokładniej Joanna i Reżyser, bo Olaf zaszył się u Ani, by dokończyć montaż filmu. Podobno goniły go terminy, więc musiał trochę nad tym przysiąść. A wydarzenia ostatnich dni raczej mu na to nie pozwalały.

Siedziałam właśnie przy stoliku w ogrodzie i patrzyłam na bawiącego się w piasku Marcela, kiedy już z daleka usłyszałam donośny głos rozemocjonowanego Reżysera.

– Nie widzę sensu, żeby tam iść – mówił do drepczącej w swoich cieniutkich szpileczkach Joanny, która najwidoczniej już czuła się lepiej. – Ta baba mnie nie lubi – mlasnął, przeżuwając gumę. – Jest do mnie wrogo nastawiona. Ba, ona pała do mnie nienawiścią! W dodatku jawną!

Joanna posłała mu karcące spojrzenie.

– A ja ją lubię. I wydaje mi się, że to ty masz problem z Zuzanną, a nie ona z tobą. Różniesz w jej obecności nadętego pajaca. Kotku... A tak właściwie, to dlaczego to robisz? Przecież tak naprawdę jesteś bardzo łagodnym człowiekiem.

Reżyser przyłożył dłonie do skroni.

– Aśka, mówiłem ci tysiąc razy. Nie cierpię, kiedy ktoś psuje mi wizję.

Joanna pogładziła go po policzku.

– No tak, kochanie, no tak. Przepraszam.

– To może zawrócimy? Po co właściwie musisz z nią gadać?

– Chcesz, żebym znowu zaczęła się na ciebie drzeć? – powiedziała do niego najmielszym głosem, na jaki było ją stać. – Nie pamiętasz już, jak się to wczoraj skończyło? – Zatrzepotała rzęsami.

Reżyser natychmiast spokorniał.

– Nie. Oczywiście, że nie chcę, kochanie – mruknął i dalszą drogę w moim kierunku pokonał, powłócząc nogami. Zawzięcie wpatrywał się przy tym w trawnik.

– Zuzanna! – Joanna natomiast naprawdę ucieszyła się na mój widok. – Jak dobrze, że jesteś! – Podeszła i cmoknęła mnie w policzek.

Od razu uderzył mnie intensywny zapach jej perfum.

– Ciebie też dobrze widzieć – ożywiłam się nieco. – Wnioskuje, że z głową wszystko dobrze?

I ten jej perfekcyjny makijaż... Aż raził mnie w oczy. Taka gwiazda telewizyjna to miała dobrze, co? Mogła bezkarnie o sobie dbać. A ja? Kiedy ostatni raz miałam czas, żeby jechać do kosmetyczki zrobić sobie paznokcie albo chociaż porządnie się umalować?! Taka sprawiedliwość.

Joanna posłała mi ciepły uśmiech.

– Tak, to nie był groźny upadek. Po prostu za dużo tlenu. Ale ja tak mam, kiedy wpadam w szał. To nic groźnego – powiedziała i bez pytania usiadła na krzeselko

przede mną i wyciągnęła na stoliku rękę.

Mojej uwadze nie umknął fakt, że pomimo przedłużającego się pobytu na wsi, miała piękne i zadbane paznokcie. Jakby dopiero wyszła od kosmetyczki!

– A ty nie usiądziesz? – Kiedy ja przyglądałam się jej dłoniom, zapytała niewinnie Reżysera.

– Ta, już siadam. – Zrobił taką minę, jakby kazała mu zejść do jakichś kanałów. Podsunął sobie krzesło, wyciągnął z kieszeni telefon i w końcu usiadł.

– No! – Joanna uśmiechnęła się zadowolona i ponownie zwróciła się do mnie.

– To co was do mnie sprowadza? – zapytałam.

– O, to jest bardzo dobre pytanie!

– Więc to coś ważnego?

Joanna pokiwała głową.

– Po wczorajszym wybuchu agresji porozmawialiśmy z Jacusiem poważnie i doszliśmy do wniosku, że powinien mi się oświadczyć.

– Doszliście do wniosku?

Razem? A to nie powinna być decyzja mężczyzny? Współczesny świat przerażał mnie ostatnio coraz bardziej. A gdzie pierścionek, romantyzm i zaskoczenie?

– Tak. No wiesz... Żebym czuła się pewniej, kiedy kręcą się dookoła niego te wszystkie wypacykowane, młodsze ode mnie laski.

– I żebyś nie musiała ciągle się wściekać – podsunął jej nieodrywający wzroku od telefonu Reżyser. – To jeżdżenie z tobą do szpitala, kiedy zemdlejesz, robi się coraz bardziej męczące – mlasnął, kilka razy przeżuwając gumę.

Joanna dotknęła jego policzka i lekko go pogładziła.

– Tak, dlatego też, oczywiście, kochanie. Ale to powód drugorzędny.

– Jak dla kogo... – mruknął Reżyser.

– A pierwszorzędny jest jaki? – zapytałam.

Joanna roześmiała się głośno, ukazując przy tym swoje idealne, białe zęby.

– No że się kochamy. To chyba oczywiste – ogłosiła z entuzjazmem.

Na wszelki wypadek spojrzałam na Reżysera. Żadnej reakcji, widać telefon był ważniejszy od miłości.

– Ach tak, przepraszam...

– No, ale nie przyszliśmy tutaj rozmawiać o miłości. – Joanna pochyliła się do przodu.

– Tak?

– No. Chcielibyśmy zorganizować tutaj zaręczyny. W pałacu nad rzeką.

– Kto by chciał, ten by chciał... – mruknął Reżyser, ale przyzwyczajona do jego marudzenia Joanna zignorowała te słowa.

– Ale przecież ten pałac to kompletna ruina...

I od kiedy to przyszła narzeczona zajmuje się organizacją zaręczyn, a mężczyzna jej życia siedzi z głową zwieszoną nad telefonem?

– Oj Zuzanna... – Joanna zaśmiała się dźwięcznie. – On mógłby nawet nie istnieć. Przecież scenografowie i tak go podrasują. Chodzi tylko o zgodę.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Przepraszam, ale ja za bardzo nie rozumiem... Jacy scenografowie? Jaką zgodę?

– Widzisz? Mówiłem, że ona jest tępa – burknął Reżyser, w wyniku czego Joanna kopnęła go pod stolikiem.

– Au! – Musiało go zabołec, kiedy dostał czubkiem jej szpilki.

– No ale wracając do tematu... – Joanna uśmiechnęła się do mnie słodko. – Bo widzisz, nasze zaręczyny muszą być dużym wydarzeniem. W końcu Jacuś w świecie filmu jest kimś. I to przez duże „k”. Media muszą mieć pożywkę, więc trzeba to wszystko tak wyreżyserować, żeby nie było wstydu.

Potaknęłam, chociaż tak naprawdę nie mieściło mi się to w głowie. Oto jak świat mediów może zniszczyć życie dwojga ludzi. Przecież zaręczyny to powinna być romantyczna chwila tylko we dwoje, a nie przygotowany specjalnie spektakl z kamerą i fotografami... Ale może to ja byłam niedzisiejsza?

– No i właśnie pomyśleliśmy sobie z Jacusiem...

Reżyser odchrząknął głośno.

– Ach! To znaczy ja pomyślałam, tak, że cudownie by było zorganizować tę uroczystość w starym pałacu nad rzeką. Już widzę te porozstawiane dookoła świeczki, bukiety kwiatów, zwiewne firanki, sączące się do środka światło księżyca, a na środku mały, drewniany stolik... Coś pięknego, prawda? – zrobiła rozmarzoną minę.

Pokiwałam głową na wspomnienie swoich zaręczyn. Akurat z tego powodu chyba lepiej byłoby mi wyjść za jakiegoś reżysera, a nie prostego historyka, który skąpił nawet na pierścionek.

– No i właśnie! – Joanna jakby się ocknęła. – Do kogo należy ten pałac?

Podrapałam się po głowie.

– Ostatnio kupił go jakiś młody inwestor. Podobno ma zamiar w najbliższych latach wyremontować cały budynek i urządzić w nim hotel z wielką salą weselną na dole. Ale nie wiem dokładnie, kim on jest.

– U, to niedobrze... – Joanna wygięła usta w podkówkę. – Trzeba będzie podzwonić.

– Ale dokąd?

– Jak to dokąd, Zuzka! Do naszych ludzi od wszystkiego.

– Ludzi od wszystkiego?

– No tak! Trzeba przecież odnaleźć tego inwestora raz-dwa. Oświadczyny już w przyszłym tygodniu!

– W przyszłym tygodniu?! Tak szybko?!

– No! Nie wiem, jak ja znajdę sukienkę, ale pośpiech jest tutaj wskazany...

– Matko kochana, czy to znaczy, że ty... Że wy... Będziecie mieli dziecko? – Udało mi się w końcu wydusić.

– Aśka! – Reżyser zerwał się na równe nogi i zaczął wymachiwać rękami. – Będziemy

mieli dziecko!?! Ale przecież... O matko... Czuję, że mi słabo. Jak mogłaś mi to zrobić?! I to w momencie, kiedy moja kariera w końcu porządnie przyspiesza! A *Wojny napoleońskie*?! – O mały włos nie zaczął krztusić się gumą do żucia.

– Uspokój się, Jacuś! – Joanna roześmiała się głośno, obserwując jego emocjonalną reakcję. – Nie jestem w żadnej ciąży, siadaj!

Reżyser poczerwieniał i pobladł niemal jednocześnie.

– Nie, nie. Ja się lepiej pójde przewietrzyć... – bąknął, a potem oddalił się bez pożegnania.

Joanna zachichotała.

– Mężczyźni... Tak to już z nimi jest.

– Oj, rozumiem cię doskonale – zawtórowałam jej, sama zanosząc się śmiechem. – Ale wracając do tematu zaręczyn... Dlaczego tak ci śpieszno?

Joanna rozejrzała się dookoła i nachyliła do mnie konspiracyjnie.

– Poszedł, to powiem ci prawdę. Chcę zrobić to szybko, żeby Jacek się nie rozmyślił. Wiadomo, że z czasem zaczyna się analizować... Aż strach pomyśleć, do jakich on mógłby dojść wniosków, gdyby zaczął o tym naszym związku rozmyślać! No i te jego laski...

– Jakie laski?!

– Przyjaciółki od siedmiu boleści. Ty wiesz, jak mnie to wkurza, jak one ciągle do niego dzwonią i piszą, a potem żalą się sobie nawzajem, że takie ciacho już zajęte?!

Przywołałam w głowie obraz wychudzonego, wiecznie żującego gumę Reżysera i miałam czelność się ze stwierdzeniem Joanny nie zgodzić. Ale tylko w myślach. Przecież to ekscentryczne chuchro za nic w świecie nie było przystojne! Ani ociupinkę! On nawet nie miał pięknego wnętrza, żeby można się było zakochać z pominięciem wyglądu!

– Ach... – westchnęłam, co Joanna wzięła widać za odgłos pełen zrozumienia. Miłość, jak to powszechnie wiadomo, potrafi jednak być ślepa.

– Sama widzisz, że ja nie mam na co czekać. Zresztą jestem już w takim wieku, że nawet nie powinnam.

Pokiwałam głową, chociaż z tym też nie mogłam się zgodzić.

– Chociaż ostatnio tyle starszych ode mnie kobiet wychodzi za mąż, że chyba nie będzie wstydu. Co myślisz?

– Nie, chyba nie... – bąknęłam.

– W ogóle to jaka sukienka byłaby lepsza? Długa czy krótka?

– Tobie we wszystkim będzie ładnie.

– Mi to się zdaje, że lepsza będzie długa. W krótkich chodzę na co dzień, a chciałabym podkreślić doniosłość tej chwili. Marzy mi się taki lejący, zwiewny materiał. Opływający sylwetkę.

– Tak. Opływający będzie dobry – przytaknęłam. Przecież komuś z jej figurą to byłoby ładnie nawet w worze pokutnym.

– O matko! – Na twarzy Joanny nagle odmalowało się przerażenie. – W co ja ubiorę Jacka?! Myślałam o smokingu, ale chyba jednak będzie tu trzeba ściągnąć też stylistów. Nasze zaręczyny to musi być wydarzenie roku! Oczywiście dla dobra kariery Jacka. Muszą o tym wiedzieć wszystkie jego koleżanki.

– Oczywiście.

– A myślisz, że byłoby mi ładnie, gdybym we włosy miała wpiętą woalkę? Jak byłam mała, to zawsze o tym marzyłam. Chociaż może lepiej zostawić sobie tę przyjemność na ślub?

– Woalki są trochę retro... – bąknęłam, czując się przytłoczona jej paplaniną.

– Retro mówisz? – Zrobiła zamyśloną minę. – Kurczę, nie wiem, czy to by pasowało. Chociaż ten blask świec w sumie stworzy taki trochę oldskulowy klimat.

– Jestem pewna, że wasze zaręczyny będą naprawdę bajeczne!

– A, Zuzka, Zuzka! – Joanna nachyliła się do mnie jeszcze raz. – Myślisz, że twoja siostra pozwoli nam u siebie jeszcze ten tydzień pomieszkać, żebyśmy nie musieli codziennie dojeżdżać z Warszawy? Może powinniśmy jej zaproponować za ten nocleg więcej niż do tej pory?

Spojrzałam w stronę domu Ani. Na samą myśl o tym, że pobyt filmowców w Jaszczurkach jest chociaż częściowym rozwiązaniem jej problemów finansowych, na moje usta wypląnął uśmiech.

– Myślę, że jak zaproponujesz jej trochę więcej niż dotychczas, to na pewno się zgodzi i pozwoli wam jeszcze u siebie pomieszkać – powiedziałam do Joanny.

– Boże, jak super! – Zerwała się z miejsca. – To ja pędzę dzwonić i wszystko załatwiać. Muszę odnaleźć numer do dyrektorki szkoły, przecież zaraz przyjedzie tutaj tylu scenografów, fotografów i... Nie! Najpierw trzeba odnaleźć tego inwestora od pałacu. Matko, ile to będzie roboty! – ekscytowała się i machając mi na pożegnanie, pognęła na swoich cieniuchnych szpileczkach w stronę podwórka Anki.

Patrzyłam jeszcze przez chwilę, jak się oddala, a potem spojrzałam na swój telefon. Dochodziła już piętnasta, a Ludwik nie dzwonił ani razu. Gdybym go tak dobrze nie znała, mogłabym pomyśleć, że najzwyczajniej w świecie mnie zdradza i dlatego ciągle wyjeżdża z domu. Skoro jednak poślubiłam zakręconego historyka, pozostawało mi tylko cierpliwie na niego czekać. Miejmy nadzieję, że nie tak długo jak Penelopa na Odyseusza.

Rozdział 27

Kolejny gorący wieczór spędzałam z dziećmi. Chociaż trafniej by zabrzmiało, gdybym doprecyzowała, że taki był plan. Bo finalnie za wiele z niego jednak nie wyszło. Dzieci zajęły się same sobą, a na mnie spadło pocieszenie Kasi.

Ale po kolei...

– Cześć. – Anka zjawiała się u mnie około dziewiętnastej. Stałam właśnie ubrana w kwiecistą sukienkę przy zlewie i zmywałam naczynia, ale już po jej głosie poznałam, że jest zdenerwowana.

– O, hej! – Odwróciłam się w jej stronę.

Anka przyprowadziła ze sobą też Pawełka i Zosię, która kręciła się w wózku.

– Coś się stało? – zapytałam, odkładając na suszarkę trzymany w dłoni talerz.

Wytarłam rękę w leżącą nieopodal ściereczkę i wyjęłam z wózka Zosię. Przywykłam już do tego, że jedną rękę miałam w gipsie, więc trzymanie jej nie sprawiało mi prawie żadnego problemu. Poza tym, że musiałam trochę bardziej uważać, było dość znośne.

– To ja pójdę na górę pobawić się z Marcelem – rzucił do nas zdawkowo Pawełek i pobiegł w stronę schodów.

– Tylko nie za głośno! – zdążyła jeszcze krzyknąć za nim Anka.

– Napijesz się czegoś? – zwróciłam się do niej.

– Nie, dzięki. Właściwie to przyszłam prosić cię o przysługę.

– Więc jednak coś się stało? – zapytałam, zabawiając Zosię.

Ania westchnęła ciężko i opadła na stołek przy barku.

– Ciotka Halina dzwoniła, że ma problem z Panią Dla Wszystkich. A właściwie to nawet nie z nią, ale z ojcem jej dziecka.

– Z tym pijaczną?

Anka pokiwała głową.

– Tak. Podobno nachodzi ich w Sosenkach i awanturuje się, że mają mu oddać Panią Dla Wszystkich. Ciotka powiedziała, że gdyby nie to, że wczoraj był u nich Jarek, to musiałyby wezwać policję. Pijaczek chciał im nawet okna wybijać!

– Ale jak on dostał się na ich podwórko? Przecież dom wujostwa otoczony jest niemal murem! A bramę zawsze zamykają na klucz!

– Podobno przeskoczył przez płot, drąc się wniebogłosy, że miłość pokona każdą barierę. Dobrze, że nie wlaź na balkon.

– Kurczę, trudna sprawa... – Zakołysałam lekko trzymaną na kolanach Zosię. – No ale skąd mogłaś wiedzieć, że pijacznynie zamarzy się ojcostwo?

– Czuję, że dołożyłam ciotce kłopotów, wysyłając do niej tę całą Mariolę. Powinnam zareagować.

– Ale jak? Co chcesz zrobić?

– Rozmawiałam już z Jarkiem przez telefon, bo mam pewien plan.

– Brzmi ciekawie. Opowiadaj.

– Właściwie to nie ma o czym. Jarek zaproponował, że może ze mną podjechać do tego moczymordy, żebyśmy się rozmówili. Wymyślił, że odrobinę nagnie przepisy i ubierze się w swój mundur policyjny, żeby trochę tego biedaka postraszyć. No i stąd moja prośba...

– Chcesz, żebym w tym czasie popilnowała dzieci. – Pokiwałam głową. – Pewnie, nie ma problemu.

Ania uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością.

– Mówiłam ci już, że jesteś kochana?

– Daj spokój, po prostu pomagam siostrze w potrzebie. Nie przejmuj się maluchami i jedź. Zrób co trzeba. Tylko nie przesadźcie z Jarkiem z tym straszaniem! Żeby pijaczyna nie zszedł na zawał. Miałabyś dodatkowy problem na głowie.

– Wiesz co, Zuzka? Nikt nie potrafi rozbawić mnie tak jak ty. Przychodzę do ciebie zmartwiona, a wychodzę roześmiana. – Ania cmoknęła mnie w policzek i podeszła do wózka Zosi. – Zostawiam ci tutaj wszystko. Jest mleko, pieluchy i...

– Ania, Ania, Ania... – Spojrzałam na nią wymownie.

– Tak, wiem, umiesz radzić sobie z dziećmi, ale...

– Idź już, siostrzyczko, naprawdę, bo gadasz od rzeczy. Zajmę się i Zosią, i Pawełkiem. – Uśmiechnęłam się, kiedy zobaczyłam jej minę. Doskonale wiedziałam, że obie byłyśmy nadopiekuńczymi matkami.

Ania westchnęła, słysząc moje słowa, a potem złapała w końcu rzuconą wcześniej na blat torebkę i pognęła do samochodu, żeby podjechać po Jarka.

– No to zostałyśmy same, co? – Ja natomiast uśmiechnęłam się do Zosi i przetransportowałam zarówno ją, jak i wózek do salonu.

I kiedy już rozsiadłam się wygodnie z nadzieją na spokojny, spędzony jedynie w towarzystwie dzieci wieczór, wróciła do domu ubrana na czarno Kasia. Weszła do salonu kompletnie pozbawiona energii, a minę miała co najmniej grobową. Na jej przypudrowanych policzkach dostrzegłam też ślady łez.

– Matko kochana, Kasia! Ty płakałaś? – rzuciłam głupio, bo przecież było to oczywiste.

Kasia spuściła głowę, zsunęła z ramienia torebkę i przysiadła na brzegu fotela.

Patrzyłam na nią z troską i zniecierpliwieniem.

– Kasia, proszę cię! Nie trzymaj mnie w niepewności. Czy ktoś zrobił ci krzywdę? Co się stało? Chodzi o Tomka?

Kasia zrobiła głęboki wdech.

– Matka dzwoniła – powiedziała po chwili ciszy.

Telefon Ludmiły wyjaśniał w stu procentach, dlaczego Kasia miała zły humor. Mnie samą kontakt z tą wypacykowaną, salonową kotką zawsze wpędzał w zły humor. Może nie wywoływał smutku i łez jak u Kasi, tylko furię, ale zawsze to przecież nie wpływa dodatnio na nastrój, prawda? Kto jak kto, ale Ludmiła miała niesamowity dar

wykańczania psychicznie swojej rodziny. Jak zresztą widać na załączonym obrazku.

Wiedząc doskonale, że dla Kasi telefon od matki to nie przelewki, przysunęłam się do dziewczyny razem z trzymaną w ramionach Zosią.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytałam, odgarniając Kasi do tyłu jej długie blond włosy.

Pociągnęła nosem.

– Zadzwoiła, żeby mi powiedzieć, że dobrze jej idzie w tym Berlinie i zmienia swój plan na życie. Podobno szef bardzo ją ceni – zrobiła pauzę. – Ma tam skończyć nie tylko ten projekt, ale zostać na stałe. Na dniach ma dostać od firmy mieszkanie.

Westchnęłam, słysząc jej słowa.

– Boisz się, że zostaniesz tu zupełnie sama? Przecież masz nas...

Po policzkach Kasi popłynęły dwie duże łzy.

– Matka chce sprzedać mieszkanie w stolicy.

– Ale jak to? – udało mi się wykrztusić.

Co ta Ludmiła sobie myślała?

– Tak to, Zuzka... – westchnęła Kasia. – Chyba zostałam naprawdę bezdomna, bo do Niemiec nie zamierzam wyjeżdżać. Ja nawet nie znoszę tego języka! Nie wiem, co w tym układzie będzie z moimi studiami, bo matka stwierdziła, że jeśli nie chcę do niej przyjechać, to odetnie mi środki na życie.

– Ale Kasia... – Poczułam, że brakuje mi słów. – Jak ona może podejmować takie decyzje? I to bez pytania cię o zdanie?

Kasia znów pociągnęła nosem.

– Nie wiem, zapytaj moją matkę. Ja wiem tylko tyle, że mam się dostosować. Znowu. Jednak tym razem nie zamierzam tego zrobić.

Gdybym nie miała ręki w gipsie, a drugą nie trzymała Zosi, to już wzięłabym Kasię w ramiona.

– Ale słonko, na pewno jest z tego jakieś wyjście...

Kasia uniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Była tak smutna, że aż ścisnęło mnie w gardle.

– Ciekawe jakie. Moja matka jest tak zadufana w sobie, że nawet nie przeszło jej przez myśl, zapytać mnie o zdanie. A mi jest tutaj dobrze! W końcu mam rodzinę, dom, chłopaka... Żyję z dala od wielkiego miasta i naprawdę mi się to podoba. Mogę bezkarnie malować w plenerze, jeździć na motorze, grzebać w ziemi z twoją mamą... A w tym Berlinie? Przecież ja ledwie znam niemiecki. Nie mówiąc już o tym, że szczerze go nie cierpię. Na pewno tam nie wyjadę. Po moim trupie!

– Oj Kasiu...

Dziewczyna znowu pociągnęła nosem.

– Tu nie ma żadnego „Kasiu”, Zuzka. W tym układzie liczy się tylko moja matka. Ja wcale się nawet nie dziwię ojcu, że od niej odszedł. Ba! Ja go nawet rozumiem. Najchętniej to też bym ją zostawiła w cholerę. Ona nie myśli o nikim poza sobą. Mam

się przeprowadzić i już. Jest egoistką!

Popatrzyłam na kręcącą się Zosię. Była taka słodka i niewinna. Nie miała żadnych problemów.

– Może ktoś powinien się w końcu Ludmile sprzeciwić? – Ponownie spojrzałam na Kasię.

– Nigdy nie chciałam tego robić. Bałam się, żeby nie została zupełnie sama. Myślałam sobie, że jest nienormalna, to prawda, ale to jednak moja matka. Jak ja się od niej odsunę, to nie będzie miała nikogo. Skłóciła się z całą rodziną poza wami. Chociaż po tym numerze z podrzuceniem mnie pod wasze drzwi, to też powinniście się na nią obrazić. W sumie to dziwię się, że jeszcze tego z Ludwikiem nie zrobiliście...

Uśmiechnęłam się blado.

– Jak moglibyśmy się na nią obrazić? Gdyby nie to, nie byłoby tu teraz ciebie.

– No i może bylibyście wtedy szczęśliwsi. Ludzie ze wsi nie robiliby wam problemów, a sklepowa nie chciałaby cię przejechać. Nie miałabyś połamaną rękę, a Teodor...

– Kasia – weszłam jej w słowo. – Mówiłam ci już, że ani ja, ani Ludwik czy Teodor nie mamy do ciebie pretensji. I o żadnym żalu nie ma mowy!

– Ale ja mam żal do siebie. A raczej do swojej matki.

Popatrzyłam na nią bezradnie. Zosia już prawie zasnęła mi na rękę.

– Nie wiem, co mogłabym ci powiedzieć.

Po policzku Kasi pociekły kolejne łzy.

– Jak ona coś sobie ubzdura, to potrzebny by był cud, żeby zmieniła zdanie. Choć nawet i on mógłby nie pomóc. Najwyżej pójdę w wakacje do sezonowej pracy czy coś i zarobię na pierwszy semestr. Od października mogłabym zahaczyć się w sklepie... Jakoś sobie poradzę.

Na chwilę zapadła między nami cisza. Kasia miała rację. Ludmiła była człowiekiem, który zawsze stawiał na swoim. Kierowała się w życiu dewizą „po trupach do celu” i przez lata stała się mistrzynią we wcielaniu jej w życie.

– Wiesz, co jest najgorsze? Ja naprawdę nie mogę wyjechać. Mam tutaj was, ale też Tomka. To pierwszy chłopak, który wytrzymał ze mną dłużej niż tydzień. W dodatku mam wrażenie, że jestem dla niego naprawdę ważna. I co? Jego też bym miała zostawić?

Znowu kontrolnie spojrzałam na Zosię. Oddychała miarowo, więc wstałam i włożyłam ją do wózka, a potem nakryłam kocykiem.

– Nigdy z nikim nie byłam na poważnie – wyznała Kasia, kiedy ponownie usiadłam na kanapie. – Wszystkim chłopcom, których do tej pory spotykałam, chodziło tylko o jedno.

Nie da się ukryć, że przejęłaś od nich pewne wzorce zachowania, pomyślałam, wspominając jej, nie tak znowu dawny, wybuch płaczu. Oczywiście nie powiedziałam tego na głos. Jednak chłopcy ze wsi mają wpojone zupełnie inne wartości i wyrastają na porządnych facetów. W pewnym wieku zaczynają myśleć o stabilizacji i związkach,

a nie tylko przelotnych romansach. I bardzo dobrze, bo nie wszystkim kobietom chodzi jedynie o seks!

– A Tomek... – kontynuowała Kasia. – Mówiłam ci już, że Tomek jest inny. Na początku mocno mnie to wkurzało, bo nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji, ale teraz... Zaczęło mi się to podobać.

– Zależy mu na tobie – wtrąciłam.

– Tak. – Kasia pokiwała głową. – I mi na nim chyba też. Nie chcę tego popsuć.

– Może powinnaś powiedzieć o tym matce tak samo jak mi?

– Żartujesz? Żeby mnie zabiła? Ona nie zrozumie i byłaby z tego tylko awantura.

Wiesz, jaka ona jest.

Znowu obie zamilkłyśmy na chwilę.

– Jakoś sobie poradzę. – Kasia znowu spuściła wzrok. – Będę musiała.

– Spróbujemy z Ludwikiem porozmawiać z twoją matką – powiedziałam cicho nad jej głową. – Przecież jesteś jej dzieckiem. I to jedynym, jakie ma.

Ciałem Kasi wstrząsnął szloch. Obie wiedziałyśmy, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, ale ja, w przeciwieństwie do niej, nie zamierzałam biernie się temu przyglądać. Może i Ludmiła nie wysłucha naszych protestów, ale nie chcę sobie potem wyrzucać, że bałam się spróbować. Kto jak kto, ale na pewno nie ja. Przecież już bardziej niż teraz nie mogła mnie nienawidzić...

Kasia siedziała wtulona we mnie jeszcze przez kilka chwil, aż w końcu zebrała się w sobie i stwierdziła, że nie ma zamiaru się mazać. Na poprawę humoru postanowiła pójść do Tomka, a ja nie protestowałam.

– Wrócę rano – powiedziała tylko i zniknęła.

Jeszcze przez kilka chwil siedziałam na kanapie i myślałam o całej tej przykrej sytuacji, aż w końcu wstałam i spojrzałam na Zosię. Spała w najlepsze, więc przesunęłam wózek tak, żeby nikt z przechodzących do kuchni domowników o niego nie zawadził, a sama poszłam na górę i zajrzałam do chłopców.

– Gramy w grę. Nie przeszkadzaj nam – poinformował mnie mój pierworodny, kiedy weszłam do jego pokoju. Skoro tak, to dobrze. W końcu każdemu należała się chwila prywatności. Nawet małym dzieciom.

Ludwik też nie dzwonił, dlatego chyba naprawdę byłam skazana na samotność...

Nagle mnie olśniło. Przecież był jeszcze Teodor! Niewiele myśląc, zesłam po schodach i zapukałam do jego drzwi.

– Mogę? – zapytałam.

– Tak, proszę. – Kiedy weszłam do środka, Teodor odłożył książkę.

Mimowolnie uśmiechnęłam się na jego widok.

– Znowu czytasz? – zauważyłam.

– Po tylu latach nie powinno cię to już dziwić. – Też posłał mi uśmiech. – Potrzebujesz czegoś?

Westchnęłam cicho i podeszłam do łóżka.

– Właściwie to nie. Po prostu chciałam pogadać.

Teodor pokiwał głową i wskazał na łóżko.

Usadowiłam się obok niego. Drzwi zostawiłam uchylone, żebym, w razie czego, mogła usłyszeć płaczącą Zosię.

– Dlaczego jesteś smutna i o czym chcesz porozmawiać? – zapytał bez ogródek, kiedy oparłam głowę o ścianę.

Spojrzałam w jego kierunku. To, jak dobrze mnie znał, było naprawdę zadziwiające.

– Jak na wieść o twoim wstąpieniu do wojska zareagowali rodzice?

Odetchnął głęboko.

– Mama nie była zachwycona. Chciała za wszelką cenę wybić mi ten pomysł z głowy i dużo płakała. Ojciec był za. Uważał, że wojsko, w przeciwieństwie do studiów, zrobi ze mnie prawdziwego mężczyznę. No i byłaś ty... – Przeniósł wzrok na ścianę. – Moi rodzice szaleli za tobą. Oczami wyobraźni widzieli nas już na ślubnym kobiercu, a potem z gromadką dzieci. Pod tym względem to też było dla nich trudne. Prawie tak samo, jak dla mnie.

– Lubiłam twoich rodziców – szepnęłam. – Nikt nie gotował tak dobrego rosółu jak twoja mama.

Teodor uśmiechnął się lekko.

– Nawet kiedy wróciłem, powtarzała mi z uporem maniaczki, że z nikim nie gotowało jej się tak dobrze jak z tobą. Przez kilka tygodni przed wyjazdem do szkoły wojskowej to właśnie mama nalegała, żebym cię uprzedził, porozmawiał...

– Jak długo przed wyjazdem wiedziałeś, że mnie zostawisz?

– Cztery, może pięć tygodni.

Teraz to ja wbiłam wzrok w ścianę.

– Szmat czasu.

Teodor nerwowo przełknął ślinę.

– Tak, wiem.

– Wiele możliwości, żeby zmienić decyzję. Albo chociaż mnie o niej poinformować.

– To może zabrzmieć głupio, ale za każdym razem, kiedy widziałem cię po podjęciu tej decyzji, czułem się fatalnie. Z jednej strony byłem kłamcą, ale z drugiej wiedziałem, że gdybym ci powiedział, to pękłoby ci serce.

– Nie chciałeś na to patrzeć...

– Nie chciałem. Łudziłem się, że jeśli ucieknę bez słowa, to będzie mi łatwiej. Ale nie było. Wiem, że to egoistyczne.

Na chwilę zapadła między nami cisza. W moim gardle utknęła dusząca gęstwa.

– Z kim z Polski miałeś kontakt, kiedy byłeś na misji? – zapytałam, starając się ją ignorować, co wcale nie było łatwe.

– Właściwie to tylko z rodzicami – powiedział. – Chciałem odciąć się od wszystkich i wszystkiego. Wiesz, zasmakować nowego życia, wolności, niezależności. W tamtym okresie kontakt z kimkolwiek z Jaszczurek przypominałby mi o tobie.

– Nie chciałeś o mnie myśleć – szepnęłam.

Odwróciliśmy twarze ku sobie.

– Przez cały czas o tobie myślałem. Każdej nocy i każdego dnia.

– Człowiek w obliczu niebezpieczeństwa robi różne głupie rzeczy...

Teodor uniósł rękę i czule dotknął palcami mojego policzka.

– Albo wiele sobie uświadamia. – Uśmiechnął się i zabrał dłoń.

– Czy gdybyś mógł coś zmienić, to...

– Czy drugi raz wybrałbym wojsko?

Skinęłam.

Teodor myślał przez kilka chwil.

– Tak, chyba tak. Misja w Afganistanie ukształtowała mnie jako człowieka, wpłynęła na to, kim teraz jestem. Dużo zawdzięczam pobytowi tam, chociaż nie było przyjemnie i wolałbym wymazać pewne chwile z pamięci.

Poczułam szczypanie pod powiekami.

– A ja? – zapytałam, zanim zdążyłam pomyśleć. – Skrzywdziłbyś mnie drugi raz, wiedząc, jak bardzo wtedy cierpiałam?

Mięśnie na twarzy Teodora drgnęły lekko, gdy usłyszał te słowa.

– Nie wiemy, czy razem bylibyśmy szczęśliwi. Wszystko wtedy na to wskazywało, ale nikt nie dałby nam gwarancji, że rzeczywiście tak będzie.

– Przecież bylibyśmy...

Teodor odgarnął mi z twarzy niesforne pasma włosów i znowu się uśmiechnął.

– Nie wiemy tego, Zuzka – powtórzył. – Życie jest pełne niespodzianek. Masz teraz wspaniałego męża i dziecko. Dla mnie liczy się twoje szczęście.

Chociaż byłam wzruszona, nie mogłam się rozplakać. Czyżbym wylała przez niego już zbyt wiele łez?

Przysunęłam się do Teodora i oparłam głowę o jego ramię.

– Lubię, kiedy to robisz – szepnął i otoczył mnie ramieniem. Dokładnie tak, jak w młodości.

Uśmiechnęłam się, mimo że wcale nie było mi wesoło.

– Mówiłam ci wiele razy, że z tej perspektywy problemy wyglądają inaczej – szepnęłam, a potem zamknęłam oczy, napawając się jego bliskością. Chociaż myślałam o Kasi, obecność Teodora była lekarstwem na całe zło tego świata. Nasza rozłąka nic w tym temacie nie zmieniła. Dokładnie tak samo czułam, kiedy spotykaliśmy się ze sobą przed laty.

Jaki ten los bywa przewrotny. Człowiek myśli, że wszystko mu się dobrze układa, a tu nagle bach! Wiadomość o nieszczęściu spada na niego jak grom z jasnego nieba i trzeba się przystosować do nowej sytuacji. Można też zawałczyć. O siebie, swoją rodzinę, marzenia. Tylko od nas zależy, czy biernie poddamy się losowi, czy szybko przerwiemy złą passę.

Rozdział 28

Następnego ranka obudziłam się w łóżku z Ludwikiem. Chociaż czekałam na niego do późna, to w końcu zmorzył mnie sen i przegapiłam jego przyjazd. Z wczorajszego wieczoru pamiętam w sumie tylko moment, w którym Anka wpadła po dzieci i oznajmiła mi, że jej, pozał się Boże lokator, porządnie wystraszył się Jarusia i obiecał dać spokój Pani Dla Wszystkich. Bo przecież prawo w Polsce zawsze stoi po stronie matki, co podobno oznajmił mu Jaruś. I pijaczyna to łyknął, a nawet gorliwie za swoje czyny przeprosił. Ciotka Halina z wujem Henrykiem odzyskali więc spokój.

Nie chcąc budzić Ludwika, który po przejechaniu ponad tysiąca kilometrów na pewno był zmęczony, popatrzyłam na niego przez kilka chwil, a potem spojrzałam na zegarek i wymknęłam się z łóżka. Cichutko zeszałam po schodach i zaparzyłam sobie poranną kawę.

Wszyscy w domu jeszcze spali. Przez okna wpadały do środka świetliste promienie letniego słońca, a ogród mienił się feerią kolorów. Twórczynią tego pięknego widoku była oczywiście Kasia. Włożyła dużo serca w sadzenie kwiatów, warzyw i krzewów. Uświadomiłam sobie, że za mniej niż dwie godziny czekała mnie wizyta u Matyldy Mak. I to chyba stąd właśnie wziął się mój dobry humor i zachwyt nad pięknem przyrody. Powinnam zaznaczyć ten dzień w kalendarzu czerwonym kółkiem. Moje życie miało się w końcu zmienić na lepsze. Zamierzałam uporządkować bałagan w swojej głowie.

Po wypiciu kawy wzięłam szybki prysznic, włożyłam przygotowane wczoraj ubranie, a potem podmalowałam się lekko, zerkając w wiszące nad umywalką lustro. Matylda Mak była niezłą laską, więc wypadało dobrze wyglądać.

Kiedy wychodziłam, moi domownicy jeszcze spali. Nie chciałam budzić żadnego z nich, więc zostawiłam na stole kartkę z informacją, że wrócę wczesnym popołudniem i ruszyłam w drogę, by zmienić swoją przyszłość. A raczej odwiedzić gabinet Matyldy Mak, ale chciałam, żeby zabrzmiało to... górnolotnie. Tak, to dobre słowo.

Droga upłynęła mi dość przyjemnie, mimo że trochę obawiałam się, czy dam radę samodzielnie przejechać dłuższy dystans z zagipsowaną ręką. Co innego mieć obok siebie Ankę, która zawsze może się przesiąść za kierownicę, a co innego podróżować samemu. Ale właściwie, gdyby doszło do jakiejś kolizji, to mój samochód i tak by nie ucierpiał, bo jechałam oczywiście z wgniecioną po uderzeniu w drzwi maską. Ludwik bywał ostatnio w domu tak rzadko, że nie znalazł jeszcze czasu, by ją naprawić. Na szczęście nie potłukła się przy tym żadna lampa ani nie stało się nic poważnego, więc zielone cinquecento dziarsko przemierzało kolejne kilometry. Na wszelki wypadek, to znaczy w razie kontroli drogowej, ułożyłam sobie bajeczkę, że właśnie jadę do warsztatu samochodowego.

Wracając jednak do tematu... Jechało mi się przyjemnie głównie za sprawą

zabawnego spikera, który prowadził właśnie audycję we włączonym przeze mnie radiu. Rozwodził się nad wadami i zaletami robienia sobie paznokci hybrydowych, co samo w sobie było dość śmieszne, ponieważ facet, jak to facet, nie miał o tym bladego pojęcia. Ale żeby nie obrażać facetów, powiem na przykład, że ja nie wiem za dużo o sporcie. No dobrze, może z wyjątkiem piłki nożnej, którą ekscytował się mój Ludwik. Ciągłe o niej rozprawiał, więc w końcu i ja załapałam zasady. Już nie musiałam pytać na przykład o to, kim jest ten gość z gwizdkiem biegający po boisku jak głupi. Dobrze wiedziałam, że to sędzia, co, wpadając w furję, wytłumaczył mi kiedyś Ludwik. A potem kazał mi wyjść z pokoju i nie wracać, dopóki mecz się nie skończy, żebym nie podnosiła mu ciśnienia i nie robiła z siebie pośmiewiska.

Podobnie było też wtedy, kiedy zapytałam, do której bramki strzelają nasi. Sami więc widzicie, że dla dobra naszego małżeństwa musiałam się o piłce nożnej co nieco dowiedzieć. W przeciwnym razie mój mąż dostałby nerwicy i trzeba by było płacić za jego wizyty u psychiatry. A nie jest to wcale taki znowu tani interes.

Gabinet Matyldy Mak mieścił się na czwartym piętrze najbardziej nowoczesnego budynku w miasteczku. Był to dość wysoki, jak na panujące w okolicy standardy, biurowiec z dużymi oknami i przeszklonymi drzwiami, po wejściu do którego od razu uderzył mnie zapach luksusu unoszący się w powietrzu.

– Pani do kogo? – zaczął mnie siedzący za białym kontuarem portier.

Podeszłam do niego niepewnie.

– Byłam umówiona na wizytę do pani Matyldy Mak. Coś nie tak?

Przyprószony siwizną mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nie. Ja tylko pytam, czy nie trzeba w czymś pomóc. Winda jest po prawej stronie. Czwarte piętro.

Uśmiechnęłam się zachwycona jego profesjonalizmem i odnalazłam windę.

– Pani to chyba nie stąd? – zagadnął mnie jakiś ubrany w garnitur mężczyzna, gdy do niej wsiadłam. – Na warsztaty z samorozwoju?

– Na wizytę do Matyldy Mak.

– Szkoda. – Zrobił zasmuconą minę. – Myślałem, że pani do mnie. Miałbym na kogo patrzeć podczas prezentowania materiału. – Puścił do mnie oczko, a potem wrócił do trzymany w rękach papierów.

Zanim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć, po windzie rozszedł się dźwięk dzwonka, a zaraz po nim jakiś kobiecy głos oznajmił, że jesteśmy na czwartym piętrze.

– Gdyby jednak zmieniła pani zdanie, to będę u siebie. Krystian Wigorek, piętro szóste – rzucił za mną jeszcze mężczyzna, nim drzwi do windy ponownie się zamknęły.

Dziwne miejsce, pomyślałam, a potem ruszyłam na poszukiwania gabinetu Matyldy. Mieścił się na końcu korytarza.

– O, kochana! Jesteś już! – Kiedy zajrzałam do środka, raczej mało profesjonalnie powitała mnie Matylda. Wstała zza swojego biurka, by mnie mocno uściskać. – Powiem ci, że nie mogłam się tego naszego spotkania doczekać!

Byłam trochę przytłoczona jej nadmierną energią.

– Kawy, herbaty?

Od kiedy to u psychologa proponuje się coś do picia?

– Kawę z mlekiem, jeśli można – powiedziałam, nie chcąc jej urazić.

Matylda wyjrzała na korytarz i krzyknęła do sekretarki, żeby zaparzyła dwie kawy.

– Ładny gabinet – pochwaliłam, rozglądając się dookoła.

– No, trochę musiałam o niego powalczyć. Niestety, nie spędzam w nim tyle czasu, ile bym chciała.

Spojrzałam na nią pytająco.

– No wiesz, na co dzień jestem trenerką personalną, więc zwykle prowadzę warsztaty w pełnych ludzi salkach. Terapią zajmuję się po godzinach. Chociaż biorąc pod uwagę porę, to chyba lepiej, gdybym powiedziała, że robię to przed godzinami – zachichotała.

– Ludzie wolą się szkolić popołudniami.

– No tak, rozumiem...

– No dobrze, my tu gadu-gadu, a czas ucieka. Siadaj sobie kochana i mów, co cię do mnie sprowadza. – Matylda wskazała na stojący po drugiej stronie biurka fotel i sama wróciła na swoje poprzednie miejsce. – Rozumiem, że problemy małżeńskie?

Pokiwałam głową.

– Tak, właściwie, to tak. Można to tak nazwać.

– Nie udało ci się odzyskać męża i bierzecie rozwód? – zapytała głosem pełnym empatii i zrobiła smutną minę.

– Nie, no skąd. To nie o to chodzi... Chociaż... Może trochę też... – zaczęłam się plątać.

Matylda porzuciła swoją zatroskaną minę na rzecz uśmiechu.

– Ale nie martw się. – Machnęła ręką. – Rozwód to tylko słowo, które straszy. Są z nim związane co prawda nie zawsze przyjemne formalności, ale za to uczucie wolności, które następuje później... Coś niesamowitego! – rozmarzyła się. – A uwierz mi, wiem, co mówię. Sama przechodziłam przez to kilka razy.

– Tak?

– No... Pierwszy raz wyszłam za mąż z totalnej głupoty, kochanie, totalnej! Ten mój Jędrus to był taki szczeniak, że aż mi się chce z tego śmiać. Niczego nie umiał zrobić, niczego! Chciał, żebym była jego służącą, sprzątaczką, praczką, a wieczorami fundowała mu upojny seks... To był związek z góry skazany na porażkę.

– Cóż... Przykro mi... – westchnęłam.

Matylda potrząsnęła głową i głośno się roześmiała.

– A mi tam nie! Powiem ci, kochanie, że ja to się tak cieszę, że się z nim rozwiodłam, że przez dwa lata po rozwodzie w każdy pierwszy dzień miesiąca (bo rozwiedliśmy się pierwszego) chodziłam z przyjaciółkami świętować. Ach... Co to były za noce. Kluby, alkohol, przypadkowi mężczyźni... Młodość pełną parą! Znasz to uczucie, nie?

Skinęłam. W sumie to kiedyś je znałam.

– No i właśnie na jednym z takich wyjść poznałam swojego drugiego mężczyznę! – Matylda ożywiła się na to wspomnienie i pochyliła do przodu. – To było dopiero ciacho, Zuzka! Nawet teraz jak o nim myślę, zaraz robi mi się gorąco i... No wiesz. – Znowu zachichotała. – Franciszek był, nie uwierzysz, dyrektorem generalnym PZU! Do tej pory nie mam pojęcia, skąd on się wziął na tej imprezie, ani dlaczego zwrócił uwagę właśnie na mnie, ale cóż to było za małżeństwo... Co dwa, trzy miesiące zabierał mnie na wakacje do egzotycznych krajów, jeździliśmy limuzyną na drogie kolacje, kupował mi kiecki od znanych projektantów, biżuterię!

– Życ nie umierać, co?

– Ba! Jak mi się oświadczał, to miałam nawet pierścionek z diamentem. Prawdziwym diamentem, rozumiesz! – ekscytowała się jak nastolatka.

– Wow...

– No! Tylko potem, jak się rozwodziliśmy, to rzuciłam mu nim w twarz i już go nie odzyskałam. Pierścionka, znaczy. Miałam takie chwilowe zaćmienie. Ja na to mówię zapalenie mózgu, ale to tak trochę nieprofesjonalnie brzmi, więc przy klientach staram się nie używać...

Znowu pokiwałam głową.

– Czemu się rozstaliście? – zapytałam.

– A bo widzisz, z Franka po czasie wyszła zbyt romantyczna natura. Zresztą, nie będę owijać w bawełnę. Okazał się zwykłym kochasiem! Trzy lata po ślubie przygruchał sobie inną, chociaż jego koledzy mówili, że i tak długo ze mną wytrzymał. Podobno z żadną inną żoną nie spędził tyle czasu!

– Przykra sprawa...

– No ta akurat trochę przykra, bo szkoda tych jego pieniędzy. Na szczęście mieszkanie, które mi kupił przed rozwodem, przyznano mnie. Samochód też. I dość okazałą sumkę na koncie w ramach rekompensaty. Więc najgorzej na tym rozwodzie nie wyszłam. Jakby się nad tym głębiej zastanowić, był to nawet całkiem niezły interes.

– Więc rozwodziłaś się dwa razy?

– Cztery. Po Franku poznałam Michasia. Był moim trenerem na siłowni. Poniosło nas kiedyś po treningu i skończyliśmy pod prysznicem. Boże... Jakie on miał mięśnie! Ten mężczyzna był tak wysportowany, że wyczyniał w łóżku cuda! Jak będziesz chciała zdradzać swojego męża, to pamiętaj, ze sportowcem albo chociaż wuefistą.

– Ta... – Uśmiechnęłam się gorzko. – Dobrze wiedzieć...

– No ale też jakoś za długo ze sobą nie byliśmy, bo Michaś chciał mieć dzieci.

– A ty nie?

– Ja i dzieci? Proszę cię! – Matylda potrząsnęła głową. – Kochanie, nie gadaj głupstw! A co z moją karierą? Tego nie można zaprzepaścić ot tak sobie. Ja jestem teraz w trójce najbardziej topowych trenerek personalnych w Polsce! Rozumiesz? W pierwszej trójce! Miałabym zrezygnować z tego dla wstawania w nocy i pieluch? Już

chyba wolałabym umrzeć!

– Och, przepraszam, nie miałam o tym pojęcia...

Matylda zrobiła słodką minę.

– Nie przejmuj się, skąd mogłaś wiedzieć.

– Przepraszam... – wpadła jej w słowo pojawiająca się w drzwiach sekretarka. –

Przyniosłam kawę.

– Daj ją tutaj Helenko. Przyniosłaś też moje ulubione ciasteczka?

Dziewczyna uśmiechnęła się i postawiła przed nami białe filiżanki oraz talerzyk z ciastkami.

– Marcepanowe. Tak, jak prosiłaś.

– Dzięki. – Matylda cmoknęła w powietrzu.

Helenka zaśmiała się cicho i wyszła z gabinetu.

– No to o czym to ja? – Matylda zapytała, unosząc do ust filiżankę z kawą.

– O czwartym mężu – podsunęłam jej, robiąc to samo.

– A... Ten to był taki łąjdak, że w sumie szkoda o nim gadać. Poznaliśmy się na konferencji naukowej w Edynburgu. Wiedziałam, że jest psychoterapeutą, ale dopiero po ślubie okazało się, że psychodynamicznym.

– To źle? – zapytałam, nie za wiele z tego rozumiejąc.

Matylda o mały włos nie podskoczyła.

– Zuzka, kochanie! To gorzej niż źle! To fatalnie! On był psychodynamiczny, a ja oderwana od jakiegokolwiek nurtu! To był kompletny dramat, kompletny. Taka różnica światopoglądów... Przez trzy miesiące ukrywał przede mną ten fakt! Psychodynamiczny kłamca! Wzięłam z nim rozwód jeszcze przed końcem naszego miesiąca miodowego. Ale udało się tak szybko tylko dzięki znajomościom. Ten związek to prawdziwa skaza na moim wizerunku!

– Przykro mi...

– Jonatan był kompletną porażką. Ale dobrze, ja tu ciągle o sobie, a ty jeszcze nic nie powiedziałaś. O co chodzi z tym twoim Ludwikiem? Nadal, drań, nie zwraca na ciebie uwagi?

Spuściłam wzrok i popatrzyłam na swoje krzywe palce.

– Właściwie, to ostatnio bardziej ja zawiniłam wobec niego... – mruknęłam.

– I jeszcze wrobił cię w poczucie winy! – Matylda wpadła mi w słowo. – No co za dupek... Ty się wcale nie zastanawiaj, tylko bierz ten rozwód, póki jeszcze jesteś młoda! – rzuciła podniesionym głosem.

Pokręciłam głową.

– Nie Matylda, to wcale nie tak, jak myślisz – wyprowadziłam ją z błędu, a potem opowiedziałam o ostatnich wydarzeniach ze swojego życia. Z najdrobniejszymi nawet szczegółami.

– Cóż... – Kiedy skończyłam, Matylda westchnęła i zrobiła zamyśloną minę. – Rozumiem, że przychodzisz tutaj z powodu wyrzutów sumienia, tak?

Skinęłam.

– Źle się z tym wszystkim czuję.

– Ach, wy porządne żony i matki... – mruknęła Matylda.

– Chciałabym jakoś zadośćuczynić Ludwikowi za to, co zrobiłam, ale kompletnie nie wiem jak. A już tym bardziej nie mam pomysłu, w jaki sposób powiedzieć mu o Marku. Bo powinnam, prawda?

– No to akurat zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy według ciebie to naprawdę aż takie istotne, aby twój mąż wiedział o tym Marku. Przecież do niczego między wami nie doszło. Całowałaś się z nim, a nie przespałaś. A potem, z tego co zrozumiałam, nie dałaś mu się już dotknąć. Od czasu tej rozmowy z...

– Z Teodorem – podsunęłam jej. – Tak. To moja miłość z czasów młodości. Ale ja nic do niego nie czuję...

Matylda uniosła brew.

– No dobrze, coś tam może czuję. Jakiś sentyment, żal, smutek, tęsknotę za tym, co minęło. Ale na pewno nie zamierzam pakować mu się do łóżka. Przyjaźnimy się. To zdrowy układ.

– Jeśli takie układy w ogóle mogą być zdrowe – bąknęła Matylda. – No dobrze, czyli, reasumując, jest Marek uosabiający namiętność, Teodor – chłopak z młodości i Ludwik, który cię zaniedbuje. Czy dobrze rozumiem?

Przyznałam jej rację.

– I nie jesteś obojętna wobec żadnego z nich?

– Chciałabym, żeby zależało mi tylko na Ludwiku... – westchnęłam.

Matylda intensywnie myślała przez chwilę. W gabinecie zapadła pełna napięcia cisza. Może wreszcie pomoże mi odmienić moje życie?

– No dobrze – odezwała się po kilku minutach. – W moim odczuciu to twój mąż jest temu wszystkiemu winien, a raczej fakt, że ostatnio mocno cię zaniedbał, ale skoro nie widzisz jego winy, to skupię się na tobie.

– Dziękuję.

– Jeśli nie możesz zmienić jakiegoś stanu rzeczy, to zmień swój stosunek do niego – powiedziała.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Co masz na myśli?

– Och, to proste. Zamiast starać się zmienić swojego męża, zmień siebie. Zamiast wymagać od niego, stawiaj wymagania sobie.

– Mówisz teraz jak psycholożka. Mogłabyś jaśniej?

Matylda roześmiała się głośno.

– Wybacz. Czasem zapominam, że normalni ludzie nie rozumieją tego mojego bełkotu. Chodzi mi o to, że jeśli nie jesteś w stanie zmienić sytuacji, w której się

znalazłaś, możesz zacząć o niej myśleć w inny sposób. W twoim przypadku, zamiast przejmować się i obwiniać, spróbuj cieszyć się życiem.

– Mam być dumna z faktu, że nie dość, że mam męża, to jeszcze dwóch innych facetów deklaruje mi swoje uczucia? Przecież to chore! Chcesz, żebym wzbudziła w Ludwiku zazdrość? Próbowałam. – Przypomniałam sobie dni, kiedy to sama wysyłałam sobie w tym celu kwiaty. – Nie działa.

– Zuzka, czy ty w ogóle słyszysz, co ja do ciebie mówię?! Powtarzam ci, że zamiast próbować plątać męża w swoje sprawy i wymuszać na nim, żeby poświęcał ci więcej uwagi, powinnaś skupić się na jego życiu i sama bardziej się nim interesować.

Wybaczcie, ale parsknęłam śmiechem.

– Mam jeździć z nim do lasu i biegać po bagnach z wykrywaczem metalu? Przecież to śmieszne!

– A widzisz! – Matylda zaklasnęła z radości. – Chcesz go zmienić, a sama nie potrafisz tego zrobić dla niego.

– To ja mam się zmienić? – Aż się we mnie zagotowało. Co też ona wygaduje! – Żeby uzdrowić wasze małżeństwo, owszem. – Pokiwała głową. – Podejrzewam, że to będzie najlepsze lekarstwo, by wyplątać się z tego chorego układu. Zuzka, to przecież czworokąt! Ludzie z trójkątami sobie nie radzą... Dobrze, wracając do tematu. Sama pomyśl. Marek się wyprowadza, co jest równoznaczne z tym, że w sumie już się od ciebie odczepił, a Teodorowi, jak ci uparcie powtarza, chodzi tylko o twoje szczęście. Jeśli spojrzysz na swojego męża inaczej i zaangażujesz w jego życie, on zacznie widzieć w tobie nie tylko nudną żonę, ale też przyjaciółkę. Zbliźcie się do siebie.

– Tak, jak było w młodości... – powoli zaczynałam rozumieć, o co jej chodzi.

– Tak, dokładnie! On też zacznie poświęcać ci więcej uwagi, bo to zawsze działa w dwie strony, więc oboje będziecie szczęśliwsi! Nie będziesz musiała szukać w innych facetach ani namiętności, ani przyjaciela, bo wszystko to zobaczysz w swoim mężu. A on w tobie! Boże, jestem genialna! – Uśmiechając się szeroko, przyklasnęła sama sobie.

– To naprawdę ma sens... Tylko jak ja mam zaangażować się w życie Ludwika?

– No przecież mówiłaś przed chwilą, że kupił sobie terenowy samochód!

– Mam razem z nim jeździć? Wykluczone!

– Boże, jaka ty jesteś uparta! Po prostu jak but!

– Chyba osioł – ośmieliłam się zauważyć.

Matylda machnęła ręką.

– Jak zwał, tak zwał. Chcesz uratować to małżeństwo, wyplątać się ze swojego czworokąta i pozbyć wyrzutów sumienia?

– No chcę... – przyznałam trochę niechętnie, oczami wyobraźni widząc już siebie siedzącą z Ludwikiem w terenówce i pokonującą wertepy. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze.

– To musisz polubić off-road i poszukiwanie skarbów. Nie masz wyjścia.

Westchnęłam ciężko.

– Chyba nie mam...

– No widzisz?! A o pocałunkach z Mareczkiem, czy jak mu tam, to w ogóle bym Ludwikowi nie mówiła. W ogóle o niczym bym mu nie mówiła. Mężczyźni mają większe grzechy na sumieniu niż całowanie. Wierz mi, kochanie, coś o tym wiem... – Uśmiechnęła się znacząco, a potem zaczęła opowiadać mi o tym, jak to nakryła swojego faceta w łóżku z siedemnastolatką...

Rozdział 29

Podczas powrotu do domu z każdym kolejnym kilometrem uświadamiałam sobie dwie rzeczy. Że prowadzenie samochodu ze złamaną ręką wcale nie jest takie trudne, jak by się wydawało (jeśli nie ma się zagipsowanej dłoni, rzecz jasna) i że Matylda miała rację i to ja powinnam zaangażować się w życie Ludwika, a nie starać się go zmieniać. Zajechałam w tym celu nawet do jedyne go w okolicy sklepu sportowego i kupiłam sobie piękny komplet dresów. Kusił mnie różowy ze złotą lamówką, ale nie chciałam już na starcie tej naszej nowej, wspólnej drogi podnosić Ludwikowi ciśnienia.

– To może ten? – Przesadnie miła ekspedientka przyniosła mi do przymierzalni piękny, granatowy komplecik.

Obrzuciłam go wzrokiem i przymierzyłam. Leżał idealnie.

– Tak, wezmę go – stwierdziłam, podchodząc do lady i zapłaciłam. Byłam pewna, że spodoba się Ludwikowi.

Uszczęśliwiona ruszyłam więc w dalszą drogę do Jaszczurek, gdzie czekała na mnie prawdziwa niespodzianka, chociaż może to za bardzo górnolotnie powiedziane.

Gdy tylko bowiem wjechałam do wsi, moim oczom ukazał się przedziwny widok. Po chodnikach biegały dziesiątki nieznanych mi dotąd ludzi z materiałami, kwiatami i meblami. Pod szkołą stały wielkie, wyładowane po brzegi ciężarówki, a mieszkańcy Jaszczurek tłumnie wylegli przed swoje posesje i utworzyli niewielkie grupki. Przyglądali się temu zamieszaniu z uwagą.

– Co jest? – Kiedy udało mi się w końcu zaparkować samochód, podeszłam do stojącej razem z panią Celą Anki.

– No jak to co? – odezwała się popychająca wózek z Zosią Ania. – Przygotowania do zaręczyn.

Matko, przez tę wizytę u Matyldy na śmierć o tym zapomniałam!

– Więc Joannie udało się załatwić zgodę inwestora, żeby zorganizować je w pałacu?

– Tak. – Ania pokiwała głową. – Podobno jest nawet skory zapłacić, żeby puścili w mediach informację o dokładnym położeniu Jaszczurek.

– Idealna reklama dla kogoś, kto planuje urządzić tam hotel.

– Pewnie.

– Ale skąd oni się tu wszyscy wzięli? – Nie mogłam przestać gapić się na biegających od ciężarówek do pałacu ludzi.

– Przyjechali dziś rano – powiedziała Anka i poprawiła na nosie okulary przeciwsłoneczne.

– Cztery autobusy – dodała pani Cela. – I pięć ciężarówek ze sprzętem. Podobno to jeszcze nie wszystko.

– A co oni? Chcą ten pałac od nowa budować czy co...

– Raczej przywrócić mu dawną świetność.

– No tak... Przecież tam w środku nic nie ma. Ale żeby aż tyle sprzętu? Ciekawe, czy go tu potem zostawią.

– Wątpię. Czytałam kiedyś artykuł o ludziach, którzy użyczają swoich domów na przykład do kręcenia reklam. Na czas produkcji wszystko z takiego budynku wynoszą, ale potem wstawiają ponownie.

– Ale może to chociaż popchnie inwestora do działania, co? Może ten hotel z salą weselną powstanie wtedy szybciej?

– Oby, bo aż przykro patrzeć, jak ten pałac niszczeje...

Jakaś przebiegająca po drugiej stronie dziewczyna z naręczem materiałów zaczepiła się o wystający ze szkolnego płotu drut i omal się nie przewróciła.

– Podobno graficy zrobili w programie komputerowym już jakieś wizualizacje, jak to ma wszystko na tych zaręczynach wyglądać.

– Są tutaj najlepsi scenografowie i projektanci wnętrz z Warszawy!

– Ma być trochę retro. – Ania z panią Celą prześcigały się w podawaniu mi informacji.

– Matko kochana... – westchnęłam. Po cichu liczyłam na to, że po nakręceniu filmu będę mogła cieszyć się względnym spokojem. A tu, jak zawsze zresztą, za wiele z tej mojej nadziei nie wyszło.

– A tak swoją drogą, to skąd wy to wszystko wiecie? – ponownie zwróciłam się do kobiet.

– Od Joanny – poinformowała mnie Anka. – Była tutaj z godzinę temu na tych swoich cieniuchnych szpilkach. Szukała cię.

– Mnie? – zdziwiłam się. – A do czego ja jej jestem potrzebna?

Ania wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ale chciała, żebyś poszła do pałacu w czymś jej tam pomóc.

– Podobno zgodziłaś się zostać jej konsultantem modowym – wtrąciła pani Cela.

– Konsultantem modowym? Ja?! – Zrobiłam wielkie oczy. – Może pani coś źle zrozumiała? – Spojrzałam z ukosa na sąsiadkę.

– Powiedziała nam, że to ty jej podrzuciłaś pomysł z tym, żeby urządzić to wszystko w stylu retro – odezwała się Anka.

Jęknęłam boleśnie. No coś tam podczas rozmowy z Joanną takiego powiedziałam, ale żeby od razu angażować mnie przez to w zaręczynowe szaleństwo?!

– No trudno, będę musiała tam iść...

– Jak już pójdziesz, to zrób zdjęcia. Pół wsi już mnie pytało o to, jak oni stroją ten pałac. Głupio nic nie wiedzieć. Zwłaszcza że jesteś moją siostrą.

– Ale to nie moje zaręczyny!

– Twoje czy nie, ale filmowcy przyjechali do ciebie i to ty się przyjaźnisz z Joanną.

– Przyjaźnię... To chyba za dużo powiedziane.

– Oj Zuzka, nie łap mnie za słówka! – Ania wywróciła oczami. – Lubi cię i już. Poza tym pomagasz jej w tych zaręczynach, więc na pewno jesteś poinformowana.

– Ale to będzie piękna chwila, co? – odezwała się pani Cela. – Aż przykro pomyśleć, że mój Kaziu jest prostym pszczelarzem i rolnikiem. Wiecie, gdzie on mi się oświadczył? Padł na kolana w błoto pod oborą. Ot, tyle romantyzmu w naszym związku. A tacy filmowcy to proszę... Kamery, wytworne kolacje, pałace...

– Dobrze, że chociaż uklęknał – mruknęła Anka.

– Ja tam nie uważam, żeby to było romantyczne. Taki splendor zabija całą intymność i magię tej chwili. – Ośmieliłam się nie zgodzić z sąsiadką.

Pani Cela spojrzała na mnie wymownie.

– Nie znasz się, Zuzka – stwierdziła. – Zresztą ty też już jesteś gwiazdą. Wystąpiłaś w filmie.

Wzruszyłam ramionami.

– Może i się nie znam. Jakoś nie ciągnie mnie do sławy. A to tylko film dokumentalny i wcale się do niego nie pchałam.

– A może właśnie powinnaś spróbować swoich sił w show-biznesie? Mieć sławną sąsiadkę, toby dopiero było coś! Myślicie, że robiliby wtedy ze mną wywiady?

Ania roześmiała się, słysząc słowa pani Celi.

– O tak. Na pewno.

– Tobo dopiero było życie... – Pani Cela zrobiła rozmarzoną minę. – Pójdę o tym powiedzieć Kazikowi. To nie jest taka głupia myśl, żeby zakręcić się za robotą w tej branży. W sumie na statystkę to ja bym się chyba nadała...

– A, Zuzka, Zuzka! – Kiedy sąsiadka zdążyła oddalić się w stronę domu, Anka złapała mnie za rękę. – To nie koniec informacji na dziś! – powiedziała, odgarniając sobie z twarzy włosy.

Popatrzyłam na nią przerażona. Jeszcze więcej rewelacji? No ja się chyba pochlastam. A gdzie błogi spokój płynący z mieszkania na mazowieckiej wsi?

Ania nachyliła się do mnie konspiracyjnie i szepnęła ściszym głosem:

– Podobno policja aresztowała dzisiaj Lenkę.

– Naszą Lenkę? Bibliotekarkę?!

– Aha.

– Ale za co?!

– Za podżeganie do popełnienia zabójstwa czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie.

– Zabójstwa?! Matko kochana, ale kogo?!

– Kogo, kogo! No ciebie!

Poczułam, że robi mi się słabo. To chyba jakiś absurd.

– Lenka chciała mnie zabić? – Spojrzałam na Ankę z niedowierzaniem.

– Nie no! Zabić to cię przecież chciała sklepowa, ale Lenka miała ją do tego namawiać. Tak wykazało śledztwo. Obie siedzą teraz w areszcie.

– Skąd ty to wiesz?

– Policja odwiedziła Ludwika, kiedy cię nie było. Szukał cię u nas i przy okazji o tym opowiedział. Jestem wstrząśnięta!

– Coś takiego...

– Rozprawa zbliża się wielkimi krokami. Chcą cię jeszcze raz przesłuchiwać.

Pokiwałam głową, z trudem układając sobie w myślach jej słowa. To naprawdę był jakiś wyjątkowo szalony dzień! Najpierw Matylda, potem filmowcy, a teraz jeszcze Anka...

– Mama to słyszała?

– Nie, no coś ty! Ludwik nie jest taki głupi, żeby mówić przy niej takie rzeczy. Jeszcze miałyby spadek cukru. Na boku o tym rozmawialiśmy.

Westchnęłam ciężko i uśmiechnęłam się blado do Anki.

– To ja może pójde lepiej do tej Joanny...

Rozdział 30

Kiedy wracałam z pałacu, niemalże unosiłam się nad ziemią. Chociaż panował tam chaos i właściwie nie widać było jeszcze żadnych efektów pracy scenografów, to gdy Joanna opowiadała mi o swojej wizji tego miejsca w dniu zaręczyn, miałam łzy w oczach. Jej opisy były naprawdę sugestywne.

– A w rogu postawimy kominek – mówiła podekscytowanym głosem. – Najpierw miał być z czerwonej cegły, ale jednak wolałabym biały. Tłący się lekko ogień podobno ociepli wizerunek Jacusia w mediach.

– No tak. – Potaknęłam i rozmarzyłam się.

– Bo wiesz, po tych wszystkich zdjęciach w prasie z naszych awantur... Facet zajmujący się prowadzeniem ścieżki kariery Jacka powiedział, że trzeba.

– Ja się na tym za bardzo nie znam...

Joanna wywróciła oczami.

– Nie wiem, dlaczego ty się tak umniejszasz! Jesteś jedną z mądrzejszych osób, jakie znam! Masz w głowie więcej niż niejeden doradca.

Popatrzyłam na nią zaskoczona, ale nic nie odpowiedziałam.

Joanna przestąpiła z nogi na nogę i wygładziła dłonią idealnie upięte włosy.

– No ale wracając do kominka... – odezwałam się, by nawiązać do poprzedniego tematu.

– Dookoła niego świece...

– Też, żeby ocieplić wizerunek Jacka?

Joanna roześmiała się głośno, odsłaniając przy tym swoje idealnie białe zęby.

– Nie. To akurat dla romantyzmu. Uwielbiam świece... Zawsze rozstawiam je sobie podczas kąpieli wokół wanny. Kojarzą mi się z odpoczynkiem.

– Miałam koleżankę, która też tak robiła. Kiedyś zapomniała, że stoją za nią i podpaliła sobie włosy.

– Au! Naprawdę?!

– Tak. Mam nadzieję, że tobie się to nigdy nie zdarzy. Z ogniem trzeba uważać.

– A! – Joanna klasnęła w ręce i przeskoczyła do następnego tematu. – Nie widziałas jeszcze zdjęć kompozycji kwiatowych. – Z przewieszanej przez ramię torebki wyjęła telefon i zaczęła stukać w niego swoimi długimi paznokciami. – Udało mi się tu ściągnąć najlepszą florystykę z Warszawy! – mamrotała, przeglądając zdjęcia. – Najpierw myślałam, że to nie będzie możliwe, bo ona ma tyle pracy, ale Jacuś sychnął groszem i się zgodziła. O! Są zdjęcia! – podsunęła mi pod nos telefon. – Co myślisz?

Kiedy mój wzrok padł na przedstawione przez nią kompozycje kwiatowe, o mały włos nie opadła mi szczęka.

– Cudne... – szepnęłam.

Joanna podskoczyła na swoich cieniuchnych szpileczkach.

– Wiedziałam, że ci się spodobają, wiedziałam! – pisnęła z entuzjazmem. – Wyobraź sobie jeszcze mnie w długiej sukni, jak przechadzam się w blasku świateł między tymi kwiatami...

Uśmiechnęłam się do niej. Aż promieniała z radości!

– Jak w bajce... – westchnęłam.

– Żebyś wiedziała! Już na samą myśl o tym czuję motylki w brzuchu!

– Asiu! – Rozmowę przerwał nam niewysoki blondyn z okazałym plikiem dokumentów w rękach. – Przepraszam, że wam przeszkadzam. – Podszedł bliżej.

– Nie szkodzi. – Jemu też posłałam uśmiech. Chyba udzielał mi się radosny nastrój Joanny.

– Są już kamerzyści – powiedział chłopak. – Co prawda Wiktor jeszcze kończy zdjęcia w stolicy, ale reszta zespołu właśnie dojechała.

– Ten to zawsze wszystko robi na ostatnią chwilę...

– Aśka, przecież on kręci finałowe sceny tego swojego serialu! – oburzył się, szybko jednak wracając do poprzedniego tematu. – No, ale nieważne... – Machnął kartkami. – Przyszedłem ci powiedzieć, że chłopcy zaraz tu będą. Masz im dokładnie wytłumaczyć, jakie chcesz ujęcia i skąd.

Joanna wydeła usta.

– Nie lepiej, żeby zrobił to Jacek?

– Może i lepiej, ale nie wiem, gdzie on jest.

Joanna sięgnęła po telefon.

– Nie można się do niego dodzwonić. – Zanim wybrała numer Reżysera, uprzedził ją chłopaczek. – Zaszył się gdzieś z samego rana i nie ma z nim kontaktu.

– To może trzeba go poszukać? – wyrwałam się niepotrzebnie.

Joanna wywróciła oczami.

– Faceci. Pewnie uciekł, bo poczuł odpowiedzialność. Ale to nic! – Znowu klasnęła w ręce. – Ja tutaj wszystko sama ogarnę, bez obaw. Oby tylko zjawił się, kiedy będzie trzeba i poprosił mnie o rękę. Sama się o to przecież nie zapytam. – Posłała mi uśmiech, a potem przeprosiła i oddaliła się razem z blondynem, żeby coś jeszcze z nim omówić.

– Mogłaby się pani przesunąć! – Szturchnęła mnie natomiast jakaś czarnowłosa dziewczyna robiąca zdjęcia. – Wlazła mi pani w kadr.

– Och, przepraszam bardzo... – bąknęłam i czmychnęłam stamtąd jak najszybciej. Chociaż w dniu zaręczyn pałac na pewno będzie wyglądał pięknie, to panujący w nim teraz chaos zdecydowanie nie był moją bajką. Królową tego zamieszania została Joanna, a skoro powiedziała mi już, co miała powiedzieć, postanowiłam się stamtąd ulotnić.

I tak właśnie znalazłam się na podwórku, na którym, pogwizdując wesoło, Ludwik pucował właśnie swój najnowszy nabytek.

– O, kochanie! – Oderwał się na moment od samochodu i pomachał w moją stronę

kolorową ściereczką. – Chodź, zobacz!

Mając na uwadze poranne słowa Matyldy, zdobyłam się na entuzjazm i poczłapałam w jego stronę.

– Pokażna bryka – pochwaliłam nawet samochód.

Ludwik uśmiechnął się dumnie.

– Co nie? W dodatku handlarz bardzo obniżył cenę. I jeszcze dołożył zimówki!

– Interes życia!

– Aż chce się wsiąść za kierownicę. I to od razu!

Pokiwałam głową, zerkając na auto. Jakby się mu dokładnie przyjrzeć, to nie było wcale takie złe, jak wcześniej zakładałam. Błyszczące chromy, orurowanie... A gdyby tak wbić się w skórzane spodnie i jakąś skajową kurteczkę?

– Robi wrażenie – wyrwało mi się zniechęta.

Ludwik posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Naprawdę aż tak ci się podoba?

Pokiwałam głową chyba aż nadto entuzjastycznie, bo zabolął mnie kark.

– Serio. Jest fajny! Może nawet dam ci się namówić na próbną przejażdżkę po okolicy.

Kiedy powiedziałam te słowa, mojego męża z lekka zatkało.

– I nie będziesz się bała? Przecież takie samochody zawsze wydawały ci się niebezpieczne...

Jeszcze raz spojrzałam na samochód.

– Nie no, wygląda solidnie...

Ludwik przyjrzał mi się uważnie.

– Jeny, Zuzka. Nie poznaję cię! Co zrobiłaś z moją żoną? – Zaśmiał się głośno, przyciągnął mnie do siebie, a potem cmoknął w czoło. – To co, wypucuję go i jedziemy? – zaproponował.

– No cóż... Skoro powiedziałam a, to wypada też powiedzieć b, prawda? Ale obiecaj, że nie będziesz jakoś wybitnie szarżował!

Po podwórku rozszedł się głośny śmiech Ludwika.

– Nie będę, masz moje słowo. – Uniósł do góry dwa palce.

Spojrzałam na swój strój. Po powrocie od Matyldy nie zdążyłam się nawet przebrać.

– W takim razie pójdę ubrać się nieco bardziej odpowiednio do sytuacji. A ty tu sobie pieść to swoje nowe dziecko. – Posłałam swojemu ślubnemu uśmiech, a potem ruszyłam w stronę domu.

– Zuzka! – krzyknął za mną jeszcze.

Wróciłam do niego.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że była dzisiaj u nas policja. Podobno rozprawa zbliża się wielkimi krokami i...

– Tak, wiem. Chcą mnie jeszcze raz przesłuchać. Anka mi mówiła.

– W sumie tempo to mają niezłe w tej prokuraturze, co? A podobno polskie

sądownictwo działa opieszale...

– Pewnie taki obraz naszych sądów propagują media.

– A właśnie! Kiedy będzie ten film? – zapytał mój ślubny. – Już się nie mogę doczekać. Nie masz nic przeciwko, żebym zaprosił na uroczystą premierę swoich kumpli? W końcu muszę się pochwalić moją żoną gwiazdą!

– Chyba w czwartek, ale nie jestem pewna – mruknęłam bez entuzjazmu. – Olaf napisał mi dziś SMS-a, że właśnie skończył montaż.

– W takim razie musimy go obejrzyć! Takie wydarzenie!

– Ta... Chyba beze mnie. Nie chcę widzieć tego filmu. W ogóle to mam już dość całej tej sprawy. Męczy mnie to. Nie mówmy ani o Lenie, ani o sklepowej. Wypieram to.

Ludwik pokiwał głową.

– Jak chcesz. – Uśmiechnął się do mnie.

Ponownie ruszyłam ku domowi.

– A! – Jego głos dobiegł mnie jeszcze raz.

Znowu się odwróciłam.

– Przed chwilą był tu Marek.

– Tak? A czego chciał?

– Przyjechał po rzeczy i rozliczył się ze mną za mieszkanie tutaj. Nie policzyłem mu drogo. Właściwie to tylko tak symbolicznie.

Pokiwałam głową. Może to był dobry moment, żeby powiedzieć Ludwikowi o tym, co zaszło między mną a Markiem?

– Swoją drogą, to szybko uwinął się ze znalezieniem tego mieszkania. Raptem miesiąc mu to zajęło, nie?

– Jak się ma pieniądze, to żaden wyczyn. Kupujesz i jest.

– W ogóle to był tutaj z jakąś dziewczyną, która pomogła mu się spakować. Lidka czy jakoś tak. Na moje oko, to w wieku Kasi. A wpatrzona w niego jak w obrazek!

– Niektórzy wolą młodsze... – bąknęłam cicho, nie do końca wiedząc, czy to, co odczułam, kiedy usłyszałam tę informację, było emocją pozytywną czy negatywną. A może to uczucie ulgi? Mimo wizyty u Matyldy nadal nie mogłam rozeznaczyć się w swoim aktualnym stosunku do Marka. Właściwie, to naprawdę dobrze, że już się od nas wyprowadził, bo nie powinnam mieć do niego żadnego stosunku! Ot, co.

– Może i lepiej, że znalazł sobie mieszkanie, bo gdyby miał przyprowadzać ją do nas na przykład na noc, to czułbym się niezręcznie we własnym domu – kontynuował natomiast mój ślubny. – A, byłbym zapomniiał! – Puknął się w głowę. – Zostawił dla ciebie też jakiś list.

– List? – Zrobiłam wielkie oczy.

– Tak – potwierdził mój ślubny. – Położyłem ci na półce pod apteczką. Proponowałem mu, żeby na ciebie zaczekał, a nie bawił się w jakieś listy, ale nie chciał.

– Co jest w tym liście?

Ludwik wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? To twoja prywatna korespondencja. Pewnie chciał ci podziękować – powiedział, nieświadom niczego, a potem, kiedy odeszłam, wrócił do pucowania samochodu.

Ja natomiast udałam się w końcu do domu. Trafiłam w sam środek melodramatycznej sceny rozgrywającej się w salonie, w wyniku czego kompletnie zapomniałam o rzuconym liście.. A kłócili się Kasia i Tomek.

– W takim razie pójdę do pracy razem z tobą! – usłyszałam głos chłopaka, gdy zamykałam za sobą drzwi.

– Tomek, nie gadaj głupstw... – odpowiedziała mu Kasia. – To moja prywatna sprawa, zarobię na swoje studia sama.

Głos Tomka był pełen emocji.

– To nie są żadne głupstwa Kaśka! Kocham cię i zamierzam z tobą być na dobre i na złe. Niezależnie od twojego statusu finansowego. Przestań bredzić. Kiedy mówię, że ci pomogę, to pomogę.

– Niby jak?

– Nie wiem. Mogę reaktywować swój rockowy zespół, będziemy koncertować...

Nieśmiało zajrzałam do salonu.

– O, dobrze, że jesteś, Zuzka! – Kasia natychmiast mnie zauważyła. – Może ty temu osłowi wytłumaczysz, że to, co chce dla mnie zrobić, nie ma najmniejszego sensu.

– Tak! – zawtórował jej Tomek. – Pomoc się tu przyda i to na pewno, bo ja już nie wiem, jak mam z nią rozmawiać. Ja się chcę dla niej poświęcić, a ta mnie odpycha.

Pokiwałam głową trochę przytłoczona nadmiarem informacji i wiszących w powietrzu emocji.

– A próbowaliście to przedyskutowywać jakoś tak bardziej... spokojnie?

– Spokojnie się nie da – odpowiedzieli mi niemal równocześnie.

Westchnęłam głośno i zrobiłam krok do przodu. Dobrze, niech będzie. Pobawmy się w mediację, co mi szkodzi!

– A mogę chociaż usiąść? – zapytałam, zerkając na ich rozemocjonowane miny.

Kasia pokiwała głową, więc klapnęłam na fotel.

– A wy? – Popatrzyłam to na jedno, to na drugie. – No chyba to miała być spokojna rozmowa. Nie musicie już skakać sobie do gardeł.

– Nikt tu nikomu do niczego nie skacze – odpowiedziała mi Kasia. – Po prostu mnie poniosło, to wstałam. Ten głupek chce się dla mnie poświęcić.

Znowu powiodłam wzrokiem po ich twarzach.

– Jak dobrze rozumiem, to powodem tej waszej kłótni jest nagła zmiana finansowa w życiu Kasi.

Pokiwali głowami.

– Która nawet nie jest jeszcze pewna?

– Jak to nie jest?! – zabrał głos Tomek.

– Oni jeszcze mają z Ludwikiem nadzieję, że będą w stanie przekonać moją matkę,

żeby odpuściła. Jakby jej nie znali – wytłumaczyła mu Kasia.

– Robisz z tego dramat, skoro to nawet jeszcze nie jest pewne?

Kasia wzruszyła ramionami.

– Podobno im szybciej uświadomi się sobie problem, tym łatwiej można go rozwiązać.

– Łatwiej?! – powtórzył za nią osłupiały Tomek.

– No przecież mówię...

Po salonie rozległo się głośne chrząknięcie. Spojrzałam w stronę drzwi. Stał w nich Ludwik.

– To co? Przejażdżka autem? – zaproponował, wymownie patrząc w stronę naszych zakochanych.

Pokiwałam głową i podniosłam się z fotela. Czym prędzej chciałam uciec od tej bezsensowej rozmowy.

– Tylko najpierw muszę się przebrać. Sam widzisz, że nie miałam czasu tego zrobić...

– Nie ma sprawy, poczekam. A co do Kasi... – Podrapał się po głowie. – Spróbuję zadzwonić do Ludmiły, może to coś da. Trzeba temu wszystkiemu w porę zapobiec.

– Wątpię, czy to pomoże. – Ucisnęłam jego rękę. – Ale obyś miał rację – szepnęłam do swojego ślubnego, a potem poszłam się przebrać.

Ludwik natomiast zadzwonił do Ludmiły. Niestety, rozmowa z nią nie przyniosła żadnych dobrych nowin. Było dokładnie tak, jak podejrzewałam.

Rozdział 31

– Zuzka, błagam cię, nie panikuj! – powiedział uniesionym głosem Ludwik i jeszcze raz nacisnął pedał gazu, co skończyło się tak samo, jak poprzednio. Czyli brakiem jakiegokolwiek skutku.

Wiszące w powietrzu tylne koło samochodu obróciło się bowiem kilka razy i na tym koniec. Samochód ani drgnął. A nie, przepraszam! Przednie koło, którym przed chwilą, żeby udowodnić mi, jakich to ten samochód nie ma wspaniałych możliwości, mój ślubny wjechał w dziurę w ziemi, zapadło się jeszcze bardziej.

– Ale jak mam nie panikować, skoro siedzimy tu już dobre piętnaście minut, a to cholerne auto ani drgnie?! – Spojrzałam na niego rozwścieczona.

Ot, tyle wyszło z naszej romantycznej przejażdżki we dwoje! Bo mój mąż, zamiast jechać po drodze, wpadł na genialny pomysł, żeby przetestować auto! I w tym celu postanowił pojeździć sobie po łące! A jak zobaczył dziurę w ziemi, to postanowił zabawić się w off-road i w nią wjechać. No i wjechał, kurczę blade. Tak, że utknęliśmy w niej na amen, a samochód za nic nie chciał z niej wyjechać! I to przed kim mój ślubny chciał szpanować? A przede mną! Jak gdybym była kimś, komu trzeba imponować!

Ludwik jeszcze raz nacisnął pedał gazu.

– Zdejmij nogę z tego cholernego pedału i pomyśl, co możemy zrobić! – krzyknęłam na niego ze złością.

Ludwik posłuchał i rozejrzał się dookoła.

– Wyjdź na zewnątrz – rzucił do mnie po chwili.

– Co?! – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Chyba się przesłyszałam! – Co ty myślisz, że jak wyrzucisz mnie z samochodu, to on nagle jakoś magicznie ruszy? Nie jestem aż taka ciężka, wypraszam sobie. Jak chcesz, to sam sobie wysiądź.

– Znikąd cię nie wyrzucam – odpowiedział z typowym dla siebie spokojem, czym o mały włos nie doprowadził mnie do szewskiej pasji. – Po prostu wyjdź i zobacz, czy ten samochód chociaż minimalnie drga, kiedy próbuję jechać. Albo nie, wiem! Ty usiądź za kierownicą, a ja zobaczę. Przesiadamy się – zarządził i nie czekając na moją reakcję, wysiadł z samochodu.

Posłusznie przesiadłam się na miejsce kierowcy.

– Teraz! – Machnął mi ręką, stojąc na zewnątrz.

Wcisnęłam ten cholerny gaz z całej siły. Po okolicy rozległ się warkot i zapach benzyny, a samochód zapadł się jeszcze niżej.

– Nie, to nie ma sensu! – krzyknął do mnie Ludwik. – Przestań!

– Ta – mruknęłam pod nosem. Szkoda, że jak przed chwilą mówiłam mu to samo, to nie raczył mnie posłuchać! Cholerni, wszystkowiedzący mężczyźni!

Z miną męczennicy zgasiłam silnik i też wyszłam na zewnątrz. Jedno z tylnych kół

samochoodu znajdowało się wyżej niż sądziłam.

– I co teraz? – zapytałam. Stałam obok dumającego Ludwika i wzięłam się pod boki.

– Może by spróbować go wypchnąć? – zaproponował.

Spojrzałam to na niego, to na auto. Wyglądało, jakby ważyło kilka ton. A nawet i więcej. Przez pchanie takiej masy mogliśmy co najwyżej nabawić się przepukliny, bo nie sądzę, żebyśmy coś zdziałali... Ale raz kozie śmierć, nie?

– No dobra... – mruknęłam w końcu. – To jak to zrobimy?

– Może spróbujemy popchnąć z przodu. Uniesiemy go trochę i...

– Uniesiemy?! Bez urazy, Ludwik, ale daleko ci do strongmana, a to auto wydaje się ważyć tony – zauważyłam.

– Na razie nie mam lepszego pomysłu. Co nam szkodzi spróbować?

– Twoja masa i siła mojej jednej ręki. Genialny plan – bąknęłam, ale posłusznie podążyłam za nim i ustawiłam się przed maską samochodu.

– Na trzy – zarządził Ludwik, kiedy stanęliśmy przed samochodem.

Pokiwałam głową.

– Uwaga: trzy! – rzucił komendę, a potem, w przeciwieństwie do mnie, napał na auto.

Bez skutku.

– Dlaczego nie pchasz? – zapytał mnie wyraźnie urażony i oderwał ręce od maski.

– A gdzie jeden i dwa?! Zaskoczyłeś mnie. Nie byłam przygotowana!

Ludwik otarł dłonią zroszone potem czoło.

– Dobra, jak chcesz. Będzie na raz, dwa, trzy. Uwaga: pchamy! – krzyknął, a potem znowu napał na maskę beze mnie.

– Miało być na trzy! – wrzasnęłam.

– Zuzka, na litość boską! – Popatrzył na mnie z wyrzutem.

Gdybym nie była wściekła, to pewnie bym wtedy zachichotała. Z boku ta sytuacja musiała wyglądać co najmniej komicznie.

– Dobrze, już dobrze – spasowałam, kiedy zobaczyłam minę Ludwika. W końcu pchnęliśmy razem to auto. Na trzy. Tak, jak było ustalone. Z takim tylko drobnym szczegółem, że nie raczyło nawet drgnąć. Złośliwe!

– Cholera! – zakląłam, odsuwając się od niego. – I co teraz?

Ludwik nie odpowiedział i jeszcze raz obszedł samochód.

– Trzeba będzie wziąć łopatę i trochę wygładzić krawędź tej dziury, żebyśmy mogli wyjechać...

– Na łące? Łopatę na łące?! Ludwik, do groma, myśl trzeźwo! Skąd weźmiesz łopatę na takim zadupiu?!

Mój ślubny podrapał się po głowie, nie odrywając wzroku od dziury, w której tkwiło koło terenówki.

– W sumie to nie wiem...

– Ludwik... – jęknęłam boleśnie.

– Dobrze, już dobrze! – Ludwik zebrał się w sobie. – Niech pomyślę... – Pogładził się po brodzie. – Wiem! Wyjdiesz na drogę, złapiesz stopa, pojedziesz do Jaszczurek i przywieziesz mi tu swoim autem łopatę.

Aż zawrzało we mnie ze złości.

– Ja?! Dlaczego ja, skoro to ty nas w to wpakowałeś?!

– Zuzka...

– Jakby nie można było jechać po drodze jak cywilizowani ludzie! – Nie pozwoliłam mu dojść do słowa. – Nie idę na żadnego stopa. Co ja jestem, baba do towarzystwa, żeby stawać przy drodze i...

– Ale ja nic takiego przecież...

– Czy ty musisz mi ciągle uwłaszczać! Tfu! Uwłaczać?!

Ludwik podszedł do mnie i ignorując mój atak hysterii, przejechał dłońmi po moich ramionach. Chociaż właściwie, to tylko po jednym, tym zdrowym. Po prostu po dwóch lepiej to brzmi.

– Kochanie... – Łagodnie popatrzył mi w oczy. – Ja ci wcale nie uwłaczam.

– Robisz to!

– Zuzanno – powiedział jeszcze spokojniejszym tonem. – Po prostu istnieje naukowe potwierdzenie faktu, że kobieta zostanie chętniej podwieszona niż mężczyzna. Ja musiałbym iść do wsi pieszo, w wyniku czego tkwiłabyś tu do wieczora. Sama. Chcesz tego?

Ten jego nadmierny spokój i czułe spojrzenie sprawiły, że zmiękłam. No dobrze, chociaż może zadziałały te jego naukowe argumenty...

– Niech będzie. – Podałam się w końcu. – Pójdę złapać tego stopa i wrócę do ciebie z łopatą. Tylko nigdzie się stąd nie ruszaj, okej?

Ludwik spojrzał wymownie w stronę auta.

– To akurat ci mogę obiecać – mruknął, a potem podszedł do niego i wyjął ze środka moją torebkę. – Proszę. – Wręczył mi ją łaskawie.

Trochę za mocno wyszarpnęłam torbę z jego rąk.

– Dzięki – rzuciłam na odchodne, a potem ruszyłam łąką w stronę drogi. Dziękowałam w myślach Bogu za to, że wpadłam przed tą wycieczką na pomysł, żeby przebrać się w dresy i sportowe buty. Gdybym musiała przedzierać się przez trawę w szpilkach, byłabym jeszcze bardziej wściekła!

Kiedy w końcu dotarłam do drogi, przez równe siedem minut, a wiem, bo kompulsywnie zerkałam na zegarek, nie jechało po niej zupełnie nic. Żadnego samochodu, motoru, roweru, czy nawet wozu. Zero. Nul. Nic. Depresja.

Drepcząc niecierpliwie po poboczu, zdążyłam już nawet wymyślić, w jaki sposób zamachać do nadjeżdżającego auta, żeby nie zrobić z siebie idiotki. Tylko wypadałoby, żeby ktoś tą drogą przejechał. Bo inaczej to mogłam sobie przecież myśleć...

W ósmej minucie przejechały dwie nastolatki na rowerach.

W jedenastej w poprzek drogi przebiegł pies, który, na całe szczęście, nie zwrócił na mnie uwagi. I tak serce podeszło mi przez niego do gardła.

W trzynastej zaczęłam tracić nadzieję i w myślach wyzywać Ludwika od najgorszych. Że też nie mógł wpakować się w jakąś dziurę przy głównej drodze! Już nawet nie wojewódzkiej, ale chociaż powiatowej, żeby było do kogo machać!

Piętnasta minuta przyniosła staruszka na motorynce, który, pomimo mojego energicznego wyginania się, nie zareagował i pojechał dalej.

– A ponoć starsi ludzie są tacy uczynni! – wrzasnęłam i rzuciłam za nim oberwaną z rosnącego za moimi plecami krzaka gałęzią.

W siedemnastej minucie zza zakrętu wyłonił się granatowy volkswagen.

– Dobra, raz kozie śmierć... – mruknęłam sama do siebie i poprawiając torebkę, wylazłam na środek drogi. Stałam na wprost nadjeżdżającego auta. Przecież złego licha nie bierze, nie? Już jeden wypadek przeżyłam.

Kierowca samochodu zahamował z głośnym piskiem i z całej siły nacisnął klakson.

– Zgłupiała pani czy co?! – Wypadł z auta i rzucił się ku masce. – Dopiero co lakierowałam!

Wywróciłam oczami i nie czekając na pozwolenie, wpakowałam się na siedzenie pasażera.

Zaskoczony chłopak stanął jak wryty. Miał mnie chyba za wariatkę.

– Ale co pani robi?! Proszę wysiąść! Natychmiast! – darł się wniebogłosy.

Ostentacyjnie zapiełam pas.

– Niestety, ale nie mogę. – Spojrzałam na niego łaskawie. – Dokąd pan jedzie?

Popatrzył na mnie z konsternacją i w końcu przestał się ciskać.

– Do miasta. Dziewczyna kazała. A co?

Rozpromieniłam się i zamknęłam drzwi.

– No i świetnie – oznajmiłam. – Bo ja do Jaszczurek. A teraz, jak nie chce pan stać tutaj do jutra, bo wcześniej nie wysiądę, to radzę jechać. Wysadzi mnie pan przy szkole. Wie pan, gdzie to?

Chłopak pokiwał głową. Chyba zrozumiał, że nie ma wyjścia, bo też wsiadł do środka i zamknął drzwi.

– Ta, wiem. Moja bratanica tam chodzi – mruknął, a potem zapalił silnik.

Z głośników buchnęło disco polo.

– Nie obrazi się pan, jak wyłączę? – Uśmiechnęłam się do niego i nie czekając na przyzwolenie, przekręcałam pokrętło przy radiu tak długo, aż muzyka nie zamilkła.

– Ale... – Chłopak popatrzył na mnie jak na głupią, a potem westchnął głośno i skupił się na drodze.

Mimo zdenerwowania zachichotałam. A podobno kobiety wzdychają częściej.

No i właśnie w tak „miłej” atmosferze dotarłam bezpiecznie do Jaszczurek, podziękowałam totalnie nieusłużnemu chłopakowi, który, gdy tylko wysiadłam, odjechał z piskiem opon. Uśmiechnęłam się pod nosem, przerzuciłam przez ramię

torebkę i pognałam do garażu po łopatę. Niestety, po drodze spotkałam kręcącego się po moim podwórku pana Kazia.

– Pan do mnie? Bo jak tak, to wołałabym później. Trochę się spieszę – rzuciłam niezbyt miło, kiedy ruszył w moją stronę.

Pan Kazio w ogóle nie zwrócił uwagi na mój oschły ton.

– Ale ja tylko na chwilę. Podziękować przyszedłem.

Zatrzymałam się i bacznie mu przyjrzałam. Zapomniałam o czymś?

– Nie bardzo wiem za co...

– Za co? Pani kochana! – Sąsiad najwidoczniej nie wytrzymał natłoku kłębiących się w nim pozytywnych emocji, bo rzucił się ku moim dłoniom i zaczął je z wdzięcznością całować.

– Ale niech pan da spokój! – Wyszarpnęłam mu je. Dla pewności jeszcze się od niego trochę odsunęłam. Czy powinnam się niepokoić tym jego dziwacznym zachowaniem?

– Nie wiem, jak ja się pani odwdzięczę za tę robotę, naprawdę nie wiem! – ekscytował się natomiast pan Kazio.

Zmrużyłam oczy.

– No dobrze, wspaniale. Ale za co?

– Jak to za co?! – wykrzyknął uradowany. – Za pracę w telewizji! Pomagam ekipie nosić dekoracje do pałacu. Zatrudnili mnie, da pani wiarę? Mimo braku studiów.

– No tak, to gratuluję bardzo i...

– Widzi pani, jak to nauka języków sprzyja zatrudnieniu? Siedem trzydzieści za godzinę mi dali. Ja w życiu takiej stawki nie miałem. Nigdy! Jak Boga kocham! No ale gdyby nie pani, to ja bym pewnie nadal gnił przy tych moich pszczołach. A tak, to proszę. Parę groszy dodatkowo wpadnie. A Cela jaka jest uszczęśliwiona, że ma męża filmowca! Wszystkim koleżankom chyba już o tym powiedziała. No życie nam pani wróciła, normalnie, bo ostatnio to tylko vegetacja. Mieć za sąsiadkę taką babkę jak pani, to skarb! Gwiazda telewizji! I to o dobrym sercu! – wykrzyknął, a potem znowu rzucił mi się do rąk.

Patrzyłam na niego skonsternowana i rozważałam, czy powinnam uświadomić biednemu panu Kaziowi, że jego praca to żadna moja zasługa. Ostatecznie dałam sobie spokój z wyjaśnieniami. Nie było sensu psuć mu szczęśliwego popołudnia.

– Normalnie anioł, nie kobieta! – kontynuował swoje wyznania.

Znowu zabrałam mu ręce i przyjrzałam się uważnie jego twarzy.

– A wie pan co? – Uniosłam brew, gdy nagle mnie olśniło. – Ja to chyba będę miała pomysł, jak mógłby mi się pan odwdzięczyć...

Pan Kaziu uśmiechnął się szeroko.

– Tak?

Pokiwałam głową.

– Aha. Ma pan jeszcze ten traktor? Ten duży, wie pan, z hakiem?

– A pewnie. Co mam nie mieć. – Przytaknął energicznie. – A co? Będziecie

z Ludwikiem orać jakieś pole? Bo pług też mogę pożyczyć, jak trzeba!

Zaśmiałam się głośno.

– Nie, za rolnictwo jeszcze się nie bierzemy – wydusiłam, zanosząc się śmiechem.

Dopiero po chwili wytłumaczyłam panu Kaziowi, o co mi chodzi.

Mężczyzna oczywiście chętnie zgodził się ruszyć na pomoc biednemu Ludwikowi i czym prędzej pognął do stodoły po traktor. Ja natomiast zgarnęłam jeszcze bawiącego się na podwórku u Anki Marcela i razem z nim oraz łopatą (którą na wszelki wypadek też zabrałam) wpakowaliśmy się do traktora pana Kazia. Pojechaliśmy z odsieczą do biednego Ludwika. I tak oto skończyła się nasza próbna przejażdżka po polach i wertepach. Oraz dzielenie przeze mnie hobby męża, bo więcej w to ustrojstwo na pewno nie wsiądę!

Rozdział 32

Beatka wróciła z urlopu we wtorek. W końcu, bo przyznam, że nie mogłam się jej powrotu doczekać. Jednak co innego mieć przyjaciółkę w pobliżu, kiedy można bezkarnie wsiąść w samochód i do niej pojechać, a co innego, gdy ona byczy się nad polskim morzem i możliwy jest z nią tylko kontakt telefoniczny. Może to egoizm, a może po prostu przywiązanie.

– Jak dobrze cię widzieć! – Kiedy tylko przekroczyła próg mojego domu, natychmiast rzuciłam jej się na szyję.

– Ciebie też, Zuzka! – Odwzajemniła uścisk, uważając przy tym na moją złamaną rękę. Swoją drogą to mogliby mi już ten gips zdjąć! Ile można...

– Smutno tu było bez ciebie. A jaka ty jesteś opalona! – Kiedy się wyprzytulaliśmy, przyjrzałam się Beatce dokładnie. Jej muśnięta nadbałtyckim słońcem cera aż lśniła.

– Leżenie plackiem w takie upały robi swoje – zaśmiała się głośno.

– Ja to bym chyba oddała wszystko, żeby móc sobie tak trochę poleżeć. Już nawet bez tej opalenizny – odpowiedziałam tym samym tonem i przeszliśmy do salonu.

– No właśnie widzę, że masz tutaj niezły kocioł. – Beata rozsiadła się na kanapie. – Co to za ludzie biegają po wsi? Bałam się, żeby nikogo nie rozjechać.

– To filmowcy. Joanna z Reżyserem będą mieli kolację zaręczynową w pałacu i trzeba wszystko przygotować. Czego się napijesz? Wody? – zapytałam, przechodząc do kuchni.

– Poproszę. Tylko jak masz, to z lodem. Zgrzałam się w tym samochodzie gorzej niż na plaży.

Pokiwałam głową i przygotowałam dla Beatki napój, a potem usiadłam na fotelu.

– No więc mówisz, że zostałam lokalną celebrytką? – zagadnęła Beata.

– A daj spokój! – Machnęłam ręką. – Nie wiem, dlaczego wszyscy na wsi tak uważają. To tylko film dokumentalny.

– Powiem ci kochana, że nie tylko w Jaszczurkach ludzie tak myślą. Już dwie koleżanki z miasteczka dzwoniły do mnie, by wypytać, czy może nie znam tej nauczycielki, bo mają młodych synów i chętnie by ich wepchnęły do branży filmowej.

Wywróciłam oczami, nie mając już nawet siły się na to wkurzać.

– No widzisz... – westchnęłam.

– Cena popularności! – Beata zaśmiała się głośno, a potem nachyliła w moją stronę.

– A powiedz mi, co z Markiem i Teodorem?

Na wszelki wypadek rozejrzałam się dookoła.

– Marek się wyprowadził i spotyka z jakąś nastolatką, a raczej nastolatkami, natomiast Teodor... – Spojrzałam w stronę drzwi do jego pokoju, chociaż był teraz na dworze z Marcelem i czytał książkę. – No co, mieszka tutaj, ale to tylko przyjaciel.

Beata pokiwała głową.

– Czyli wasz romans już się zakończył?

– Romans? Na litość boską! Jaki romans! Mówiłam ci, że z nikim do niczego nie doszło...

– No tak, tak, ja wiem... Mówiłaś Ludwikowi?

– Nie. – Spuściłam wzrok.

– Dlaczego? – Beata pochyliła się ku mnie. – Nie uważasz, że powinien wiedzieć?

– Moja psycholog twierdzi, że skoro do niczego nie doszło, to sprawy nie ma i bez sensu zawracać Ludwikowi głowę.

– Twoja psycholog?! – zdziwiła się Beata.

– No. Matylda Mak. Byłam u niej wczoraj.

– A więc to naprawdę poważna sprawa z tym całym Marcem...

– No właśnie ci mówię, że nie! Właściwie dopiero Matylda uświadomiła mi, że wszystko, co się ostatnio działo, to wcale nie wina tego, że Ludwik mnie zaniedbał, ale... – Zanim zdążyłam opowiedzieć Beatce, co też powiedziała mi Matylda, do pokoju wpadł Marcel.

– Ciocia! – Z piskiem radości rzucił się ku Beatce, która natychmiast wzięła go w ramiona.

– Cześć brzdącu! Ale dawno cię nie widziałam. Urosłeś? – zapytała, kiedy siedział u niej na kolanach.

– Trochę zgrubłem – odpowiedział, w wyniku czego obie wybuchłyśmy śmiechem.

– No cóż... – Beata spoważniała pierwsza.

– Mama mówiła, że byłaś nad morzem!

– A tak! – Sięgnęła po leżącą obok torebkę. – I nawet coś ci przywiozłam!

Marcelowi rozbłysły oczy.

– Naprawdę?

– Aha. Przywiozłam ci prawdziwą czapkę piracką! – Beatka wyciągnęła z torby czarny kapelusz, a potem założyła go małemu na głowę.

– Arr! – Marcel natychmiast zeskoczył z jej kolan i zrobił groźną minę.

Popatrzyłyśmy na niego z zachwytem.

– Mam na górze szablę piracką! – ogłosił z dumą i pobiegł w stronę schodów. – Będzie do kompletu! – krzyknął jeszcze, zanim zniknął.

Roześmiałyśmy się głośno.

– Wiesz, jak uszczęśliwić mężczyznę – mruknęłam do niej, gdy udało mi się opanować śmiech.

– Ta, powiedz to mojemu mężowi. Przez pół wyjazdu marudził. A to, że jedzenie niedobre, a to, że łóżko w hotelu trzeba przestawić, bo słońce z rana świeci mu prosto w oczy, że woda brudna, że ludzie dookoła za głośno... Mówię ci, Zuzka, z tymi facetami!

– Z nimi źle, ale bez nich jeszcze gorzej – powiedziałam, a zaraz później wpadł do salonu przerażony Marcel.

– Mamo, mamo! – krzyczał już z daleka.

– Co się dzieje, synku? Nie możesz znaleźć miecza?

– Szabli! – poprawił mnie natychmiast i podbiegł bliżej. – Ale nie o to chodzi!

– Więc o co?

– To coś strasznego... – powiedział grobowym głosem, w wyniku czego zaniepokoiłam się nie na żarty.

– Mów Marcel, bo zaczynam się martwić – ponagliłam go.

– Mamo, bo skoro ja jestem teraz piratem, to musimy mi kupić papugę!

– Papugę?!

– No! W dodatku taką, co mówi! Tylko gdzie ona się tego mówienia nauczy, skoro w wakacje szkoła jest zamknięta? Nie można być piratem bez mówiącej papugi!

Popatrzyłyśmy z Beatą po sobie.

– Cóż... – mruknęłam. – No nie można. Ale to może pomyślimy o niej we wrześniu, co? Jak już zacznie się szkoła?

Marcel spochmurniał.

– A teraz? Mam być półpiratem? To nie to samo mamusiu!

Dotknęłam jego rączki.

– A teraz, mój drogi piracie, to leć na dwór do wujka Teodora i spróbuj nakłonić jakiegoś wróbla, żeby usiadł ci na ramieniu. W końcu lepszy rydz niż nic, a wróbel też jest ptakiem. Będiesz takim lokalnym piratem, co ty na to?

Oczy malca od razu błysnęły.

– Albo gołębia! – wykrzyknął uradowany i pognał na dwór.

My z Beatką natomiast w spokoju dokończyłyśmy naszą rozmowę. No, chociaż może nie tak zupełnie, ponieważ po mniej więcej godzinie wpadła do domu przerażona Kasia.

– Zuzka, Zuzka! – wrzeszczała już od progu.

Obie z Beatą natychmiast zerwałyśmy się na równe nogi i pobiegłyśmy na korytarz.

– Co się stało?! – zapytałam, przerażona.

Kasia oparła się o ścianę, głośno dysząc.

– Twoja mama, ona... – wydusiła tylko, łapiąc powietrze.

Moje serce natychmiast zaczęło bić szybciej.

– Matko kochana, co z nią? – Podbiegłam do Kasi.

– Wyjdź na drogę i sama zobacz... – wychrypiała, wskazując na drzwi.

Nie zważając na nic, ruszyłam pędem w stronę bramy. Na ulicy, mniej więcej przed bramą wjazdową na podwórze Ani, mieszkańcy Jaszczurek utworzyli wielki okrąg. Z trudem udało mi się przepchnąć do środka tego zbiegowiska, gdzie, ze złożonymi na piersi rękami i zamkniętymi oczami, leżała moja mamusia.

Na jej widok stanęłam jak wryta.

– Mamo... – jęknęłam i rozejrzałam się dookoła. – Ale co tutaj się dzieje?

– Grażynka umiera – odpowiedziała mi z tłumy jakaś staruszka.

Poczułam, jak z mojej twarzy odpływa krew i jeszcze raz popatrzyłam na ubraną w swoją najlepszą sukienkę z czarnej koronki, mamę.

– Ale jak to umiera? Stało jej się coś? – zapytałam drżącym głosem i padłam na kolana obok matki, a potem zaczęłam szarpać ją za rękę. – Mamo, mamo? Słyszysz mnie? Dlaczego nikt nie reaguje! Niech ktoś wezwie karetkę! – krzyczałam, czując, jak do oczu napływają mi łzy.

– Zuzka, proszę cię bardzo, nie krzycz tak... – Mama natomiast otworzyła oczy i przekreśliła głowę w moją stronę.

– Ale jak to... – zająknęłam się i zamarłam w bezruchu. – To ty żyjesz?

– Jeszcze tak... – westchnęła ciężko. – Ale czuję, że mój koniec jest blisko – powiedziała cicho, a potem znowu zamknęła oczy i wróciła do poprzedniej pozycji.

Jeszcze raz obrzuciłam wzrokiem zgromadzony dookoła tłum.

– No nie, tego już za wiele! – mruknęłam, uświadamiając sobie, że mama robi z siebie teraz pośmiewisko. Nie zwracając uwagi na jej reakcję, złapałam ją za łokieć, a potem pociągnęłam do góry.

Wstała. Z trudem, ale jednak wstała.

– Zuzka, no co ty robisz?! – Popatrzyła na mnie ze łzami w oczach. – Psujesz mi wielką scenę umierania. Dajże mi w końcu odejść z tego świata...

– Ja ci pozwolę stąd odejść, ale do domu! – warknęłam i pociągnęłam ją za rękę. Oczywiście musiałyśmy się przepychać przez zgromadzony tłum, bo nikt nie raczył zejść nam z drogi. – Czy ty na głowę upadłaś? A jakby jechał jakiś samochód?! Mogło ci się coś stać! – Popatrzyłam na nią z wyrzutem, w wyniku czego mamusia zaczęła przeraźliwie szlochać.

– Ale Zuzka... Ja założyłam nawet swoją pogrzebową sukienkę i...

– Właśnie widzę! – Szarpnęłam ją za rękę nieco mocniej i otworzyłam furtkę na podwórko Anki.

Zgromadzony na ulicy tłum patrzył, co też wyrabiam.

– Na co się państwo tak gapią?! Proszę się rozejść! – wrzasnęłam na nich ze złością, w wyniku czego zaczęły do mnie docierać niezbyt przyjemne komentarze.

– Ale ja się już zdążyłam ze wszystkimi pożegnać i... stęskniłam się za Janem. Chciałam się z nim zobaczyć, a ty... – chlupała mamusia.

– Z tatą jeszcze się spotkasz!

– Ale Zuzka, było tak pięknie... Ja już nawet słyszałam anielskie pienie... – Płakała dalej.

Nie zwracając uwagi na jej pełne żalu komentarze, zaprowadziłam mamę do domu Anki i posadziłam za stołem w kuchni.

– Coś się stało? – zapytała moja siostra. Stała w drzwiach z Zosią na rękach i najwidoczniej żadna z nich nie była świadoma scen, które rozgrywały się przed ich podjazdem. Zosi to się nie dziwię, ale Anka? Tłumu nie widziała?

– Wyobraź sobie, że mama postanowiła umrzeć! Położyła się na ulicy i zebrała wokół

siebie połowę Jaszczurek – ogłosiłam ze złością.

Anka zbladła tak samo jak ja chwilę temu.

– Ale jak to...

– No tak to! – Znowu spojrzałam na mamę z wyrzutem. – Ty weź jej daj coś na uspokojenie, bo nie wytrzymam, a ja się zajmę Zośką. – Podeszłam do Anki i wzięłam od niej dziecko. Oczywiście uważając na gips. – I powiedz jej, niech następnym razem umiera gdzie indziej, żeby wstydu nie było! – krzyknęłam tak, by mama słyszała, a potem razem z małą wyszłam na dwór, żeby ochłonać. Na mamusię naprawdę trzeba było zwracać więcej uwagi niż na dziecko! I mieć do niej więcej cierpliwości!

Rozdział 33

W środę Teodor miał wizytę kontrolną u lekarza, więc pojechałam razem z nim do miasteczka. Ja swój gips miałam nosić jeszcze przez trzy tygodnie (co wcale nie napawało mnie optymizmem), ale obrażenia Teodora były bardziej poważne, bo nogę miał połamaną w kilku miejscach.

– Naprawdę nie musisz tam ze mną iść, poradzę sobie – zapewnił, kiedy zaparkowała pod szpitalem i pomogłam mu przesiąść się na wózek. – Robisz dla mnie tak dużo, że głupio się czuję.

Uśmiechnęłam się do niego i zamknęłam samochód.

– Nie marudź. Ktoś musi się tobą opiekować – rzuciłam wymijająco i ruszyliśmy w stronę szpitala.

– Dzień dobry! – Przywitała nas opiekująca się Teodorem po wypadku pielęgniarka, gdy tylko wjechaliśmy na oddział. – Jak pan się czuje?

– Dziękuję, dobrze. Tylko strasznie mi przez ten gips gorąco.

– Faktycznie, temperatura nie sprzyja chorowaniu. – Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. – Proszę do gabinetu, doktor już czeka. A żona może posiedzieć w bufecie. – Wskazała na mnie. – Trochę nam zejdzie.

Spojrzeliliśmy na siebie z Teodorem ze zmieszaniem.

– Ale ja nie... – zaczęłam niepewnie, chcąc wytłumaczyć jej, że nie jesteśmy małżeństwem.

– Jak pani się bardzo upiera, to oczywiście może wejść z mężem – wpadła mi w słowo pielęgniarka.

Poddałam się i wysiliłam na uśmiech.

– To ja lepiej poczekam w bufecie – mruknęłam. – Będę pod telefonem – rzuciłam do Teodora i zeszłam do niewielkiej kawiarenki, w której przekrzykiwali się pacjenci.

– Kawę poproszę – powiedziałam do tęgiej kobiety za barem, a potem chwyciłam ze stojaka jedną z lokalnych gazet i następne półtorej godziny spędziłam na przeglądaniu w kółko tych samych artykułów.

W pewnym momencie jakaś rozchichotana nastolatka przerwała mi tę jakże pochłaniającą czynność. Wprawiała mnie w konsternację prośbą o autograf.

– Przepraszam, ale chyba mnie pani z kimś pomyliła... – bąknęłam, odkładając gazetę i posyłając jej zaskoczone spojrzenie.

Dziewczyna zlustrowała mnie wzrokiem.

– To pani nie jest tą aktorką z Jaszczurek? – zapytała.

– Ach, to o to chodzi... – Uświadomiłam sobie, że przecież dziś wieczorem miała się odbyć premiera „mojego” filmu.

– No właśnie! – ucieszyła się. Nie zdążyłam wytłumaczyć, że wcale nie jestem żadną aktorką. – To co, podpisze się pani? – Podsunęła mi pod nos nieduży zeszytek

i długopis.

Patrzyłam na niego przez chwilę, ale w końcu wzięłam do ręki długopis i nabazgrałam na pustej stronie swoje imię i nazwisko.

Dziewczyna pisnęła z zachwytu.

– A mogę jeszcze zdjęcie? – wyciągnęła z kieszeni telefon.

Popatrzyłam na gapiących się na nas ludzi.

– Tak, niech będzie – mruknęłam, niezbyt zadowolona i wysiliłam się na uśmiech, gdy lampa błysnęła mi prosto w oczy.

– Super! – Dziewczyna ucałowała mnie w policzek, a potem wybiegła z bufetu. Jej miejsce na fotelu zajął natomiast jakiś starszy pan.

– A czy ja też mógłbym prosić o autograf? – zapytał, wyciągając w moją stronę książkę Mickiewicza.

– Tak... – szepnęłam, wiedząc, że moje tłumaczenia nie mają najmniejszego sensu. Szybko złożyłam mu ten autograf i nim następna osoba zdążyła do mnie podejść, rzuciłam krótkie „Śpieszę się” i wybiegłam z bufetu, napotykając na korytarzu Teodora.

– O, a ja właśnie miałem do ciebie dzwonić. – Rozpogodził się na mój widok. – Coś się stało?

Obejrzałam się za siebie w obawie przed fanami.

– Nie, nie. – Odgarnęłam do tyłu włosy. – Tylko chodźmy już stąd. Jak badania? Wszystko dobrze?

– Tak. Kości się zrastają, więc nie jest źle. Ale jeszcze się z tym ustrojstwem nie rozstaję. – Wymownie popatrzył na gips. – Niestety.

– Znam ten ból – mruknęłam, gdy zmierzaliśmy w stronę drzwi. – Ale kiedyś w końcu wrócimy do świata normalnych, nie martw się.

Teodor roześmiał się głośno.

– Nikt nie potrafi mnie zrozumieć lepiej niż ty, żono – zażartował, w odpowiedzi na co ja też się uśmiechnęłam.

– Masz ochotę na lody? – zaproponowałam, kiedy owionęło nas gorące, lipcowe powietrze. – Jest tutaj niedaleko taka mała lodziarnia. Chyba najlepsza w mieście.

– Jeśli ci się nie śpieszy, to pewnie, czemu nie – zgodził się od razu. – Jak wiesz, przez mój stan zdrowia nie mam żadnych planów – powiedział, a potem ruszyliśmy w stronę lodziarni.

– Jak za dawnych lat, co? – zagadnął mnie, kiedy złożyliśmy zamówienie i zmierzaliśmy w stronę wolnego stolika.

– Tak. Tylko to nie są wagary.

– Oj, zaraz wagary. Po prostu opuszczenie zajęć lekcyjnych i tyle – zrobił minę niewiniątka. – Z tobą to ja mogłem wtedy nawet konie kraść.

Nachyliłam się do niego, unosząc brew.

– A teraz to już nie?

Teodor spojrział wymownie na swój gips.

– Aktualnie to chyba nie bardzo – powiedział, gdy przyniesiono nam lody. – Jak zawsze czekoladowe – zauważył, gdy zabrałam się za swoją porcję.

– Niektóre przyzwyczajenia trudno zmienić. – Uśmiechnęłam się i włożyłam lody do ust. Były przyjemnie słodkie i zimne. Idealne.

Teodor także zaczął jeść swoje lody. On, dla odmiany, zdecydował się na owocowe z kostkami arbuza.

– Nie zdążyłam cię nawet zapytać, jak było u Matyldy. – Po chwili jedzenia w milczeniu rozpoczął rozmowę.

– Dziękuję, dobrze – powiedziałam, chyba trochę za bardzo zdawkowo.

– Marek już cię nie męczy?

Pokręciłam głową.

– Nie. Chyba dał sobie spokój. I dobrze.

Teodor spojrział mi prosto w oczy.

– A ty?

– Co ja?

– A ty dałaś sobie z nim spokój?

– Tak, chyba tak.

Na jego usta wyplął uśmiech.

– To dobrze – powiedział i wrócił do jedzenia lodów.

Popatrzyłam na niego pytająco.

– To dobrze?

– Tak. Czuję się lepiej ze świadomością, że jesteś szczęśliwą mężatką i ktoś się tobą opiekuje. Ludwik to dobry facet, łatwiej mi się żyje, kiedy wiem, że nie zamierzasz tego schrząnąć. Mówiłem ci już o tym.

Westchnęłam.

– No tak. Pamiętam. I wiesz co? Jestem naprawdę szczęśliwa w swoim małżeństwie. Trochę trwało, zanim doszłam do tego wniosku, ale właśnie tak jest. Mimo tej całej rutyny, biegania Ludwika po lasach i...

Teodor pokiwał głową.

– A skoro już tak szczerze sobie rozmawiamy – zmieniłam nagle temat. – To może ty też mógłbyś zacząć się z kimś spotykać? Mi też byłoby łatwiej, gdybym wiedziała, że jesteś szczęśliwy. W pewnym sensie, oczywiście.

– W pewnym sensie łatwiej, czy w pewnym sensie szczęśliwy? – spróbował zażartować.

Nie dałam mu się jednak zbić z tropu.

– Wiesz, o czym mówię.

Pokiwał głową.

– Dobrze mi tak, jak jest.

– Wybacz, ale trudno mi w to uwierzyć. Zwłaszcza kiedy widzę, jak dobrze

dogadujesz się z moim dzieckiem...

Teodor odłożył łyżeczkę na stół i pochylił się w moją stronę. – Zuzka, naprawdę nie musimy prowadzić tej rozmowy. – Popatrzył mi prosto w oczy.

Przełknęłam ślinę.

– No tak, ale...

– Po prostu nie martw się o mnie, dobrze? – Dotknął mojej leżącej na stole dłoni.

Pokiwałam głową, chociaż wcale nie zamierzałam o tym nie myśleć.

– No dobrze. – Uśmiechnęłam się do niego, a potem dojedliśmy lody, gawędząc na bardziej przyjemne tematy.

– To co, dzisiaj wielka premiera filmu? – zagadnął Teodor, kiedy z powrotem znaleźliśmy się w samochodzie.

Pokiwałam głową, włączyłam kierunkowskaz i wyjechałam z parkingu.

– Tak. Ale dla mnie to żadne wielkie wydarzenie.

– Oj nie bądź taka skromna, gwiazdo. Cała wieś przyjdzie. Ma być piwo i przekąski. Normalnie wielka impreza! Przynajmniej tak mówiła mi wczoraj Ania.

– Gdyby to zależało ode mnie, to wcale bym tam nie szła. Popularność i rola „gwiazdy filmowej” nie są dla mnie. I nie lubię słuchać swojego głosu. A co dopiero widzieć się przed kamerą!

– Ty i te twoje kompleksy... Może powinnaś bardziej cieszyć się życiem?

Posłałam mu przelotny uśmiech.

– Cieszę się życiem, ale cenię też swoją prywatność – powiedziałam, mając w głowie dzisiejsze sceny z bufetu i nagłą sympatię sąsiadów. – Jeszcze mi brak tylko wywiadu do lokalnej gazety!

– O kochana, nie mów hop! Ania mi przekazała, że na premierze ma być jakiś tutejszy dziennikarz. Po prostu Joanna go zaprosiła.

– A to żmija... – zaśmiałam się, myśląc o Joannie.

– Tak że widzisz. Po prostu celebrytka. I pomyśleć, że z własnej woli wypuściłem cię z rąk. Gdybym wiedział, że czeka cię taka przyszłość, to na pewno rozegrałbym to inaczej.

Roześmiałam się głośno. Właściwie nigdy bym nie pomyślała, że będziemy z tego mojego nieszczęścia w przyszłości kiedyś z Teodorem żartować. Teraz cieszyłam się, że poukładaliśmy swoje relacje i mogliśmy się bezkarnie przyjaźnić.

– A widzisz! Dobrze wiedzieć, że twoja sympatia jest warunkowa – mruknęłam w odpowiedzi na to, co powiedział. Włączyłam radio, starając się nie myśleć o tej nieszczęsnej premierze. Pomyślałby kto, że szaleństwo z filmowcami w roli głównej urośnie do takiej rangi. Może i nie było to wydarzenie na skalę... no, światową, ale na pewno wywołało duże zainteresowanie wśród mieszkańców Jaszczurek.

Rozdział 34

– Kochani, zanim rozpoczniemy, chciałabym wznieść toast – ogłosiła Joanna. Była ubrana w czerwoną suknię do ziemi i stała na prowizorycznej scenie w sali gimnastycznej. Dla podkreślenia swoich słów zastukała w kieliszek z szampanem.

Zaproszeni na „galę” goście natychmiast ucichli i popatrzyli w jej stronę. Ludwik objął mnie w pasie i posłał mi uspokajający uśmiech. Mimo półmroku dostrzegłam w jego oczach empatię.

– Nie denerwuj się tak – mruknął mi do ucha. Wiedział, jak bardzo nie mam ochoty tam być i przesunął dłonią po mojej talii. Czarna sukienka na krótki rękawek, którą wyciągnęłam z szafy specjalnie na tę okazję, zaszeleściła cichutko pod wpływem jego dotyku.

– Przede wszystkim chciałabym podziękować osobie, bez której ten film wcale by nie powstał – kontynuowała natomiast Joanna. – Zuzannie – powiedziała i wszystkie spojrzenia przeniosły się w moją stronę.

Ludwik popchnął mnie lekko do przodu.

– Tak. – Joanna posłała mi uśmiech. – To właśnie dzięki tobie mogliśmy spędzić tu, w Jaszczurkach, niesamowity czas i dobrze się bawić – powiedziała, a kąciki moich ust drgnęły na wspomnienie uciekających przed ochroniarzami z prokuratury filmowców. – Mam nadzieję, że dzięki naszemu wspólnemu wysiłkowi sprawiedliwość zostanie wymierzona szybciej, niż nam się wydaje, a ty dojdiesz do siebie. Jesteś niesamowita. – Joanna uniosła kieliszek do góry i upiła łyk szampana.

Zebrani na sali goście natychmiast jej zawtórowali, a potem zaczęli po kolei, począwszy od Joanny, podchodzić do mnie i ścisnąć mnie wylewnie, mamrocząc przy tym „gratuluję”.

Tonąc w tym gąszczu rąk i buziaków, popatrzyłam błagalnie na Ludwika, ale ten wyszczerzył tylko zęby i wycofał się do siedzącego pod ścianą Teodora, a potem ucieli sobie męską pogawędkę. Chcąc nie chcąc, musiałam więc sama zmierzyć się z wylewnością sąsiadów, którą ucięły dopiero słowa wchodzącego na scenę Reżysera.

– A teraz zapraszam wszystkich państwa do zajęcia miejsc, zaczniemy projekcję filmu – powiedział, przeżuując gumę.

Zaśmiałam się, słysząc jego głośne mlaśnięcie. W sumie to zdążyłam tych filmowców nawet polubić.

– Zanim to jednak nastąpi – mówił dalej Reżyser – chciałbym jeszcze opowiedzieć państwu o swojej wizji, którą kierowałem się podczas nadawania temu dziełu kształtu... – powiedział, po czym do moich uszu zaczął docierać niezrozumiały bełkot, w którym nawiązywał nawet do tragicznej sytuacji Edypa w dziele Sofoklesa i romantycznych tradycji obrony kraju.

Po około dziesięciu minutach tej jego gadaniny jakiś ubrany w garnitur mieszkaniec

Jaszczurek nie wytrzymał i podniósł się z krzesła.

– E! – krzyknął. – Myśmy tu nie przyszli słuchać wykładów z teologii, tylko oglądać film!

Po sali rozeszły się pełne emocji głosy zgadzających się z mężczyzną sąsiadów.

– Tak, tak, naturalnie. – Na scenę wparowała jak zawsze trzymająca rękę na pulsie Joanna, po czym odsuwając Reżysera od mikrofonu, jeszcze raz, tym razem krócej i bez „wizji”, zaprosiła wszystkich na film.

– To teraz się zacznie... – mruknełam sama do siebie, opierając się o drabinki za plecami. Kiedy wybrzmiały pierwsze dźwięki podłożonej przez Olafa muzyki i wypłam na raz całą zawartość swojego kieliszka, przygotowywałam się na najgorsze, które, o dziwo, nie nastąpiło. Zmontowany przez kamerzystę film okazał się bowiem naprawdę przyzwoity, a już na pewno nie wypadłam w nim tak źle, jak się tego obawiałam.

Nie wiem, czy to przez światło, czy jakieś programy graficzne, ale wyglądałam w nim dużo młodziej niż w rzeczywistości. Nawet mój głos nie brzmiał tak głupio, jak na poprzednich nagraniach, których słuchałam, a gips nie rzucał się w oczy. Nie mówiąc już nawet o scenie, w której występowałam przed prokuraturą razem z Marcelem. Gdy tylko goście zobaczyli malucha, po sali gimnastycznej rozeszły się pełne zachwyty „ochy” i „achy”.

– Moja żona jest gwiazdą. – Po około dziesięciu minutach projekcji podszedł do mnie mąż.

Uśmiechnęłam się i wtuliłam w jego ramię.

– Jaką tam gwiazdą, Ludwik.

– Przecież wiem, co mówię. – Objął mnie w pasie i patrząc na wyświetlany film, tuliliśmy się do siebie jak za dawnych, pięknych lat.

I chociaż do zostania gwiazdą na pewno było mi daleko, to musiałam przyznać, że chyba naprawdę całkiem nieźle wyszedł nam ten film, bo ludzie oglądali go zachwyceni. Nawet te sceny ze mną w roli głównej całkiem mi się podobały. Pomimo mojego nastawienia do niego, oczywiście. Filmowcy, choć irytujący, byli naprawdę dobrzy w tym, co robili. (Faktu, że Joanna przyćmiewała mnie urodą, gdy tylko pojawiałyśmy się w filmie razem, postanowiłam nie komentować. Po co umniejszać swoje zasługi.)

Kiedy tylko na ścianie pojawiły się końcowe napisy, sala natychmiast rozbłysła jasnym światłem, a zebrani w niej goście wstali z miejsc i zaczęli bić brawa.

– Piękne, piękne! – krzyczała jakaś kobieta.

– A jakie wzruszające! – Inna otarła dłonią łzy.

– Po prostu nie można się nie zachwycić! – powiedział ktoś inny.

– Ja to się chyba popłaczę... – westchnęła moja mamusia. – Dobrze, że jednak nie umarłam i dożyłam takiego momentu. Nasza rodzina sławna! Kto by pomyślał...

Wywróciłam oczami, słysząc jej słowa i spojrzałam w stronę filmowców. Wchodząca

na scenę Joanna posłała mi ciepły uśmiech.

– Halo, halo! Proszę państwa! – Popukała ręką w mikrofon. – A teraz, po uroczystej projekcji filmu, razem z sołtysem Jaszczurek i panią dyrektor, dzięki której możemy gościć dziś w szkole, zapraszamy wszystkich państwa na poczęstunek – powiedziała, w odpowiedzi na co mieszkańcy Jaszczurek i ludzie „od zaręczyn” tłumnie ruszyli w stronę drzwi na korytarz.

– I co, nie było tak źle? – Joanna zeszła ze sceny i podeszła do mnie i Ludwika.

– Całkiem nieźle, muszę przyznać. Ale to tylko wasza zasługa. Jesteście naprawdę świetni.

– Ba. To chyba oczywiste – mało przyjemnie rzucił stojący za plecami Joanny Reżyser, po czym mlaszcząc głośno, wyciągnął z kieszeni telefon i odszedł w kierunku Olafa.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Jest zły, bo nie mógł opowiedzieć do końca o swojej wizji. – Joanna machnęła na niego ręką.

– Nie ma sprawy. Zdażyłam się już przyzwyczaić – mruknęłam, ale nie było mi dane porozmawiać z Joanną dłużej, ponieważ podszedł do niej jakiś ubrany w garnitur mężczyzna, który usilnie musiał porozmawiać z nią na temat zaręczyn.

– Znajdziemy się później. – Joanna posłała mi tylko przepaszające spojrzenie, wzięła mężczyznę pod rękę i oddaliła się z nim, kołysząc biodrami.

Ludwik natomiast objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

– To co, idziemy do domu? – wyszeptał mi wprost do ucha.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Do domu? A poczęstunek? Myślałam, że będziesz chciał zostać.

Na usta mojego ślubnego wypłynął szeroki uśmiech.

– Chyba zmieniłem zdanie – powiedział zmysłowym głosem i odgarnął do tyłu moje włosy.

– Tak? – zapytałam, zdziwiona jego słowami i spojrzałam mu prosto w oczy.

Pokiwał głową i przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

– Nie mam ochoty dzielić się tego wieczoru moją wspaniałą żoną z nikim. Absolutnie.

– Nachylił się do mnie, a potem pocałował.

– No, no... – mruknęłam oszołomiona, kiedy odsunął się nieco i złapał mnie za nadgarstek. – Skąd ta nagła zmiana?

Ludwik uśmiechnął się lekko.

– Po prostu kocham moją żonę – szepnął i pociągnął mnie w stronę drzwi, potem domu, a następnie sypialni...

Jeszcze wtedy nie myślałam o tym, że zachowanie mojego męża jest co najmniej podejrzane.

Rozdział 35

– O matko, to naprawdę jest piękne – szepnęłam do Ludwika, kiedy w piątek wieczorem staliśmy schowani za jednego z kamerzystów, obserwując, jak ubrany we frak Reżyser klęka przed Joanną „niespodziewanie” i wyjmuje z kieszeni niewielkie pudełeczko z lśniącym pierścieniem.

Cały pałac skąpany był w białym świetle, powiewających na wietrze tiulach i poustawianych chyba wszędzie, gdzie to było możliwe, kwiatach. Centralnym miejscem, przyciągającym wzrok ekipy filmowej, był oczywiście niewielki, okrągły stolik, na którym stały wysokie świece oraz przepiękne, posrebrzane kieliszki, a Joanna z Reżyserem wpatrzeni byli w siebie jak w obrazek. Musiałam przyznać, że mimo iż całe te ich zaręczyny wyreżyserowano od początku do końca, to miałam w oczach łzy.

Ludwik uśmiechnął się do mnie i lekko pogładził po dłoni. Doskonale wiedziałam, że bardziej zaaferowany był tym, że może bezkarnie podglądać pracę ekipy filmowej, a nie całymi tymi zaręczynami.

– A jaką ona ma piękną sukienkę – westchnęłam, tym razem bardziej sama do siebie, kiedy Joanna uniosła dłonie do ust, udając zaskoczenie, a potem zrobiła krok w kierunku klęczącego przed nią Jacusia. Cichym głosem powiedziała „tak” i rzuciła mu się na szyję. Jej biała, długa sukienka pokryta cyrkoniami (choć być może były to prawdziwe diamenty, akurat w świecie filmowców wszystko jest możliwe) zafalowała przy tym, skrząc się w świetle jednego z reflektorów.

Po moim policzku pocięły pierwsze tego wieczoru łzy. Miłość to jednak potrafi być piękna. Mimo że potem zjada ją rutyna, przez której pryzmat uczucia wcale nie wyglądają tak różowo.

– Cięcie! – Kiedy Jacuś wsunął Joannie na palec pierścionek, rozległ się krzyk reżysera.

Światła zgasły na moment, a do „aktorów” podbiegła ekipa makijażystek i fryzjerów.

– Jak było? – Mimo kilku rąk w okolicach twarzy krzyknęła do reżysera Joanna.

– Dobrze! Świetnie! Wasze emocje to coś pięknego, ta tutaj już płacze. – Wskazał na mnie, w wyniku czego zrobiło mi się trochę głupio. – Tylko nagramy to jeszcze raz, żeby zrobić kilka zbliżeń. W montażu przyda się najazd na pierścionek i wasze twarze. Ale generalnie jest okej. Oby tak dalej.

– To odkąd teraz zaczynamy? – zapytała Joanna, której jedna z fryzjerek poprawiała teraz spływające kaskadą na plecy blond włosy. Jej suknia miała głębokie wycięcie z tyłu, a skóra zdawała się aż lśnić.

– Może od tego, jak Jacek wstaje i przed tobą klęka – zadyrygował reżyser. – A, Adaś! – Skinął jeszcze na jednego ze scenografów. – Tylko weź no popraw te kwiaty zaraz za Joanną. Płatek jednej z róż wygląda nieświeżo. Wymień ją. Wszystko musi być

idealnie! – zarządził i po chwili znowu rozległ się klaps i jego głośne „akcja”.

Jacuś znowu wstał od stolika i patrząc na Joannę niczym zakochany kundel, ponownie padł przed nią na kolano.

Rozpłakałam się jeszcze bardziej, niż ujęcie wcześniej. Te ich oświadczyzny były takie piękne... Mogłabym oglądać je w nieskończoność...

– Ej, Zuzka! – Ludwik, widząc moją reakcję, otoczył mnie ramieniem. – Nie płacz, bo, nie daj Boże, ktoś zrobi ci teraz zdjęcie i będziesz miała rozmazany makijaż. Z tymi filmowcami to nigdy nie wiadomo. Przecież tu są tłumy paparazzi!

Uśmiechnęłam się do niego i otarłam łzy.

– Masz rację, nie ma co się mazać. Właściwie to powinniśmy już chyba iść do domu. Kasia z Tomkiem są już pewnie spakowani, ale wolę upewnić się, że wszystko wzięli. Wyjazd na tydzień w góry to nie żarty. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

– Masz rację. O której odjeżdżają?

– Joanna powiedziała, że o dwudziestej trzeciej, bo jutro mają z Jackiem wywiad w telewizji śniadaniowej – powiedziałam, kiedy ruszyliśmy zacięoną alejką w drogę powrotną do domu.

– Dobrze, że zgodzili się zabrać Kasię i Tomka ze sobą. Z Warszawy będą mieli dużo lepszy dojazd.

– Będzie mi tu bez nich smutno – szepnęłam, uchylając się przed jakąś gałęzią.

– Ja też do niej przywykłem. Swoją drogą, jaki będziemy mieli teraz spokój, co? We wsi sami sprzymierzeńcy, Kasi nie będzie, filmowców też...

Przysunęłam się do niego bliżej.

– Nie wiem, jak to przeżyjemy. Tylko ty, ja i Marcel. Trudno to sobie wyobrazić.

Ludwik uśmiechnął się lekko i nachylił do mojego ucha.

– Teodor też lada chwila przeniesie się do Anki – zamruczał. – Wiesz, co to znaczy?

Uniosłam brew.

– Że zostaniemy sami w naszym małym domku? To masz na myśli?

Mój ślubny zatrzymał się i obejmując mnie w pasie, namiętnie pocałował.

– A może tak pomyślelibyśmy w końcu o kolejnym dziecku? – wyszeptał. – I nie zatrzymali się tylko na myśleniu?

Popatrzyłam na niego zaskoczona. Czy przez ostatnie dwa lata to nie on unikał tego tematu jak ognia?

– Ale jak to? Ludwik? Naprawdę?

Mój ślubny pokiwał głową.

– Tak. Myślę o tym od twojego wypadku. Uświadomił mi, jakie życie jest kruche i jaka jesteś dla mnie ważna. Ty i nasza rodzina.

Rzuciłam mu się na szyję.

– Kocham cię! – pisnęłam jak nastolatka.

– Ja ciebie też, mała, nawet nie wiesz, jak bardzo – powiedział, kiedy się od niego odkleiłam i ruszyliśmy do domu.

I kiedy tylko wróciliśmy do niego i weszliśmy na górę, żeby zobaczyć, jak idzie Kasi pakowanie, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę – zaoferowałam, po czym zbiegłam na dół, a potem przekręciłam klucz w drzwiach i pchnęłam je do przodu.

Na ganku stała trójka nieznanych mi dotąd ludzi, którzy bacznie mi się przyglądali.

– Przepraszam... – bąknęłam, niepewnie obrzucając ich wzrokiem. – A państwo do kogo?

Wszystkie pary oczu popatrzyły na mnie jeszcze bardziej przenikliwie.

– To chyba ona, nie? – zapytała grubaśna kobietka, której twarz wydała mi się aż nader znajoma.

W mojej głowie zapaliła się czerwona lampka...

– Tak. – Stojąca po jej prawej stronie dziewczyna ujęła moją rękę i mocno nią potrząsnęła.

– O mój Boże... – Zrobiłam krok w tył. – Czy państwo z telewizji?

– Z telewizji? – Dziewczyna przekrzywiła głowę.

– A nie?

– Nie, no skąd! My z poczty!

– Z poczty?

– Przyszliśmy, żeby dostarczyć pani list.

Zaraz, zaraz...

– We troje? Do jednego listu? – zapytałam, zaskoczona.

– A, bo tak naprawdę, to tylko ze mnie jest listonoszka. Ci tutaj się tylko uczą. Wie pani, stażyści. – Grubaśna kobietka posłała mi uśmiech. – To co, pokwituje pani? Bo to polecony.

– Ach tak, oczywiście, że tak – odetchnęłam z ulgą, że to nie kolejni filmowcy.

Kobieta wydobyła z torby kopertę i podsunęła mi pod nos kartkę do podpisu. Sprawnie wykonałam kilka ruchów ręką.

– No to do widzenia! – Wpatrzona we mnie trójka posłała mi uśmiechy i zeszła ze schodów.

– Tak, do widzenia. – Zamknęłam drzwi i weszłam do domu, żeby otworzyć list. Szybko rozerwałam bieluchną jak śnieg kopertę, a potem wydobyłam ze środka tajemniczą zawartość.

Gdy jednak tylko mój wzrok padł na trzymane w ręku zdjęcie, zakręciło mi się w głowie.

– Ludwik... – wyszeptałam tylko przerażona, a potem zrobiłam krok w tył, czując, że brakuje mi powietrza.

Są na tym świecie pewne rzeczy, których lepiej by było nigdy nie zobaczyć.

Od Autorki

Tradycyjnie już, bardzo chciałabym podziękować osobom, które miały swój własny wkład w powstawanie tej książki. Bez waszego wsparcia byłoby mi o wiele trudniej pisać zarówno ten utwór, jak i inne.

Przede wszystkim dziękuję mojej wspaniałej rodzinie. Rodzicom, którzy są najlepszym nauczycielskim małżeństwem na świecie, a także Kasi i Wojtkowi. Nasza codzienność jest niezwykle inspirująca, uwielbiam fakt, że jesteście. Bardzo Was kocham!

Mówiąc o rodzinie, nie mogę nie wspomnieć o cioci Iwonie. Chciałabym szczególnie zadedykować jej rozdział, w którym samochód Zuzanny niemal wjechał do sklepu. Nie pytajcie dlaczego...

Dziękuję też moim niesamowitym przyjaciółkom, które kibicują mojemu pisaniu i dzielnie znoszą dłużące się nieraz okresy przebywania przeze mnie bardziej w świecie fikcji niż rzeczywistości. Marlenka, Zuzia i Natalia, dziękuję Wam.

Specjalne podziękowania należą się Patrycji, której dedykuję scenę z wizytą Zuzanny u psychologa. Za każdym razem, gdy myślę o tym fragmencie, przypominają mi się wszystkie tak-bardzo-profesjonalne badania i wywiady, które przeprowadziłyśmy. Jesteś wspaniałą przyjaciółką, uwielbiam nasze szaleństwa!

Dziękuję również całemu zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona za ogrom pracy, który włożono w wydanie mojej kolejnej już książki.

Nie mogę zapomnieć także o Kindze, z którą i tym razem miałam przyjemność pracować podczas redakcji. Bardzo doceniam Twoje zaangażowanie.

Dziękuję też wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy sięgnęli zarówno po tę książkę, jak i poprzednie. Zachęcam Was do odnajdywania mojej strony na Facebooku (www.facebook.com/przybylekagata). Dzielcie się też ze mną wrażeniami po lekturze moich książek, kontakt z Wami dodaje mi skrzydeł.

POLECAMY RÓWNIEŻ:



Śnieżna sceneria Zakopanego i sylwester spędzony w gronie przyjaciół – czy może być coś piękniejszego?

Alicja długo wzdbraniała się przed wyjazdem. Nie lubiła tłumów i hałasów, a każde święta do tej pory spędzała na dyżurze w szpitalu. Gdy w końcu uległa namowom przyjaciół, nie domyślała się nawet, że jej życie zmieni się tak bardzo.

Podczas sylwestrowej nocy poznała Michała – ratownika TOPR. Po raz pierwszy jej myśli przestały obsesyjnie krążyć wokół pracy, a Alicja dostrzegła piękno życia, którego dotąd nie знаła. Czy Alicja obudzi się ze snu, przestanie uciekać i otworzy się na rodzące się uczucie?

Wspaniała i bajkowa opowieść autorki bestsellerowej książki „Garść pierników, szczypta miłości”!

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Od Autorki](#)